

OSTATNIA KOBIETA SKAZANA W ISLANDII NA ŚMIERĆ  
POWIEŚĆ OPARTA NA PRAWDZIWYCH WYDARZENIACH

# SKAZANA

H A N N A H K E N T



Prószyński i S-ka

H A N N A H K E N T  
SKAZANA

Przełożył  
Jan Hensel

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
BURIAL RITES

Copyright © Hannah Kent 2013  
All rights reserved

Projekt okładki  
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce  
© Malgorzata Maj/Trevillion Images

Redaktor prowadzący  
Katarzyna Rudzka

Redakcja  
Agnieszka Roslan

Korekta  
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-7961-537-7

Warszawa 2013

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Moim rodzicom*

Najgorsza byłam dla tego, kogom ukochała najbardziej.

*Laxdæla Sag*



# O nazwiskach islandzkich

Islandczycy tradycyjnie stosują patronimiczny system nadawania nazwisk, w którym nazwisko dziecka tworzy się od imienia ojca z sufiksem -son albo -dóttir. W związku z tym Agnes Magnúsdóttir tłumaczy się dosłownie jako Agnes, córka Magnúsa. Ze względu na ten obyczaj każdy z krewnych w islandzkiej rodzinie może nosić inne nazwisko.

# O fonologii języka islandzkiego

Aby ułatwić czytelnikowi lekturę, niektóre litery języka islandzkiego nie zostały użyte w druku. Spółgłoski *ð* (*Ð*) i *þ* (*Þ*) zastąpiono odpowiednio przez *d* i *th*.

Wymowa niektórych samogłosek jest uwarunkowana przez położenie akcentu:

á jak *au* w „automat”

é jak *je* w „jeden”

í jak wydłużone polskie *i*

ó jak *oł* w „ołtarz”

ö jak *eu* we francuskim *fleur*

ú jak wydłużone polskie *u*

ý jak wydłużone polskie *i*

æ jak *aj* w „wajcha”

au jak *oe* we francuskim *oeil*

ei jak *ej* w „klej”



# Prolog

Powiedzieli, że muszę umrzeć. Powiedzieli, że skradłam ludziom tchnienie, więc teraz oni muszą skraść moje. Wyobrażam więc sobie, że wszyscy jesteśmy jak płomyki świec, jasne i kopące się od palonego łożu, pełgające w ciemności i na wyjąłym wietrze. W ciszy słyszę kroki, straszne zbliżające się kroki ludzi, którzy idą, żeby zdmuchnąć mnie i posłać moje życie do nieba w szarym wieńcu dymu. Rozpłynę się w powietrzu i nocnym mroku. Zdmuchną nas po kolei, potem będą patrzeć na świat tylko w świetle własnych płomyków. Gdzie wtedy będę?

Czasem wydaje mi się, że przeżywam to wszystko znowu. Dom płonie w ciemności. Mróz taki, że każdy oddech boli w płucach. Widzę płomienie odbite w wodach oceanu, w wodach rozedrganych światłem. Tamtej nocy była chwila, kiedy obejrzałam się za siebie. Obejrzałam się, żeby popatrzeć na ogień.

Jeśli polizę swoją skórę, nadal czuję na języku sól. Dym.

Nie zawsze było tak zimno.

Słyszę kroki.

# Rozdział 1

## ZAWIADOMIENIE

*Zawiadamia się, że w czwartek 24 marca 1828 roku w Illugastadir odbędzie się aukcja majątku, jaki pozostawił po sobie rolnik Natan Ketilsson. A są to: jedna krowa, kilka koni, znaczna liczba owiec, siano oraz meble, jedno siodło, wędzidło, a także wiele naczyń i talerzy. Do sprzedaży dojdzie, jeśli złożona zostanie uczciwa oferta. Wszystkie składniki majątku przypadną temu, kto złoży najwyższą ofertę. Jeżeli ze względu na złą pogodę aukcja okaże się niemożliwa, będzie przełożona na dzień następny, o ile pogoda pozwoli.*

20 marca 1828

*Do Wielce Wielebnego Jóhanna Tómassona*

*Dziękuję Wielebnemu za Wasz cenny list z dnia 14, w którym zapytywał Wielebny o to, jak urządziliśmy pogrzeb Pétura Jónssona z Geitaskard, ponoć zamordowanego i spalonego w noc między 13 a 14 tego miesiąca, z Natanem Ketilssonem. Jak Wielebny wie, zachodziły pewne wątpliwości, czy jego kości powinny spocząć w święconej ziemi. Do jego skazania i ukarania za rabunek, kradzież, jako też paserstwo miało dojść po procesie przed Sądem Najwyższym. Aliści nie otrzymaliśmy dotąd żadnych listów z Danii. Sędzia sądu ziemskiego skazał Pétura 5 lutego zeszłego roku, zaczem wymierzył mu wyrok czterech lat ciężkich robót w kopenhaskim rasphusie, ten jednak w czasie, gdy go zamordowano, przebywał na wolności. W związku z tym, by odpowiedzieć na zapytanie Wielebnego, kości jego spoczęły zgodnie z chrześcijańskim obrządkiem obok szczątków Natana,*

ponieważ nie sposób było uznać, by nie należał już do grona chrześcijan. Ludzi wykluczonych z tego Kościoła wyraźnie określa się w liście od Jego Królewskiej Mości z 30 grudnia 1740, gdzie wymienia się wszystkie osoby, których nie wolno pogrzebać według obrządku chrześcijańskiego.

Komisarz okręgowy  
Björn Blöndal

30 maja 1829

Wielebny T. Jónsson

Breidabólstadir, Vesturhóp

Do Wielebnego Wikariusza Thorvardura Jónssona

Ufam, iż list niniejszy znajdzie Wielebnego w dobrym zdrowiu i zajętego Waszą zbożną pracą w Vesturhóp.

Po pierwsze, pragnę pogratulować Wielebnemu, choć z opóźnieniem, ukończonych studiów na południu Islandii. Pańscy parafianie mówią, że jest Wielebny sumiennym młodym człowiekiem, i w pełni aprobuje Pańską decyzję powrotu na północ i podjęcia posługi pasterskiej pod okiem ojca. Cieszy mnie niezmiernie, że wciąż są na świecie prawi ludzie gotowi pełnić swe obowiązki wobec ludzkości i Boga.

Po drugie, jako komisarz okręgowy piszę do Wielebnego z prośbą o przysługę. Jak zapewne Wielebny wie, na życie naszej społeczności położył się ostatnio cień zbrodni. W swej ohydzie morderstwa popełnione w zeszłym roku w Illugastadir obnażyły zepsucie i bezbożność tej krainy. Jako komisarz okręgu Húnavatn nie mogę tolerować zła w naszej społeczności i po spodziewanej zgodzie Sądu Najwyższego w Kopenhadze zamierzam posłać morderców z Illugastadir na szafot. Z myślą o tym wydarzeniu proszę Wielebnego o pomoc.

Jak zapewne Wielebny pamięta, opisałem rzeczony morderstwa w liście okólnym do naszego duchowieństwa prawie dziesięć miesięcy temu, gdzie poleciłem, by potępiono je w kazaniach. Pozwoli Wielebny, iż powtórzę, co

się wtedy stało, tym razem po to, by łatwiej było Wielebnemu ocenić tę zbrodnię.

W zeszłym roku, w nocy z 13 na 14 marca, troje ludzi popełniło okrutną i odrażającą zbrodnię przeciwko dwóm mężczyznom, którzy mogli być Wielebnemu znani, a mianowicie przeciwko Natanowi Ketilssonowi i Péturowi Jónssonowi. Pétura i Natana znaleziono w zgliszczach domu w gospodarstwie Natana w Illugastadir, kiedy zaś poddano zwłoki dokładniejszym oględzinom, odkryto rany zadane w sposób celowy ludzką ręką. Odkrycie to doprowadziło do wszczęcia śledztwa, a później do procesu. Dnia 2 lipca zeszłego roku zarzut morderstwa w tej sprawie postawiono trzem osobom – mężczyźnie i dwóm kobietom. Wszyscy zostali uznani za winnych przez sąd rejonowy pod moim przewodnictwem i skazani na ścięcie, albowiem: „Kto by uderzył człowieka, ażby umarł, śmiercią umrze”<sup>\*</sup>. Wyroki śmierci zostały podtrzymane przez sąd ziemski, który zebrał się 27 października zeszłego roku w Reykjavíku. Sprawa toczy się obecnie przed Sądem Najwyższym w Kopenhadze i jest prawdopodobne, iż mój pierwotny wyrok i w tej instancji zostanie podtrzymany. Skazany mężczyzna to Fridrik Sigurdsson, syn rolnika z Katadalur. Kobietami są służące, Sigrídur Gudmundsdóttir i Agnes Magnúsdóttir.

<sup>\*</sup> Biblia Gdańska, Księga Wyjścia 21,12 (przyp. tłum.).

Skazane osoby są obecnie przetrzymywane w areszcie tutaj na północy i będą przetrzymywane dalej, aż do swojej egzekucji. Fridrik Sigurdsson został wzięty do Thingeyrar przez wielebnego Jóhanna Tómassona, Sigrídur Gudmundsdóttir przewieziono zaś do Midhóp. Agnes Magnúsdóttir przetrzymywano w Stóra-Borg, lecz z powodów, których nie mogę wyjawić, zostanie w przyszłym miesiącu przeniesiona w nowe miejsce, do Kornsy w dolinie Vatnsdalur. Jest ona niezadowolona ze swego obecnego opiekuna duchowego i skorzystała z jednego z niewielu przysługujących jej wciąż praw, prosząc o innego duszpasterza. Poprosiła o Pana, Wielebny

Wikariuszu.

*Zwracam się do Wielebnego w tej sprawie z niejaką niepewnością. Zdaję sobie sprawę, iż jak dotąd Wasze obowiązki ograniczały się do prowadzenia nauczania duchowego najmłodszych parafian, co – choć bez wątplenia chwalebne i potrzebne – ma nikłe znaczenie polityczne. Sam może Wielebny przyzna, że jest zbyt niedoświadczony, by przywrócić tę skazaną kobietę Panu i Jego nieskończonemu miłosierdziu, i w takim wypadku nie zamierzam dalej nalegać. Jest to brzemię, którym wahałbym się obciążyć barki nawet doświadczonych duszpasterzy.*

*Gdyby jednak przyjął Wielebny obowiązek przygotowania Agnes Magnúsdóttir na spotkanie z Panem, będzie Wielebny musiał przyjeżdżać regularnie do Kornsy, gdy tylko pogoda pozwoli. Musi Wielebny głosić słowo Boże i doprowadzić skazaną do skruchy i uznania wyroku Sprawiedliwości. Niechaj Wielebny nie pozwoli, by pochlebstwo kierowało Waszą decyzją ani też wzgląd na pokrewieństwo, jeśli takowe łączy Wielebnego i skazaną. We wszystkich sprawach, Wielebny, jeśli nie jest Pan w stanie wyrobić sobie własnego zdania, proszę zdać się na moje.*

*Czekam na Pańską odpowiedź. Proszę przekazać ją memu pośłańcowi.*

*Komisarz okręgowy*

*Björn Blöndal*

Wielebny wikariusz Thorvardur Jónsson w chacie obok kościoła naprawiał palenisko, wmurowując nowe kamienie, kiedy usłyszał, jak ojciec odchrząknął, zatrzymując się na progu.

– Tóti, na dworze czeka posłaniec z Hvammur. Pyta o ciebie.

– O mnie? – Był tak zaskoczony, że kamień wysunął mu się z dłoni i spadł na klepisko. Niewiele brakowało, a uderzyłby go w stopę.

Wielebny Jón z irytacją zassał przez zęby powietrze, schylił głowę, wszedł do chaty i łagodnie odepchnął Tótiego z drogi.

– Tak, o ciebie. Nie każ mu na siebie czekać.

Posłaniec okazał się służącym odzianym w znoszony płaszcz. Przyjrzał się Tótiemu uważnie, zanim zapytał:

– Wielebny Thorvardur Jónsson?

– To ja. Witam. Cóż, właściwie jestem dopiero wikariuszem.

Sługa wzruszył ramionami.

– Mam dla waszego list od komisarza okręgowego, pana Björna Blöndala. – Wyciągnął zza pazuchy nieduży kawałek papieru i wręczył go Tótiemu. – Rozkazano mi poczekać tutaj.

Papier był wilgotny i rozgrzany od ciała służącego. Tóti przełamał pieczęć i spostrzegł, że list napisano tego samego dnia. Siadł na pieńku do rąbania drewna przy wejściu do chaty i zaczął czytać.

Kiedy doczytał do końca, podniósł wzrok i stwierdził, że służący bacznie go obserwuje.

– No i...? – zapytał posłaniec z uniesioną brwią.

– Słucham?

– Pańska odpowiedź dla pana komisarza? Nie mogę czekać aż do północy.

– Mogę najpierw rozmówić się z ojcem?

Służący westchnął.

– Niech będzie.

Ojciec w badstofie powolnym ruchem wygładzał koce na łóżku.

– Dostałem wiadomość od komisarza okręgowego. – Tóti podał mu rozłożony list i z niepewnością w sercu czekał.

Ojciec z obojętną miną przeczytał, złożył kartkę i zwrócił ją synowi. Nie odezwał się ani słowem.

– Co mam odpowiedzieć? – zapytał wreszcie Tóti.

– Wybór należy do ciebie.

– Kiedy ja jej nie znam.

– No nie.

– Nie należy do naszej parafii?

– Nie.

- To czemu o mnie poprosiła? Jestem tylko wikariuszem.  
Ojciec znowu pochylił się nad łóżkiem.
- Może powinieneś ją o to zapytać.  
Służący siedział teraz na pieńku i nożykiem czyścił sobie paznokcie.
- No więc? Jaką odpowiedź mam przekazać komisarzowi okręgowemu z ust wielebnego?  
Tóti w tym momencie podjął decyzję.
- Powiedz Blöndalowi, że spotkam się z Agnes Magnúsdóttir.  
Oczy służki zrobiły się okrągłe.
- Więc o to chodzi?  
– Mam być jej duchowym doradcą.  
Poślaniec popatrzył na niego z rozdziawionymi ustami, a potem wybuchnął śmiechem.
- Dobry Boże! Wybrali mysz, żeby ujarzmić kota. – To rzekłszy, dosiadł konia i wkrótce zniknął za pagórkami, podczas gdy Tóti stał bez ruchu, trzymając list w wyprostowanej ręce z dala od siebie, jakby kartka miała się za chwilę zapalić.

†

Steina Jónsdóttir usypywała kopczyk wyschniętego gnoju na podwórzu rodzinnego gospodarstwa, gdy usłyszała gwałtowny tętent kopyt. Wyrzała za róg chatki, by lepiej widzieć gościniec przebiegający przez dolinę. Zbliżał się jeździec w jaskrawoczerwonym płaszczu. Skręcił w stronę gospodarstwa. Steina poczuła nagłą panikę, bo zdała sobie sprawę, że będzie musiała go przywitać. Wycofała się za chatę, pośpiesznie napluła w dłonie, wytarła je w spódnice i wydmuchała nos na ziemię. Kiedy wróciła na podwórze, jeździec już czekał.

- Witaj, młoda damo. – Spojrzał na jej brudną spódnice z rozbawieniem. – Widzę, że przeszkodziłem ci w pracy. – Zsiadł z wierzchowca, z gracją

przekładając nogę nad końskim grzbietem. Jak na tak postawnego mężczyznę zeskoczył na ziemię z zadziwiającą lekkością. – Wiesz, kim jestem?

Pokręciła głową.

– Komisarz okręgowy Björn Audunsson Blöndal. – Skłonił lekko głowę i poprawił płaszcz ozdobiony, jak spostrzegła, srebrnymi guzikami.

– Jest pan z Hvammur – wymamrotała.

Blöndal uśmiechnął się cierpliwie.

– Tak. Jestem zwierchnikiem twojego ojca. Przyjechałem z nim porozmawiać.

– Nie ma go w domu.

Blöndal zmarszczył brwi.

– A twoja matka?

– Wybrali się z wizytą na południe doliny.

– Rozumiem. – Przyjrzał się młodej kobiecie, skulonej i nerwowo wlepiającej wzrok w pola. Była blada i piegowata. Miała szeroką szparę między przednimi zębami, oczy brązowe i szeroko rozstawione. Niezbyt ładna, uznał Blöndal. Zwrócił uwagę na grube półksiężyce brudu pod jej paznokciami.

– Będzie pan musiał przyjechać później – powiedziała wreszcie.

Blöndal stęzał.

– Mogę przynajmniej wejść do środka?

– Och... Jeśli pan chce. Tam może pan przywiązać konia. – Steina przygryzła wargę, gdy Blöndal owijał lejce wokół pala, a potem odwróciła się i pognęła do domu.

Blöndal podążył za nią, garbiąc się w niskim wejściu do chałupy.

– Czy twój ojciec wróci jeszcze dzisiaj?

– Nie – usłyszał zwięzłą odpowiedź.

– Co za pech – mruknął, potykając się w ciemnym korytarzu, gdy Steina prowadziła go do badstofy. Podczas piastowania urzędu komisarza okręgowego nabrał tuszy i przyzwyczał się do bardziej przestronnego,



wzniesionego z importowanego drewna domu, który zapewniono jego rodzinie w Hvammur. Chatynki parobków i rolników zaczęły budzić w nim odrazę; izby były w nich ciasne, a ze zbudowanych z darni ścian w lecie unosiły się chmury kurzu, które drażniły płuca.

– Panie komisarzu...

– Komisarzu okręgowy.

– Przepraszam, komisarzu okręgowy. Mamma i pabbi, to znaczy Margrét i Jón, wrócą jutro. Albo pojutrze. Zależy od pogody. – Steina skinęła w stronę bliższego końca wąskiego pomieszczenia, gdzie szara wełniana kotara dzieliła sypialnię od maleńkiego saloniku. – Proszę tu usiąść, jeśli pan raczy – powiedziała. – Poszukam siostry.

Lauga Jónsdóttir, młodsza siostra Steiny, pielila marny ogródek warzywny w pewnej odległości od chaty. Pochylona nad grządką nie zauważyła przyjazdu komisarza okręgowego. Teraz usłyszała wołanie siostry.

– Laugo! Gdzie jesteś? Laugo!

Wyprostowała się i wytarła brudne dłonie o fartuch. Nie odchrząknęła, tylko poczekała cierpliwie, aż siostra przybiegnie, potykając się w biegu o długą spódnicę.

– Wszędzie cię szukam! – wysapała Steina, łapiąc dech.

– Co się z tobą dzieje?

– Komisarz przyjechał!

– Kto?

– Blöndal!

– Komisarz okręgowy Björn Blöndal? Wytrzymaj nos, Steino, zasmarkał się.

– Siedzi w naszym saloniku.

– Gdzie?

– No wiesz, za kotarą.

– Zostawiłaś go zupełnie samego? – Lauga otworzyła szeroko oczy.

Steina skrzywiła się boleśnie.

– Proszę cię, chodź i porozmawiaj z nim.

Lauga szybko odwiązała brudny fartuch i rzuciła go między kępki lubczyku.

– Czasami nie wiem, gdzie ty masz głowę, Steino – mruknęła, gdy szybkim krokiem ruszyły w stronę chałupy. – Zostawić kogoś takiego jak Blöndal samego w naszej badstofie!

– W saloniku.

– Co za różnica? Przypuszczam, że dałaś mu też do picia serwatki dla służby?

Steina odwróciła się do siostry z paniką na twarzy.

– Niczego mu nie dałam.

– Jak mogłaś! – Lauga przyśpieszyła do truchtu. – Weźmie nas za ludzi z gminu!

Steina patrzyła, jak siostra biegnie między kępami trawy.

– Ale my jesteśmy z gminu – mruknęła.

Lauga szybko umyła twarz i dłonie, po czym wzięła nowy fartuch od Kristín, rodzinnej służącej, która zaszyła się w kuchni, gdy tylko usłyszała nieznamy głos. Komisarz okręgowy przy drewnianym stoliku czytał coś z kartki. Przeprosiwszy za niekulturalne zachowanie siostry, Lauga zaproponowała mu talerz zimnej baraniny z ziemniakami, który przyjął z przyjemnością, choć również z pewną urazą. Stała w milczeniu obok, kiedy jadł, i patrzyła, jak zaciska mięsiste wargi, żując kawałki mięsiwa. Może pabbi z urzędnika okręgowego zostanie podniesiony do jeszcze wyższej godności. Może dostanie od Korony Duńskiej mundur albo pensję. Może stać ich będzie na nowe ubrania, nowe suknie. Nowy dom. Więcej służby.

Blöndal zazgrzytał nożem o talerz.

– Miałby pan ochotę na skyr ze śmietaną, panie komisarzu okręgowy? – zapytała, biorąc pusty talerz.

Uniósł dłonie, jakby się wzbraniał, lecz po chwili się rozmyślił.

– No dobrze, poproszę. Dziękuję.

Lauga oblała się rumieńcem i odwróciła się, by pójść po twaróg.

– I nie miałbym nic przeciwko kawie! – zawołał za nią, gdy schyliła głowę, wychodząc za kotarę.

– Czego on chce? – spytała Steina, przycupnięta przy ogniu w kuchni. – Nie słyszę nic oprócz twojego tupania w korytarzu.

Lauga wcisnęła jej w rękę brudny talerz.

– Niczego jeszcze nie powiedział. Ma ochotę na skyr i kawę.

Siostra spojrzała wymownie na Kristín, która przewróciła oczami.

– Nie ma kawy – powiedziała cicho Steina.

– Owszem, jest. Widziałam ją w zeszłym tygodniu w spizarni.

Steina się zawahała.

– Ja... wypłam ją.

– Steino! Kawa nie jest dla nas! Zachowujemy ją na szczególne okazje!

– Jakie okazje? Komisarz nigdy nas nie odwiedza.

– Komisarz okręgowy, Steino!

– Wkrótce służący wrócą z Reykjavíku. Może przywiozą.

– Ale co poczniemy teraz? – Poirytowana Lauga pchnęła Kristín w stronę spizarni. – Skyr ze śmietaną! Szybko.

– Chciałam się przekonać, jak smakuje – wyjaśniła Steina.

– Trudno, stało się. Dam mu świeżego mleka. Przynieś wszystko, kiedy będzie gotowe. Albo nie. Niech Kristín go obsłuży. Wyglądasz, jakbyś tarzała się w chlewie ze świniami. – Lauga łypnęła z przyganą na uwalane gnojem ubranie siostry, po czym wyszła z kuchni.

Blöndal wyraźnie na nią czekał.

– Młoda damo, przypuszczam, że zastanawiasz się, czemu przyjechałem z wizytą.

– Mam na imię Sigurlaug. Albo Lauga, jeśli pan woli.

– Dziękuję, Sigurlaug.

– Czyżby chodziło o jakąś sprawę związaną z obowiązkami mojego ojca? Jest...

– Wyjechał. Tak, wiem. Twoja siostra mi powiedziała... O proszę, oto i ona.

Steina niosła w jednej brudnej ręce twaróg ze śmietaną i jagodami, a mleko w drugiej. Niechcący trąciła skyr krawędzią kotary. Na szczęście komisarz okręgowy zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Smacznego, panie – wybąkała Steina. Postawiła miskę i kubek na stole, a potem dygnęła niezdarnie.

– Dziękuję – odrzekł. Okiem smakosza spojrzął na skyr, po czym podniósł wzrok. Uśmiechnął się słabo. – Która z was jest starsza?

Lauga trąciła Steinę łokciem, lecz siostra nadal milczała i gapiła się z rozdziawionymi ustami na jaskrawą czerwień munduru gościa.

– Ja jestem młodsza, panie komisarzu okręgowy – odezwała się w końcu Lauga i w uśmiechu pokazała dołeczki w policzkach. – O rok. Steinvör w tym miesiącu skończy dwadzieścia jeden lat.

– Wszyscy mówią mi Steina.

– Obie jesteście bardzo ładne – rzekł Blöndal.

– Dziękuję panu.

Lauga znów szturchnęła siostrę.

– Dziękuję – wymamrotała Steina.

– Obie macie jasne włosy po ojcu, choć, jak widzę, ty, Lauga, masz błękitne oczy matki – zauważył. Odepchnął nietkniętą miskę. Podniósł kubek, powąchał mleko i odstawił je z powrotem.

– Proszę jeść – powiedziała Lauga.

– Dziękuję, ale nagle poczułem się syty. – Blöndal sięgnął do kieszeni płaszcza. – Wolałbym omówić tę sprawę z panem domu, ale skoro urzędnika okręgowego Jóna tu nie ma, a sprawa nie może czekać do jego powrotu, widzę, że muszę porozmawiać z jego córkami. – Wziął kartkę i rozłożył ją na stole tak, aby mogły przeczytać. – Przypuszczam, że słyszałyście o wydarzeniach, które rozegrały się w zeszłym roku w Illugastadir?

Steina drgnęła.

– Ma pan na myśli te morderstwa?

Lauga spoważniała, jej błękitne oczy otworzyły się nagle szeroko.

– Proces toczył się w pańskim domu.

Blöndal pokiwał głową.

– Tak. Morderstwa na zielarzu Natanie Ketilssonie i parobku Péturze Jónssonie. Jako że ta smutna tragedia wydarzyła się w okręgu Húnavatn, który, jak wiecie, podlega mojej jurysdykcji, miałem obowiązek z sędzią pokoju i sądem ziemskim w Reykjavíku uzgodnić, co począć z oskarżonymi.

Lauga wzięła kartkę i podeszła do okna, żeby mieć lepsze światło.

– Więc wszystko jest już skończone.

– Przeciwnie. Troje oskarżonych zostało w październiku przed sądem tego kraju uznanych za winnych zarówno morderstwa, jak i podpalenia. Teraz sprawa trafiła przed Sąd Najwyższy w Kopenhadze, w Danii. Król... –

Blöndal teatralnie zawiesił głos. – Sam król musiał poznać sprawę i zgodzić się z moim pierwotnym wyrokiem. Wszyscy dostali karę śmierci. Na pewno przyznacie, że to zwycięstwo sprawiedliwości.

Lauga z roztargnieniem pokiwała głową, wciąż pogrążona w lekturze.

– Nie zostaną wysłani do Danii?

Blöndal uśmiechnął się i odchylił na drewnianym krześle, unosząc obcasy butów.

– Nie.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– W takim razie, panie komisarzu okręgowy, proszę wybaczyć moją ignorancję, ale gdzie mają...? – Zamilkła, nie dokończywszy zdania.

Blöndal zaszurał krzesłem, wstał i podszedł do niej, nie zwracając uwagi na Steinę. Wyjrzał przez rozpięty w oknie wysuszony pęcherz barani, który służył za szybę, i spostrzegł żyłkę na matowej powierzchni. Wzdrygnął się mimowolnie. W jego domu w oknach były szklane szyby.

– Wszyscy zostaną straceni tutaj – rzekł w końcu. – W Islandii. Na północy Islandii, mówiąc ściślej. Ja i sędzia, który prowadził postępowanie

w Reykjavíku, uznaliśmy, że tak będzie... oszczędniej.

– Naprawdę?

Spojrzał spod zmarszczonych brwi na Steinę, która wyrwała siostrze kartkę.

– Tak. Chociaż nie przeczę, że egzekucja stanowić będzie okazję, by nasza społeczność zobaczyła konsekwencje zbrodni. Jak wiesz, rezolutna Sigurlaug, przestępców tej miary wysyła się zwykle za granicę, by tam wykonano karę, bo tam są więzienia i tym podobne. Skoro jednak zdecydowano, że tych troje zostanie straconych w Islandii, w tymże samym okręgu, w którym dopuścili się swych zbrodni, potrzebujemy jakiegoś aresztu, gdzie przebywaliby aż do momentu, gdy uzgodnimy datę i miejsce egzekucji.

Jak dobrze wam wiadomo, nie mamy w Húnavatn żadnych fabryk, żadnego budynku publicznego, gdzie można by umieścić więźniów. – Blöndal znów usiadł na krześle. – Dlatego też postanowiłem, że powinniśmy porozmieszczać ich na wsi, w domach przykładowych chrześcijan, którzy swym wzorem przywiedliby skazańców do skruchy, a zarazem skorzystałoby z owoców pracy, jaką więźniowie mogliby wykonywać w oczekiwaniu na wyrok.

Pochylił się przez stół w stronę Steiny, która wpatrywała się w niego, w jednej ręce ściskając list, a drugą zakrywając usta.

– Islandczyków – podjął – którzy byliby zdolni do spełniania swojego obowiązku urzędników państwowych i do zapewnienia odpowiedniego zakwaterowania.

– Nie można ich umieścić w Reykjavíku? – wyszeptała Lauga.

– Nie. Chodzi o koszty. – Machnął ręką.

Steina zmrużyła oczy.

– Chce pan umieścić ich tutaj? U nas? Dlatego że sąd w Reykjavíku pragnie uniknąć kosztów związanych z wysłaniem ich za granicę?

– Steino! – ostrzegła ją Lauga.

– Wasza rodzina otrzyma odpowiednie wynagrodzenie – odrzekł Blöndal,

marszcząc brwi.

– Co niby mamy zrobić? Przykuć ich łańcuchami do nóg naszych łóżek?

Blöndal powoli dźwignął się z krzesła i wyprostował.

– Nie mam wyboru – powiedział stanowczo. – Wasz ojciec piastuje urząd związany z konkretnymi obowiązkami. Jestem pewien, że nie kwestionowałby moich poleceń. Kornśa ma za mało rąk do pracy, a dochodzi do tego jeszcze sprawa stanu waszych finansów rodzinnych. – Zbliżył się do Steiny, spoglądając z góry na jej drobną, brudną twarz. – Poza tym, Steinvör, nie pozwoliłbym, żebyś ty i twoja rodzina musieli przetrzymywać troje skazańców. Chodzi tylko o jedną z kobiet. – Położył ciężko rękę na jej ramieniu i nie cofnął, mimo że zauważył, jak dziewczyna się skuliła. – Nie boisz się chyba własnej płci, co?

Kiedy Blöndal odjechał, Steina wróciła do saloniku i podniosła nietkniętą miskę skyru. Śmietana zakrzepła na brzegach naczynia. Steina trzęsła się z gniewu. Przycisnęła miskę mocno do stołu i przygryzła wargę. Krzyczała w duszy, pragnąc skruszyć miskę siłą woli. Dopiero gdy fala gniewu opadła, wróciła do kuchni.

†

Bywa, że zastanawiam się, czy nie jestem już martwa. Nie ma żadnego życia, tylko czekanie w ciemności, w ciszy, w izbie tak zatechłej, że zapomniałam już, jak pachnie świeże powietrze. Nocnik jest wypełniony moimi odchodami, niedługo się przeleje, jeśli ktoś nie przyjdzie go opróżnić.

Kiedy zjawili się ostatnio? Teraz jest tylko jedna długa noc.

W zimie było lepiej. W zimie mieszkańcy Stóra-Borg byli uwięzieni tak samo jak ja; wszyscy dzieliliśmy badstofę, gdy wokół chaty szalała śnieżycą. Na czas czuwania mieli kaganki, a gdy skończył się olej, świece, które odganiały mrok. Potem nadeszła wiosna i przenieśli mnie do komórki. Zostawili mnie samą bez światła i nie miałam jak odmierzać czasu, nie

miałam jak odróżnić dzień od nocy. Tu nie ma nic, tylko żelazne obręcze na nadgarstkach, rozmontowane krosna porzucone w kącie, stare, połamane wrzeciono.

Może jest już lato. Słyszę kroki służących w korytarzu, skrzypienie drzwi, gdy chodzą tam i z powrotem. Czasem dobiega mnie przenikliwy, wysoki śmiech posługaczek, gdy gawędzą na zewnątrz, i wiem, że pogoda się poprawiła, wiatr nie jest tak lodowaty. Zamykam oczy i wyobrażam sobie dolinę w długie letnie dni, słońce rozgrzewające kości ziemi, aż nad jezioro zlatują się łabędzie, a chmury rozpraszają się i nieboskłon błękitu się tak, że można się rozplakać.

†

Trzy dni po tym, jak Björn Blöndal odwiedził córki w Kornsie, ich ojciec Jón Jónsson, urzędnik okręgu Vatnsdalur, i jego żona Margrét wracali do domu.

Jón, lekko przygarbiony, żylasty mężczyzna z pięćdziesięcioma pięcioma zimami na karku, o jasnych niczym śnieg blond włosach i dużych uszach, które nadawały mu wygląd prostaczka, szedł przed koniem, prowadząc go za wodze i wprawnie krocząc po nierównym gruncie. Jego żona, na grzbiecie czarnej klaczy, była zmęczona podróżą, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała. Siedziała z lekko uniesioną brodą, a jej głowa chwiała się lekko na chudej szyi. Spojrzenie przymrużonych oczu przesuwiała od jednego gospodarstwa do następnego, gdy mijali kolejne osady w dolinie Vatnsdalur, i zaciskała powieki, gdy dopadał ją kaszel. Kiedy odkaszlnęła, pochylała się nad koniem, pluła na ziemię, po czym wycierała usta końcem szalika i zmawiała pod nosem krótką modlitwę. Mąż co jakiś czas odwracał się w jej stronę, jakby z obawą, że spadnie z konia, lecz szedł dalej.

Margrét, zmęczona kolejnym atakiem suchego kaszlu, splunęła w trawę i przycisnęła dłonie do piersi, aż odzyskała dech. Jej głos, gdy przemówiła,



był chrypiący.

- Widzisz, Jón, mieszkańcy Ás mają nową krowę.
- Hmm? – Jej mąż był pogrążony w myślach.
- Powiedziałam, że mieszkańcy Ás mają nową krowę.
- Tak?
- Dziwię się, że sam nie zauważyłeś.
- Racja.

Margrét zmrużyła oczy i w oddali dojrzała mgliste zarysy chaty w Kornsie.

- Dom już blisko.

Mąż mruknął potakująco.

– Człowiek zaczyna się zastanawiać, nie, Jón? Przydałoby nam się jeszcze jedna krowa.

- Przydałoby nam się wiele rzeczy.

– Ale krowa to by było coś. Więcej masła. Byłoby nas stać na zatrudnienie jeszcze jednego parobka do zniw.

- Wszystko w swoim czasie, kochanie.
- W swoim czasie to umrę.

Słowa zabrzmiały bardziej gorzko, niż zamierzała. Jón nie odpowiedział, tylko mruknął do klaczy, żeby szła szybciej, a Margrét zmarszczyła brwi i utkwiała spojrzenie w tyle jego kapelusza jeździeckiego, próbując siłą woli sprawić, żeby się odwrócił. Nadaremnie. Westchnęła głęboko i popatrzyła znowu na Kornse.

Było późne popołudnie, słońce coraz słabiej oświetlało pola, ledwo przeciskając się przez nisko wiszące chmury, które zbierały się na wschodzie. Czapy starego śniegu na górskich szczytach były na przemian to matowe i szare, to jaskrawobiałe, gdy chmury się rozstępowały. Ptaki śmigły nad polami, łowiąc brzęczące owady, a w dali słychać było żalosne beczenie owiec spędzanych w dolinę.

W Kornsie Lauga i Steina wyszły z chałupy po wodę z górskiego

strumienia. Lauga przecierała oczy od blasku słońca, a Steina w rytm swoich kroków beztrąsko machała wiadrem. Nie rozmawiały ze sobą.

Przez kilka ostatnich dni siostry pracowały w zupełnym milczeniu i odzywały się do siebie tylko wtedy, gdy któraś prosiła o podanie szpadla albo pytała, którą beczkę solonego dorsza otworzyć najpierw. Milczenie zaczęło się od kłótni po wizycie komisarza okręgowego, było podszyte gniewem i lękiem. Wysilek, by nie rozmawiać, wyczerpał je obie. Lauga, poirytowana uporem i niezdarnością starszej siostry, nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedzą o wizycie Blöndala rodzice. Niechętna reakcja Steiny na wiadomość przekazaną przez Blöndala mogła wpłynąć na ich pozycję. Björn Blöndal był potężnym człowiekiem i źle znosił sprzeciw, zwłaszcza ze strony jakiejś smarkatej dziewczyny. Czy Steina nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia sytuacja rodziny zależy od Blöndala? Że będą wykonywać tylko swój obowiązek?

Steina starała się w ogóle nie myśleć o morderczyni. Od myśli o samej zbrodni robiło jej się niedobrze, a rozpamiętywanie, jak szorstko komisarz narzucił im przyjęcie pod dach skazanej, sprawiało, że ścisnęło ją w gardle z wściekłości. Lauga jest młodsza i nie powinna mówić mi, co mam robić, myślała. Skąd niby miałam wiedzieć, jak zachowywać się zgodnie z etykietą w stosunku do tłustych facetów w czerwonych płaszczach? Nie. Lepiej w ogóle o tym nie myśleć.

Zwiesiła obciążoną wiadrem rękę i ziewnęła przeciągle. Lauga też nie zdołała stłumić ziewnięcia i na krótką chwilę spojrzęły na siebie porozumiewawczo. Ale potem Lauga upomniała siostrę, żeby zakryła usta, i Steina wbiła gniewny wzrok w ziemię.

Łagodne promienie słońca grzały ich twarze. Nie było wiatru, a w dolinie panował taki spokój, że obie dziewczyny zwolniły kroku. Zbliżyły się do skał otaczających strumień, kiedy Lauga, obróciwszy się, żeby odczepić spódnicę, która zahaczyła o ciernisty krzak, zauważyła w oddali konia.

– O! – krzyknęła.

Steina się odwróciła.

– Co znowu?

Lauga skinęła głową w stronę konia.

– Mamma i pabbi wracają. – Zmrużyła oczy, wpatrując się w mgliste światło nad polami. – Tak, to oni – powiedziała jakby do siebie. Nagle ożywiona, wcisnęła Steinie swoje wiadro. – Dasz radę z dwoma, prawda? Będzie lepiej, jeśli... jeśli pójdę... rozpalić ogień. – Pchnęła Steinę w stronę potoku, a sama zawróciła.

Jeżyny przy ścieżce czepiały się jej pończoch, gdy biegła z powrotem do chaty. Jak dobrze, że teraz pabbi zajmie się sprawą Agnes Magnúsdóttir i komisarzem okręgowym.

Rozwarła na oścież drzwi chaty, ruszyła ciemnym korytarzem i skręciła w lewo do kuchni. Kristín wzięła sobie na wieczór wolne, żeby pod nieobecność pani domu odwiedzić rodzinę, ale w palenisku wciąż się tliło. Lauga szybko dorzuciła suchego gnoju i w pośpiechu o mało nie zdusiła pierwszych płomieni. Jak ojciec zareaguje na wiadomość o wizycie komisarza okręgowego? Jak długo Agnes zostanie w Kornsie? Lauga nie miała nawet listu, który pokazał im Blöndal; podczas kłótni Steina wrzuciła go do paleniska.

Mimo wszystko pabbi, jak tylko się dowie, natychmiast obejmie dowodzenie, pomyślała Lauga, wieszając kociołek na haku nad ogniem.

Dmuchnęła miechem w palenisko, a potem szybko przemknęła przez korytarz i wychyliła głowę za drzwi. Po grzbiecie przebiegł jej następny dreszcz paniki. Co ojciec zrobi? Ruszyła do spiżarni po coś na zupę. Zostało tylko trochę jęczmienia. Wciąż czekali, aż parobkowie wrócą od kupców na południu.

O mało nie potknęła się o wysoki próg, gdy wbiegła do spiżarni po odrobinę mięsa do kociołka. O tej porze roku nie było sensu przycinać wędzonej jagnięciny. Z zimy zostało parę kawałków kaszanki, bardzo kwaśnej, ale dobrej.

Zjemy wspólnie w badstofie. Wtedy im powiem, postanowiła Lauga. Usłyszała tętent kopyt na podwórzu.

– *Komið pið sæl!* – Wyszła z chaty i otrzepała dłonie z okruchów suszonego gnoju, po czym szybko przygładziła włosy pod czepkiem. – Dobrze, że bezpiecznie wróciliście do domu.

Jón, jej ojciec, zatrzymał konia. Uśmiechnął się spod kapelusza, uniósł dłoń na powitanie i złożył szybki pocałunek na jej czole.

– Jak sobie radziłaś, mała Laugo? – Zaczął rozładowywać pakunki przytroczone do końskiego grzbietu.

– Witaj, mamma.

– Witaj, Sigurlaug – odpowiedziała Margrét, ledwo poruszając wargami, lecz spojrzała na córkę ciepło.

– Dobrze wyglądasz.

– Wciąż żyję.

– Jesteś zmęczona?

Margrét zlekceważyła pytanie i niezdarnie zsunęła się z konia na ziemię. Lauga objęła matkę nieśmiało. Potem przesunęła dłonią po pysku klaczy, po jej drżących nozdrzach i poczuła na skórze gorący, wilgotny oddech.

– Gdzie twoja siostra?

Lauga zerknęła na skały, pomiędzy którymi płynął strumyk, ale nie zauważyła żadnego ruchu.

– Poszła po wodę na wieczerzę.

Margrét uniosła brwi.

– Myślałam, że będzie tu i nas powita.

Lauga zwróciła się znów do ojca, który kładł pakunki z siodła na ziemi. Wzięła głęboki wdech.

– Pabbi, muszę ci później coś powiedzieć.

– Coś padło? – Jón zaczął odwiązywać linę.

– Co?

– Straciliśmy jakieś zwierzę?

– Och, nie, nie, nic z tych rzeczy – odpowiedziała, dodając po chwili: – Bogu dzięki. – Podeszła bliżej. – Może lepiej, żebym powiedziała ci to na osobności – dodała zniżonym głosem.

Usłyszała ją matka.

– Możesz powiedzieć to nam obojgu, Laugo.

– Nie chciałabym cię martwić, mamma.

– Och, często się martwię – odrzekła Margrét i uśmiechnęła się niespodziewanie. – Tak to jest, kiedy ma się dzieci i służbę, i wszystkimi trzeba się zająć. – Potem powiedziała mężowi, żeby nie kładł pozostałych paczek w kałużach, wzięła parę pakunków i ruszyła do domu. Lauga podążyła jej śladem.

Jón zdążył już wejść i spocząć obok żony, kiedy Lauga wniosła do badstofy miski z zupą.

– Pomyślałam, że gorący posiłek dobrze wam zrobi – powiedziała.

Jón podniósł wzrok na córkę, która stanęła przed nim z tacą w rękach.

– Mogę najpierw się przebrać?

Lauga zawahała się, po czym położyła tacę na łóżku obok matki, uklękła i zaczęła rozsznurowywać ojcu buty.

– Muszę wam coś powiedzieć.

– Gdzie jest Kristín? – zapytała ostro Margrét, podczas gdy Jón odchylił się do tyłu i wsparł na łokciach, a córka zaczęła mu ściągać ze stopy wilgotną skarpetę.

– Steina dała jej pół dnia wolnego – wyjaśniła Lauga.

– A gdzie jest Steina?

– Och, nie wiem. Gdzieś tutaj. – Lauga poczuła, jak żołądek ścisną jej się z paniki, świadoma podejrzliwości, z jaką obserwują ją rodzice. – Pabbi, kiedy was nie było, złożył nam wizytę komisarz okręgowy Blöndal – wymamrotała.

Jón podźwignął się nieco i spojrzał na córkę.

– Komisarz okręgowy? – powtórzył.

Margrét zacisnęła pięści.

– Czego chciał? – zapytała.

– Miał list do ciebie, pabbi.

Margrét popatrzyła na Laugę ze zdziwieniem.

– Dlaczego nie wysłał służącego? Jesteś pewna, że to był Blöndal?

– Mamma, proszę.

Jón milczał.

– Gdzie jest ten list? – spytał po chwili.

Lauga ściągnęła but z jego drugiej nogi i upuściła na podłogę. Od skórzanej podeszwy odlepiły się kawałki zaschniętego błota.

– Steina go spaliła.

– A to czemu? Dobry Boże!

– Mamma! Nic nie szkodzi. Wiem, co było tam napisane. Pabbi, zostaliśmy zmuszeni do...

– Pabbi! – Głos Steiny rozbrzmiał w korytarzu. – Nigdy nie zgadniesz, kogo mamy trzymać w zamknięciu w naszym domu!

– W zamknięciu? – Margrét odwróciła się do starszej córki, która wpadła jak burza do izby. – Och, Steino, ociekasz wodą!

Steina spuściła wzrok na przemoczony fartuch i wzruszyła ramionami.

– Upuściłam wiadra i musiałam wrócić, żeby znowu je napełnić. Pabbi, Blöndal zmusza nas, żebyśmy przetrzymywali w domu Agnes Magnúsdóttir!

– Agnes Magnúsdóttir? – Margrét spojrzała na Laugę przerażona.

– Tak, tę morderczynię, mamma! – wykrzyknęła Steina, odwiązując mokry fartuch i rzucając go niedbale na łóżko. – Tę, która zabiła Natana Ketilssona!

– Steino! Właśnie miałam wyjaśnić pabbiemu...

– I Pétura Jónssona, mamma.

– Steino!

– Och, Laugo, wiem, że sama chciałaś im powiedzieć, ale...

– Nie powinnaś mi przerywać...

– Dziewczyny! – Jón wstał, rozkładając szeroko ramiona. – Dosyć. Zaczni od początku, Laugo. Co się stało?

Lauga wzięła głęboki wdech i opowiedziała rodzicom wszystko, co zapamiętała z wizyty komisarza okręgowego. Kiedy streszczała zawartość listu, zrobiła się czerwona.

Nie dokończyła nawet, kiedy Jón wstał i zaczął się znowu ubierać.

– Na pewno nie można nas do tego zmusić! – Margrét pociągnęła męża za rękaw, lecz Jón odtrącił jej rękę. Unikał spojrzenia w zafrasowaną twarz żony.

Obie córki teraz siedziały jak trusie z rękami na podołkach.

Jón naciągnął buty na nogi i obwiązał sznurówki wokół kostek. Skóra zaskrzypiała, kiedy je zaciskał.

– Już za późno, Jón – powiedziała Margrét. – Jedziesz do Hvammur? Jak dotrzesz na miejsce, wszyscy będą już spać.

– To ich obudzę. – Zdjął z gwoźdza czapkę, wziął żonę za ramiona i delikatnie odsunął na bok. Kiwnął głową do córek i wyszedł.

– Co my zrobimy, mamma? – cichy głos Laugi dobiegł z ciemnego kąta izby.

Margrét zamknęła oczy.

Jón wrócił do Kornsy kilka godzin później. Kristín, która po wolnym popołudniu stawiała się znowu do pracy i została ostro przywołana do porządku przez Margrét, łypała z urazą na Steinę. Margrét odłożyła robótkę, zastanawiając się, czy je ze sobą pogodzić, gdy usłyszała zgrzyt otwieranych drzwi i ciężkie kroki męża.

– No i co? – spytała przez zaciśnięte zęby i podprowadziła męża do łóżka.

Jón zaczął rozwiązywać sznurówki.

– Pozwól, pabbi – powiedziała Lauga, klękając. – Co Blöndal powiedział? – Szarpnięciem ściągnęła mu buty.

Jón pokiwał głową.

– Jest tak, jak mówiła Steina. Agnes Magnúsdóttir ma opuścić Stóra-Borg i trafić tutaj, do nas.

– Ale dlaczego, pabbi? – spytała cicho Lauga. – Co takiego zrobiliśmy?

– Nie zrobiliśmy nic złego. Jestem urzędnikiem okręgowym. Nie można jej umieścić w byle jakiej rodzinie. Za Agnes Magnúsdóttir odpowiadają władze, a ja jestem ich przedstawicielem.

– W Stóra-Borg jest mnóstwo przedstawicieli władz – zauważyła kwaśno Margrét.

– Zostanie przeniesiona tak czy inaczej. Doszło do pewnego incydentu.

– Co się stało? – zapytała Lauga.

Jón spuścił wzrok na ładną buzię młodszej córki.

– Jestem pewien, że nie było to nic niepokojącego – odrzekł wreszcie.

Margrét parsknęła śmiechem.

– Mamy się tak po prostu poddać? Jak pies, który przewraca się na grzbiet?

– Jej głos obniżył się do syczącego szeptu. – Ta Agnes to morderczyni, Jón! Mamy córki, naszych parobków, Kristín! Odpowiadamy za innych ludzi!

Jón posłał żonie znaczące spojrzenie.

– Blöndal zamierza nas wynagrodzić, Margrét. Nadzór nad aresztantką jest płatny.

Margrét umilkła i popatrzyła przeciągle na męża. Kiedy znów się odezwała, jej głos był przytłumiony.

– Powinniśmy wyprawić dziewczęta z domu.

– Nie, mamma! Nie chcę wyjeżdżać! – wykrzyknęła Steina.

– Dla waszego bezpieczeństwa.

– Dziewczęta będą z tobą dostatecznie bezpieczne, Margrét. – Jón westchnął. – To jeszcze nie wszystko. Björn Blöndal zażądał mojej obecności w Hvammur na wieczór, gdy ta kobieta przybędzie do nas.

Margrét aż otworzyła usta z konsternacji.

– Chcesz powiedzieć, że to ja mam ją przyjąć?

– Nie sama. Będziecie tu wszyscy. Będą też funkcjonariusze ze Stóra-Borg.



I pastor. Blöndal wszystko zorganizował.

– A co tak ważnego szykuje się w Hvammur, że Blöndal zażyczył sobie twojej obecności akurat wtedy, gdy wprowadza do naszego domu morderczynię?

– Margrét...

– Naprawdę chcę wiedzieć. To takie niesprawiedliwe.

– Mamy przedyskutować, kto powinien wypełnić rolę kata.

– Kata!

– Wszyscy urzędnicy okręgowi będą obecni, także ci z Vatnsnes przyjadą razem z grupą ze Stóra-Borg. Przenocujemy na miejscu i wrócimy nazajutrz.

– A ja zostanę sama z kobietą, która zabiła Natana Ketilssona.

Jón popatrzył na żonę ze spokojem.

– Będziesz miała u boku nasze córki.

Margrét otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale ostatecznie się rozmyśliła. Zaczęła z furią robić na drutach.

Steina przyglądała się matce i ojcu spod ściągniętych brwi. Mimo że ją mdlilo, wzięła w dłonie drewnianą miskę z kolacją. Wpatrywała się w kawałki baraniny pływające w tłustym rosolu. Nabrała powoli łyżkę i podniosła do ust. Kiedy zaczęła żuć, w kawałku mięsa natrafiła na chrząstkę. Z trudem powstrzymała odruch, by ją wypluć, i zgryzła ją, a potem przełknęła w milczeniu.

†

Czasem, kiedy uznają, że trzeba mnie wypuścić z komórki, mężczyźni w Stóra-Borg pętają mnie, jakbym była koniem, żebym na pewno nie uciekła. Wydaje się, że widzą we mnie tylko zwierzę, jeszcze jedną sztukę bydła o mętnych oczach, którą karmi się byle czym i której trzeba zapewnić osłonę przed wiatrem i słońcem. Trzymają mnie w ciemnicy, odmawiają światła i powietrza, a kiedy mnie wyprowadzają, wiążą mi nogi.

Tutaj nigdy do mnie nie mówią. Zimą w badstofie zawsze słyszałam swój oddech i bałam się przełknąć ślinę, żeby nikt mnie nie usłyszał. Jedynymi odgłosami, które wtedy dochodziły do mych uszu, były szepty i szelest kartek Pisma Świętego. Zdarzało mi się dosłyszeć swoje imię na ich ustach i wiedziałam, że nie towarzyszą mu słowa błogosławieństwa. Teraz, gdy prawo zmusza ich do odczytania mi listu albo proklamacji, mówią obok mnie, jakby zwracali się do kogoś za moimi plecami. Nie patrzą mi w oczy.

Agnes Magnúsdóttir, uznano cię za winną pomocy w morderstwie. Agnes Magnúsdóttir, uznano cię za winną podpalenia i zmowy mającej na celu zabójstwo. Agnes Magnúsdóttir, zostałam skazana na karę śmierci. Ty, Agnes. Ty.

Nie znają mnie.

Milczę wytrwale. Postanowiłam zamknąć się przed światem i ze ściśniętym sercem trzymać się tego, czego mi jeszcze nie odebrano. Nie mogę pozwolić, by mi to umknęło. Zachowam to, kim jestem, głęboko w sobie i nie wypuszczę z garści tego, co widziałam, słyszałam i czułam. Wierszy ułożonych, gdy robiłam pranie, kosiłam i gotowałam. Sag, które znam na pamięć. Topię wszystko, co mi zostało, i schodzę pod wodę. Jeżeli przemówię, to w pęcherzykach powietrza. Nie będą w stanie złapać mnie za słowo. Zobaczą dziwkę, wariatkę, morderczynię, kobietę broczącą krwią w trawie, śmiejącą się i dławiącą – z ustami pełnymi ziemi. Powiedzą „Agnes” i zobaczą pajęczycę, wiedźmę zaplątaną w utkaną przez siebie sieć losu. Zobaczą może jagnię, nad którym krążą kruki, beczące za zaginioną matką. Ale nie zobaczą mnie. Mnie tam nie będzie.

†

Wielebny Thorvardur Jónsson westchnął, gdy po południu wyszedł z kościoła. Upłynął nieco ponad miesiąc, odkąd przyjął propozycję Blöndala, by odwiedzić skazaną kobietę, i każdego dnia zadawał sobie pytanie, czy

podjął słuszną decyzję. Codziennie rano bił się z myślami, jakby zbudził się z koszmarnego snu. Nawet podczas porannych spacerów do maleńkiego kościoła w Breidabólstadir, by pomodlić się i posiedzieć chwilę w milczeniu, żołądek ścisnął mu się z nerwów, a ciało drżało, jakby wyczerpały je rozterki duszy. Dzisiaj było tak samo. Kiedy siedział w twardej ławce, wpatrzony w swoje dłonie, złapał się na tym, że żałuje, iż nie jest chory, poważnie chory, tak by mieć usprawiedliwienie i nie jechać do Kornsy. Jego wahanie i gotowość poświęcenia błogosławieństwa, jakim było własne zdrowie, przerażały go.

Już za późno, powiedział sobie w duchu, gdy wychodził z kościoła. Dałeś swoje słowo człowiekowi i Bogu, więc teraz nie ma odwrotu.

Kiedyś, zanim umarła mu matka, przy kościele rosło mnóstwo drobnych roślin, które w lecie obsypywały obrzeża mogił fioletowym kwieciem. Matka mawiała, że zmarli kołyszają kwiatami, by powitać wiernych w kościele po odejściu zimy. Ale gdy umarła, ojciec wyrwał dzikie kwiatki i od tamtej pory na grobach nic już nie rosło.

Drzwi do chaty były uchylone. Tóti wszedł do środka. Ciepłe powietrze z kuchni i zapach topniejącego łoju ze świecy w korytarzu sprawiły, że zrobiło mu się niedobrze.

Jego ojciec pochylał się nad bulgoczącym kociołkiem i trącał coś nożem.

– Muszę już wyruszyć – oznajmił Tóti.

Ojciec podniósł wzrok znad gotowanej ryby i pokiwał głową.

– Spodziewają się mnie późnym popołudniem – ciągnął Tóti – żebym mógł się zapoznać z rodziną w Kornsie i być obecny, kiedy... Cóż, kiedy przybędzie skazana.

Ojciec zmarszczył brwi.

– Jedź więc, synu.

Tóti się zawahał.

– Myślisz, że jestem gotowy?

Wielebny Jón westchnął i zdjął kociołek z haka nad paleniskiem.

– Sam w głębi serca wiesz najlepiej.  
– Modliłem się w kościele. Zastanawiam się, co pomyślałaby o tym wszystkim mamma.

Ojciec Tótego zamrugnął i odwrócił wzrok.

– A co ty myślisz, ojczy?  
– Człowiek musi dotrzymywać słowa.  
– Ale czy podjąłem właściwą decyzję? Chcę... chcę, żebyś był zadowolony.

– Powinieneś starać się raczej o to, by twoje czyny podobały się Bogu – wymamrotał wielebny Jón, próbując wyłowić nożem rybę z gorącej wody.

– Pomodlisz się za mnie, ojczy?

Tóti czekał na odpowiedź, ale się nie doczekał. Może uważa, że sam lepiej nadałby się do spotkania z morderczynią, pomyślał. Może zazdrości, że wybrała właśnie mnie. Patrzył, jak ojciec oblizał nabity na nóż kawałek ryby. Wybrała właśnie mnie, powtórzył w duchu.

– Nie budź mnie, kiedy wrócisz! – zawołał wielebny Jón za synem.

Tóti osiodłał i dosiadł konia.

– Komu w drogę, temu czas – mruknął pod nosem. Ścisnął konia lekko kolanami, a gdy ruszył, obejrzał się przez ramię na chatę. Cienka smuga dymu z komina rozpląwała się w rzadkim kapuśniaczkę.

Jadąc przez wysokie trawy, zastanawiał się, czy powinien być przyjazny i otwarty, czy raczej surowy i niewzruszony jak Blöndal. Wypróbowywał różne tony głosu, różne słowa powitania. Może warto poczekać, aż zobaczy tę kobietę na własne oczy. Niespodziewanie jego ciało przebiegł dreszcz. Była tylko służącą, ale też morderczynią. Zabiła dwóch mężczyzn. Zarznęła ich niczym bydłęta. Wymówił bezgłośnie to słowo. Morderczyni. *Morðingi*. Wylało mu się z ust niczym mleko.

Jechał przez północny półwysep, widząc cienki pas oceanu na widnokręgu. Chmury zaczęły się rozrzedzać i ciepłe czerwone słońce zalało dolinę. Krople deszczu połyskiwały na ziemi, a po różowych wzgórzach o rozmytych

konturach powoli przesuwały się cienie odpływających chmur. Drobne owady w powietrzu rozbłyskiwały niczym drobiny kurzu, gdy wlatywały w promienie słońca. Trawy teraz, pod koniec czerwca, prawie gotowe do skoszenia, pachniały słodko. Trwoga, która tak długo ścisnęła Tótiemu żołądek, ustąpiła miejsca cichej radości, jaką wzbudziło piękno świata.

Wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi, pomyślał. Ta kobieta jest moją siostrą w Chrystusie, a ja jako jej duchowy brat muszę poprowadzić ją do domu Pana. Uśmiechnął się i pośpieszył konia do töltu.

– Ocalę ją – szepnął.

## Rozdział 2

3 maja 1828

Undirfell, Vatnsdalur

*Skazana Agnes Magnúsdóttir urodziła się we Fladze w parafii Undirfell w roku 1795. Konfirmowano ją w roku 1809, kiedy to opisano ją jako dziewczynę „doskonałego intelektu, z okazałą wiedzą i dobrym zrozumieniem chrześcijaństwa”.*

*To napisano w księdze parafialnej Undirfell.*

*P. Bjarnason*

Wyprowadzili mnie z ciemnicy i znowu zakuli w kajdany. Tym razem wysłano urzędnika sądowego, młodzieńca o dziobatej cerze i nerwowym uśmiechu. Jest sługą z Hvammur, poznałam go po twarzy. Kiedy rozchylił wargi, zauważyłam, że ma zepsute zęby. Jego oddech był okropny, ale nie gorszy od mojego; wiem, że cuchną. Jestem oklejona skorupą z ziemi zmieszanej z moją krwią, potem i łojem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio się myłam. Moje włosy są niczym natłuszczone liny, próbowałam je starannie zaplatać, ale odmówiono mi wstążek. Przypuszczam, że w oczach urzędnika wyglądałam jak potwór. Może dlatego właśnie się uśmiechnął.

Zabrał mnie z tej okropnej ciemnicy i poprowadził mrocznym korytarzem, gdzie dołączyli do nas inni ludzie. Nie odzywali się, ale czułam ich za plecami, czułam na sobie spojrzenia, jakby zimne ręce zaciskały mi się na szyi. Potem, po miesiącach spędzonych w komorze wypełnionej tylko własnym cuchnącym oddechem i smrodem z nocnika, wyprowadzono mnie korytarzami Stóra-Borg na błotniste podwórze. Padał deszcz.

Jak wyrazić słowami uczucie oddychania znowu świeżym powietrzem? Miałam wrażenie, jakbym urodziła się na nowo. Chwiejnym krokiem wyszłam na światło i łapczywie łykałam hausty powietrza pachnącego morzem. Było późne popołudnie, mokry wiatr dmuchał mi prosto w twarz. Moja dusza rozkwitła w tej krótkiej chwili, gdy wyprowadzano mnie za drzwi. Upadłam, moja spódnica wylądowała w błocie, a ja zwróciłam twarz ku górze, jakbym się modliła. Mogłam się rozplakać od tego światła.

Jeden z mężczyzn schylił się i podźwignął mnie z ziemi jak ktoś, kto wrywa chwast. I wtedy zauważyłam tłum. Z początku nie zorientowałam się, dlaczego ci ludzie tam stoją, mężczyźni i kobiety, wszyscy nieruchomi i milczący. Była też służba i dzieci z okolicy. Pojęłam, że nie na mnie się gapią. Pojęłam, że ci ludzie nie widzą mnie. Byłam dwoma martwymi mężczyznami. Byłam płonącym domem. Byłam nożem. Byłam krwią.

Nie wiedziałam, co robić przed tymi ludźmi. Potem zobaczyłam Róśę, która obserwowała mnie z pewnej odległości, ściskając córeczkę za rączkę. Poczułam ulgę, że widzę znajomą twarz, i się uśmiechnęłam. Ale uśmiech był niewłaściwy. Wywołał furię tłumu. Twarze służących wykrzywiły się, a ciszę przerwał nagły, krótki okrzyk dziecka: *Fjandi!* Diablica! Wystrzelił w powietrze niczym woda z gejzeru. Uśmiech spełził mi z twarzy.

Po tej obeldze tłum się obudził. Ktoś roześmiał się nerwowo, a jakaś starsza kobieta uciszyła niesforne dziecko. Potem wszyscy rozeszli się do domów albo do swoich zajęć, aż pozostałam w deszczu sama w obstawie urzędników, w pończochach sztywnych od wyschniętego potu, z sercem palącym pod brudną skórą. Kiedy chciałam znowu spojrzeć na Róśę, już jej nie było.

Teraz jedziemy przez północ Islandii, przez tę czarną wyspę kąpiącą się w swych wodach, pływającą w oceanie. Gonimy własne cienie poprzez góry.

Przywiązano mnie do siodła jak zwłoki, które wiezie się na cmentarz. W oczach tych ludzi jestem już martwa, przeznaczona do grobu. Ramiona związali mi z przodu powrozem. Kajdany wrzynają mi się w skórę, która

sinieje na moich oczach. Mogę się teraz spodziewać, że coś mi zrobią. Niektórzy strażnicy w Stóra-Borg naznaczyli moje ciało drobnymi aktami przemocy, wyrazami nienawiści: sińcami, które rozkwitały niczym gwiazdy, niczym sinożółty dym uwięziony pod moją skórą. Przypuszczam, że niektórzy z nich znali Natana.

Ale teraz wiozą mnie na wschód i choć spętano mnie niczym jagnię na rzeź, cieszę się, że wracam w doliny, gdzie skały ustępują miejsca trawom. Cieszę się, nawet jeśli tam właśnie umrę.

Kiedy konie tratują kopytami kępy trawy, zastanawiam się, gdzie będą mnie przetrzymywać. W piwnicy, jak masło, jak wędzone mięso? Jak trupa, który czeka, aż ziemia odmarznie, żeby można go było zakopać?

Nic mi nie powiedzieli, tylko zakuli w kajdany i prowadzą niczym krowę, a ja idę tam, gdzie każą, i nie wierzgam, bo inaczej poszłabym pod nóż. Bo inaczej grozi mi stryczek i ponury kres. Pochylam więc głowę i daję się prowadzić, i mam nadzieję, że nie idę do grobu, jeszcze nie tam.

Muchy są nieznośne. Łażą mi po twarzy i wchodzą do oczu, czuję na skórze ich nóżki, czuję muśnięcia skrzydeł. Przywabia je mój pot. Nie mogę ich odpędzić, bo kajdany są zbyt ciężkie. Zostały wykute dla mężczyzny i ześrubowane ciasno wokół moich nadgarstków.

Co za ulga, że jestem w ruchu, że czuję ciepło końskiego grzbietu pod nogami, czuję, że żyję, i wreszcie nie marznę. Od tak dawna marzłam, jakby zima zagościła w szpiku moich kości. Te niekończące się dni mroku w zamkniętym pomieszczeniu i te nienawistne spojrzenia oszroniłyby każdego. Więc owszem, lepiej być teraz na dworze. Nawet gdy w powietrzu roi się od much, lepiej jechać dokądś, niż gnić powoli w zamknięciu niczym zwłoki w trumnie.

Oprócz brzęczenia owadów i rytmicznego tętentu końskich kopyt słyszę ryk gdzieś w oddali. Może to ocean – ciągły huk fal rozbijających się o piaski Thingeyrar. A może to tylko wytwór mojej wyobraźni. Ocean pada człowiekowi na umysł. Jak mawiał kiedyś Natan: Jeśli raz się do człowieka



dobierze, nigdy nie zostawia go w spokoju. Jak kobieta, powiedział. Morze jest gderliwą babą.

Owej pierwszej wiosny w Illugastadir światło było rozedrgane niczym wystraszone dzikie zwierzę. Morze było spokojne – Natan pchał łódź po jego srebrzystej skórce, dźgał ją swoimi wiosłami.

– Cicho jak na cmentarzu – powiedział z uśmiechem, gdy jego ramiona napinały się pod naporem wody. Słyszałam skrzypienie drewna i szeptane przekleństwa wioseł przecinających powierzchnię wody. – Sprawuj się dobrze, kiedy mnie nie będzie.

Nie myśl o nim.

Jak długo już jedziemy? Godzinę? Dwie? Czas jest śliski niczym olej. Ale nie mogło minąć więcej niż dwie godziny. Znam te okolice. Wiem, że kierujemy się teraz na południe, może ku Vatnsdalur. Dziwne, jak serce chwyta się nagle mych żeber. Kiedy ostatnio widziałam te strony? Kilka lat temu? Jeszcze dawniej? Nic się nie zmieniło.

Nie będę już bliżej domu niż teraz.

Przeprawiamy się przez dziwne wzgórza na skraju doliny i słyszę krakanie kruków. Ciemne ptaki na tle czystego błękitu nieba wyglądają niczym złowróżbne zjawy. Przez wszystkie noce w Stóra-Borg, w tych ciemnościach, w tym żalonym barłogu, wyobrażałam sobie, że we Fladze karmię kruki. Okrutne z nich ptaki, ale mądre. A stworzenia należy kochać za mądrość, jeśli nie można ich kochać za łagodność. W dzieciństwie obserwowałam, jak kruki zbierały się na dachu kościoła w Undirfell, i miałam nadzieję, że dowiem się, kto wkrótce umrze. Siedziałam na murku i czekałam, aż któryś nastroszy pióra i wskaże dziobem. Raz się tak zdarzyło. Kruk usadowił się na drewnianym szczycie dachu i skierował dziób ku Bakki, a tego samego tygodnia utopił się tam mały chłopiec; jego napuchnięte szare ciało wyłowiono w dole rzeki. Kruk to wiedział.

Sigga była nieuczona, nic nie wiedziała o koszmarach sennych i duchach. Pewnej nocy w Illugastadir, kiedy robiłyśmy wspólnie na drutach,

usłyszałyśmy od strony morza krakanie, od którego przejęła nas trwoga. Powiedziałam jej, żeby nigdy nie wołała ani nie karmiła kruka po zmroku. Ptasie głosy nocą przywołują duchy, powiedziałam, które zamordują cię, jak tylko na nie spojrzysz. Wystraszyłam ją, jestem pewna, bo inaczej nie mówiłaby później tego, co mówiła.

Gdzie Sigga może być teraz? Dlaczego rozdzielono nas w Stóra-Borg? Zabrali ją pewnego ranka, kiedy byłam w kajdanach, i nie powiedziano mi, gdzie ją przetrzymują, mimo że pytałam wielokrotnie.

– Z dala od ciebie – powiedzieli – i to wystarczy.

– Agnes Magnúsdóttir! – Mężczyzna jadący obok mnie ma zaciętą minę. – Agnes Magnúsdóttir. Mam cię poinformować, że do momentu egzekucji będziesz przetrzymywana w Kornsie. – Coś czyta. Zerka na swoje rękawice. – Jako skazana przez sąd tego kraju utraciłaś wolność. – Składa kartkę i wsuwa ją do rękawicy. – Postaraj się tak nie krzywić. W Kornsie żyją dobrzy ludzie.

Proszę, człowieku, oto mój uśmiech. Czy dobry? Widzisz, jak rozchylają mi się wargi? Widzisz moje zęby?

Wyprzedza moją klacz, plecy jego koszuli są mokre od potu. Czyżby zrobili to specjalnie? Ze wszystkich miejsc na ziemi wysłali mnie właśnie do Kornsy. Chce mi się wyć.

Wczoraj, kiedy siedziałam w ciemnej komorze w Stóra-Borg, Kornsá wydałaby mi się rajem. Miejscem mojego dzieciństwa, z rzeczką, soczystozieloną trawą, okrytymi darnią pagórkami, z których wiosną wydobywa się wilgoć. Ale teraz widzę, że to będzie ponizające. Ludzie w dolinie mnie znają. Pamiętają mnie taką, jaka byłam – jako niemowlę, jako dziecko, jako młodą kobietę tułającą się od gospodarstwa do gospodarstwa – ale będą myśleć o morderstwach i to dziecko, ta kobieta zostaną zapomniane. Nie mogę rozglądać się wokół, nie zniosłabym tego. Wpatruję się w końską grzywę i we wszy, które ją oblażyły. Nie wiem, czy te wszy są konia, czy moje.

†

Wielebny Tóti schylił się w drzwiach i zmrużył oczy przed różowawym północnym słońcem. Na krańcu pola dostrzegł zbliżające się konie. Poszukał wzrokiem kobiety wśród jeźdźców. Ich sylwetki zdawały się malutkie i ciemne.

Margrét wyszła za drzwi i stanęła za jego plecami.

– Oby zostawili tutaj kogoś z mężczyzn, żeby ta kobieta nie mogła wymordować nas we śnie.

Tóti spojrział w jej hardą twarz. Margrét też mrużyła oczy i zmarszczywszy czoło, przyglądała się jeźdźcom. Siwe włosy zaplotła w dwa warkocze i zwinęła. Nosila swój najlepszy czarny czepek. Zauważył, że pozbyła się brudnego fartucha, w którym go powitała.

– Czy wasze córki dołączą do nas tutaj?

– Są zbyt zmęczone, by ustać na nogach. Posłałam je obie do łóżka. Nie rozumiem, czemu trzeba sprowadzać ją tutaj w środku nocy.

– Żeby nie niepokoić waszych sąsiadów, jak sądzę – zauważył taktownie.

Margrét przygryzła wargę, a jej policzki oblały się rumieńcem.

– Nie podoba mi się, że mam dzielić dom z diabelskim pomiotem – rzekła, zniżając głos do szeptu. – Wielebny Tóti, musimy dać jasno do zrozumienia, że nie chcemy jej towarzystwa. Niech zabiorą ją na jakąś wyspę, jeśli nie zamierzają trzymać jej w Stóra-Borg.

– Wszyscy musimy wypełniać swoje obowiązki – wymamrotał Tóti, patrząc, jak grupa konnych skręca do gospodarstwa. Z kieszeni na piersi wyciągnął róg z tabaką i nabrał szczyptę. Ostrożnie wysypał ją w zagłębienie dłoni przy lewym kciuku, po czym schylił głowę i wciągnął proszek nosem.

Margrét odkaszlnęła i splunęła.

– Nawet jeśli powyrzyna nas w nocy jak świnie, wielebny Tóti? Jest wielebny mężczyzną, młodym mężczyzną, owszem, lecz przede wszystkim sługą Bożym. Wątpię, by zabiła wielebnego. Ale nas? Moje córki? Boże, nie

zaznamy we śnie spokoju.

– Zostawię z wami urzędnika – mruknął Tóti, skupiając uwagę na samotnym jeźdźcu, który cwałował teraz w ich stronę.

– Muszą kogoś zostawić. W przeciwnym razie osobiście odprowadzę ją do Stóra-Borg.

Margrét załamała ręce i popatrzyła na stadko kruków, które przelatywały cicho nad łańcuchem gór Vatnsdalsfjall. Wyglądały niczym czarne drobiny popiołu wirujące na wietrze.

– Co sądzi wielebny o tradycji? – zapytała.

Tóti zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

– Szanuję te tradycje, które są szlachtetne i chrześcijańskie.

– Wie wielebny, jak się nazywa stado kruków?

– Nie wiem.

– Zmową, wielebny. Zmową. – Uniosła brew, jakby sprawdzała, czy ośmieli się zaprzeczyć.

Ptaki obsiadły dach stodoły.

– Doprawdy, pani Margrét? Myślałem, że nazywa się je nieznośną chmarą. Jeździec zbliżył się do zagrody.

– *Komið pið sæl og blessuð!* – zawołał.

– *Drottin blessi yður.* I niech Pan będzie z tobą – odpowiedzieli jednym głosem Margrét i Tóti. Poczekali, aż zsiadł z wierzchowca, i dopiero wtedy podeszli. Wymienili zwyczajowe, oficjalne pocałunki. Mężczyzna był mokry od potu i biła od niego ostra woń konia.

– No i przyjechała – oznajmił bez tchu. – Myślę, że podróż bardzo ją wyczerpała. – Umilkł na chwilę, zdjął kapelusz i przeczesał palcami spoczone włosy. – Wątpię, by sprawiała wam jakieś kłopoty.

Margrét prychnęła.

Mężczyzna posłał jej lodowaty uśmiech.

– Rozkazano nam przenocować tutaj, żeby tego dopilnować. Rozbijemy obozowisko na polu przy chacie.

Margrét z powagą skinęła głową.

– Bylebyście nie zdeptali trawy. Chcecie mleka? Serwatki z wodą?

– Dziękuję. Wynagrodzimy was za łaskawość.

– Nie ma potrzeby. – Wydęła wargi. – Tylko dopilnujcie, żeby ta suka trzymała się z daleka od noży w kuchni.

Przyjezdny zaśmiał się cicho i ruszył za Margrét do darninowej chałupy. Tóti złapał go za ramię.

– Więźniarka prosiła, żebym z nią porozmawiał. Gdzie ona jest?

Mężczyzna wskazał konia najdalej od chaty.

– To ta ze skwaszoną miną. Młodsza została w Midhóp. Powiadają, że czeka na wynik apelacji.

– Apelacji? Myślałem, że ich los jest przesądzony.

– Wielu ludzi w Vatnsnes ma nadzieję, że Sigga zostanie ułaskawiona przez króla. Zbyt młoda i ładna, by umrzeć. Nie to, co ta tutaj. Ta jest do rany przyłóż, ale tylko kiedy ma takie widzimisie.

– Też czeka na wynik apelacji?

Mężczyzna się roześmiał.

– Wątpię, żeby miała jakieś szanse. Ta młodsza ma poparcie Blöndala. Powiadają, że przypomina mu żonę. A ta... Cóż, Blöndal zamierza przykładnie ją ukarać.

Na skraju pola jeźdźcy zeskakiwali na ziemię i zdejmowali bagaże. Tylko jedna postać nie zsiadła z wierzchowca. Tóti pochylił się bliżej do przyjezdnego.

– Jak powinienem się do niej zwracać? Jak ma na...

– Po prostu Agnes – przerwał mu mężczyzna. – Odpowiada na imię Agnes.

†

Dotarliśmy do Kornsy. Ludzie ze Stóra-Borg zsiadają z koni nieopodal krzywej chaty. Przed nią stoją kobieta i mężczyzna, a jeździec, który

oświadczył, że utraciłam wolność, podchodzi do nich. Nikt nie kwapi się, by rozkuć moje kajdany. Może o mnie zapomnieli. Kobieta schyla głowę i znika w drzwiach chaty, kaszląc i plując niczym suchotniczka, ale mężczyzna pozostał, by porozmawiać z urzędnikiem ze Stóra-Borg.

Po lewej słyszę śmiechy – dwaj urzędnicy sikają na ziemię. Czuję ich mocz w ciepłym powietrzu. Nikt nie zauważył, że nie jadłam nic i nie piłam ani łyka wody przez cały dzień; moje wargi są spękane niczym drewno opałowe. Czuję się tak samo jak wtedy, gdy byłam mała i głodna – jak gdyby moje kości wyrastały mi z ciała, jakby szkielet miał zrzucić starą skórę niczym wąż wylinkę. Przestałam miesiączkować. Nie jestem już kobietą.

Jeden z mężczyzn idzie w moją stronę. Stawia szybkie, długie kroki, przemierzając pole. Nie patrz na niego.

– Witaj, Agnes. Nazywam się... jestem wielebny Thorvardur Jónsson, wikariusz z Breidabólstadir w Vesturhóp. – Brakuje mu tchu.

Nie podnoś wzroku. To on. To ten sam głos.

Mężczyzna odkaszlnął, a potem pochylił się, jakby zamierzał pocałować mnie zgodnie z obyczajem, lecz zawahał się, zrobił krok w tył i o mało nie potknął się o kępę trawy. Na pewno poczuł smród zaschniętych szczyn na moich pończochach.

– Prosiłaś o rozmowę ze mną? – W jego głosie pobrzmiwa niepewność.

Podnoszę wzrok.

Nie rozpoznaje mnie. Nie wiem, czy czuć ulgę, czy zawód. Jego włosy są tak samo rude jak przedtem, ognistoczerwone niczym słońce o północy. Wyglądają tak, jakby nasiąkły jego światłem niczym wełniana przędza farbą. Ale twarz ma starszą. Bardziej pociągłą.

– Prosiłaś o rozmowę ze mną? – pyta znowu. Kiedy spoglądam mu w oczy, odwraca wzrok, a potem nerwowo ociera pot znad górnej wargi, pozostawiając smużkę ciemnych punkcików na skórze. Tabaka? On nie chce tu być.

Język spuchł mi w ustach i nie jestem w stanie wymówić słowa. Co zresztą

bym mu powiedziała, skoro już doszło do tego spotkania? Skubię strupy na nadgarstkach, gdzie kajdany pokaleczyły skórę, i na powierzchnię wypływają kropelki krwi. Zauważa to.

– Cóż, muszę... Cieszę się, że cię poznałem, ale... już późno. Musisz być... hm, wkrótce znowu cię odwiedzę. – Kłania się niezdarnie, a potem odwraca się i odchodzi, potykając się w pośpiechu. Oddalił się, zanim zdążyłam dać mu do zrozumienia, że rozumiem. Rozsmarowuję świeżą krew na ramieniu, patrząc, jak on podchodzi do swojego konia.

Teraz jestem sama. Obserwuję kruki i słucham, jak pasą się konie.

†

Kiedy ludzie ze Stóra-Borg najedli się i udali na noc do swoich namiotów, Margrét zebrała brudne drewniane miski i wróciła do domu. Przyglądała koce, pod którymi leżały śpiące córki, i przeszła powoli do ciasnej izby, schylając się, by podnieść suche źdźbła trawy, które odpadły z darniny ułożonej między krokwiami dachu. Z rozpaczą rozejrzała się po zakurzonej pomieszczeniu. Kiedyś ściany były wyłożone norweskim drewnem, lecz Jón zdjął boazerię, by spłacić dług rolnikowi z drugiego krańca doliny. Teraz nagie ściany z darniny kruszyły się latem, brudząc łóżka trawą i ziemią, a w zimie nasiąkały wilgocią i porastały grzybem, który sypał się na wełniane koce i zalegał w płucach domowników. Dom zaczął się rozpadać, a jego opłakany stan dotykał także mieszkańców. W zeszłym roku dwoje służących zmarło wskutek chorób związanych z wilgocią.

Margrét pomyślała o własnym kaszlu i odruchowo uniosła dłoń do ust. Odkąd komisarz okręgowy przyniósł ostatnie nowiny, jej płuca wydzielają coraz więcej zgnilizny. Codziennie rano budziła się z ciężarem na piersi. Nie wiedziała, czy dusi ją strach przed morderczynią, która miała znaleźć się pod ich dachem, czy też flegma, która zbierała się przez noc w płucach, ale Margrét myślała wtedy o grobie. Wszystko się kończy, pomyślała.

Jeden z urzędników poszedł po Agnes, którą zostawili przywiązaną razem z końmi. Do tej pory Margrét widziała ją tylko z oddali, gdy opuściła ciemne izby, żeby zanieść mężczyznom wieczerzę – niewyraźną niebieską plamę, rąbek spódnicy, gdy ściągano skazaną z wierzchowca. Teraz waliło jej serce. Wkrótce będzie miała przed sobą morderczynię. Zobaczy jej twarz, poczuje w ciasnej izbie jej ciepło. Co miała robić? Jak zachowywać się przy takiej kobiecie?

Gdyby Jón tu był, powiedziałby mi, co powinnam mówić, pomyślała. Potrzeba mężczyzny, dobrego mężczyzny, by wiedzieć, jak traktować kobietę skazaną na śmierć.

Margrét usiadła i w zamyśleniu zaczęła skubać źdźbła trawy w dłoni. Zarządzała służącymi, którzy przewijali się przez dom męża od prawie czterech dziesięcioleci, zarządzała tyloma gospodarstwami, a mimo to odczuwała obezwładniającą niepewność i niepokój. Ta kobieta, ta Agnes, nie była służącą, na pewno też nie gościem czy ubogą potrzebującą pomocy. Nie zasługiwała na łaskawość, była skazana na śmierć. Margrét zadrżała. Jej cień od światła lampy kładł się na podłogowych deskach.

Z sieni dobiegły ją odgłosy kroków. Wstała czym prędzej, a zebrana trawa posypała się na podłogę, gdy rozwarła dłonie. Z ciemnego korytarza usłyszała gromki głos urzędnika.

– Pani Margrét z Kornsy? Mam więźniarkę. Możemy wejść?

Wyprostowała się i wzięła głęboki oddech.

– Proszę tutaj – powiedziała.

Urzędnik wszedł do badstofy pierwszy i uśmiechnął się szeroko do Margrét, która stała sztywno, ściskając w dłoniach płótno fartucha. Zerknęła w stronę śpiących córek i poczuła, jak krew tętni jej w gardle.

Zaległa chwila ciszy, podczas której mężczyzna zamrugał, przyzwyczajając wzrok do półmroku, a potem gwałtownym ruchem wciągnął do izby skazaną.

Była brudna i sponiewierana. Miała na sobie zwyczajne odzienie służącej, zgrzebną wełnianą suknię, ale tak poplamioną i oblepioną brudem, że



pierwotny niebieski kolor był ledwie rozpoznawalny pod ciemnymi tłustymi smugami przy dekolcie i na rękawach. Ciężkie grudy zaschniętego błota napinały materiał, tak że zwisał nienaturalnie i odstawał od ciała. Kobieta nie miała żadnego fartucha. Jej granatowe pończochy były przemoczone aż do kostek, a jedna, rozdarta, obnażała blady kawałek skóry. Buty, z foczej skóry, jak się zdawało, rozlazły się przy szwie, ale były tak uwalane błotem, że nie sposób było ocenić, jak bardzo są uszkodzone. Włosy, okryte czepkiem, posklejane i tłuste, splecione w dwa ciemne warkocze zwisały za plecami. Kilka niesfornych kosmyków, które wymknęły się z warkoczy, opadało na szyję. Wygląda, jakby przywleczono ją ze Stóra-Borg za koniem, pomyślała Margrét. Twarz kobiety była ukryta; skazana wpatrywała się w podłogę.

– Popatrz na mnie.

Agnes powoli uniosła głowę. Margrét skrzywiła się na widok smugi zaschniętej krwi na ustach i zacieków brudu na czole. Na brodzie zobaczyła żółtawy siniec sięgający aż na szyję. Poczuła się nieswojo pod intensywnym spojrzeniem oczu morderczyni.

– Tę kobietę bito – powiedziała do urzędnika.

Szukał w jej twarzy rozbawienia, a gdy go nie znalazł, spuścił oczy.

– Gdzie są jej rzeczy? – zapytała.

– Ma tylko to, co na grzbiecie – odrzekł. – Resztę dobytku przejęto na poczet wikt.

Wstrząśnięta i ożywiona nagłym gniewem Margrét wskazała okowy na rękach skazanej.

– Czy koniecznie trzeba trzymać ją spętaną jak jagnię wiedzione na rzeź? – zapytała.

Urzędnik wzruszył ramionami i sięgnął po klucz. Paroma zręcznymi ruchami rozpiął kajdany. Ramiona Agnes opadły luźno wzdłuż tułowia.

– Niech się pan teraz oddali – poleciła Margrét. – Proszę wrócić, kiedy położę się spać, ale chcę spędzić trochę czasu tylko z nią.

Urzędnik zrobił wielkie oczy.

– Jest pani pewna? – spytał. – To niebezpieczne.

– Zawołam pana, kiedy będę się kładła do snu. Może pan poczekać przed drzwiami wejściowymi, a wezwę pana, gdyby było trzeba.

Urzędnik zawahał się, po czym skinął głową, zsalutował i wyszedł. Margrét zwróciła się do Agnes, która stała nieruchomo pośrodku izby.

– Chodź ze mną.

Nie chciała jej dotykać, ale panujący w domu mrok sprawiał, że musiała chwycić Agnes za rękę, żeby poprowadzić ją do odpowiedniej izby. Wyczuła kości w jej nadgarstku, zaschniętą krew pod opuszkami palców. Kobieta cuchnęła starymi szczynami.

– Tędy. – Margrét przeszła wolnym krokiem do kuchni, schylając głowę, żeby nie zawadzić o framugę drzwi.

Kuchnia była oświetlona żarzącymi się węglami w kamiennym palenisku i słabymi promieniami słońca, które wpadały przez nieduży, służący za komin otwór w krytym strzechą dachu i kładły się różem na klepisku, rozświetlając dym unoszący się w powietrzu.

– Rozbierz się. Musisz się umyć, jeśli masz spać w mojej pościeli. Nie pozwolę, żebyś rozniosła tu swoje wszy. Dość mamy swoich.

Agnes popatrzyła na nią apatycznie.

– Gdzie woda? – wymamrotała.

Margrét zawahała się, a potem podeszła do dużego kotła, który stał na węglach. Zagłębiła w nim rękę, wyciągnęła brudne naczynia, które moczyły się w środku, i postawiła go na klepisku.

– Proszę – powiedziała. – Jest ciepła. Pośpiesz się, już po północy.

Skazana padła na ziemię. Margrét pomyślała z początku, że kobieta zemdląca, lecz wkrótce pojęła swój błąd, bo skazana pochyliła głowę nad kotłem i zaczęła nabierać tłustą wodę do ust, stękając i pijąc łapczywie jak zwierzę przy korycie. Woda spływała jej po brodzie i szyi, skapując na sztywną od brudu suknię. Niewiele myśląc, Margrét odepchnęła

morderczynię od kotła.

Agnes opadła na łokcie i wydała z siebie jęk, przy którym woda wylała się z bulgotem z jej ust. Miała przymrużone oczy i otwarte usta. Wyglądała jak ludzie, którzy postradali zmysły, pijani lub opętani, albo zdjęci żalem po śmierci bliskich. Margrét serce się ścisnęło.

Więźniarka zaskomlała i wierzchem dłoni przetarła usta. Podźwignęła się z ziemi.

– Chce mi się pić.

Margrét pokiwała głową. Serce wciąż kołatało jej w piersi jak oszalałe.

– Następnym razem poproś o kubek – powiedziała.

†

Kiedy wielebny Tóti wrócił do chaty ojca przy kościele w Breidabólstadir, był mokry od potu. Jechał z Kornsy, cały czas popędzając konia. Policzki go paliły od wiatru.

Zwolniwszy do stępa, poprowadził swoją kasztankę do płotka przy wejściu do chaty. Na chwiejnych nogach zsiadł ze spienionego konia. Poderwał się gwałtowny wiatr i Tóti mimo gęstej tkaniny odzienia poczuł, jak wilgotna od potu skóra ochładza się i zaczyna swędzić. Zacisnął zęby. Ręce drżały mu, gdy przeplatał lejce przez szczeble płotka.

Znad morza przywiało ciężkie chmury i szybko robiło się ciemno, mimo że niedawno minęło letnie przesilenie. Tóti postawił wilgotny kołnierz i wcisnął kapelusz mocno na głowę. Poklepał klacz po zadzie i ruszył do kościoła. Czuł się jak mokra szmata, którą wyżęto i pozostawiono na ziemi. Te dni na północy, z ciągłymi promieniami słońca, z ciągłym zmierzchem, rozstrajały mu nerwy. Na południu, gdzie się uczył, zawsze wiedział, która jest akurat godzina, tutaj nie.

Rozpadało się i wiatr jeszcze się nasilił. Smażał wysokie trawy, przyginając je do ziemi, a potem podrywając z powrotem ku niebu. Trawa zdawała się

srebrna w słabnącym świetle.

Tóti stawiał długie kroki, korzystając z okazji, żeby rozciągnąć mięśnie, i myślał o swoim spotkaniu z tą kobietą. Z morderczynią. Z Agnes.

Zauważył, jak przywiązana do siodła rozchyliła nogi na końskim grzbiecie, żeby się z niego nie zsunąć. Poczował jej zapach; ostrą woń zaniedbanego ciała, niewypranych ubrań i świeżego potu, zaschniętej krwi i czegoś jeszcze spomiędzy tych rozwartych nóg. Smród charakterystyczny dla kobiet. Na myśl o tym zarumienił się teraz.

Ale to nie jej zapach wywołał w nim mdłości. Wyglądała jak świeże zwłoki wyjęte z rozkopanego przed chwilą grobu. Rozczochrane czarne włosy lśniły od tłuszczu, skóra była szarobrązowa od brudu i strupów jak u trędowatej.

Miał ochotę uciec. Jak ostatni tchórz.

Pochylony i skulony przed deszczem i wiatrem, skarcił się w duchu. Jaki z ciebie człowiek, jeśli chcesz uciekać na widok poranionego ciała? Jaki będzie z ciebie kapłan, jeśli nie jesteś w stanie znieść widoku cierpienia?

Najbardziej wstrząsnął nim siniec, który zobaczył na jej brodzie. Jaskrawożółty, jak wyschnięte żółtko jaja. Zastanawiał się, jak powstał ten siniak. Szorstka męska dłoń chwytająca za gardło? Lina, którą przywiązano skazaną do łańcucha? Upadek?

Człowiek może doznać krzywdy na tyle różnych sposobów, pomyślał. Dotarł przed kościół i wyciągnął rękę, żeby otworzyć furtkę.

Może to był wypadek. Może zraniła się sama.

Ruszył pośpiesznie kamienistą ścieżką, starając się nie patrzeć na ocienione mogiły i drewniane krzyże. Wyciągnął z kieszeni prosty klucz, otworzył kościół i wszedł do środka. Z ulgą zamknął za sobą drewniane drzwi, odgradzając się od świszczącego wiatru. W świątyni panował spokój. Słyszeć było tylko ciche stukanie deszczu o jedyne okno z naciągniętą rybią skórą.

Zdjął kapelusz i przeczesał palcami włosy. Deski podłogowe zaskrzypiały, gdy podszedł do kazalnicy. Stał przez chwilę i wpatrywał się w obraz

namalowany na ścianie za ołtarzem. Ostatnia wieczerza.

Obraz był brzydki – przysadzisty Jezus; Judasz, pozostający w cieniu, podobny do trolla, komiczny. Malarz był synem miejscowego kupca, który miał żonę Dunkę i dobre układy we władzach. Pewnej niedzieli po nabożeństwie Tóti podsłuchał, jak kupiec rozmawia z wielebnym Jónem, narzekając, że z poprzedniego obrazu łuszczy się farba. Napomknął o swoim synu, o talencie malarskim, który zapewnił chłopakowi stypendium w Kopenhadze. Gdyby wielebny Jón pozwolił mu wyrazić swe szczególne oddanie parafii, z radością zakupiłby wszelkie niezbędne materiały i darował pracę swojego syna. Kościół nie poniósłby żadnych kosztów. Naturalnie ojciec Tótego, człek oszczędny, pozwolił zamalować stary obraz.

Tótiemu go brakowało. Przedstawiał piękną starotestamentową scenę walki Jakuba z aniołem – człowieka z twarzą wciśniętą w bark anioła, z garścią pełną niebiańskich piór.

Wikariusz westchnął i powoli opadł na kolana. Położył kapelusz na podłodze, przycisnął splecione dłonie do piersi i zaczął się na głos modlić.

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie, odpuść mi moje grzechy. Wybacz mi słabość i strach. Pomóż zwalczyć moje tchórzostwo. Umocnij mnie, bym był w stanie znieść widok cierpienia, aby wykonywać Twe dzieło i nieść ulgę cierpiącym.

Panie, modlę się o duszę tej kobiety, która tak strasznie zgrzeszyła. Racz dać mi słowa, którymi natchnąłbym ją do skruchy.

Wyznaję swój lęk. Nie wiem, co jej powiedzieć. O Panie, racz ochronić me serce przed... trwogą, jaką budzi we mnie ta kobieta.

Nie podnosił się z klęczek jeszcze przez dłuższy czas. Dopiero na myśl o tym, że koń stoi przywiązany na wietrze i deszczu, wstał wreszcie i wyszedł.

Margrét obudziła się nazajutrz wczesnym rankiem. Urzędnik, który spał w łóżku naprzeciwko, by chronić ją przed morderczynią, chrapał. Głośny gulgoczący oddech wdarł się w jej sny.

Wepchnęła rogi koca do uszu, ale to nie pomogło na niemiarowe chrapanie. Sen zupełnie ją opuścił. Popatrzyła na drugi koniec nieoświetlonej izby, gdzie leżał urzędnik. Jego szorstkie blond włosy sterczały w tłustych kępkach, usta miał otwarte. Zauważyła pryszcze na jego twarzy.

Więc to tak chronią mnie przed morderczynią, pomyślała. Posyłają młokosa, który śpi jak zabity.

Córki spały. W głębi izby na jednym z łóżek dla służby leżała więźniarka pogrążona we śnie. Margrét podparła się na łokciach, żeby się lepiej przyjrzeć.

Agnes.

Wymówiła bezgłośnie to imię.

Wydaje się niewłaściwe, by zwracać się do niej po imieniu, pomyślała. Jak mówiono do niej w Stóra-Borg? Więżniarka? Oskarżona? Skazana? Może wzywali ją poprzez niewymawianie jej imienia, przemilczanie go.

Zadygotała i okryła się ściślej kocem. Agnes miała zamknięte oczy i usta. Czepek, który dostała od Margrét, rozwiązał się w ciągu nocy i wysunęły się spod niego włosy. Utworzyły na poduszce ciemną plamę.

Dziwne uczucie – zobaczyć wreszcie tę kobietę po miesiącu oczekiwania, pomyślała Margrét. I miesiącu lęku. Lęku napiętego niczym żyłka wędkarska, gdy hak zaczepił o coś, co trzeba wyciągnąć z głębin.

Odkąd Jón wrócił ze spotkania z Blöndalem, Margrét dniami i nocami próbowała sobie wyobrazić, jak będzie się zachowywać w stosunku do morderczyni i jak ta kobieta może wyglądać.

Jaka kobieta zabija mężczyzn?

Jedynymi morderczyniami, jakie Margrét знаła, były kobiety w sagach, a nawet one zabijały mężczyzn słowem, wydawały służbie rozkazy zamordowania kochanków lub pomszczenia śmierci krewnych. Tamte

kobiety mordowały z oddali i nie brudziły sobie rąk.

Ale nie żyjemy w czasach sag, myślała wtedy. Ta kobieta nie jest bohaterką sagi, tylko służącą bez ziemi, wychowaną w nędzy, na polewce z mchu.

Położywszy się z powrotem, Margrét pomyślała o Hjördis, swojej ulubionej służącej, teraz martwej i pochowanej na cmentarzu kościelnym w Undirfell. Próbowała wyobrazić sobie, jak Hjördis zabija ją nożem podczas snu, tak jak zginęli Natan Ketilsson i Pétur Jónsson. Te smukłe palce zaciśnięte na rękojeści, ciche kroki w środku nocy.

To niemożliwe.

Lauga zapytała ją, czy myśli, że zło, które popycha osobę do zabójstwa, jest jakoś widoczne na zewnątrz. Czy istnieje świadectwo diabelskiej natury, zającza warga, wystający ząb, znamię – choćby drobny zewnętrzny defekt. Muszą być jakieś znaki ostrzegawcze, jakaś odpowiedź, żeby porządni ludzie mieli się na baczności. Margrét zaprzeczyła, powiedziała, że jej zdaniem to tylko przesąd, ale Lauga nie wydawała się przekonana.

Natomiast Margrét była ciekawa, czy ta kobieta jest piękna. Wiedziała, jak wszyscy inni na północy, że Natan Ketilsson był czuły na niewieścią urodę. Ludzie mieli go za czarnoksiężnika.

Sąsiadka Margrét, Ingibjörg, słyszała, że to za sprawą Agnes Natan zakończył romans z Rósą Poetką. Zastanawiały się, czy to oznacza, że służąca jest od niej piękniejsza. Nietrudno uwierzyć, że piękna kobieta jest zdolna do morderstwa, pomyślała Margrét. Jak to się mówi w sagach, *Opt er flagð í fögru skinni*. Wiedźma często ma gładką cerę.

Ale ta kobieta nie była ani brzydula, ani pięknocią. Nie miała typu urody, który prowokowałby łakome spojrzenia młodych mężczyzn. Była bardzo szczupła, niczym elf, jak powiedziano by na południu. Wczoraj w nocy w kuchni Margrét uznała, że twarz tej kobiety jest dosyć pociągła, zwróciła też uwagę na wysokie kości policzkowe i prosty nos. Jeśli nie liczyć sińców, miała jasną cerę, która zdawała się jeszcze bielsza w zestawieniu z ciemnymi włosami. Niezwykle były te włosy. Takie długie, prawie czarne. Rzadkość

u kobiet w tych okolicach, pomyślała Margrét.

Podciągnęła kołdrę pod brodę. Urzędnik dalej chrapał w najlepsze. Można by się przestraszyć, że schodzi lawina śnieżna, pomyślała z rozdrażnieniem. Była zmęczona, w jej płucach zalegała ciężka flegma.

Pod jej zamkniętymi powiekami tłoczyły się obrazy z tą kobietą w roli głównej. Zwierzęca łapczywość, z jaką Agnes piła wodę z kotła. To, że nie była w stanie samodzielnie się rozebrać. Bezsilnie próbowała rozwiązać sznurówki, palce miała tak spuchnięte, że nie chciały się zginać. Margrét musiała jej pomóc, opuszkami palców krusząc błoto na sukience, żeby można było ją rozsznurować. W ciasnej, zadymionej kuchni smród ubrań i spoconego ciała był taki, że Margrét zebrało się na wymioty. Wstrzymała oddech i odwróciła głowę, gdy sukienka opadła z tych chudych ramion na podłogę, wzbijając tuman kurzu.

Teraz przypomniały jej się łopatki Agnes. Ostre niczym brzytwy, wystawały spod szorstkiego płótna halki, która pożółkła przy dekolcie i była aż brązowa od brudu pod pachami.

Margrét zamierzała spalić wszystkie ubrania kobiety przed śniadaniem. W nocy zostawiła je w kącie kuchni, bo nie chciała wnosić ich do badstofy. Przez sploty tkaniny przełaziły pchły.

Jakimś sposobem udało jej się wyszorować ciało skazanej z większości brudu. Agnes usiłowała myć się sama, słabą ręką przecierając szmatką wychudłe członki, lecz brud tak długo oblepiał jej ciało, że się w nie wgryzł. W końcu Margrét, podwinąwszy rękawy i zacisnąwszy zęby, zabrała jej szmatkę i szorowała Agnes tak długo, aż woda była czarna. Podczas mycia – wbrew sobie – szukała wzrokiem znamion, które zdaniem Laugi powinny znaczyć ciało morderczyni. Tylko oczy sprawiały wrażenie niesamowitych. Bardzo niebieskie i błyszczące, ale zbyt jasne, by uznać je za ładne.

Ciało tej kobiety nosiło na sobie ślady przemocy. Nawet Margrét, przyzwyczajona do ran, do nieuchronnych dolegliwości, jakie niesie ze sobą ciężka praca i wypadki, była wstrząśnięta.



Szorowałam ją zbyt mocno, pomyślała, gdy wcisnęła głowę pod poduszkę, żeby nie słyszeć chrapania. Niektóre wrzody otworzyły się i zaczęły krwawić. Widok świeżej krwi dał jej cichą satysfakcję.

Kazała Agnes umyć również włosy. Woda z kotła była zbyt brudna, więc Margrét poleciła jednemu z urzędników przynieść nowej ze strumyka. Kiedy czekały, opatrzyła więźniarce rany maścią z siarki i smalcu.

– To maść od samego Natana Ketilssona – powiedziała, rzucając na nią okiem, by zobaczyć reakcję. Agnes milczała, ale Margrét zdawało się, że mięśnie jej szyi się napięły. – Panie, świeć nad jego duszą – wymamrotała.

Gdy włosy zabójcy zostały umyte tak dobrze, jak się tylko dało w lodowatej wodzie, Margrét dała jej bieliznę i pościel Hjördis. Hjördis umarła w tej halce, w której spała teraz Agnes. Margrét podejrzewała, że nieważne, czy na ubraniu zostały jakieś zarazki. Nowa właścicielka i tak miała wkrótce umrzeć.

Jak dziwnie było sobie wyobrazić, że kobieta, która śpi trzy metry od niej, niedługo spocznie w grobie.

Margrét westchnęła i usiadła na łóżku. Agnes wciąż się nie poruszyła. Urzędnik wciąż chrapał. Wsunął sobie rękę między nogi i podrapał się tak, że było to słychać. Margrét odwróciła spojrzenie, rozbawiona i trochę poirytowana, że ten mężczyzna jest jej jedyną ochroną.

Równie dobrze mogę wstać i przygotować coś na śniadanie, pomyślała. Może skyr. Albo suszoną rybę. Zastanawiała się, czy ma dosyć masła dla tylu ludzi i kiedy wreszcie służący wrócą z zaopatrzeniem z Reykjavíku.

Poluzowała sobie czepek i po raz ostatni zerknęła na śpiącą kobietę.

Serce skoczyło jej do gardła. W mrocznej wnęce w badstofie Agnes leżała na boku i cicho ją obserwowała.

## Rozdział 3

*Powiada się o tej zbrodni, że Fridrik Sigurdsson wraz z Agnes Magnúsdóttir i Sigrídur Gudmundsdóttir weszli do domu Natana Ketilssona około północy i zabili go oraz jego gościa Pétura Jónssona za pomocą noża i młotka. Potem, z powodu dużej ilości krwi i widocznych obrażeń ciała, sprawcy spalili zwłoki, podkładając w domu ogień, by ukryć swój zbrodniczy czyn. Fridrik w swoim działaniu kierował się nienawiścią do Natana i chęcią przywłaszczenia mienia. Morderstwo zostało ostatecznie wykryte. Komisarz okręgowy nabrał podejrzeń, a gdy znaleziono spalone zwłoki, doszedł do przekonania, że tych troje działało w zмовie.*

ze sprawozdania z posiedzeń Sądu Najwyższego za rok 1829

W komórce w Stóra-Borg wcale nie śniłam. Kiedy leżałam skulona na drewnianych deskach i butwiejącej końskiej skórze, sen nadchodził niczym fala w płytkiej wodzie. Obmywał mi ciało, ale nigdy nie zanurzyłam się w nim tak, by zatonać w niepamięci. Zawsze coś mnie budziło – odgłosy kroków albo szuranie nocnika o podłogę, gdy służąca przychodziła go opróżnić, przyprawiający o zawrót głowy smród szczyn. Czasem, gdy leżałam nieruchomo z zamkniętymi mocno oczami i odpychałam od siebie wszelkie myśli, sen znów na mnie skapywał. Umysł wahał się między snem a jawą, aż do pomieszczenia wkradała się odrobina światła i służba dawała mi kawałek suszonej ryby. Są dni, kiedy mam wrażenie, że nie spałam tak naprawdę od tamtego pożaru, i może bezsenność jest karą od Boga. Albo nawet od Blöndala: sny zabrano mi razem z resztą dobytku, by opłacić utrzymanie w areszcie.

Ale ostatniej nocy, tu, w Kornsie, przyśnił mi się Natan. Gotował zioła na wywar, a ja obserwowałam go, przesuwając dłońmi po darninowej ścianie małej kuźni. Było lato, promienie słońca miały różowy odcień. Zioła wydzielają silny zapach, który otaczał mnie, gdy tak stałam niczym mgła. Wdychałam słodko-gorzki aromat, czując, jak powoli ogarnia mnie fala szczęścia. Znalazłam się wreszcie poza doliną. Natan odwrócił się i uśmiechnął. Trzymał parujący kubek wypełniony szumowinami, które zebrał z powierzchni gotującego się wywaru. W swoich czarnych kamgarnowych pończochach, z dymiącą dłonią wyglądał niczym czarnoksiężnik. Przeszedł przez kałużę światła słonecznego, a ja rozchyliłam dla niego ramiona roześmiana, z poczuciem, że mogę umrzeć z miłości, ale wtedy właśnie kubek wysunął mu się z dłoni i roztrzaskał na podłodze, a w pomieszczeniu niczym olej rozlała się ciemność.

Nie jestem pewna, czy od tamtego snu w ogóle spałam.

Natan nie żyje.

Budzę się co rano z bólem serca i żalem.

Usiłuję zanurzyć się z powrotem we śnie jak w wodzie i tam odnaleźć tę złocistą chwilę, zanim kubek się rozbił. Albo wyobrazić sobie Brekkukot, kiedy mamma jeszcze ze mną była. Jeżeli się skupię, potrafię ujrzeć ją, gdy śpi w łóżku naprzeciwko mojego, a Jóas, mały Jóas drapie się, bo pchły go gryzą. Łapię je i miażdżę paznokciami.

Ale wspomnienia, które udaje mi się przywołać, są zimne. Wiem, co będzie po Brekkukot. Wiem, co stanie się z mamą i z Jóasem.

Kiedy otwieram oczy, widzę Margrét, która leży obudzona w łóżku. Wierci się, skubie palcami koc z roztargnieniem. Jej czepek trochę się przekrzywił i spod spodu wyzieraają siwe włosy splecione w warkocze nawet na noc.

Nie widzę twarzy, tylko ciemną plamę na wpół skrytą pod kocem, którym się otuliła. Odwróciła się teraz i patrzy na śpiącego urzędnika, który leży w łóżku naprzeciwko.

Mężczyzna chrapie, a pani domu cmoka językiem z dezaprobatą. Słyszę

cię, stara kobieto. Już masz dosyć? Spróbuj wytrzymać rok z nimi i ich szorstkimi rękami, z ich nienawistnymi spojrzeniami.

Wysuszone wodorosty w poduszce szeleszczą, gdy odwraca głowę. Spozstrzega mnie. Bierze gwałtowny wdech i przyciska rękę do serca.

Powinnam być bardziej ostrożna. Nie dać się przyłapać, gdy na kogoś patrzę. Wtedy ludzie myślą, że czegoś się od nich chce.

– Nie śpisz już. Dobrze. – Gospodyni przyglądała włosy. Nie jest pewna, od jak dawna się jej przyglądam. – Wstawaj – mówi.

Spełniam polecenie. Podłogowe deski są zimne pod moimi stopami.

Margrét wręcza mi przeznaczoną dla służącej sukienkę z niebieskiej wełny i ubieramy się w ciszy. Wkładam szorstką suknię przez głowę, a potem rozglądam się dookoła. W łózkach śpią jeszcze dwie osoby. Może służący. Zaraz Margrét prowadzi mnie stęchłym od wilgoci ciemnym korytarzem. Po drodze wyciąga kawałek darniny, który oderwał się od ściany i zwisa z belki.

– Rozpada się – mamrocze.

Idzie zbyt szybko, bym mogła zajrzeć do innych izb. Chata nie jest duża, ale z czasów, gdy byłam tu po raz pierwszy, pamiętam komórkę na beczki, a ta mała izdebka tutaj, z wiadrami, garnkami i tacą, to musi być mleczarnia, a może teraz mieści się tu spiżarnia. Mijamy kuchnię. Moje ubrania ze Stóra-Borg leżą w kącie.

Na dworze jest już ładny dzień. Trawa, mokra od nocnego deszczu, lśni w promieniach wschodzącego słońca. Wieje rześki wiaterek, od którego marszczy się woda w kałużach na podwórzu. Zauważam teraz rozmaite szczegóły.

Margrét przystanęła, potknąwszy się na kawałku drewna, który osunął się ze stosu przy ścianie chaty.

– Jak widzisz, gospodarstwo wymaga ogromu pracy.

To pierwsze słowa, jakie wypowiedziała do mnie od chwili, gdy kazała mi się ubrać. Milczę i nie podnoszę wzroku. Spozstrzegam, że rąbek jej spódnicy ściemniał od lat szorowania po ziemi.

Gospodyni stoi wyprostowana i bierze się pod boki, jakby starała się wyglądać na większą. Jej paznokcie są obgryzione prawie do krwi.

– Nie zamierzam ukrywać przed tobą swojego niezadowolenia. Nie chcę cię w swoim domu. Nie chcę cię w pobliżu moich córek.

Więc tam spały jej córki.

– Zmuszono mnie, bym cię tu przyjęła, a ciebie... – Złagodniała nieco. – Ciebie zmuszono, byś się tu znalazła.

Napinamy barki przed naporem porannego wiatru, który wydyma nam suknie. Kiedy byłam mała, moja przybrana matka, Inga, pokazała mi, jak rozpościerać materiał sukienki i udawać, że mam skrzydła. Czułam się wtedy, jakbym leciała. Pewnego dnia, powiedziała mi, wiatr rzeczywiście poderwie mnie z ziemi i poniesie, a wszyscy w dolinie zadną głowy i zobaczą moją bieliznę. Wtedy się z tego śmiałam.

– Mój mąż Jón jest w Hvammur, spodziewam się go dziś rano. Nasi parobkowie wrócą lada dzień i zaczną sianokosy. Buntowanie się czy ucieczka nie mają sensu. Nie wiem, co robiłaś w Stóra-Borg, ale zapewniam, że tutaj nie będziesz miała okazji nas wykorzystywać.

Niczego nie wie.

Dłonie wsparte na biodrach mocno zaciska w pięści.

– Jak rozumiem, pracowałaś jako służąca, zanim... – Milknie.

Zanim co? Zanim Natan Ketilsson i Pétur Jónsson zostali zabici, a ich czaszki roztrzaskane młotkiem?

– Tak, pani.

Z niepokojem słyszę własny głos. Chyba całą wieczność nie rozmawiałam swobodnie z nikim.

– Byłaś służącą? – Nie usłyszała mnie przez ten wiatr.

– Tak, odkąd skończyłam piętnaście lat. Wcześniej najmowałam się do prac dorywczych.

Widać, że jej ulżyło.

– Umiesz prząść i robić na drutach, gotować i obrządzić inwentarz?

Mogłabym robić to wszystko z zamkniętymi oczami.

– Umiesz posługiwać się kosą?

Robi mi się słabo.

– Słucham?

– Trudno uwierzyć, ile służących nigdy w życiu nie kosiło trawy. Rozumiem, że nie jest tymi czasy dobrze widziane, by kobiety zajmowały się koszeniem, ale w naszym gospodarstwie brakuje rąk do pracy i...

– Umiem kosić.

– Dobrze. Cóż, w takim razie będziesz pracować na swoje utrzymanie. O tak, zapłacisz mi w ten sposób za moje zgryzoty. Nie mam tu miejsca dla przestępczyni, tylko dla służącej.

Przestępczyni. Słowo zawisło w powietrzu. Ciężkie i nieruchome mimo silnego wiatru.

Mam ochotę pokręcić głową. To słowo mnie nie określa, chcę jej powiedzieć. Nie pasuje do mnie. To tylko słowo, słowo odnoszące się do innej osoby.

Ale jaki jest sens protestować przeciwko słowu?

Margrét chrząka.

– Nie zamierzam tolerować przemocy ani lenistwa. Za bezczelność, nieposłuszeństwo, obijanie się, kradzież czy konszachty z parobkami zostaniesz stąd wygoniona. Wywlokę cię stąd za włosy, jeśli będzie trzeba. Czy to jasne?

Nie czeka na odpowiedź. Wie, że nie ma wyboru.

– Pokażę ci nasze bydło – mówi i bierze głęboki wdech. – Wydoję owce i krowę, a ty...

Spogląda w stronę sąsiedniej farmy. Coś przykuło jej uwagę.

†

Snæbjörn, rolnik z Gilsstadir, wspiął się na zbocze doliny. Obok szedł jeden

z jego siedmiu synów, Páll, któremu powierzono w tym roku wypas owiec z Korsy. Ledwo za nimi nadążając, szła żona Snæbjörna, Róslín, z dwoma najmłodszymi córkami.

– Boże miej mnie w opiece – mruknęła Margrét. – Idzie horda. – Nagle ożywiła się i chwyciła Agnes za ramię. – Idź do domu – szepnęła. Pociągnęła ją w stronę chaty i pchnęła ku drzwiom. – Do środka! Już.

Agnes zawahała się w drzwiach, ale zniknęła w ciemnym wnętrzu.

– *Sæl og blessuð!* – zawołał Snæbjörn. Był krzepkim, wysokim mężczyzną o rumianej twarzy i matowych blond włosach, które wpadały mu do oczu. – Ładna pogoda!

– Prawda? – odrzekła lakonicznie Margrét. Poczekała, aż podszedł bliżej. – Widzę, że ty i Páll prowadzicie mi gości.

Snæbjörn uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Róslín nalegała, żeby przyjść. Słyszała o twoim, hm... nieszczęsnym położeniu. Oświadczyła, że musi się osobiście upewnić, że nic wam wszystkim nie jest.

– Jak miło z jej strony – wycedziła Margrét przez zaciśnięte zęby.

Róslín znalazła się w zasięgu głosu.

– Piękna pogoda! – zawołała i jak dziecko wyrzuciła rękę w górę. – Oby utrzymała się do sianokosów. Dzień dobry, Margrét!

Żona Snæbjörna była w zaawansowanej ciąży ze swoim jedenastym dzieckiem; nosiła przed sobą pękaty brzuch, który sprawiał, że rąbek sukni unosił się, ukazując opuchnięte kostki, mokre od porannej rosy. Była zarumieniona od wysiłku, jakiego wymagało wejście pod górę. Dostała zadyszki, jej piersi falowały nad okrągłym brzuchem.

– Postanowiłam przyjść ze Snæbjörnem i Pállem złożyć ci wizytę. – Jej pięcioletnia córka przeszła chwiejnie między kępami trawy i podała Margrét zakryty talerz. – Chleb żytni – powiedziała Róslín. – Pomyślałam, że możecie mieć ochotę na jakiś smakołyk.

– Dziękuję.

– Och, mój Boże, ale się zdyszałam. Za stara jestem, żeby latać w tym stanie, ale to raczej nie będzie ostatni raz. – Poklepała się radośnie po brzuchu.

– W rzeczy samej – zauważyła kwaśno Margrét.

Snæbjörn odkaszlnął.

– Cóż, my, mężczyźni, powinniśmy się zabrać do roboty. Czy Jón jest w pobliżu, Margrét?

– W Hvammur.

– No dobra. Cóż, zaprowadzę Pállę do pracy i rzucę okiem na tę kosę, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, żebym pobawił się trochę w kuźni. – Zwrócił się do żony i córek. – Nie odciągaj Margrét od pracy zbyt długo. – Posłał obu przelotny uśmiech, po czym odszedł, stawiając długie, miarowe kroki i łagodnie popychając syna przed sobą.

Róslín roześmiała się, gdy tylko znalazł się poza zasięgiem głosu.

– Ech, mężczyźni, co? Nie są w stanie ustać na miejscu. Idź się pobawić z siostrą, Sibbo. Tylko nie odchodźcie daleko. Nie znikajcie mi z oczu. – Róslín zaczęła rozglądać się po gospodarstwie, jakby kogoś szukała.

Margrét oparła talerz z chlebem żytnim o biodro. Od jego słodkiego aromatu w połączeniu z gorącym, wilgotnym zapachem Róslín robiło jej się niedobrze. Zaniósła się kaszlem tak mocno, że sąsiadka musiała chwycić talerz z chlebem, zanim upadł w trawę.

– Odetchnij głęboko, Margrét. Wciąż nie wyzdrowiałaś?

Margrét odczekała, aż spazm minął. Wypluła gęstą flegmę w trawę.

– Jakoś się trzymam. To tylko zimowy kaszel.

Róslín zachichotała.

– Ale mamy środek lata.

– Nic mi nie jest – ucięła Margrét.

Sąsiadka patrzyła na nią z przesadnym współczuciem.

– Oczywiście, sama wiesz najlepiej. Ale właściwie dlatego dzisiaj przyszłam. Trochę się o ciebie martwię.



– Tak? – mruknęła Margrét. – A to niby czemu?

– Cóż, oczywiście te twoje płuca, ale przez ostatnich kilka tygodni słyszałam też sporo plotek. Wszystko to bzdury, jestem przekonana, jednak... – Róslín przekrzywiła głowę na bok, a na jej pyzatej twarzy rozlał się uśmiech. – Aj, nie zapytałam nawet, czy nie jesteś zajęta. – Spojrzała nad ramieniem Margrét w stronę chaty i dłonią osłoniła oczy przed słońcem. –

Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Wydawało mi się, że miałaś towarzystwo. Ciemnowłosą kobietę. Czyżby gość? – Udawiała uprzejmą obojętność.

Margrét westchnęła z irytacją.

– Masz dobry wzrok, Róslín.

– Może to Ingibjörg? – spytała Róslín, unosząc brew. – W takim razie już sobie idę. Zostawię cię z przyjaciółką w spokoju.

Margrét o mało nie przewróciła oczami.

– Nie.

– Tak, za wcześnie na jej wizytę – powiedziała Róslín, puszczając oko. – Nowa służąca? Podczas sianokosów przyda się każda para rąk do pracy.

– Cóż, niezupełnie...

– Więc krewna? – ciągnęła Róslín, robiąc krok do przodu.

Margrét westchnęła. Zdała sobie sprawę, że nie wywinie się od natrętnych pytań.

– Kobieta, którą widziałaś, została przekazana pod moją opiekę przez komisarza okręgowego Björna Audunssona Blöndala.

– Tak? Dziwne. Po co?

– Nazywa się Agnes Magnúsdóttir. Jest jedną ze służących skazanych za zamordowanie Natana Ketilssona i Pétura Jónssona i będzie przebywała u nas pod nadzorem aż do dnia swojej egzekucji. – Margrét założyła ręce na piersi.

Róslín wykrzyknęła i postawiła talerz z chlebem na ziemi, żeby lepiej zademonstrować swoją trwogę.

– Agnes! Ta od Fridrika? Od morderców Natana Ketilssona! – Podniosła dłonie do zarumienionych policzków. – Ależ Margrét! Dlatego właśnie przychodzę! Ósk Jóhannsdóttir rozmawiała z Soffią Jónsdóttir, której brat Jóhann jest parobkiem we Hvammur, i dowiedziała się, że Blöndal postanowił wywieźć Agnes ze Stóra-Borg, bo nie mogli ryzykować, żeby taka ważna rodzina została wymordowana...

Margrét wyduła wargi. Róslín zdała sobie sprawę ze swojego błędu.

– Och, nie to miałam na myśli... – Jej okrągłe policzki pociemniały.

– Blöndal umieścił morderczynię w naszym domu i ani ja, ani Jón nie mogliśmy na to nic poradzić. Ale powody tej decyzji są znane tylko samemu Blöndalowi.

– Oczywiście. – Sąsiadka skwapliwie pokiwała głową. – Ósk to straszna plotkara.

– Tak.

Róslín wciąż kiwała głową, a po chwili zrobiła krok do przodu i położyła dłoń na ramieniu Margrét.

– Tak mi przykro.

– Czemu?

– Że musicie trzymać pod dachem morderczynię! Że zostaliście zmuszeni do oglądania jej ohydnej twarzy dzień po dniu! Że pewnie strasznie się boisz o siebie, męża i biedne córki!

Margrét pociągnęła nosem.

– Jej twarz nie jest wcale taka ohydna – stwierdziła, lecz Róslín nie słuchała.

– Sporo wiem o tej sprawie i muszę cię ostrzec, że słyszałam straszne rzeczy o tych nikczemnikach, którzy odebrali życie dobrym ludziom, Natanowi Ketilssonowi i Péturowi Jónssonowi!

– „Dobry” nie jest słowem, jakim określiłabym czy to Natana, czy Pétura.

– Och! Ale byli dobrzy! Popełniali błędy, to oczywiste...

– Pétur zarząnął trzydzieści owiec, Róslín. Był złodziejem.

– Ale obaj byli szlachetnymi Islandczykami mimo wszystko. Och! I pomyśl o rodzinie Natana! O jego bracie Gudmundurze, jego żonie i ich małych dzieciach. Wiesz, że przenieśli się do Illugastadir, by naprawić dom i warsztat Natana.

– Róslín, ja słyszałam, że Natan spędzał więcej czasu w łózkach zamężnych kobiet niż w swoim warsztacie w Illugastadir!

Róslín nie kryła zaskoczenia.

– Co ty mówisz!

– Chodzi mi tylko o to, że... – Margrét zawahała się i odwróciła, spoglądając w stronę ciemnego wejścia do chaty. – Nic nie jest takie proste – wymamrotała w końcu.

– Nie uważasz chyba, że zasłużyli na śmierć?

– Oczywiście, że nie! – prychnęła Margrét.

Sąsiadka przyjrzała jej się z uwagą.

– Ale wiesz, że ona jest winna, prawda?

– Owszem, wiem, że jest winna.

– Dobrze. W takim razie pozwól, że ci coś poradzę. Lepiej miej oczy naokoło głowy... Powiedz mi jeszcze raz, jak ona się nazywa?

– Agnes – odrzekła cicho Margrét. – Przecież wiesz, Róslín.

– Tak, właśnie, Agnes Magnúsdóttir. Uważaj. Wiem, że niewiele możesz zrobić, ale poproś komisarza okręgowego o strażnika, który by jej pilnował. Wiążcie jej ręce! Ludzie gadają, że Agnes jest najgorsza z całej trójki. Ten chłopak, Fridrik, był pod jej wpływem i zmusiła drugą dziewczynę do stania na czatach. Przywiązała ją do framugi drzwi, żeby nie uciekła! – Róslín zrobiła krok do przodu i stanęła nos w nos z sąsiadką. – Słyszałam, że to ona dźgnęła Natana osiemnaście razy. Dźgała i dźgała!

– Osiemnaście razy, tak? – mruknęła Margrét. Rozpaczliwie pragnęła, by Snæbjörn wrócił i zabrał swoją żonę.

– W brzuch i gardło. – Róslín zarumieniła się z podniecenia. – I... och, Panie, miej nas w swojej opiece, nawet w twarz! Słyszałam, że wbiła mu nóż

w oczodół. Przebiła oko jak żółtko jajka! – Chwyciła Margrét mocno za ramię. – Na twoim miejscu nie zmrużyłabym powiek, gdybym miała z nią spać w jednej izbie! Wolałabym już nocować w stodole, niż narażać się na takie niebezpieczeństwo. Och, Margrét, nie mogę uwierzyć, że plotki okazały się prawdziwe! Morderczyni w naszych progach! Parafia schodzi na psy. O takich rzeczach nie słyszy się nawet w Reykjavíku. A ta kobieta mieszka teraz na tej samej ziemi, gdzie bawią się moje córeczki... aż mam gęsią skórkę! Moja biedna Margrét, i co ty teraz zrobisz?

– Dam radę – odparła oschle Margrét. Odebrała z rąk Róslín talerz z żytnim chlebem.

– A gdzie jest Jón, żeby cię ochronić?

– W Hvammur, z Blöndalem. Już mówiłam.

– Margrét! – Róslín wyrzuciła ręce w górę. – To nikczemność ze strony Blöndala, że zostawił cię z córkami sam na sam z tą kobietą! Ale wiesz co? Zostanę tu z wami.

– Nie ma mowy – odrzekła stanowczo Margrét – chociaż dziękuję za troskę. Proszę, bez urazy, lecz owce nie wydoją się same, muszę cię pożegnać.

– Może pomóc? – zaproponowała Róslín. – O, pozwól, wezmę ten chleb i zaniosę do domu.

– Do widzenia, Róslín.

– Może gdybym ją zobaczyła, mogłabym ocenić, w jak wielkim jesteś niebezpieczeństwie. W jak wielkim jesteśmy niebezpieczeństwie my wszyscy! W końcu co ją powstrzyma przed zakradnięciem się w nocy do sąsiedniego gospodarstwa?

Margrét wzięła Róslín za łokieć i obróciła w kierunku jej chałupy.

– Dziękuję za odwiedziny, Róslín, i dziękuję za chleb. Uważaj, jak idziesz, żebyś się nie potknęła.

– Ale...

– Do widzenia.

Róslín rzuciła jeszcze spojrzenie za siebie, na chatę, po czym uśmiechnęła się nieudatnie i ruszyła ciężkim krokiem w dół zbocza ku Gilsstadir. Córeczki podreptały za nią. Margrét stała z rękami założonymi na piersi i obserwowwała, jak odchodzą, po czym przykucnęła i kaszłała tak długo, aż poczuła śliskość na języku. Splunęła w trawę. Potem powoli się podźwignęła i zawróciła do chaty.

†

Kiedy weszłam do badstofy, zobaczyłam, że urzędnika, który tu spał, już nie ma. Musiał dołączyć do towarzyszy; słyszę, jak za oknem mężczyźni rozmawiają mieszaniną duńskiego i islandzkiego. Pewnie nie zauważyli, jak pani domu wepchnęła mnie z powrotem do chaty. Córki też zniknęły. Jestem sama.

Jestem sama.

Nikt nie ma na mnie oka, żaden wartownik nie stoi przy drzwiach, nie ma sznurów, łańcuchów czy zamków i jestem zupełnie sama, nieskrępowana. Myśl o tym działa paralizująco. Na pewno ktoś podgląda przez dziurkę od klucza! Na pewno ktoś przycisnął ciało do szczeliny w ścianie i patrzy, co zrobię, a później będzie wytykać mnie palcem, jakby to był nóż wbijany w gardło.

Ale nikogo nie ma. Ani żywego ducha.

Stoję pośrodku izby, moje oczy przyzwyczajają się do ciemności. Tak, jestem zupełnie sama. Po skórze przebiega mi dreszczyk ekscytacji, niczym drżenie na powierzchni wody, która za chwilę ma się zagotować. W tej chwili mogę zrobić wszystko: mogę rozejrzeć się po domu albo się położyć, albo mówić na głos czy śpiewać. Mogę tańczyć, przeklinać albo się śmiać i nikt się o tym nie dowie.

Mogłabym uciec.

Pęcherzyk lęku przepłynął mi po kręgosłupie. Czuję się, jakbym stała

na zamrożonym jeziorze i nagle usłyszała trzask pękającego lodu – zarazem przestraszona i podekscytowana. W Stóra-Borg marzyłam o ucieczce. O znalezieniu kluczy do kajdan i wymknięciu się... nigdy nie pomyślałam o tym, dokąd mogłabym uciec. Nigdy nie nadarzyła się żadna okazja. A teraz mogłabym wykraść się na podwórze i pobiec skrajem doliny, z dala od siedlisk ludzkich, poczekać i pod osłoną nocy przedostać się w góry, gdzie niebo zakryje mnie swoją szorstką szarą dłonią. Mogłabym uciec na wrzosowiska. Pokazać, że nie potrafią mnie wiązać, że jestem złodziejką czasu i ukradnę godziny, których mi odmówiono!

Drobiny kurzu unoszą się w świetle słonecznym, które wpada przez wysuszony pęczek rozciągnięty na ramie okna. Kiedy się w nie wpatruję, dreszczyk emocji mija, odessany niczym woda wpadająca w głąb gejzeru. Zamieniłabym tylko jeden wyrok śmierci na inny. W górach szaleją burze śnieżne, wichry wyją niczym wdowy po rybakach, a mróz rani twarz. Zima przychodzi niczym uderzenie pięści w mroku. Odludne ostępy są nie mniej okrutne od kata.

Nogi miękną mi w kolanach, gdy podchodzę do swojego łóżka. Zamykam oczy. Cisza w izbie przyciska się do mnie niczym ręka.

Serce bije mi teraz wolniej i spoglądam na posłanie, gdzie spał urzędnik. Poszewka jest skotłowana, materac odsłonięty. Powinien był nakryć łóżko narzutą; będzie miał pecha. Może jeśli posłanie wciąż jest ciepłe, urzędnik jest w pobliżu. Czuję się, jakbym naruszała jego prywatność, dotykając materaca, ale jest zimny. Urzędnika nie ma już dawno. Moje łóżko jest posłane. Przesuwam dłońmi po cienkim kocu, wygładzonym i wytartym ze starości. Ilu innych ludzi leżało tu przede mną? Ile koszmarów wyśnili?

Podłoga jest pokryta deskami, ale ściany i sufit nie, a wypełnienie z darniny wymaga napraw. Wysuszone kawałki zapadły się albo przerzedziły, pozostawiając w ścianach szczeliny, od których robi się przeciąg. W zimie będzie tu zimno.

Ale może wcześniej umrę.

Szybko! Odepchnąć od siebie tę myśl!

Zwiędła trawa zwisa ponuro z krzywego sufitu niczym nieumyte włosy. Kilka rzeźbionych ozdób przyczepiono do belek stropu i przybito gwoździami do nadproża.

Czy zimą śpiewa się tutaj hymny? A może recytuje się sagi – wolę opowieść od modlitwy. Wychłostano mnie raz na tej farmie, w Kornsie, kiedy byłam dzieckiem i w zamian za utrzymanie pilnowałam pola. Właścicielowi gospodarstwa, Björnowi, nie spodobało się, że znałam sagi lepiej od niego. Lepiej siedź z owcami, a nie z ludźmi, Agnes. Księgi napisane przez człowieka, a nie Boga, są zdradliwymi przyjaciółmi, nieodpowiednimi dla takich jak ty.

Mogłabym była mu uwierzyć, gdyby nie moja przybrana matka Inga i nauki, jakich udzielała mi szeptem wieczorami, kiedy spał.

Przy drzwiach, blisko łóżka gospodyni, do jednej z belek przybito szarą wełnianą zasłonę. Przypuszczam, że służy jako drzwi do następnej izby. Zasłona jest przykrótka, widać spod niej nogi stołu. Są trochę podniszczone, jakby ktoś je ogryzał.

Badstofa jest prawie tak skromnie urządzona jak przed laty, tylko do belek konstrukcyjnych ścian przybito deseczki, które służą za półki. Leżą na nich zwyczajne domowe rzeczy – drewniane pojemniki, baranie rogi, fajka, fiszbiny, rękawice, druty do robótek. Pod jednym z łóżek stoi nieduży malowany kuferek. I porzucony dziurawy kapeć. Swojskość codziennych sprzętów może być kojąca. Kiedyś też coś miałam. Biały woreczek suszonych płatków. Kamyk, który dała mi mamma, zanim odeszła. Przyniesie ci szczęście, Agnes. To magiczny kamyk. Połóż go pod językiem, a będziesz mogła rozmawiać z ptakami.

Nosiłam ten kamyk w ustach całymi dniami. Jeżeli ptaki zrozumiały, o co pytam, to nigdy nie raczyły mi odpowiedzieć.

Kornśa w okręgu Húnavatn. Z kamykiem i pocałunkiem od mamy odstawiono mnie na próg tego gospodarstwa, kiedy miałam sześć lat, a teraz

przywleczono mnie tu znowu, w mojej trzydziestej trzeciej wiosnie, z powodu dwóch martwych mężczyzn i pożaru. Pracowałam w wielu gospodarstwach na północy. Bieda niszczy te domy tak, że po pewnym czasie wszystkie wyglądają tak samo. We wszystkich brakuje tego, co być tam powinno. Równie dobrze mogłam spędzić całe życie w jednym miejscu.

Więc to Kornsá, mój ostatni ciemny kąt na tej ziemi. Ostatnie posłanie, ostatni dach nad głową, ostatnia podłoga. Ostateczność wszystkiego niesie ból, jakby nie miało pozostać już nic oprócz dymu z porzuconych ognisk. Muszę udawać, że wciąż jestem służącą i że to moja nowa kwatery, muszę skupić myśli na pracy, którą będę wykonywać, i na tym, jak sprawić, by gospodyni pochwaliła zręczność moich palców. Myślałam kiedyś, że jak będę ciężko pracować, pewnego dnia zostanę panią domu. Ale nie tutaj. Nie w Kornsie.

Kornsá. Nazwa kołacze mi się po głowie tak, że muszę wypowiedzieć ją bardzo cicho na głos, usłyszeć ją. Wmawiam sobie, że to tylko zwykłe gospodarstwo, i szeptem intonuję nazwy wszystkich miejsc, gdzie mieszkałam: Flaga, Beinakelda, Litla-Giljá, Brekkukot, Kornsá, Gudrúnarstadir, Gilsstadir, Gafl, Fannlaugarstadir, Búrfell, Geitaskard, Illugastadir.

Jedna z tych nazw kojarzy się z błędem. Jedna z koszmarem. Stopniem, o który człowiek potyka się w ciemności.

To słowo oznacza wszystko, co poszło nie tak. Illugastadir, farma nad morzem, gdzie łagodne powietrze rozbrzmiewa brzękiem metalu z kuźni, mewy krzyczą, a na brzegu tarzają się tłuste foki. Illugastadir, gdzie mroki nocy rozjaśnia ogień, gdzie dym kłębi się wczesnym rankiem, zasłaniając gwiazdy. Illugastadir w ruinie, Illugastadir, gdzie w klatce ze spalonych belek spoczywają martwe ciała.

Na dworze urzędnicy wybuchają śmiechem. Któryś opowiada o swoim bogatym kuzynie z Helgavatn.

– Powinniśmy się u niego zatrzymać i poczęstować się jego gorzałką! –



mówi jeden ze słuchaczy.

– Tak! No i jego żoną i córkami! – krzyczy inny. Znow wybuchają śmiechem.

Czy ktoś zostanie, by mnie dopilnować? Pilnować, abym nie uciekła. Pilnować, żebym nie zapaliła kaganka, bo mogłabym chcieć podłożyć ogień. Pilnować, żebym miała czyste ręce i zamknięte usta, nogi trzymała razem, a oczy spuszczone.

Jestem teraz własnością Korony.

Mam nadzieję, że wszyscy się dzisiaj wyniosą.

Kiedy wsłuchuję się w rozmowę urzędników, zauważam, że pod łóżkiem naprzeciwko mnie coś błyszczy. To srebrna brosza. Nie pasuje do nędznej izby. Czyżby kradziona? Nie byłoby to niezwykle w tej dolinie, gdzie ludzie potrafią łapać cudze owce i pociąć znaki na ich uszach, a mężczyźni specjalnie zapuszczają paznokcie, żeby łatwiej było podnosić monety ze stołu. Wśród okolicznych gospodarzy i parobków nie brakuje złodziei, którzy poczuli na własnej skórze bat sprawiedliwości. Nawet Natan nosił na plecach blizny po odebranych za młodu razach brzozową różgą.

Biorę broszę do ręki. Jest niespodziewanie ciężka.

– Zostaw to. – Szczupła młoda kobieta stoi w drzwiach. – To moje.

Upuściłam broszę i obie drgnęłyśmy, kiedy uderzyła o podłogę. Dziewczyna jest szczupła i niska, jej jasne rzęsy wyglądają niesamowicie w zestawieniu z ciemnoniebieskimi oczami. Na głowie nosi chustę. Ma niewielki garb na nosie.

– Steino! – woła dziewczyna. Nie ruszyła się z miejsca. Boi się mnie, myślę.

W drzwiach zjawia się inna dziewczyna, pewnie jej siostra. Jest wyższa, ciemnooka, piegowata.

– Róslín z dzieciarnią... – Milknie, gdy mnie zauważa.

– Wzięła mój prezent konfirmacyjny.

– Myślałam, że mamma z nią wyszła z domu.

– Ja też.

Patrzą na mnie.

– Mamma! Mamma! Chodź tutaj!

Margrét wchodzi chwiejnym krokiem. Widzi srebrną broszkę na podłodze pod moimi stopami i krew odpływa jej z twarzy. Otwiera usta.

– Ona ją wzięła, mamó. Przyłapałam ją.

Margrét zamyka oczy i przesuwa dłonią po wargach, jakby coś ją zabolalo. Chcę dotknąć jej ramienia. Chcę ją uspokoić. Podchodzi do mnie, teraz już wściekła, i słyszę policzek, zanim go poczuję. Trzask. A potem piekący ból.

– Co ci mówiłam?! – krzyczy. – Nie wolno ci w tym domu niczego tknąć! – Dyszy ciężko, jej dłoń jest wymierzona w moją twarz. – Masz szczęście, że nie zgłoszę tego incydentu władzom.

– Nie jestem złodziejką – mówię.

– Nie, jesteś morderczynią. – Niebieskooka dziewczyna wypluwa te słowa, w jej policzkach rysują się dołeczki. Chusta zsunęła jej się z głowy, a na czoło opada pukiel jasnych włosów. Jest czerwona na twarzy.

– Laugo, idźcie ze Steiną do kuchni – wydaje polecenie Margrét ostrym tonem. Wychodzą, a ona chwyta mnie za rękaw i ciągnie za sobą na dwór. – Możesz dowieść swojej skruchy ciężką pracą.

†

Wielebny Tóti obudził się nad ranem i nie mógł drugi raz zasnąć. Dzisiaj znowu miał się zjawić w Kornsie. Ociągając się, wstał z łóżka i się ubrał, po czym wyszedł na rześkie poranne powietrze i zajął się pracami około obejścia i kościoła. Zagonił stadko należących do ojca owiec i wydoił je starannie, szepcząc do każdej, każdą nazywając po imieniu i głaszcząc po futrzanych uszach.

Wczesny ranek minął, słońce rozlało się po niebie. Tóti nakarmił i napoił krowę Ýsę, a potem zdjął pranie, które ojciec porozkładał na kamiennym

murze przy kościele.

– Nie musisz tego robić – powiedział wielebny Jón, wychodząc z chaty.

– Nie przeszkadza mi to – odrzekł Tóti z uśmiechem. Zdjął ze skarpety nasionko trawy.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Myślałem, że wyjechałeś. Dlaczego zajmujesz się praniem, skoro masz się z nią zobaczyć?

Tóti zamyślił się i spojrzał na ojca, który wytrzępywał parę spodni.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyznał, po czym dodał: – Nie wiem, co jej powiedzieć.

Jón klepnął go szorstką ręką w ramię.

– Idź już – nakazał surowo. – Kto twierdzi, że cokolwiek musisz mówić? Idź.

†

Margrét prowadzi mnie przez podwórze i pokazuje ogródek z lubczykiem i dzięgielem, potem pomagam jej w dojeniu owiec. Przypuszczam, że nie ufa mi na tyle, by drugi raz zostawić mnie samą. Chłopiec, który przyszedł wczesnym rankiem, zdążył już spędzić stado. Margrét pokazuje mi go i mówi, że to Páll, ale nie przedstawia nas sobie, a on nie zbliża się do mnie, tylko gapi się i rozdziawia usta.

Potem palimy moją suknię.

Uszyłam ją dwa lata temu. Sigga i ja uszyłyśmy sobie po jednej takiej prostej sukni roboczej z niebieskiego materiału, który dał nam Natan.

Gdybym tylko wiedziała, że suknia, nad którą tak się napracowałam, będzie moją jedyną osłoną przed zimnem w komórce, która cuchnie kwaśnym potem. Gdybym wiedziała, że pewnego dnia włożę ją pośpiesznie w ciemności i będzie wilgotna od potu, gdy pobiegnę w środku nocy do Stapar, wrzeszcząc tak, że obudziłabym umarłego.

Margrét daje mi z wiadra trochę ciepłego mleka do picia, a potem idziemy do kuchni, gdzie jej córki rozpalają ogień, dorzucając do paleniska kawałki suchego łąjna. Uciekają pod ścianę, kiedy wchodzę.

– Zdejmij kocioł z haka, Steino – mówi Margrét do brzydkiej dziewczyny. Potem bierze z kąta moje brudne łachmany i bez ceregieli wrzuca je do ognia. – O, proszę – mówi z satysfakcją.

Patrzę, jak wełniana sukienka żarzy się i kopci, aż oczy mi łzawią, a Margrét kaszle od dymu. Musimy wyjść i pracować gdzie indziej, dopóki moje ubrania się nie spalą. Córki idą do spiżarni.

Ta sukienka była ostatnią rzeczą, którą posiadałam. Teraz nie mam na tym świecie nic; nawet ciepło mojego ciała porywa letni wiatr.

Ogród zielny w Kornsie jest zapuszczony i zachwaszczony, otoczony murkiem z nieobrobionych kamieni, który rozpadł się na jednym końcu. Większość roślin zmarniała, przemarznięte w zimie korzenie gniją teraz w cieplejszą pogodę, ale rośnie tu wrotycz i drobne gorzkie zioła, które pamiętam z warsztatu Natana, a dzięgiel pachnie tak słodko.

Pielimy ogródek, wrywając kępki trawy, które rozpleniły się wokół zdrowszych roślin. Cieszę się, gdy korzenie puszczają i gdy źdźbła łamią się, plamiąc mi palce swoim sokiem, chociaż jednocześnie czuję piekący ból w płucach. Jestem osłabiona. Ale nie damę tego po sobie poznać.

To przyjemne kucać z podkasaną sukienką i z zapachem dymu z kuchennego paleniska we włosach. Margrét pracuje z zacięciem i ciężko dyszy. Co sobie myśli? Nerwowo grzebie palcami w ziemi. Oczy ma zaczerwienione od kuchennego dymu. Kiedy chrząka, słyszę charkot flegmy.

– Idź do chaty, powiedz moim córkom, żeby do mnie przyszły – mówi nagle. – Potem wybierz łopatką popiół z paleniska i zakop go w ziemi.

Kiedy wracam sama do chałupy, urzędnicy siodłają konie na podwórzu. Milczą.

– Nic pani nie jest?! – woła jeden z nich do Margrét, a ona macha brudną

ręką, że wszystko w porządku.

Drzwi do chaty są otwarte, pewnie po to, żeby wywietrzyć izby z cuchnącego dymu. Przechodzę przez próg.

Znajduję córki w spiżarni, gdzie zbierają z wczorajszego mleka śmietankę. Młodsza dostrzega mnie wcześniej i trąca siostrę łokciem. Obie cofają się o parę kroków.

– Matka prosi, żebyście do niej przyszły. – Robię krok w bok, żeby je przepuścić. Młodsza natychmiast wychodzi, przez cały czas patrząc mi w oczy.

Starsza się waha. Jak ją nazywają? Steina. Kamień. Spogląda na mnie dziwnie i powoli odkłada łyżkę.

– Chyba cię znam – mówi.

Nie odpowiadam.

– Byłaś służącą tutaj, w tej dolinie, prawda?

Kiwam głową.

– Znam cię. To znaczy, spotkałyśmy się raz. Opuszczałaś Gudrúnarstadir, właśnie gdy braliśmy gospodarstwo w dzierżawę. Spotkałyśmy się na drodze.

Kiedy to mogło być? W maju 1819 roku. Ile lat mogła wtedy mieć? Nie więcej niż dziesięć.

– Mieliśmy ze sobą psa. Czarno-białego. Pamiętam cię, bo zaczął szczekać i skakać, i pabbi musiał go od ciebie odciągnąć, a później zjedliśmy wspólnie wieczerzę.

Dziewczyna przygląda się mojej twarzy.

– Byłaś kobietą, którą spotkaliśmy po drodze do Gudrúnarstadir. Pamiętasz mnie? Zaplotłaś mojej siostrze włosy i dałaś nam po jajku.

Dwie dziewczynki wysysają jajka przy drodze, obrąbki spódniczek mają wilgotne i zabłocone. Chudy pies ściga własne odbicie w wodzie. Niebo jest błękitne i szerokie. Trzy kruki lecą w rzędzie jeden za drugim. Dobra wróżba.

– Steino!

Przejdźcie z Gudrúnarstadir do Gilsstadir zimną wiosną. Rok 1819. Sto

małych wielorybów wyrzuconych na brzeg w pobliżu Thingeyrar. Zła wróżba.

– Steino!

– Idę, mamma! – Steina zwraca się do mnie. – Mam rację, prawda? To byłaś ty.

Robię krok w jej stronę.

Pani domu wpada do spiżarni.

– Steino! – Spogląda na mnie, potem na córkę. Chwyta dziewczynę za ramię i wyprowadza za drzwi. – Popiół. Już!

Na dworze powiew wiatru porywa z łopatkı garść popiołu, który został z mojej sukni, i ciska go w błękitne niebo. Szare płatki migoczą i wirują, opadają i znikają w powietrzu. Czy to szczęście, to ciepło, które czuję na piersi? Jakby ktoś położył tam dłoń?

Może będę w stanie udawać tutaj tę, którą kiedyś byłam.

†

– Zaczniemy od modlitwy, dobrze? – zaproponował wielebny wikariusz Thorvardur Jónsson.

Siedzieli z Agnes przed drzwiami, na kopcu pociętej darniny, którą przygotowano do napraw chaty. Wielebny w jednej ręce trzymał Nowy Testament, a w drugiej kromkę żytniego chleba z masłem, poczęstunek od Margrét. Do masła przykleiła się końska sierść, którą miał na ubraniu.

Agnes nie odpowiedziała na pytanie. Siedziała z dłońmi na podołku, lekko przygarbiona i wpatrzona w odjeżdżających urzędników. Miała popiół we włosach. Wiatr zelżał i od czasu do czasu dolatywał ich wybuch śmiechu oddalających się mężczyzn, zagłuszając na chwilę ciche szelesty wrywanych przez Margrét i jej córki chwastów w ogródku. Starsza co rusz zadzierała głowę i spoglądała na pastora i morderczynię.

Tóti spojrział na księgę w swojej dłoni i odchrząknął.

– Myślisz, że powinniśmy zacząć od modlitwy? – zapytał ponownie, tym razem głośniej, bo pomyślał, że Agnes go nie usłyszała.

– Co zacząć? – odpowiedziała cicho.

– N-no cóż... – zająknął się. – Twoje rozgrzeszenie.

– Moje rozgrzeszenie? – powtórzyła. Pokręciła lekko głową.

Tóti wepchnął kromkę do ust, przez chwilę żuł energicznie, a potem głośno przełknął. Wytarł dłonie o koszulę, po czym przewertował kartki Nowego Testamentu, rozsiadając się wygodniej na kopcu darniny. Była wciąż mokra po nocnym deszczu i czuł, jak spodnie nasiąkają mu wilgocią. Powinienem być zostać w izbie, pomyślał.

– Nieco ponad miesiąc temu otrzymałem list od komisarza okręgowego Blöndala – powiedział i zawiesił głos. – Czy mogę mówić do ciebie „Agnes”?

– Tak mam na imię.

– Komisarz okręgowy powiadomił mnie, że nie jesteś zadowolona z pastora w Stóra-Borg i że wyraziłaś życzenie, by inny duchowny spędził z tobą czas przed... przed, no cóż, przed... – Nie dokończył.

– Przed moją śmiercią? – podsunęła Agnes.

Skinął głową.

– Napisał, że poprosiłaś o mnie.

Wzięła głęboki wdech.

– Wielebny Thorvardurze...

– Mów mi Tóti. Tak jak wszyscy – przerwał jej i się zarumienił, bo natychmiast pożałował swojej poufałości.

Podjęła z wahaniem:

– Wielebny Tóti, w takim razie... Dlaczego zdaniem wielebnego komisarzowi okręgowemu zależy na tym, żeby odwiedzał mnie duchowny?

– Cóż... przypuszczam, że dlatego, to znaczy, chcemy, Blöndal i duchowieństwo, i ja... Chcemy, żebyś wróciła do Boga.

Twarz Agnes przybrała surowy wyraz.

– Myślę, że wrócę do Niego już wkrótce. Z pomocą topora.

– Nie to miałem... nie o to mi chodziło... – Tóti westchnął. Szło mu źle, tak jak się obawiał. – Mimo wszystko poprosiłaś o spotkania ze mną? Tylko że zajrzałem do księgi parafialnej w Breidabólstadir i nie jesteś do niej wpisana.

– Nie – odrzekła. – Raczej by mnie tam nie wpisano.

– Nigdy nie byłaś parafianką moją czy mojego ojca?

– Nie.

– Czemu więc poprosiłaś właśnie o mnie, skoro się nigdy wcześniej nie spotkaliśmy?

Patrzyła na niego przenikliwie.

– Nie pamięta mnie wielebny, tak?

Tóti się zdziwił. W tej kobiecie było rzeczywiście coś znajomego, ale gdy przypominał sobie twarze kobiet, które poznał lub widział – służących, matek, żon, dzieci – nie odnajdował Agnes wśród nich.

– Przepraszam – powiedział.

Wzruszyła ramionami.

– Pomógł mi wielebny kiedyś.

– Tak?

– Przeprowadzić się przez rzekę. Na koniu.

– Gdzie to było?

– W pobliżu Gönguskörd. Pracowałam we Fannlaugarstadir i opuszczałam właśnie tamto gospodarstwo, żeby zatrudnić się gdzie indziej.

– Więc jesteś z okręgu Skagafjörður?

– Nie. Jestem z tej doliny. Z Vatnsdalur. Z okręgu Húnavatn.

– I pomogłem ci przeprowadzić się przez rzekę?

– Tak. Bród był zalany, a wielebny nadjechał na koniu, właśnie kiedy przygotowywałam się do przejścia na drugi brzeg.

Tóti się zamyślił. Wielokrotnie przejeżdżał przez Gönguskörd, ale nie przypominał sobie spotkań z żadną młodą kobietą.



– Kiedy to było?  
– Sześć, siedem lat temu. Był wielebny młody, ale już nosił koloratkę.  
– Tak, rzeczywiście wtedy już byłem pastorem – przyznał. Na chwilę zaległa cisza. – I ze względu na tamtą uprzejmość poprosiłaś właśnie o mnie?  
– Przyjrzał się dokładniej jej twarzy. Nie wygląda na przestępczynię, pomyślał. W każdym razie odkąd się wykapała.

Zmrużyła oczy i z nieprzeniknionym wyrazem patrzyła w dolinę.

– Agnes... – Tóti westchnął. – Jestem tylko wikariuszem. Jeszcze nie ukończyłem nauki. Może potrzebujesz doświadczonego duchownego albo pastora z własnej parafii, który by cię znał? Na pewno ktoś inny też okazał ci życzliwość. Kto był twoim pastorem tutaj?

Odgarnęła kosmyk włosów za ucho.

– Nie poznałam w życiu zbyt wielu duchownych, którzy by mnie obchodzili, a na pewno żadnego, o którym mogłabym powiedzieć, że mnie zna.

Kilka kruków przyfrunęło z doliny i siadło na kamiennym murku. Tóti i Agnes zobaczyli, jak zza niego wychynęła głowa Margrét.

– Utrapienie z tymi ptaszyskami. Sio! – wykrzyknęła.

Sypnęła garścią ziemi i ptaki poderwały się w powietrze, kracząc z oburzeniem. Tóti spojrział na Agnes z uśmiechem, ale ona była śmiertelnie poważna.

– To im się nie spodoba – mruknęła do siebie.

– Cóż... – Wielebny wziął głęboki wdech. – Jeżeli potrzebujesz przewodnika duchowego, potraktuję to jako moją powinność i będę cię odwiedzał. Jak życzy sobie komisarz okręgowy Blöndal, będę prowadził cię w twoich modlitwach tak, abyś mogła kroczyć ku temu, co cię czeka, z wiarą i godnością. Poczytam to za swój obowiązek, by dostarczyć ci duchowego pocieszenia i nadziei.

Zamilkł. Przećwiczył te słowa, kiedy jechał do Kornsy, i był zadowolony, że udało mu się nie zapomnieć o „duchowym pocieszeniu”. Brzmiało to

patriarchalnie i stanowczo, jakby osiągnął podniosły stan duchowej pewności siebie; w tym stanie swoim zdaniem powinien się znajdować, ale miał niejasne i niemiłe poczucie, że w nim nie jest.

Mimo wszystko nie był przyzwyczajony do przemawiania tak oficjalnym tonem i pocily mu się dłonie przyciśnięte do cienkich kartek Biblii. Ostrożnie zamknął księgę, pilnując, żeby nie zagiąć żadnej ze stron, i wytarł ręce o uda. Teraz byłaby dobra pora, by zacytować Pismo Święte, jak zwykł czynić jego ojciec, lecz sam w tej chwili mógł myśleć tylko o jednym: o nagłej chęci, by zażyć tabaki.

– Może się pomyliłam, wielebny. – Głos Agnes był miarowy, spokojny.

Tóti nie wiedział, co powiedzieć. Popatrzył na sińce na jej twarzy i przygryzł wargę.

– Może lepiej będzie, jeśli zostanie wielebny w Breidabólstadir. Dziękuję wielebnemu, ale... Naprawdę wielebny uważa...? – Zakryła dłońmi usta i pokręciła głową.

– Nie płacz, moje drogie dziecko! – wykrzyknął, podrywając się z darniny. Agnes cofnęła ręce.

– Nie płaczę – powiedziała beznamiętnie. – Popełniłam błąd. Nazwałeś mnie dzieckiem, wielebny Thorvardurze, mimo że sam ledwie przestałeś nim być. Zapomniałam, jak jesteś młody.

Nie umiał jej odpowiedzieć. Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym pokiwał ponuro głową, szybkim ruchem nasadził na głowę kapelusz i rzucił tylko „do widzenia”.

Agnes patrzyła, jak mija kamienny murek, by pożegnać się z Margrét i jej córkami. Pastor i kobiety stali przez kilka chwil, rozmawiając i oglądając się na nią co jakiś czas. Starła się usłyszeć, o czym mówią, ale wiatr porywał ich słowa, zanim do niej doleciały. Jedynie kiedy Tóti uniósł kapelusz, kłaniając się Margrét, i ruszył do swojego konia, usłyszała, że Margrét woła: „To na pewno jak gadanie do ściany!”.

†

Reszta dnia mija na pracy – na wyrywaniu chwastów i pielęgnowaniu żalosnych ziół. Słucham beczenia owiec w oddali. Biedactwa wyglądają na wychudzone, niedawno je ostrzyżono z zimowej wełny. Kiedy kapłan odjechał, Margrét, córki i ja zjadłyśmy wieczerzę, suszone ryby w maśle. Dopilnowałam, by przeżuć dokładnie każdy z pysznych kęsów. Potem wróciłyśmy do ogródka, a teraz próbuję naprawić mur. Odkładam na bok kamienie, które się oblużowały, dobieram je i układam z powrotem jedne na drugich. Z radością czuję w rękach ich ciężar, bo przypomina mi o własnym istnieniu.

Margrét i ja pracujemy w ciszy; gospodyni odzywa się do mnie tylko wtedy, kiedy wydaje polecenia. Zastanawiam się nad tym, jakie to dziwne, że los zaprowadził mnie z powrotem do Kornsy, gdzie mieszkałam jako dziecko. Gdzie pierwszy raz zaznałam bólu rozstania. Zastanawiam się nad drogą, którą szłam przez życie, i myślę o wielebnym.

Thorvardur Jónsson poprosił, żebym zwracała się do niego „Tóti”, jakby był zwyczajnym chłopskim synem. Wydaje się, że nie dojrzał jeszcze do swojej funkcji. W jego głosie jest miękkość, tak jak miękkie są jego dłonie. Nie są tak długie i poplamione rozmaitymi miksturami, jak były dłonie Natana, ani tak mięsiste jak ręce parobka, tylko drobne, szczupłe i czyste. Trzymał je na Biblii, kiedy do mnie mówił.

Popęłniłam błąd. Skazano mnie na śmierć, a ja poprosiłam, by przygotował mnie do niej chłopiec. Rudowłosy chłopiec, który połyka śpiesznie pajdę chleba, pakując ją sobie w całości do ust, a potem odchodzi do swojego konia z mokrą plamą na tyłku – i ten młokos ma sprawić, bym w skrusze padła na kolana, żarliwie rozmodlona. Miałam nadzieję, że właśnie ten młokos będzie w stanie mi pomóc, ale w czym i jak? Trudno mi teraz samej zgadnąć.

Jedynie Natan by zrozumiał, jak się czuję. Znał mnie tak, jak zna się pory roku, przyływy i odpływy. Znał mnie tak jak zapach dymu; wiedział, kim

jestem i czego chcę. A teraz nie żyje.

Może powinnam Tótiemu powiedzieć: Biedny chłopcze, wracaj na plebanię, do swoich książek. Pomyliłam się, nic nie zrobisz dla mnie. Bóg miał okazję mnie oswobodzić, lecz z Sobie tylko znanych powodów przykuł mnie do złego losu i chociaż walczyłam, opadają mnie wciąż nowe nieszczęścia. Zły los jest niczym sztylet wbity we mnie po samą rękojeść.

# Rozdział 4

Sierpień 1829

*Do wicegubernatora Islandii Północno-Wschodniej*

*Dziękuję Waszej Ekscelencji za wiele wyjaśniający list z 10 stycznia bieżącego roku dotyczący zarzutów morderstwa, podpalenia i innych przestępstw, które wniesiono przeciwko oskarżonym Fridrikowi, Agnes i Sigrídur i za które skazano ich na karę śmierci. W odpowiedzi na list Waszej Ekscelencji niechaj wolno mi będzie powiadomić Pana, że kowal B. Henriksson, który miał wykonać topór do egzekucji, zażądał za swą pracę i materiały pięciu srebrnych koron, za które to miał wykonać topór o wymiarach i kształcie, jakie byłyby zgodne z moimi instrukcjami z 30 grudnia zeszłego roku. Jednakże po otrzymaniu listu Waszej Ekscelencji uznałem, w zgodzie z Waszą Ekscelencją, iż korzystniej będzie zakupić w Kopenhadze za tę samą cenę topór o szerszym ostrzu, i zwróciłem się do kupca Simsonsena z odpowiednim zamówieniem.*

*Latem bieżącego roku człowiek, o którym mowa, Simonsen, dostarczył mi topór, który wszak, mimo że był dokładnie taki, jak zamówiłem, kosztował, jak dowiedziałem się z zaskoczeniem od Simsonsena, koron dwadzieścia dziewięć. Kiedy przeczytałem rachunek, stwierdziłem, iż suma ta się zgadza, wobec czego zmuszony byłem wypłacić Herr Simsonsenowi stosowną kwotę z funduszy przydzielonych przez Waszą Ekscelencję na tę sprawę.*

*Teraz wszak, ośmielając się wyjaśnić Panu przekroczenie wydatków, zapytuję uniżenie, czy funduszy tych nie można by jednak nie uszczuplać o tę sumę, ponieważ budżet przeznaczony jest również na inne wydatki, w tym na utrzymanie więźniów. Pokornie zapytuję także Waszą Ekscelencję, co*

*mamy uczynić z toporem, kiedy egzekucje dojdą już do skutku.*

*Kłaniam się Waszej Ekscelencji.  
Wasz wielce uniżony i posłuszny sługa  
komisarz okręgu Húnavatn  
B. Blöndal*

Tóti opuścił Kornę ze stanowczym zamiarem napisania do Blöndala i zrzeczenia się obowiązku spotkań z Agnes. Druga rozmowa z przestępczynią zakończyła się porażką; nie udało mu się nawet poprowadzić najprostszej modlitwy. Myśl jednak o tym, że musiałby szczegółowo wyjaśnić, czemu zmienił decyzję po zaledwie dwóch wizytach, napęniała go wstydem i lękiem, w związku z czym postanowił odłożyć pisanie listu na później. Zrobię to jutro, obiecywał sobie każdego dnia w Breidabólstadir, lecz upłynęły dwa tygodnie, chłopcy przygotowywali się już do lipcowych żniw, on zaś nawet nie wziął pióra do ręki.

Pewnego wieczoru, kiedy siedział z wielebnym Jónem i czytali w milczeniu, ojciec podniósł siwą głowę i zapytał:

– Czy morderczynie się modli?

Tóti zawahał się, po czym odrzekł:

– Nie jestem pewien.

– Hm... – mruknął wielebny Jón. – Upewnij się w takim razie. – Wpatrywał się w syna zaropiałymi oczyma tak długo, aż Tóti oblał się gorącym rumieńcem. – Jesteś sługą Bożym. Nie narób sobie wstydu, chłopcze – rzekł, po czym wrócił do lektury Pisma.

Nazajutrz rano Tóti wstał wcześnie, by wydoić Ýsę. Przycisnął czoło do ciepłego boku krowy i wsłuchał się w rytm mleka tryskającego do skopka. Ojciec wiedział, że nie odwiedza Agnes. Zawstydziliby się, gdyby się dowiedział, że syn nie potrafi unieść odpowiedzialności, jaką jest pokuta jednej kobiety. Ale co zrobić z kobietą, która nie ma ochoty na pokutę? Co Agnes powiedziała? Że nie spotkała zbyt wielu duchownych, którzy by ją

obchodzili. Nie wydawała się osobą religijną, a ta głupia przemowa o pocieszeniu duchowym, którą sobie ułożył w głowie, ta górnolotna przemowa okazała się chybiona. Czego więc Agnes po nim oczekiwała? Czemu poprosiła o spotkania z nim, jeśli nie chciała rozmawiać o Bogu? O śmierci, niebie i piekle, i o słowie Bożym? Tylko dlatego, że kiedyś pomógł jej się przepawić przez rzekę? Nie dawało mu to spokoju. Czemu nie poprosiła o spotkanie z przyjacielem albo krewnym, który pomógłby jej pogodzić się z nadchodzącą śmiercią?

Komisarz okręgowy Blöndal prawdopodobnie nie wyraziłby na to zgody.

Może na świecie nie został jej już żaden przyjaciel. Może chciała porozmawiać o innych sprawach. Na przykład o przejściu przez Gönguskörd w czasie wiosennych roztopów. Albo o tym, dlaczego opuściła dolinę Vatnsdalur i zaczęła pracować dalej na wschód, lub też o tym, dlaczego nie przepada za duchownymi. Tóti zamknął oczy i poczuł, jak Ýsa zakołysała się nerwowo pod jego czołem. Żeby ją uspokoić, wyrecytował fragment Hallgrímura Péturssona: „Ścieżką Twego cierpienia podążać chcę co dnia. Zmień serca mego słabość i tchnij w nie żar ognia”. Otworzył oczy i powtórzył ostatni wers.

Zanim skończył doić, postanowił wrócić do Kornsy.

Poranna mgła wciąż unosiła się nad doliną, zasłaniając góry, gdy jechał konno przez widmowe wieńce, które unosiły się nad trawą. Zadygotał z zimna i zagłębił dłonie w ciepłej końskiej grzywie. Dzisiaj pogodzę się z Agnes, pomyślał.

Zwolnił, mijając trzy dziwne pagórki Thrístapar u wejścia do zielonej doliny Vatnsdalur. Przez chmury przebiły się promienie porannego słońca. Zapowiadał się kolejny pogodny dzień. Wkrótce gospodarze z rodzinami i służbą wylegną na pola kosić trawę i układać ją w kopki, by wyschła na słońcu, aż powietrze w dolinie stanie się ciężkie od zapachu siana. Teraz, wczesnym rankiem, Tóti widział tylko najwyższe partie gór, ich brązowe

zbocza wciąż skrywała rzednąca powoli mgła. Usłyszał wołanie i zauważył Pállę, pastuszkę, który pędził stado owiec, ledwo widoczny za mgłą. Tóti popędził konia ku brzegowi rzeki, która wiała się w dolinie i mijała Kornę w oddali, i zajechał przed pochyloną chatę w Undirfell.

W drzwiach stanął postawny, nieogolony gospodarz.

– *Blessuð*. Witam. Jestem Haukur Jónsson.

– *Saell*, Haukurze. Jestem wielebny Thorvardur Jónsson. Czy zastałem tu pastora Undirfell?

– Pétura Bjarnasona? Nie, nie dzierżawi tego gospodarstwa. Ale jest niedaleko. Proszę wejść.

Tóti podążył za gospodarzem do wnętrza dużej chaty. W badstofie było co najmniej osiem osób, które ubierały się właśnie i rozmawiały między sobą. Młoda kobieta o dużych oczach trzymała na kolanach rozwrzeszczane i czerwone na twarzy niemowlę, a dwie służące usiłowały ubrać małego chłopca, który wolał grać na podłodze w ciupy. Na widok Tótego wszyscy umilkli.

– Proszę spocząć tutaj. – Haukur wskazał miejsce na łóżku obok bardzo starej kobiety, która wpatrywała się w Tótego obojętnym wzrokiem. – To Gudrún. Jest ślepa. Zaraz pójdę po pastora, jeśli zechce wielebny poczekać.

– Dziękuję – powiedział Tóti.

Gospodarz wyszedł i wkrótce do badstofy wpadła młoda kobieta o świeżej cerze.

– Dzień dobry! Więc wielebny jest z Breidabólstadir? Może podać coś do picia? Jestem Dagga.

Tóti pokręcił głową, a Dagga wzięła niemowlę z rąk dziewczyny i ułożyła je na ramieniu.

– Biedactwo, przez całą noc płakała tak przeraźliwie, że nieboszczyka by obudziła.

– Jest chora?



– Mój mąż uważa, że to grypa, ale obawiam się, że coś gorszego. Zna się wielebny na medycynie?

– Ja? Och, nie. Przykro mi.

– Trudno. Tym większa szkoda, że Natan Ketilsson nie żyje, Panie świeć nad jego duszą.

Tóti spojrział na nią z zaskoczeniem.

– Słucham?

Do rozmowy wtrąciła się dziewczyna w kącie.

– Wyleczył mnie z koklusu.

– Był przyjacielem rodziny? – zapytał Tóti.

Dagga zmarszczyła nos.

– Nie. Nie przyjacielem, ale przydawał się, kiedy dzieci zachorowały albo trzeba było komuś puścić krew. Gdy mała Gulla miała koklusz, został na parę nocy, mieszał swoje zioła i zaglądał do ksiąg w obcym języku. Dziwny człek.

– Był czarnoksiężnikiem – odezwała się staruszka obok niego. Wszyscy spojrzeli w jej stronę. – Był czarnoksiężnikiem – powtórzyła. – I dostał to, na co zasłużył.

– Gudrún... – Dagga uśmiechnęła się do Tótego nerwowo. – Mamy gościa. Nastraszysz dzieci.

– Natan Szatan, tak się zwał. Nic z tego, co robił, nie pochodziło od Boga.

– Ciii, Gudrún. To tylko taka opowieść.

– Jaka opowieść? – spytał Tóti.

Dagga przełożyła płaczące niemowlę na biodro.

– Nie słyszał wielebny?

– Nie. Byłem w szkole na południu. W Bessastadir.

Uniosła brwi.

– To tylko plotka opowiadana przez ludzi w dolinie. Są tacy, którzy twierdzą, że matka Natana Ketilssona miała dar jasnowidzenia. Śniły jej się różne wydarzenia, które dopiero miały zajść. No więc kiedy była w ciąży z Natanem, przyśnił jej się mężczyzna i oznajmił, że będzie miała syna.

Zapytał, czy da mu imię po nim, a kiedy się zgodziła, powiedział, że ma na imię Szatan.

– Przeraziła się – wtrąciła Gudrún, marszcząc brwi. – Pastor zmienił je na Natan i uznali, że tak będzie dobrze. Ale wszyscy wiedzieliśmy, że z tego chłopca nie wyrośnie nic dobrego. Miał brata bliźniaka, który nigdy nie ujrzał światła dnia. Jeden do nieba, drugi do piekła. – Powoli obróciła się na łóżku i przybliżyła twarz do Tótiego. – Nigdy nie brakło mu pieniędzy – szepnęła. – Miał konszachty z diabłem.

– Był wziętym zielarzem i kazał sobie słono płacić za usługi – wytłumaczyła pogodnie Dagga. – Jak powiedziałam, to tylko plotka. A tak właściwie co sprowadza wielebnego do Vatnsdalur?

– Jestem kapłanem Agnes Magnúsdóttir.

Uśmiech spełził kobiecie z twarzy.

– Słyszałam, że przeniesiono ją do Kornsy.

– Owszem. – Tóti zauważył, że dwie służące wymieniają znaczące spojrzenia. Gudrún zgrzytliwie zakaszłała. Poczł, jak kropelki śliny obryzgały mu szyję.

– Proces odbywał się w Hvammur – podjęła Dagga.

– Tak.

– Ona jest z tej doliny, wie wielebny?

– Dlatego tu przyjechałem – odrzekł Tóti. – Chcę z księgi parafialnej dowiedzieć się więcej o jej życiu.

Zrobiła kwaśną minę.

– Sama mogę wielebnemu trochę o niej opowiedzieć. – Nakazała służbie wyprowadzić dzieci na dwór i zaczęła, aż wszyscy wyszli. – Zawsze miała w sobie takie zadatki – powiedziała ściszone glosem i rzuciła okiem na Gudrún, która oparła się plecami o ścianę i zdawała się drzemać.

– Co to znaczy? – spytał Tóti.

Pochyliła się w jego stronę.

– Nieładnie tak mówić, ale Agnes Magnúsdóttir zawsze troszczyła się tylko

o siebie, wielebny. Zawsze zależało jej tylko na tym, by jak najlepiej jej się w życiu powodziło. Pragnęła wybić się ponad swój stan.

– Była biedna?

– Uboga nieślubna córka o podstępnej naturze, jakiej nie powinna mieć porządna służąca.

Tóti skrzywił się boleśnie na te słowa.

– Nie przyjaźniłyście się.

Dagga wybuchnęła śmiechem.

– Nie, raczej nie. Agnes była z innej gliny.

– Jakiej?

Zawahała się.

– Są ludzie zadowoleni ze swego losu i z towarzystwa, jakie im przypało, wielebny, i jeszcze dziękują za to Bogu. Ale nie ona.

– Czyli ją znasz?

Przełożyła płaczące dziecko na drugie biodro.

– Nigdy nie dzieliłyśmy badstofy, ale znam ją, wielebny. Znam ją tak, jak znają się wszyscy w tej dolinie. Kiedyś w tych stronach opowiadano o niej wiersz. Ludziska lubili ją wtedy i nazywali Búrfell-Agnes. Ale zgorzkniała. Nie była w stanie zatrzymać przy sobie mężczyzny. Nie mogła się ustatkować. To mała dolina, a ona miała opinię dziewczyny o ostrym języku i łatwej.

Ktoś odchrząknął w drzwiach. Gospodarz wrócił z innym mężczyzną, który ziewał i drapał się po zarosniętej szczeciną szyi.

– Wielebny Thorvardurze Jónsson, poznajcie wielebnego Pétura Bjarnasona.

Kościół w Undirfell był niedużą świątynią z nie więcej niż sześcioma ławami i miejscem z tyłu dla stojących parafian. Nie pomieści wszystkich rolników z doliny, pomyślał Tóti, gdy wielebny Pétur z roztargnieniem wepchnął okulary w drucianej oprawie wyżej na grzbiet nosa.

– O, tu jest klucz. – Kapłan pochylił się nad skrzynią przy ołtarzu i zaczął się mocować z zamkiem. – Mówił wielebny, że mieszka w Kornsie?

– Nie, tylko tam dojeżdżam – powiedział Tóti.

– Przypuszczalnie to lepiej, niż miałbym tam być ja. Jak się miewa tamtejsza rodzina?

– Właściwie jej nie znam.

– Nie, pytam o to, jak sobie radzą, mając morderczynię pod swoim dachem. Tóti pomyślał o gorzkich słowach Margrét tamtej nocy, gdy Agnes przybyła ze Stóra-Borg.

– Są chyba trochę zdenerwowani.

– Spełnią swój obowiązek. To dosyć miła rodzina. Z młodszej córki jest prawdziwa piękność. Te dołeczki w policzkach. Rozsądna i bystra jak iskiereczka.

– Lauga, zgadza się?

– Tak. Zarządza starszą siostrą, jak jej się podoba. – Pastor wytaszczył na ołtarz księgę oprawną w skórę. – Jest. Ile ma lat?

– Ta młodsza córka? Trudno mi powiedzieć.

– Nie. Morderczyni, mój chłopcze.

Tóti zeszywniał, niezadowolony, że nazwano go chłopcem.

– Nie jestem pewien. Przypuszczalnie ponad trzydzieści. Nie zna jej wielebny?

Pastor pociągnął nosem.

– Sam jestem tutaj dopiero rok.

– Szkoda. Miałem nadzieję, że dowiem się od wielebnego czegoś o jej charakterze.

Pastor prychnął.

– Z pewnością martwe ciało Natana Ketilssona daje dobre świadectwo o jej charakterze.

– Możliwe. Ale chciałbym się dowiedzieć czegoś o jej życiu sprzed wydarzeń w Illugastadir.

Wielebny Pétur Bjarnason spojrział na Tótiego z góry.

– Jesteś stanowczo za młody na to, by być jej kapłanem.

Tóti się zarumienił.

– Poprosiła o mnie.

– Cóż, jeżeli jest coś wartego poznania o jej charakterze, znajdziemy to w księdze parafialnej. – Wielebny Pétur jął ostrożnie przewracać pożółkłe, ręcznie zapisane stronicie. – Jest. Pod rokiem 1795. Rodzice Ingveldur Rafnsdóttir i Magnús Magnússon, bez ślubu. Dziecko z nieprawego łoża. Urodzona 27 października w gospodarstwie Flaga, imię nadano jej nazajutrz. Czego jeszcze chciałeś się dowiedzieć?

– Jej rodzice nie mieli ślubu?

– Tak tu jest napisane. Zapis mówi: „Ojciec mieszka w Stóridalur. Nic innego wartego odnotowania”. Zajrzyjmy do notatki z jej konfirmacji. Komisarz okręgowy Blöndal poprosił mnie o przepisanie mu tego kilka miesięcy temu. – Pastor pociągnął nosem i poprawił okulary. – O, jest tutaj. Sam możesz przeczytać.

Odsunął się, żeby Tóti mógł się pochylić nad księgą.

– Konfirmowana 22 maja 1809 roku – czytał na głos Tóti – jako czternastolatka z... – Zamilkł na moment, żeby policzyć. – Z pięcioma innymi. Ale wtedy nie miała czternastu lat.

– Słucham? – Pastor wyglądał przez okno.

– Tu jest napisane, że miała czternaście lat, a w maju miała skończone trzynaście.

Wielebny Pétur wzruszył ramionami.

– Trzynaście, czternaście. Czy to ważne?

Tóti pokręcił głową.

– Nie. Tutaj jest coś jeszcze...

Pastor pochylił się nad księgą. Tóti wyczuł w jego oddechu zapach gorzałki i ryby.

– Przyjrzyjmy się. Troje z tych dzieci, Grímur, Sveinbjörn i Agnes,

nauczyło się całego *Kverið*. No i dalej jest komentarz. Tak jak zwykle.

– Dobrze jej szło?

– Napisano o niej: „Ma doskonały intelekt, okazałą wiedzę i dobre zrozumienie chrześcijaństwa”. Szkoda, że nie postępowała według tych nauk.

Tóti puścił ostatnią uwagę mimo uszu.

– Doskonały intelekt – powtórzył.

– Tak tu jest napisane. A teraz, wielbny Thorvardurze, chcesz, żebyśmy siedzieli tu dłużej w zimnie i badali drzewa rodzinne, czy może wrócimy do ładnej żonki Haukura na śniadanie i kawę, jeśli jakaś się znajdzie?

†

– Wielbny Tóti! – Margrét otworzyła drzwi niecałe trzy sekundy po tym, jak młody wikariusz zapukał. – Ależ się cieszę, że wielbny nas odwiedził. Myśleliśmy już, że wielbny wrócił na południe. Proszę wejść. – Zakasłała i otworzyła drzwi szerzej. Tóti zauważył, że dźwiga przy biodrze ciężki worek.

– Pomogę – zaproponował – wezmę ten worek.

– Nie ma potrzeby, proszę się nie przejmować – wyskrzeczwała Margrét, zapraszając go do środka. – Radzę sobie doskonale. Służący wrócili z Reykjavíku.

– Rozumiem. Od kupców.

Pokiwała głową.

– Nieźle. W mące nie ma robactwa, inaczej niż w zeszłym roku. Jest też sól i cukier.

– Miło mi to słyszeć.

– Napije się wielbny kawy?

– Macie kawę? – Tóti nie krył zaskoczenia.

– Sprzedaliśmy całą wełnę i część peklowanego mięsa. Jón poszedł ostrzyć kosy. – Wprowadziła gościa do badstofy i odsunęła zasłonę, zapraszając

do salonu. – Proszę tu poczekać – powiedziała i odeszła, wciąż niosąc na biodrze worek.

Tóti usiadł na krześle i zaczął wodzić palcami po blacie stołu wzdłuż słoików drewna. Usłyszał, jak Margrét kaszle w kuchni.

– Wielebny? – odezwał się niewyraźny głos zza zasłony. Wikariusz wstał i ostrożnie odsunął wełnianą kotarę na bok. Zza niej wychynęła Agnes, powitała go skinieniem głowy.

– Jak się miewasz?

– Przepraszam. Potrzebuję tylko... – Wskazała motek wełny, który leżał na drugim krześle.

Tóti odstąpił na bok i uniósł zasłonę, żeby mogła wejść.

– Zostań, proszę – powiedział. – Przyjechałem się z tobą zobaczyć.

Agnes wzięła wełnę.

– Margrét poprosiła mnie, żebym...

– Usiądź, proszę.

Usłuchała i usiadła na samym brzegu krzesła.

Margrét weszła do izby, niosąc tacę z kawą i talerzem, na którym leżały kromki chleba żytniego posmarowane masłem. Nagle zauważyła Agnes.

– Mam nadzieję, że mogę oderwać Agnes na chwilę od zajęć – rzekł Tóti, wstając. – Przyjechałem z nią porozmawiać. – Margrét milczała. – Rozkazy Blöndala – zażartował, uśmiechając się słabo.

Zacisnęła wargi.

– Niech wielebny robi z nią, co chce. Będę miała ją na chwilę z głowy. – Z brzękiem postawiła tacę na stole, po czym odwróciła się na pięcie i zamaszystym ruchem zasunęła zasłonę. Zatupały jej kroki na klepisku w korytarzu. Trzasnęły drzwi.

– No więc dobrze. – Tóti usiadł przy stole i uśmiechnął się do Agnes. – Napijesz się kawy? Jest tylko jedna filiżanka, ale na pewno... – Pokręciła głową. – W takim razie weź, proszę, chleb. Właśnie byłem z wizytą w Undirfell i gospodyni nakarmiła mnie do syta skyrem.

Pchnął talerz w jej stronę, a potem nalał kawy, dosypując odrobinę cukru z zakorkowanej butelki. Kątem oka spostrzegł, jak Agnes odrywa kawałek chleba i wsuwa go do ust.

– Wygląda na to, że służący dobrze się spisali w transakcjach handlowych w Reykjavíku. – Łyknął kawy i oparzył sobie język. W pierwszym odruchu chciał wypluć napar, ale miał świadomość obserwujących go jasnych oczu Agnes, więc przełknął, trochę się przy tym krztusząc. – Jak ci się tutaj podoba?

Przełknęła chleb i popatrzyła na niego bez słowa. Jej twarz trochę się wypełniła, a siniec na szyi prawie zupełnie zanikł.

– Dobrze wyglądasz.

– Karmią mnie lepiej niż w Stóra-Borg.

– I dogadujesz się z rodziną?

Zawahała się.

– Tolerują mnie.

– Co myślisz o Jónie, urzędniku okręgowym?

– Do mnie się nie odzywa.

– A córki?

Nie odpowiedziała, więc ciągnął dalej.

– Wydaje się, że pastor z Undirfell bardzo lubi Laugę. Mówi, że jest bystra.

– A jej siostra?

Tóti napił się znowu kawy, zastanowił się chwilę.

– Dobra dziewczyna.

– Dobra dziewczyna – powtórzyła Agnes.

– Tak. Zjedz jeszcze.

Agnes wzięła resztę kromki. Zjadła ją szybko, prawie nie odrywając palców od ust, a potem oblizwała je z masła. Tóti mimowolnie zawiesił wzrok na lśniącym różu jej warg.

Po chwili zmusił się, by skupić spojrzenie na filiżance kawy przed sobą.

– Pewnie zastanawiasz się, dlaczego wróciłem.



Paznokciem kciuka wydlubała sobie okruch spomiędzy zębów. Milczała.  
– Nazwałaś mnie dzieckiem – powiedział.  
– Uraziłam wielebnego. – Sprawiała wrażenie obojętnej.  
– Nie, nie byłem urażony – skłamał Tóti. – Ale mylisz się. Owszem, jestem młody, lecz trzy długie lata spędziłem w szkole Bessastadir na południu. Znam łacinę, grekę i duński, i Bóg wybrał mnie, bym był twoim pasterzem i pomógł ci w odkupieniu.

Wpatrywała się w niego, nie mrugając oczami.

– Nie. To ja wybrałam wielebnego.

– W takim razie daj mi sobie pomoc!

Milczała przez chwilę. Znów zaczęła dłubać w zębach, po czym wytarła dłonie o fartuch.

– Jeżeli wielebny chce ze mną rozmawiać, to w zwyczajny sposób. Pastor w Stóra-Borg przemawiał, jakby był samym biskupem. Oczekiwał, że padnę przed nim z płaczem na kolana. Nie chciał mnie słuchać.

– Co chciałaś mu powiedzieć?

Pokręciła głową.

– Za każdym razem, kiedy coś mówiłam, przeinaczali moje słowa i rzucali mi je w twarz jak obelgę albo oskarżenie.

– Chciałabyś, żebym rozmawiał z tobą normalnie. I może żebym cię wysłuchał?

Przyjrzała mu się z uwagą, pochyliwszy się do przodu, tak że Tóti nagle zauważył osobliwy kolor jej oczu. Błękitne tęczęwki jasne niczym lód, z popielatymi cętkami wokół źrenicy, były obrysowane cienkimi kręgami czerni.

– Co chce wielebny usłyszeć? – zapytała.

Rozparł się na krześle.

– Dzisiejszy ranek spędziłem w kościele Undirfell. Pojechałem tam, żeby poszukać cię w księdze parafialnej. Powiedziałaś, że pochodzisz z tej doliny.

– I byłam tam?

- Znalazłem wpis o twoich narodzinach i konfirmacji.
- Więc teraz wie wielebny, ile mam lat. – Posłała mu zimny uśmiech.
- Może zechciałabyś opowiedzieć mi trochę więcej o swoim życiu.

O swojej rodzinie.

Agnes wzięła głęboki wdech i zaczęła powoli nawijać włóczkę na dłoń.

- Nie mam żadnej rodziny.
- Niemożliwe.

Owinęła włóczkę mocno wokół kłykci i opuszki palców pociemniały jej od napływu krwi.

– Wyczytał wielebny ich nazwiska w księdze, ale równie dobrze można by mnie było nazwać sierotą.

– Czemu?

Dobiegło ich kasznięcie, a pod zasłoną ukazała się para trzewików z rybiej skóry.

– Proszę – powiedział Tóti.

Agnes szybko odwinęła włóczkę z palców, gdy zza zasłony ukazała się piegowata Steina.

– Przepraszam, że przeszkadzam, wielebny, ale mamma prosi o nią. – Pośpiesznie skinęła w stronę Agnes, która wstała z krzesła.

– Rozmawiamy – rzekł Tóti.

– Przepraszam, wielebny. Lipiec w pełni, od dzisiaj mamy sianokosy. Trzeba się śpieszyć, póki słońce świeci.

– Steino, przyjechałem taki szmat...

Agnes delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu i spojrzała na niego tak, że zamilkł. Popatrzył na jej dłoń, na długie, blade palce, na zaróżowiony pęcherz na kciuku. Zauważyła jego wzrok i szybko cofnęła rękę.

– Proszę wrócić tutaj jutro, wielebny. Jeżeli wielebny ma ochotę. Możemy porozmawiać, kiedy trawa będzie schła z rosy.

Szkoda, że nie przysięgłam sobie milczeć. W Hvammur, podczas procesu, dziobali moje słowa niczym ptactwo. Paskudne ptaszyska w czerwieni, ze srebrnymi guzikami na piersiach, z przekrzywionymi głowami i wygiętymi ustami. Szukali mojej winy jak jagód na krzewie. Nie dali mi powiedzieć własnymi słowami, co się stało, tylko brali moje wspomnienia o Illugastadir i Natanie i lepili z nich coś ponurego i złowrogiego; wypaczyli moje zeznania o tamtej nocy tak, że zdawałam się nikczemna. Wszystko, co powiedziałam, zostało mi odebrane i zmienione tak, że cała historia przestała być moja.

Myślałam, że może mi uwierzą. Kiedy w tamtej ciasnej sali zabębniiono w werbel i Blöndal ogłosił werdykt „winna”, mogłam myśleć tylko o jednym: jeżeli się ruszysz, to się rozsypiesz; jeżeli weźmiesz wdech, stracisz przytomność. Oni chcą, żebyś zniknęła.

Po procesie pastor z Tjörn powiedział mi, że spłonę w ogniu piekielnym, jeśli nie zacznę rozpamiętywać swego grzesznego żywota i modlić się o przebaczenie. Tak jakby modlitwa była w stanie unieważnić grzech. Lecz każda kobieta wie, że nić raz wpleciona w tkaninę jest nie do ruszenia; jedynym sposobem usunięcia błędu jest sprucie całego materiału.

Natan nie wierzył w grzech. Mówił, że indywidualność składa się właśnie z wad charakteru. Nawet przyroda łamie rządzące nią prawa na korzyść piękna, mówił. Na korzyść twórczości. Żeby jej krew wciąż była gorąca. Rozumiesz, Agnes?

Powiedział mi to wtedy, gdy w Stapar urodziło się dwugłowe jagnię. Służący przybiegł do Illugastadir, żeby o tym opowiedzieć, lecz do czasu, gdy Natan i ja dotarliśmy na miejsce, jagnię już nie żyło. Gospodarz je zabił, bo uznał, że jest przekłete. Natan poprosił, by mógł wziąć zabite zwierzę i rozciąć je, żeby zobaczyć, jak jest zbudowane. Kiedy odkopał jagnię, jedna z kobiet podeszła do niego i prychnęła: „Niech diabeł zabiera, co jego”. Natan roześmiał się jej w twarz.

Zanieśliśmy dziwne stworzenie do jego warsztatu, gdzie brudna od krwi

i ziemi zostawiłam Natana samego, żeby je porozcinał. Sigga i ja nie zjadłyśmy ani kawałka mięsa, które Natan z niego wykroił, a chociaż nazwał nas niewdzięcznikami i przypominał nam, ile grosza zapłacił za zdeformowane zwierzę, jemu też nie dopisywał apetyt. Ostatecznie mięso poszło na przynętę na lisy. Rozdwojoną czaszkę zachował w warsztacie, białą jak świeża śmietana.

Zastanawiam się, czy wielebny nie patrzy na mnie jak na takie jagnię. Jak na wybryk natury. Istotę przeklętą. Jak niby mężczyźni patrzą na kobiety takie jak ja?

Ale ten duchowny ledwie jest mężczyzną. Delikatny jak dziecko, tylko bez rozwydrzenia i głupoty młodego wieku. Zapamiętałam go jako wyższego, niż jest w rzeczywistości. Właściwie nie wiem, co o nim myśleć.

Może jest tylko utalentowanym kłamcą. Bóg mi świadkiem, że poznałam w życiu dość mężczyzn, by wiedzieć, że gdy tylko przestają ssać matczyną pierś, zaczynają kłamać w żywe oczy.

Będę musiała zastanowić się, co mu powiedzieć.

†

Mgła rozplynęła się w błękicie dnia, a krople rosy na trawie wyschły do czasu, gdy rodzina w Kornsie zebrała się na skraju pola, by rozpocząć sianokosy. Urzędnik okręgowy Jón stanął po jednej stronie z dwoma parobkami, którzy niedawno wrócili z Reykjavíku, Bjarnim i Gudmundurem – obaj mieli długie blond włosy i brody. Kristín, Margrét i Lauga stanęły po drugiej stronie. Wszyscy czekali w milczeniu na Steinę i Agnes. Steina człapała przez podwórze, a za nią Agnes, która szła i jednocześnie okrywała chustą splecione w warkocze włosy.

– Jesteśmy – oznajmiła radośnie Steina. Agnes skinęła głową do Jóna i Margrét. Parobkowie zerknęli na nią, a potem popatrzyli po sobie.

Jón zaczął modlitwę.

– Panie nasz, dzięki Ci składamy za pogodę, którą zesłałeś nam w te żniwa. Modlimy się, byś raczył uchować nas przed niebezpieczeństwem i wypadkami i dał nam siano, którego potrzebujemy do przeżycia. W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, amen.

Parobkowie mruknęli „amen” i sięgnęli po kosy, niedawno wykute i zastrzone, lśniące. Gudmundur, krępy muskularny dwudziestoosmiolatek, wypróbował ostrze swojej kosy na włosku nadgarstka, a potem obrócił kosę i ściał trawę pod stopami. Podniósł wzrok i spostrzegł, że Agnes go obserwuje.

– Gudmundurze i Bjarni – powiedział urzędnik okręgowy Jón. – Będziecie kosić z Kristín i... – Zawahał się, zerknął na Agnes. Parobkowie popatrzyli na niego z niedowierzaniem.

– Dacie jej kosę? – spytał jakby nigdy nic Bjarni, mężczyzna o niezdrowo żółtej cerze. Roześmiał się nerwowo.

Margrét odchrząknęła.

– Agnes i Kristín koszą z wami trzema i Jónem. A Steina, Lauga i ja grabimy. – Zgromiła wzrokiem Gudmundura, który splunął na ziemię pod stopami.

– Dajcie im kosy – polecił spokojnie Jón i Gudmundur rzucił swoją na ziemię. Podniósł dwie inne kosy, po czym wręczył jedną Kristín, która dygnęła zdezorientowana, a drugą Agnes. Ta wyciągnęła po nią rękę, ale Gudmundur nie puszczał. Przez chwilę oboje stali, ściskając drzewce kosy, zanim parobek nagle je puścił. Agnes upadła do tyłu i ostrze drasnęło jej nogę.

– Idźcie po grabie, dziewczęta – powiedział Jón, ignorując śmiechy parobków i Laugi.

– Mocno się zraniłaś? – szepnęła Steina do Agnes.

Morderczyni z zaciśniętymi zębami pokręciła głową. Margrét spojrzała na córkę i zmarszczyła brwi.

†

Moje ciało poddaje się rytmowi. Kołyszę się na boki i pozwalam sile ciężenia opuszczać kosę i ciąć trawę. Aż w końcu czuję, że to nie ja się poruszam, lecz prowadzi mnie słońce. Aż staję się marionetką w rękach wiatru i kosy, i długich, posuwistych ruchów, które prowadzą moje ciało naprzód. Aż do momentu, gdy nie mogłabym się zatrzymać, nawet gdybym chciała.

To dobre uczucie – nie do końca panować nad sobą, być łagodnie kołysaną w przód i w tył, aż zapomina się, co to znaczy tkwić w bezruchu. Czuję się jak z Natanem przez te pierwsze miesiące, kiedy drżałam z każdym biciem serca i mogłabym umrzeć ze szczęścia, że jestem pożądana. Kiedy jego zapach, zapach siarki i otartych ziół, końskiego potu i dymu z kuźni sprawiał, że szumiało mi w głowie z rozkoszy. Od możliwości.

Czuję się upojona latem i słońcem. Pragnę chwycić i jeść niebo garściami. Kiedy kosy przesuwają ostrymi palcami po źdźbłach, ścięta trawa wydaje westchnienie.

Nagle zdaję sobie sprawę, że parobek Gudmundur mnie obserwuje. Zadał głowę i się gapi. Może myśli, że nie zauważyłam.

Miałam czternaście lat, kiedy mężczyźni zaczęli na mnie tak patrzeć. W marcu przybyłam do Gudrúnarstadir ze swoim dobytkiem w białym worku i głową obolałą od za mocno zaplecionych warkoczy. Pierwszy raz mnie najęto do pracy. Był tam zatrudniony młody parobek, wysoki chłopak o niezdrowej cerze, który bezwstydnie gapił się na służące dziewczyny – na Ingibjörg, Helgę i mnie. Unikaliśmy go. Słyszałam, jak dotyka się w ciemności – pośpieszne szelesty pod kocem, a potem stęknięcie lub czasem jęk.

Daję ciału się kołysać, rękom opadać. Czuję mięśnie brzucha, gdy napinają się i zginają. Kosa unosi się i opada, unosi i opada, ostrze połyskuje w słońcu, a odbite światło błyska prosto w moje oczy – świetliste mrugnięcie

Boga. Obserwuję cię, mówi kosa, przepływając przez morze zieleni, chwytając słońce i odbijając je do mnie. Parobek oddycha, macha kosą, łypie na moje nagie ramiona. Przecinam w powietrzu trawę i światło. Obserwuję cię, mówi kosa.

†

Zgodnie z obietnicą walebnym Tóti wrócił do Kornsy nazajutrz wczesnym rankiem, na długo zanim słońce podniosło się ze swego legowiska ponad morski horyzont. Mięśnie bolały go od pierwszego dnia żniw w Breidabólstadir, rozkoszował się zimnymi podmuchami wiatru na twarzy i mgiełką oddechu swojej kłaczy, gdy gnali szlakiem przez dolinę Vatnsdalur. Dzień wcześniej we wszystkich gospodarstwach w okręgu rozpoczęto sianokosy, a widok na wpół skoszonych łąk, trawy ułożonej w kopki, by siano nie zamokło od rosy, wywoływał wrażenie porządku i bogactwa. Bujna zieleń północy, jak to nazywano. Na wykoszonych łąkach drobne ptaki polowały w podskokach na owady nagle pozbawione kryjówek, a nad spadzistymi dachami chat i chałup w dolinie unosił się dym z palenisk.

W dużym gospodarstwie Hvammur na drugim brzegu rzeki, gdzie mieszkał Björn Blöndal z rodziną i służbą, dym unosił się z kilku kominów, był widoczny nawet z Kornsy. W płaskich drewnianych ścianach chat z darniny lśniły szklane okna, błyszczały jasno w żółtej poświacie wschodzącego słońca. Jak oczy, pomyślał Tóti. Był w poetyckim nastroju. Słyszał, że spora część procesu o morderstwa w Illugastadir odbywała się w jednej z sal gościnnych tej posiadłości, z widokiem na wijącą się rzekę i złociste kępy bagiennych traw.

Ciekawe, co wtedy myślała, zastanawiał się Tóti, spoglądając na gospodarstwo po drugiej stronie rzeki. Kiedy siedziała w tamtej sali i oświadczone jej, że ma umrzeć. Czy wyjrzała przez okno i zobaczyła kry na rzece? Może było zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć. Może okna

zasłonięto.

Urządник okręgowy Jón był przed domem z parobkiem i ostrzyli kosy. Jón podniósł osełkę w powitalnym geście i włożył kapelusz, zanim podszedł do gościa.

– Niech będzie pochwalony.

– Na wieki wieków – odrzekł radośnie Tóti.

– Przyjechał wielebny, żeby się z nią zobaczyć.

Tóti pokiwał głową.

– Jak znajdujecie Agnes?

Gospodarz wzruszył ramionami.

– Życie toczy się dalej.

– Dobrze pracuje?

– Pracuje dobrze, ale... – Umilkł.

Tóti uśmiechnął się łagodnie.

– To nie potrwa długo. – Poklepał go po plecach i ruszył do chaty.

– Jón Thórdarson zaproponował, że ich zabije – oznajmił nagle Jón.

Tóti się odwrócił.

– Słucham?

– Jón Thórdarson przyjechał kilka tygodni temu do Hvammur, bo chce być katem dla Fridrika, Siggi i Agnes. Stwierdził, że machnie toporem za funt tytoniu. – Pokręcił głową. – Za funt tytoniu.

– I co Blöndal na to?

Jón skrzywił się z niesmakiem.

– A jak wielebny myśli? Thórdarson jest nikim. Komisarz okręgowy upatrzył sobie kogoś innego, chociaż nie wszystkim się to podoba.

Tóti zerknął na parobka, który stał oparty o ścianę kuźni i przysłuchiwał się rozmowie.

– Kogo?

Jón pokręcił głową zdegustowany. Parobek odpowiedział za niego:

– Gudmundura Ketilssona. Brata Natana.



– Możemy pójść do izby, jeśli wolisz – powiedział Tóti, gdy o mało nie potknął się o kamienie przy strumyku szumiącym w pobliżu zagrody Kornsy.

– Lubię obserwować wodę – odrzekła Agnes.

– Bardzo dobrze. – Wytarł do sucha duży głaz przy brzegu i skinął ręką, żeby usiadła. Sam usiadł obok.

Znad strumyka rozciągał się piękny widok na pola za rzeką, ale Tóti mógł myśleć tylko o wcześniejszych słowach Jóna na temat kata. Zerknął ukradkiem na bladą szyję Agnes na tle szarych skał i wyobraził ją sobie rozplataną.

– Jak wczorajsze sianokosy? – zapytał, próbując myśleć o czymś innym.

– Było bardzo ciepło. – Agnes ze swojej chusty wyjęła motek wełny i kilka par drutów. – Chciał wielebny zapytać o moją rodzinę?

Tóti odchrząknął i wpatrzył się w ruch jej palców, gdy zaczęła robić na drutach.

– Tak. Urodziłaś się we Fladze.

Agnes skinęła głową w stronę podupadającej chałupy na lewo od Kornsy. Tamto gospodarstwo było na tyle blisko, że podmuchy wiatru niosły głosy służących, którzy wołali do siebie na podwórzu.

– Właśnie tam.

– Twoja matka była niezamężna.

– Dowiedział się tego wielebny z księgi parafialnej? – Agnes uśmiechnęła się z zaciśniętymi wargami. – Pastor pilnuje, by zawsze zanotować najważniejsze wiadomości.

– A twój ojciec, Magnús?

– Magnús też nie miał żony, jeśli o to wielebnemu chodzi.

Tóti się zawahał.

– W takim razie z kim mieszkałaś jako dziecko?

Agnes potoczyła wzrokiem po dolinie.

– Mieszkałam w większości tych gospodarstw.

– Twoja rodzina często się przenosiła?

- Nie mam rodziny. Matka opuściła mnie, kiedy miałam sześć lat.
  - Jak umarła? – spytał łagodnie Tóti. Zaskoczyło go, kiedy Agnes się roześmiała.
  - Moje życie wydaje się taką tragedią? Nie, zostawiła mnie, by zajęli się mną inni ludzie. Przypuszczam, że nadal żyje. Ktoś mi mówił, że odeszła w siną dal. Po prostu pewnego dnia wstała i sobie poszła. To było wiele lat temu.
  - Co masz na myśli?
  - Nie wiem nic o matce. Gdybym ją zobaczyła, nawet bym jej nie rozpoznała.
  - Bo miałaś zaledwie sześć lat, kiedy cię zostawiła?
- Agnes opuściła robótkę i spojrzała Tótiemu prosto w twarz.
- Musi wielebny zrozumieć, że o matce wiem tylko tyle, ile usłyszałam od innych ludzi. Głównie to, co robiła, a czego, jak wielebny rozumie, nie pochwalali.
  - Możesz mi powiedzieć, co takiego ci mówiono?
- Agnes pokręciła głową.
- Wiedzieć, co człowiek zrobił, a wiedzieć, kim jest, to dwie różne sprawy.
  - Czyny mówią więcej niż słowa.
  - Czyny kłamią – odparła prędko. – Czasami ktoś od początku nie ma żadnych szans. Albo popełnił błąd... To niesprawiedliwe. Ludzie twierdzą, że znają kogoś na podstawie tego, co zrobił, zamiast usiąść i wysłuchać, jakie ma wytłumaczenie. Choćby bardzo się starał wieść pobożne życie, jeżeli w tej dolinie popełnił jeden błąd, ludzie nigdy już nie zapomną. Bez względu na to, że człowiek próbował postąpić jak najlepiej. I nieważne, że wewnętrzny głos szepcze nieustannie „Nie jestem taka, jak mówicie”, to, jak myślą o człowieku inni, wpływa na to, kim jest.
- Umilkła, żeby zaczerpnąć tchu. Przed chwilą uniosła głos i Tóti zastanawiał się, co wywołało ten nagły potok słów.
- Właśnie tak było z moją matką, wielebny – podjęła. – Kim była

naprawdę? Pewnie nie taka, jak ludzie gadają, ale popełniała błędy i ludzie wyrobili sobie o niej zdanie. W tych stronach ludzie nie zapominają człowiekowi błędnych uczynków. Uważają, że tylko to warto zapisywać.

Tóti zastanawiał się przez chwilę.

– Co było błędem twojej matki?

– Mówiono mi, że popełniła ich wiele, wielebny. Ale przynajmniej jednym z tych błędów byłam ja. Miała pecha.

– Co masz na myśli?

– Robiła to, co wiele kobiet robi bez szkody, w sekrecie. Ale była jedną z tych nielicznych, które miały pecha, bo ich tajemnica wyszła na jaw.

Tóti poczuł gorący rumieniec na twarzy. Spuścił wzrok na swoje dłonie i odchrząknął.

Agnes spojrzała na niego.

– Znowu wielebnego uraziłam.

Pokręcił głową.

– Cieszę się, że mówisz mi o swojej przeszłości.

– Moja przeszłość uraziła wielebnego.

Przesunął się na głazie, próbując usiąść wygodniej.

– A co z twoim ojcem? – zapytał.

Agnes się roześmiała.

– Z którym? – Przestała robić na drutach. – Co było napisane w księdze parafialnej o moim ojcu?

– Że nazywał się Magnús Magnússon i że w czasie twoich narodzin mieszkał w Stóridalur.

Znów zaczęła robić na drutach, ale Tóti zauważył, że zacisnęła zęby.

– Gdyby porozmawiał wielebny z pewnymi ludźmi z tych stron, opowiedzieliby inną historię.

– Jak to?

Spojrzała na drugi brzeg rzeki, na gospodarstwa w dolinie i zaczęła po cichu liczyć palcem oczka na drucie.

– Przypuszczam, że teraz nie ma znaczenia, czy będę wobec wielebnego szczerą, czy nie.

– Mam nadzieję, że zaufasz mi i się zwierzysz – powiedział, nie rozumiawszy, o co jej chodzi.

– W księdze parafialnej powinno być napisane, że to Jón Bjarnason, gospodarz z Brekkukot. Mówiono mi, że to on jest moim prawdziwym ojcem, a Magnús Magnússon to tylko biedny parobek, który nie wykazał się zbytnim rozsądkiem.

Tóti się zdziwił.

– Czemu twoja matka miałaby podawać, że jesteś córką Magnúsa, jeżeli to nie była prawda?

Agnes odwróciła się do niego z półuśmiechem.

– Nie ma wielebnego pojęcia, jak ten świat działa? Jón z Brekkukot jest żonatym mężczyzną, który ma dość własnych prawowitych dzieci. No i oczywiście mnóstwo takich jak ja, może być wielebny pewny. Ale wydaje się mniejszym przestępstwem urodzić dziecko niezonatemu niż takiemu, który jest już związany ciałem i duchem z inną kobietą. Więc przypuszczam, że moja matka wybrała innego, żeby czynił honory mojego ojca.

Tóti zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– I wierzysz w to dlatego, że tak słyszałaś?

– Gdybym wierzyła we wszystko, co mi mówiono o mojej rodzinie, byłabym w jeszcze bardziej opłakanej sytuacji niż teraz, wielebny. Ale nie trzeba pobierać nauk w Kopenhadze czy gdzieś na południu, żeby się domyślić, kto w tych stronach jest czyim dzieckiem. Tutaj trudno zachować tajemnicę.

– Pytałaś kiedyś o to Jóna Bjarnasona?

– A co by to dobrego dało?

– Może wydobyłabyś od niego prawdę. – Tóti czuł się zawiedziony tą rozmową.

– Nie ma niczego takiego jak prawda – odparła Agnes, wstając.

Tóti również wstał i zaczął rozcierać tylną część spodni.

– Jest prawda. W Bogu – powiedział szczerze, gdy dostrzegł okazję, by spełnić swój duchowy obowiązek. – Ewangelia według świętego Jana, rozdział ósmy, wiersz trzydziesty drugi: Poznacie...

– Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi. Tak, wiem. – Zapakowała robótkę ręczną i druty do chusty i ruszyła w dół zbocza, z powrotem do gospodarstwa. – Nie w moim przypadku, wielbny Thorvardurze! – zawołała do niego. – Powiedziałam prawdę i proszę zobaczyć, dokąd mnie to zaprowadziło.

†

Wielebnemu na nic zda się czytanie ksiąg parafialnych... i ksiąg w ogóle – czego się z nich o mnie dowie? Tylko tego, co zdaniem innych ludzi jest we mnie ważne.

Czy gdy wielbny przeczytał moje imię i datę urodzenia w księdze kościelnej, zobaczył tylko pismo i zrozumiał tylko liczby? Czy może ujrzał mgłę tamtego dnia i usłyszał krakanie kruków, gdy wyczuły krew? Moją matkę, zapłakaną i tulącą mnie do swej ciepłej piersi. Gdy unikała spojrzeń kobiet z Flagi, dla których pracowała, i już wiedziała, że musi opuścić gospodarstwo i znaleźć pracę gdzie indziej. Ze świadomością, że żaden gospodarz nie zatrudni służącej z noworodkiem.

Jeżeli wielbny chce się dowiedzieć czegoś o mojej rodzinie, będzie miał kłopot. Dwaj ojcowie i matka, których pamiętam tak niewyraźnie, jak obcych ludzi znikających w śnieżycy. Mam kilka wyraźnych wspomnień matki. Jedno dotyczy dnia, kiedy mnie opuściła. Drugie jest z czasów, kiedy byłam mała i przyglądałam się jej w świetle kaganka w zimowy wieczór. Jest to milczące wspomnienie, któremu, jak pozostałym, nie mogę do końca ufać. Wspomnienia przesuwają się niczym sypki śnieg na wietrze albo są niczym chór widm, które wszystkie mówią równocześnie, przekrzykując się

nawzajem. Mam tylko ciągle poczucie, że to, co jest rzeczywiste dla mnie, nie jest takie dla innych, a dzielenie się z kimś takim wspomnieniem mogłoby tylko zaciemnić moje przeświadczenie o tym, co się naprawdę stało. Czy wielebny jest osobą z moich wspomnień, czy kimś zupełnie innym? Czy to zrobiłam, czy to zrobił ktoś inny? Magnús czy Jón? To jak cienka warstwa lodu na wodzie, zbyt krucha, by można było jej zaufać.

Czy moja matka patrzyła na swoje małeństwo i myślała, że pewnego dnia mnie zostawi? Czy spoglądała na moją zmarszczoną twarz z nadzieją, że umrę, czy po cichu zachęcała mnie, żebym chwytając się życia jak najmocniej? Może wyjrzała przez okno na dolinę, zamgloną i nieruchomą, i zastanawiała się, co może mi dać. Kłamstwo zamiast ojca. Ciemne włosy. Siennik do spania. Pocałunek. Kamyk, żebym mogła zrozumieć mowę ptaków i nigdy nie być samotna.

## Rozdział 5

Wiersz Rósy Poetki do Agnes Magnúsdóttir z czerwca 1828 roku

Undrast þarftu ei, baugabré  
þó beiskrar kennir þínu:  
Hefir burtu hrífsað þú  
helft af lífi mínu.

*Tym łzom się nie dziw, płyną prosto z serca.  
Przecież sens życia już mi ukradła,  
Kiedy zabrałaś mego oblubieńca,  
A życie własne posłałaś do diabła.*

Odpowiedź, którą dała Agnes Magnúsdóttir Rósie, czerwiec 1828 roku

Er mín klára ósk til þín,  
angurs tárur bundin:  
Ýfðu ei sárin sollin mín,  
solar báru hrundin.  
Sorg ei minnar sálar herð!  
Seka Drottin nádar,  
af því Jésus eitt fyrir verð  
okkur keypti báðar.

*Jednego tylko pragnę ja od ciebie,*

*Zapamiętałej w żalu swym i gniewie:  
Nie drap ran moich, bo krwawe i świeże.  
W to, co się stało, sama wciąż nie wierzę.*

*Żal przepętnia mi duszę tak jak tobie!  
Co dzień o łaskę modłę się do Pana.  
Pomnij, że Jezus odkupił nas obie  
W straszliwej męce ukrzyżowania.*

– Jak to jest, mieć ją tutaj, w tej samej izbie co wy? Mnie trudno byłoby zmrużyć oko – powiedziała Ingibjörg Pétursdóttir.

Margrét obejrzała się przez ramię, zerkając na kosiarzy, którzy żęli trawę nad rzeką.

– E tam, myślę, że nie ośmieliłaby się zrobić fałszywego kroku.

Odpoczywały na stosie drewna przed chatą w Kornsie. Ingibjörg, drobna, pospolicie wyglądająca kobieta z pobliskiego gospodarstwa, usłyszawszy, że kaszel uniemożliwił sąsiadce uczestniczenie w sianokosach, złożyła Margrét wizytę. Mimo że Ingibjörg nie miała w sobie nic z kostycznej bezpośredniości Margrét, przyjaźniły się i odwiedzały często, jeśli tylko rzeka dzieląca ich gospodarstwa zbyt nie wezbrała.

– Róslín jest przekonana, że wszyscy zostaniecie uduszeni we śnie.

Margrét roześmiała się zgryźliwie.

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że tego właśnie Róslín chce.

– Jak to?

– Dzięki temu miałyby o czym paplać.

– Nie mów tak.

– Och, Ingo, obie to wiemy, urodziła tyle bachorów, że poprzestawiało jej się w głowie.

– Najmłodsze ma krup.

Margrét uniosła brwi.



– W takim razie wkrótce wszystkie będą chore. Będziemy słyszeć ich płacz całymi nocami.

– Jest strasznie gruba.

Margrét się zawahała.

– Zamierzasz pomagać przy porodzie? Chyba nie potrzebuje. Rodziła już tyle razy...

Ingibjörg westchnęła.

– No nie wiem. Mam złe przeczucie.

Margrét spojrzała z uwagą w poważną twarz przyjaciółki.

– Coś ci się śniło?

Ingibjörg już chciała przytaknąć, lecz otrząsnęła się i zmieniła zdanie.

– To na pewno nic takiego. Zresztą nie popadajmy w ponury nastrój. Opowiedz mi o tej morderczyni!

Margrét roześmiała się mimo woli.

– No i proszę! Jesteś nie lepsza od Róslín.

– Ale jaka ona jest naprawdę? Jako człowiek. Boisz się jej?

Margrét zastanawiała się przez chwilę.

– Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie morderczynię – odrzekła w końcu. – Ta śpi, pracuje, je. Wszystko to robi w milczeniu. Równie dobrze mogłaby mieć zasznurowane usta, tak mało do mnie mówi. Ten młody wikariusz zaczął ją znowu odwiedzać w ciągu paru ostatnich tygodni i wiem, że Agnes z nim rozmawia, ale wielebny nie mówi mi o czym. Może o niczym. – Margrét spojrzała na pole. – Często zastanawiam się, co ona sobie myśli.

Ingibjörg podążyła wzrokiem za spojrzeniem przyjaciółki i obie popatrzyły na pochyloną Agnes koszącą trawę. Przy każdym zamachu ostrze rozbłyskiwało w słońcu.

– Kto wie? – mruknęła Ingibjörg. – Drzę na myśl o tym, co może siedzieć w tej jej ciemnowłosej głowie.

– Wielebny mówi, że jej matką była Ingveldur Rafnsdóttir.

Ingibjörg zamyśliła się na chwilę.

- Ingveldur Rafnsdóttir. Poznałam ją kiedyś. Łatwa kobieta.
- Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Dziwnie tak myśleć, że Agnes jest czyjąś córką. Nie wyobrażam sobie, by moje dziewczęta kiedykolwiek popełniły morderstwo.
- Ingibjörg pokiwała głową.
- A jak się miewają?
- Margrét wstała i otrzepała spódnicę z ziemi.
- Och, no wiesz... – Znowu się rozkaszała, więc Ingibjörg zaczęła rozcierać jej plecy.
- Już dobrze, spokojnie.
- Nic mi nie jest – wycharczała Margrét. – Steina myśli, że ją już znała.
- Ingibjörg popatrzyła na przyjaciółkę z zaciekawieniem.
- Myśli, że spotkaliśmy ją w drodze do Gudrúnarstadir, przed laty – dodała Margrét.
- Pewnie Steina znowu zmyśla.
- Margrét się skrzywiła.
- Bóg jeden raczy wiedzieć. Ja tego nie pamiętam. Właściwie martwię się trochę. Ona uśmiecha się do Agnes.
- Ingibjörg parsknęła śmiechem.
- Kiedy to uśmiech komukolwiek narobił kłopotów?
- Wielokrotnie! – odparła ostro Margrét. – Spójrz tylko na Róslín. Zresztą nie tylko to mnie martwi. Przyłapałam Steinę na zadawaniu Agnes pytań, a poza tym zauważyłam, że chętnie jej towarzyszy przy pracy. Spójrz. Teraz też jest blisko niej. – Wskazała Steinę, która zgarniała siano w pobliżu Agnes. – No nie wiem. Ale jak sobie pomyślę, co się stało z biedną Siggą, obawiam się, że to samo może spotkać moją córkę.
- Sigga? To ta druga służąca w Illugastadir?
- A jeżeli Agnes będzie miała taki sam wpływ na Steinę? Sprowadzi ją na złą drogę. Zasieje w jej głowie zło i zamęt.
- Przecież powiedziałaś, że Agnes właściwie nie odzywa się ani słowem.

– Tak, do mnie. Ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest inaczej z... Och, nieważne.

– A Lauga? – zapytała Ingibjörg po namyśle.

– Och, Laudze bardzo nie podoba się, że ją tutaj mamy. Zresztą tak jak nam wszystkim, ale Lauga nie chce spać w łóżku obok. Obserwuje ją niczym jastrzęb. Robi Steinie wyrzuty, kiedy ogląda się na Agnes.

Ingibjörg popatrzyła z uwagą na Laugę, która grabiła siano w równe rzędkie. Przy pokosach Laugi wały siana Steiny wyglądały koślawo jak dziecinne bazgroły.

– A co mówi Jón?

Margrét prychnęła.

– A co on w ogóle mówi? Kiedy poruszam ten temat, zaczyna mi gadać o swoich obowiązkach w stosunku do Blöndala. Ale zauważyłam, że jest czujny. Poprosił, żebym oddzieliła od niej córki.

– Trudno tego dokonać w gospodarstwie.

– Właśnie. Mogę je oddzielić tak, jak Kristín umie oddzielić mleko od śmietany.

– Och, moja droga...

– Kristín jest do niczego – stwierdziła rzeczowo Margrét.

– W takim razie dobrze, że masz dodatkową kobietę do pracy – zauważyła praktycznie Ingibjörg.

Obie przyjaciółki umilkły w poczuciu pełnego porozumienia.

†

Ostatniej nocy śnił mi się pień katowski. Śniło mi się, że jestem sama i czołgam się przez śnieg w stronę ciemnego drewnianego kloca. Ręce i kolana drętwiały mi z zimna, ale musiałam do niego dopełznąć.

Jego powierzchnia okazała się rozległa i gładka. Czuję zapach drewna. Nie tę solną woń, jaką ma drewno wyrzucone na brzeg przez morskie fale,

lecz cieplejszą i słodsza, aromat żywicy, jakby drewno krwawiło.

We śnie podźwignęłam się i położyłam głowę na pniu. Zaczął padać śnieg i pomyślałam sobie: To cisza, zanim opadnie topór. A potem zaczęłam się zastanawiać, skąd ten pień się wziął, skąd wzięło się tu drzewo, skoro drzewa w tych stronach nie rosną. Jest tu za cicho, pomyślałam we śnie. Za dużo tu kamieni.

Więc powiedziałam do drewna na głos: „Podleję cię, jakbyś wciąż rośło”. I z ostatnim słowem się obudziłam.

Sen mnie przestraszył. Odkąd zaczęły się sianokosy, poczułam namiastkę swojego dawnego życia i zapomniałam o gniewie. Sen przypomniawszy mi o tym, co się stanie, o tym, jak szybko biegną dni, a teraz leżę obudzona w izbie pełnej obcych ludzi i wpatruję się we wzór, w jaki układają się belki i darnina stropu. Serce łomocze mi w piersi mocno.

Muszę się załatwić. Drżąc, wstaję z łóżka i rozglądam się po podłodze w poszukiwaniu nocnika. Jest pod łóżkiem jednego z parobków, prawie pełny, a nie mam czasu, żeby go opróżnić. Moje rajtuzy są luźne i bez trudu opuściłam je do kostek. Kucam i kieruję gorący strumień moczu do naczynia, czując, jak rozbryzguje się na moim udzie. Na czoło występują mi krople potu.

Mam nadzieję, że nikt nie obudzi się i mnie nie zobaczy. Tak bardzo mi śpieszno, żeby skończyć i wsunąć nocnik z powrotem pod łóżko, że podciągam pończochy trochę za wcześnie. Ciepły strumień spływa po wewnętrznej stronie mojej nogi.

Czemu tak drżę? Kolana mam jak z galarety i z ulgą kładę się znowu do łóżka. Serce mi wali. Natan zawsze wierzył, że sny coś znaczą. Dziwne to było – śmiał się ze słowa Bożego, a tak bardzo ufał kipiącej ciemności godzin własnego spoczynku. Zbudował swój kościół z babskiego bajdurzenia i tajemnego języka pogody; widział mrugające oko Boga w zwyczajach morza, w wyskakującym z wody merlinie, w zgrzytaniu zębów owiec. Kiedy przyłapał mnie na tym, jak na progu chaty robiłam na drutach, oskarżył mnie,

że przedłużam zimę.

– Natura nas obserwuje – ostrzegł mnie. – Jest nie mniej przytomna niż ty i ja. – Poglądził mnie dłonią po czole. – I nie mniej skryta.

Myślałam, że mogę tu być służącą. Przez ponad miesiąc, który upłynął mi w Kornsie, zapomniałam, co mnie czeka. Dni pracy ukończyły mnie, dały ciału powód do odpoczynku, dzięki czemu spałam głęboko, pod powierzchnią snów wzburzaną złymi przecuciami. Aż do tej nocy.

Jestem tu obca. Nikt oprócz wielebnego i Steiny nie chce się do mnie odzywać; mówią do mnie jak najmniej. Ale czym różni się to od mojego dawnego życia, kiedy byłam służącą od najgorszych robót, która opróżniała nocniki? W porównaniu ze Stóra-Borg ta rodzina okazała się dobra i łaskawa.

Niedługo nadejdzie zima i jak wysoka fala rozbijająca się o brzeg zagarnie słońce i ciepło, skuje ziemię lodem. Wszystko szybko się skończy. A wielebny... jest taki młody, wciąż nie wiem, co mu powiedzieć. Myślałam, że może mi pomóc, tak jak pomógł przejść przez rzekę. Ale rozmowy z nim przypominają mi tylko, jak wszystko w życiu sprzysięgło się przeciwko mnie i jak brakowało mi miłości.

Oczekiwałam, że od razu mnie zrozumie. Chciałam, żeby mnie zrozumiał. Głupia jestem, bo myślałam, że mówimy tym samym językiem. Równie dobrze mogłabym mówić do niego z kamykiem w ustach i szukać języka porozumienia.

Wielebny przyjedzie z Breidabólstadir dopiero za kilka godzin – wciąż jest zbyt wcześnie, żeby wstać. Kładę ręce na kocu, każę sercu wolniej bić i myślę o tym, co powiem.

Tóti pragnie usłyszeć o mojej rodzinie, ale nie chce słuchać tego, co mówię. Nie przywykł pewnie do pokrzywionych i sękatych drzew rodzinnych, które rosną w tej dolinie, gdzie konary oplatają się jedne wokół drugich i są najeżone kolcami.

Nie powiedziałam mu jeszcze o Jóasie i Heldze. Może zainteresuje go, że mam rodzeństwo. Już wyobrażam sobie jego pytania: Gdzie są teraz?

Dlaczego cię nie odwiedzają?

Dlatego, wielebny, powiem, że więzy krwi nie są takie mocne. Każde z nas jest z innego ojca, a Helga nie żyje i spoczywa w grobie. Jóas? Cóż, to nie jest człowiek, którego można by do czegokolwiek nakłonić, nawet do odwiedzenia siostry, której los jest przypieczętowany.

Ach, ten Jóas. Nie umiem pogodzić w myślach mężczyzny o tępym spojrzeniu z mglistym wspomnieniem słodkiego chłopczyka, którego kiedyś pozwolono mi kochać.

Wspólna matka nosiła nas na rękach z miejsca na miejsce. Ile gospodarstw tak zwiedziliśmy? Wiele sypialni należących do innych gospodarzy i ich żon z przekrwionymi oczyma, na tyle łaskawych lub zrozpaczonych, by przyjąć kobietę z dwoma gębami do nakarmienia, które krzyczały nocami z głodu, bo nie wiedziały, że to nic nie da.

Najpierw Beinakelda. Podobno do czasu, gdy miałam trzy lata. Tylko mamma i ja. Nie pamiętam niczego. Wszystko ginie w mroku.

Potem Litla-Giljá. Nie pamiętam gospodarstwa, ale pamiętam gospodarza. Nazywano go Illugim Czarnym, był ojcem mojego brata. Pamiętam, jak siedziałam na klepisku i wycierałam dłonie o ziemię, gdy nagle zobaczyłam obok mężczyznę z oczami wywróconymi do góry i ciałem wstrząsanym drgawkami jak ryba wyrzucona na brzeg. Toczył pianę z ust. Wszystkie kobiety zaczęły krzyczeć. Później jęczał w łóżku, a jego żona o kwaśnej skórze przyciskała moją twarz do kościstej szyi, mówiąc:

– Módl się za niego. Módl się za niego.

Gdzie była wtedy moja matka? Pewnie kuciała nad nocnikiem, wypatrując krwi, która nie chciała wypłynąć.

Pamiętam krzyki. Illugi z wielką niedźwiedzią gębą, już zdrowy, drący się na żonę, która nie przestawała płakać... a obok nich moja mama w długiej sukience, wymiotująca na podłogę.

Illugi zmarł od tej trzęsączki, kiedy był na rybach. Powiadają, że pił, a potem dostał napadu, przewrócił łódkę i utopił się zaplątany we własne

sieci. Inni mówią, że była to odpowiednia kara dla człowieka, który łowił w elfich stawach, ale to są ci, którym zależało za skórę swoimi pijackimi awanturami i bójkami.

Co wielebny powiedziałby na to wszystko?

Jóas Illugason, urodzony w Brekkukot, w trzecim gospodarstwie. Miałam pięć lat i pozwalano mi przytykać szmatkę nasączoną mlekiem do jego łososioworóżowych dziąseł. Tamtejsze małżeństwo chciało go zatrzymać i wychować z dwojgiem własnych dzieci, i mamma mówiła, że mną też się zajmą i że tak będzie najlepiej. Przez następny rok wszyscy siedmioro byliśmy rodziną, a ja pomagałam w karmieniu chłopczyka o włosach tak jasnych, jak moje były ciemne. Pachniał roztopami i świeżą śmietaną.

Musieli jednak zmienić zdanie. Pewnego ranka zostałam wyrwana ze snu. Mamma, która mną potrząsała, patrzyła na mnie spuchniętymi oczyma. Zapytałam, dlaczego płacze, ale nie odpowiedziała. Wgramoliła się do łóżka ze mną i Jóasem i zasnęłam przytulona do gorącego łuku jej ciała, aż obudziło mnie krakanie kruków i zobaczyłam na podłodze swoje rzeczy spakowane do worka.

Tamtego ranka wyruszyliśmy pieszo i wróciliśmy w dolinę przy złej pogodzie i padającym śniegu. Myślałam, że zemdleję z głodu. Zatrzymaliśmy się na podwórzu w Kornsie i zanim zdążyłam dopić serwatkę, którą dała mi tamtejsza gospodyni, mamma szepnęła mi parę słów do ucha, wcisnęła w dłoń kamyk i zostawiła mnie, odchodząc z Jóasem na plecach.

Próbowałam za nią iść. Krzyczałam. Nie chciałam, żeby mnie zostawiali. Ale kiedy pobiegłam za nimi, potknęłam się i upadłam. Gdy wstałam, matka i brat już zniknęli i widziałam tylko dwa kruki. Ich pióra na tle śniegu były czarne niczym trucizna.

Długo myślałam, że te dwa ptaki to moja mama i brat. Ale nigdy nie odpowiedziały na moje pytania, nawet gdy pod język włożyłam kamień. Po latach dowiedziałam się, że mamma urodziła mi przyrodnią siostrę, Helgę, a Jóas jest teraz nędzarzem, dzieckiem parafii. Ale do tego czasu zdołałam

przekonać samą siebie, że ich już nie Kocham. Myślałam, że znalazłam lepszą rodzinę: Ingę i Björna, dzierżawców Kornsy.

†

– Jak spałaś? – Steina znalazła ją przy zagonie lubczyku, gdzie wylewała zawartość nocnika do dołu na nieczystości.

– Zamokniesz tutaj – powiedziała Agnes, nie spoglądając na nią. Kamieniem wygarnęła lepkie resztki z nocnika, a teraz wycierała go o trawę.

– Zbiera się na deszcz.

– Nie przeszkadza mi to. Pomyślałam, że pobędę z tobą. – Steina zakryła głowę chustą. – Proszę, żaden deszcz mi niestraszny.

Agnes zerknęła na nią i uśmiechnęła się lekko.

– Spójrz! – Steina wskazała ręką zejście do doliny, gdzie z północy napływały ciężkie szare chmury.

– Robi się coraz gorzej. Siano zamoknie.

– Pabbi jest zły. Warknął na Laugę, że przypaliła mu śniadanie, a nigdy się na nią nie denerwuje.

Agnes odwróciła się do dziewczyny.

– A wie, że jesteś tu ze mną?

– Chyba tak.

– Myślę, że powinnaś wrócić do domu.

– I co mam tam robić? Wysłuchiwać pretensji Laugi, że rozpałam za wysoki ogień? Nie, dziękuję. Zresztą na dworze czuję się szczęśliwsza.

– Nawet w deszczu?

– Nawet w deszczu. – Steina ziewnęła i popatrzyła na pole, na siano ułożone w kopki, żeby szybciej schło. – Cała praca na marne.

– Jak to na marne? Przyjdzie następny ładny dzień i dokończymy robotę. Wracaj do matki.

– Och, ona nie ma nic przeciwko temu.



– Owszem, ma. Nie podoba jej się, kiedy jesteś ze mną sama – stwierdziła ostrożnie Agnes.

– Jesteś tu już od wielu tygodni.

– Mimo wszystko. – Więźniarka ruszyła powoli w stronę rzeki. Steina poszła za nią.

– Myślisz, że przyjedzie dzisiaj wielebny?

Agnes nie odpowiedziała.

– O czym z tobą rozmawia?

– To moja sprawa – odwarknęła.

– Co?

– Powiedziałam, że to moja sprawa. Nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z twoją rodziną.

Steina przystanęła zaskoczona.

– Rozgniewałam cię?

Agnes zatrzymała się i odwróciła.

– Jak taka młoda kobieta mogłaby mnie rozgniewać?

Steina się nastroszyła.

– Bo moja rodzina trzyma cię w areszcie, a ojciec nie chce, żeby ktokolwiek z nas z tobą rozmawiał?

– Tak powiedział? – spytała Agnes.

– Uważa, że lepiej będzie dla nas, kiedy zostawimy cię po prostu przy pracy.

– Ma rację.

Steina dogoniła ją i łagodnie wzięła za ramię.

– Lauga się ciebie boi, wiesz? Nasłuchiwała się kłamstw Róslín. Ale nie wierzę w ani jedno słowo tych plotek. Pamiętam cię sprzed lat. Pamiętam, jak byłaś dobra, dzieliłaś się z nami jedzeniem. – Steina pochyliła się bliżej. –

Nie wierzę, że ich zabiłaś – szepnęła. Agnes stężała. – Może bym ci pomogła – zasugerowała pośpiesznie Steina.

– Jak? – zapytała Agnes. – Pomogłabyś mi uciec?

Dziewczyna puściła jej rękę.

– Myślałam o petycji – wymamrotała.

– O petycji.

Steina spróbowała jeszcze raz.

– No to o apelacji. Wiesz, to, co szykują dla Siggi.

Oczy Agnes błysnęły.

– Co?

– Blöndal wystąpił z apelacją dla tej drugiej – wydukała Steina.

– Dla drugiej?

– Dla Siggi... drugiej służącej z Illugastadir. Dla ukochanej Fridrika.

Agnes pobladła. Wolno postawiła nocnik na mokrej trawie i podeszła do Steiny.

– Blöndal wystąpił z apelacją dla Sigrídur Gudmundsdóttir? – zapytała ze śmiertelną powagą.

Steina pokiwała głową, trochę przestraszona. Opuściła spojrzenie na kamień, który Agnes wciąż ścisnęła w dłoni.

– Słyszałam, jak pabbi mówił o tym mamie – wyjaśniła. – Urzędnicy okręgowi rozmawiali o tym w Hvammur z Blöndalem. Tego samego dnia, kiedy tu przyjechałaś.

Agnes potrząsnęła głową.

– Myślałam, że wiesz – wymamrotała Steina.

Więźniarka spuściła wzrok na jej stopy.

– Blöndal? – wymamrotała pod nosem.

Steina zauważyła, że morderczyni ścisnęła kamień tak mocno, aż zbieleły jej palce.

– Przykro mi, że ci powiedziałam.

Agnes zachwiała się i cofnęła, a potem ruszyła niepewnym krokiem w stronę rzeki.

– Może udałoby nam się go przekonać, żeby zaapelował do króla także w twoim imieniu! – zawołała za nią dziewczyna. – Opowiedz im, co

naprawdę zdarzyło się w Illugastadir!

Agnes padła na ziemię przy brzegu rzeki, jej spódnica rozděła się wokół nóg. Steina w obawie, że zemdleła, podbiegła do niej. Więźniarka wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w wodę. Drżała. I nagle ciemne chmury spadły na ziemię w strugach lodowatej ulewy.

– Wstawaj! – krzyknęła Steina, mocniej owijając głowę chustą. – Musimy uciec z tego deszczu. – Ulewa zagłuszyła jej słowa.

Agnes obserwowała, jak krople wpadają w wartko płynący strumień, a powierzchnia wody przełamuje się tak, że odbicie gór fantastycznie się zniekształca. Wciąż trzymała w dłoni kamień.

– Przepraszam! – zawołała Steina. – Myślałam, że wiesz! – Jej chusta była przemoczona, sukienka zrobiła się ciężka od wody. Dziewczyna wahała się przez chwilę, stojąc przy brzegu, po czym odwróciła się i pobiegła pod górkę w stronę chaty. Ślizgała się w błocie. W połowie drogi odwróciła się i zobaczyła, że Agnes wciąż jest tam, gdzie ją zostawiła. Zawołała ją jeszcze raz, a potem ruszyła dalej błotnistą ścieżką do zagrody.

– O Boże, Steino! Gdzieżeś się podziewała? – Margrét wbiegła do korytarza, żeby zrugać starszą córkę, która zatrzasnęła za sobą drzwi chałupy. – Wyglądasz jak topielica!

– Agnes – wysapała Steina, upuszczając przemoczoną chustę na podłogę.

– Zrobiła ci krzywdę? O mój słodki Boże, miej nas w swojej opiece! Wiedziałam, że tak będzie! – Margrét objęła i przyciągnęła do siebie córkę, która trzęsła się z zimna.

– Nie, mamó! – wykrzyknęła Steina, odpychając matkę. – Ona potrzebuje pomocy, jest nad rzeką!

– Co się stało? – Lauga wyszła z kuchni. – Och, Steino! Ubłociłaś moją chustę.

– Nic mnie to nie obchodzi! – Steina zwróciła się znowu do matki. – Powiedziałam jej o apelacji w imieniu Sigrídur Gudmundsdóttir, a ona

zrobiła się jakaś dziwna i blada i teraz nie chce wstać!

– O czym ona mówi? – zapytała Margrét Laugę.

– Agnes! – pisnęła Steina. Rękawem otarła twarz z deszczu i ruszyła w głąb korytarza. – Muszę powiedzieć pabbiemu.

Jón siedział w badstofie i reperował swoje buty.

– Pabbi! Proszę, musisz pójść po Agnes. Powiedziałam jej o apelacji, którą Blöndal złożył w sprawie drugiej służącej z Illugastadir, i chyba oszalała.

Jón natychmiast upuścił buty na podłogę i wstał.

– Gdzie ona jest? – zapytał niskim głosem.

– Nad rzeką – odpowiedziała Steina, tłumiąc łzy. Jón wyciągnął spod łóżka wysokie buty i wciągał je pośpiesznie na nogi. – Przepraszam, pabbi. Myślałam, że Agnes o tym wiedziała! Chciałam jej pomóc.

Jón wyprostował się i chwycił córkę za ramiona.

– Mówiłem ci, żebyś trzymała się od niej z daleka!

Odepchnął ją i wybiegł z pokoju, wołając Gudmundura, który leżał na łóżku. Parobek podniósł się niechętnie. Steina usiadła i wybuchnęła płaczem.

Parę chwil później do badstofy weszły jej siostra i Kristín.

– Co pabbi powiedział? – spytała Lauga cicho, a gdy zobaczyła, gdzie Steina siedzi, dodała: – Oj! Wstawaj, zamoczysz mi łóżko.

– Zostaw mnie! – wrzasnęła Steina, aż Kristín uciekła z izby. – Zostaw mnie w spokoju!

Siostra uśmiechnęła się krzywo i pokręciła głową.

– Wpadłaś w szal, Steino. Co ty tam próbowałaś działać? Zaprzyjaźnić się z morderczynią?

– Idź do diabła!

Lauga rozdziawiła usta. Wyglądała, jakby miała się za chwilę rozpłakać, a potem zmrużyła oczy.

– Lepiej się pilnuj! – syknęła. – Żebyś nie stała się tak zła jak ona. – Już miała wyjść, ale jeszcze się zatrzymała. – Będę się o ciebie modlić –

mruknęła, pociągając nosem, a potem wyszła z izby.

Steina schowała twarz w dłoniach i płakała dalej.

†

Siedzę na łóżku i czekam, a Margrét, Jón i ich córki rozmawiają o mnie za szarą kotarą. Chociaż Margrét mówi świszczącym szeptem, jej słowa dolatują do mnie. Ręce mi się trzęsą i łomocze serce. Czuję się, jakbym jeszcze przed chwilą biegła – jakbym uciekała przed śmiertelnym zagrożeniem. To samo uczucie miałam w sądzie, kiedy zdawało mi się, jakbym patrzyła na wszystko z zewnątrz.

Mogłam być nędzarką, mogłam być ich służącą – aż do tamtych słów! Sigga! Illugastadir! Te słowa przykuwają mnie do wspomnienia, które wyrywa mi oddech z płuc. Słowa magiczne, klątwa, która zmienia mnie w potwora, i teraz jestem Agnes z Illugastadir, Agnes od pożaru, Agnes od trupów, z krwią wciąż oblepiającą ubrania, które dla niego uszyłam. Uwolnię Siggę, ale nie mnie, bo jestem krwawą, niegodziwą Agnes. I tak bardzo się teraz boję. Myślałam, że to mogę udawać, ale się myliłam, nie mogę od tego uciec, nie mogę uciec.

†

List był mały i krótki. Ścieśnione, pochyłe pismo na maleńkim kawałku papieru, linijki nachodziły na siebie, bo autor starał się oszczędzać miejsce. Tóti wziął liścik do przeczytania do badstofy, gdzie wcześniej zjadł obiad.

– Znowu Blöndal? – zapytał ojciec, nie podnosząc wzroku znad talerza z mięsem.

– Nie – odrzekł Tóti, szybko obrzucając wzrokiem wiadomość: „Przyjeżdżajcie, Wielebny, szybko. Chodzi o Agnes Magnúsdóttir. Wolę nie mówić o tym Blöndalowi. Wasz brat w Chrystusie, Jón Jónsson”. – To

z Kornsy.

– Czy oni tam nie wiedzą, że pada? I jeszcze jest niedziela – mruknął stary pastor.

Tóti usiadł przy stole i popatrzył na ojca. W jego brodzie widać było grudki zaschniętej owsianki.

– Powiniennem jechać – powiedział.

Wielebny Jón westchnął ciężko.

– Jest niedziela – powtórzył.

– Tak, dzień Boży. Do pracy Bożej.

Stary pastor wyciągnął z ust kawałek chrząstki, obejrzał ją, a potem znowu zaczął żuć.

– Ojczy?

– Mam nadzieję, że Blöndal wie, jak gorliwie wypełniasz jego wolę.

– Wolę Bożą – sprostował łagodnym tonem Tóti. – Dziękuję, ojczy. Wrócę dziś wieczorem. Albo jutro, jeżeli pogoda się pogorszy.

Zanim dotarł do przełęczy prowadzącej do doliny Vatnsdalur, był przemoczony do suchej nitki. Zobaczył przed sobą posłańca, który dostarczył mu list, i spieszył klacz ostrogami, żeby go dogonić.

– Hej! – zawołał, wpatrując się w grubą taflę deszczu.

Mężczyzna odwrócił się w siodle i Tóti rozpoznał jednego z parobków z Kornsy. Miał na sobie skóry, w które zwykle ubierają się rybacy.

– Więc wielebny przyjechał! Tylko my dwaj jedziemy w tej paskudnej pogodzie.

– Niedobra dla siana – powiedział Tóti, żeby nawiązać rozmowę.

– Nie musi mi wielebny tego mówić – prychnął parobek. – Jestem Gudmundur. – Uniósł rękę. – A wy jesteście wielebnym, który próbuje zbawić naszą morderczynię.

– Cóż, ja...

– Paskudna sprawa. Ciarki chodzą mi po plecach, jak o niej pomyślę.

– Jak to?

Parobek się roześmiał.

– Jest dzika.

Tóti spiął konia ostrogami, żeby nie zostać w tyle.

– Co się stało? Ten list...

– Dostała ataku szału. Cała przemoczona, leżała w błocie jak wariatka. Szarpała się z Jónem i ze mną, drapała, wrzeszczała. Widzi wielebny to? – Gudmundur wskazał siniec na swojej skroni. – To jej robota. Chciałem ją podnieść, a ona chciała roztrzaskać mi łeb kamieniem, przy czym cały czas złorzeczyła Blöndalowi. Tak samo ponoć zachowała się w Stóra-Borg i dlatego ją przeniesiono.

– Coś podobnego! – Agnes wydawała się Tótiemu tak bardzo opanowana.

– Myślałem, że mnie tam ubije.

– Co ją zdenerwowało?

Parobek pociągnął nosem i wytarł go palcami w rękawicze.

– A cholera ją wie. Jedna z dziewcząt coś powiedziała. Wspomniała o drugiej służącej, która została osądzona. O Sigdze.

Tóti patrzył na kałuże szarpane deszczem.

– Niebrzydka jest – powiedział Gudmundur, odwracając się do Tótego z błyskiem w oku.

– Słucham?

– Agnes. Ładne włosy i w ogóle... Ale jak dla mnie za wysoka. Powinna być o głowę niższa. – Puścił do wielebnego oko.

Tóti nacisnął kapelusz mocniej na głowę. Deszcz na chwilę zelżał, a potem znów się nasilił, gdy wjechali w dolinę. Płachty szarości spadały ze skalistych turni.

Kiedy Tóti wszedł do badstofy, Agnes siedziała na łóżku. Służąca Kristín przyniosła mu stołek, a młodsza córka gospodarzy zajęła się jego przemoczonymi ubraniami. Gdy schyliła się, by rozwiązać mu buty, zerknął w ciemny kąt na Agnes. Była dziwnie nieruchoma.

Z nagłym szarpnięciem, od którego o mało nie spadł ze stołka, Lauga ściągnęła mu drugi but.

– Zostawię was teraz samych – wymamrotała i niosąc buty w wyciągniętych do przodu rękach, wyszła z izby.

Tóti w wilgotnych skarpetach podszedł do Agnes. Siedziała oparta o drewniany słupek łóżka. Była skuta kajdanami.

Wymówił jej imię.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego apatycznie.

Usiadł na brzegu jej łóżka. Wargę miała rozciętą i zakrwawioną. W słabym świetle jej skóra wyglądała szaro.

– Co się stało? – zapytał łagodnie. – Dlaczego znowu cię zakuli?

Spojrzała na swoje nadgarstki, jakby zaskoczył ją widok żelaznych obręczy.

– Sigga będzie miała apelację. Blöndal wystąpił do króla z prośbą o złagodzenie jej kary. – Jęknęła. – Współczują jej.

Tóti usadowił się wygodniej i pokiwał głową.

– Wiedziałem.

Agnes była wstrząśnięta.

– Wiedział wielebny?

– Tobie też współczują – dodał, pragnąc ją pocieszyć.

– Myli się wielebny – syknęła. – Mnie nie współczują; nienawidzą mnie. Wszyscy mnie nienawidzą. Zwłaszcza Blöndal. A co z Fridrikiem? Jego wyrok też zaskarżyli?

– Nie wydaje mi się.

Jej oczy błysnęły w półmroku. Tóti pomyślał, że może się rozplakała, ale kiedy pochyliła się w jego stronę, stwierdził, że nie uroniła ani jednej łzy.

– Powiem wam coś, wielebny Tóti. Przez całe życie ludzie uważali, że jestem zbyt bystra. Mądrała z ciebie, mawiali. I właśnie dlatego mi nie współczują. Uważają, że jestem zbyt mądra na to, żeby wplątać się w coś takiego przez przypadek, nieświadomie. Ale Sigga jest głupiutka, ładna



i młoda, dlatego nie chcą jej zabijać. – Znowu oparła się o słupek, zmrużyła oczy.

– Nie jestem pewien, czy to prawda – powiedział Tóti, próbując ją ukoić.

– Czy wielebny sądzi, że gdybym była młoda i nierozgarnięta, ktokolwiek wytykałby mnie palcem? Nie. Całą winę zwałiliby na Fridrika, uznając, że nas zmusił. Że zmusił nas do zabicia Natana, bo pragnął jego pieniędzy. Że Fridrik pożądał tego, co Natan posiadał, nie było żadną tajemnicą. Ale widzą, że mam głowę na karku, i uważają, że kobiecie myślącej nie można ufać. Uważają, że w takim przypadku nie ma miejsca na niewinność. I czy się to wielebnemu podoba, czy nie, taka jest prawda.

– Myślałem, że nie wierzysz w prawdę – ośmielił się przypomnieć Tóti.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego tymi niesamowicie jasnymi oczyma. Skrzywiła się.

– Mam pytanie co do prawdy. Uważa wielebny, że Bóg mówi prawdę?

– Zawsze.

– I Bóg powiedział: „Nie zabijaj”?

– Tak – rzekł ostrożnie Tóti.

– W takim razie Blöndal i pozostali postępują wbrew Bogu. Są hipokrytami. Twierdzą, że wykonują prawo boskie, ale to tylko wola ludzi!

– Agnes...

– Próbuję miłować Boga, wielebny. Naprawdę. Ale nie mogę miłować tych ludzi... Nienawidzę ich. – Ostatnie słowa wycodziła przez zaciśnięte zęby, ściskając łańcuch od kajdan.

Rozległo się pukanie do drzwi i do badstofy weszła Margrét z córkami oraz Kristín.

– Przepraszam, wielebny. Proszę się nami nie przejmować. Będziemy pracować i rozmawiać między sobą.

Tóti ponuro kiwnął głową.

– Jak sianokosy?

Margrét prychnęła.

– Ech, ten dżdżysty sierpień... – Zająła się robieniem na drutach.

Tóti spojrział na Agnes, która uśmiechnęła się do niego blado.

– Teraz jeszcze bardziej się mnie boją – wyszeptwała.

Pomyślał chwilę, a potem odwrócił się do pracujących kobiet.

– Margrét, czy można zdjąć te kajdany?

Gospodyni odłożyła druty, wyszła z izby i zaraz wróciła z kluczem w dłoni.

Rozkuła więźniarkę.

– Położę je tutaj – oznajmiła, kładąc stalowe obręcze na półce nad łóżkiem.

– Na wypadek gdyby wielebny ich potrzebował.

Tóti odczekał, aż Margrét wróciła na drugi koniec izby.

– Nie zachowuj się znowu w ten sposób – powiedział do Agnes cicho.

– Nie byłam sobą – odparła.

– Mówisz, że cię nienawidzą? Nie dostarczaj im dodatkowych powodów.

– Cieszę się, że wielebny przyjechał. – I dodała: – Miałam dzisiaj sen.

– Mam nadzieję, że dobry.

Pokręciła głową.

– Co ci się przyśniło?

– Śmierć.

Tóti przełknął ślinę z wysiłkiem.

– Boisz się? Chciałabyś, żebym się o ciebie pomodlił?

– Niech wielebny robi, co chce.

– Pomódlmy się w takim razie.

Zerknął na pracujące kobiety, po czym wziął Agnes za rękę. Jej dłoń była zimna i wilgotna.

– Panie Boże, modlimy się do Ciebie tego wieczoru z sercami przepelnionymi smutkiem. Daj nam siłę, byśmy znieśli brzemię, które musimy nosić, i odwagę, by stawić czoło naszemu losowi.

Umilkł i spojrział na Agnes. Zdawał sobie sprawę, że pracujące kobiety też go słuchają.

– Panie – podjął – dzięki Ci za rodzinę w Kornsie, która otworzyła dom

i serca dla Agnes i dla mnie. – Usłyszał, że Margrét chrząknęła. – Modlę się za nich wszystkich. Modlę się o ich miłosierdzie i wybaczenie. Nie opuszczaj nas nigdy, o Panie, modlimy się do Ciebie, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Agnes popatrzyła na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Myśli wielebny, że trafiłam tu, bo taki był mój los?

Tóti zastanawiał się przez chwilę.

– Nasz los zależy od nas samych.

– Więc nie ma nic wspólnego z Bogiem?

– Tego nie możemy wiedzieć. – Tóti łagodnie odłożył jej dłoń z powrotem na koc. Chłód tej nieszczęsnej skazanej budził w nim niepokój.

– Jestem zupełnie sama – stwierdziła Agnes prawie obojętnie.

Tóti zerknął na kobiety robiące na drutach. Lauga wyrwała Steinie na wpół zrobioną skarpetę i zaczęła ją pruć, żeby naprawić jakiś błąd.

– Nie masz nikogo bliskiego, kogo mógłbym wezwać? – szepnął do Agnes.

– Kogoś z dawnych lat?

– Mam przyrodniego brata, ale jeden Bóg raczy wiedzieć, gdzie teraz zajmuje miejsce w badstofie. Była jeszcze przyrodnia siostra. Helga. Nie żyje. Bratanica. Nie żyje. Wszyscy umarli.

– A przyjaciele? Nikt z przyjaciół nie odwiedzał cię w Stóra-Borg?

Uśmiechnęła się z goryczą.

– Jedyнным moim gościem w Stóra-Borg była Rósa Gudmundsdóttir z Vatnsendi. Raczej nie nazwałabym jej swoją przyjaciółką.

– Rósa Poetka?

– Właśnie.

– Podobno mówi wierszem.

Agnes westchnęła.

– Przyszła do mnie do Stóra-Borg z wierszem.

– W prezencie?

Wyprostowała się i pochyliła w jego stronę.

– Nie, wielebny – odrzekła. – To było raczej oskarżenie.  
– O co cię oskarżyła?  
– Że przeze mnie jej życie straciło sens. – Pociągnęła nosem. – Między innymi o to. To nie był jej najlepszy utwór.  
– Musiała być zdenerwowana.  
– Rósa obwiniła mnie, kiedy Natan umarł.  
– Kochała go.  
Agnes zacisnęła wargi.  
– Była mężatką! – wykrzyknęła głosem drżącym od gniewu. – Nie miała prawa go kochać!  
Tóti zauważył, że kobiety przestały robić na drutach. Doskonale usłyszały ostatnie słowa Agnes. Wstał i poszedł do nich po wolny stołek.  
– Obawiam się, że wam przeszkadzamy – powiedział.  
– Na pewno nie chce wielebny użyć kajdan? – spytała nerwowo Lauga.  
– Myślę, że bez nich jest lepiej. – Wrócił do Agnes. – Porozmawiajmy o czymś innym. – Zależało mu na tym, żeby na oczach rodziny z Kornsy zachowała spokój.  
– Słyszały? – szepnęła.  
– Porozmawiajmy o twojej przeszłości – zaproponował. – Opowiedz mi o swoim przyrodnim rodzeństwie.  
– Ledwie je znałam. Miałam pięć lat, kiedy urodził się brat, i dziewięć, kiedy usłyszałam o Heldze. Zmarła, gdy miałam dwadzieścia jeden lat. Widziałam ją tylko kilka razy w życiu.  
– I nie czujesz się z bratem blisko związana?  
– Liczył sobie dopiero cztery zimy, jak nas rozdzielono.  
– Wtedy matka cię zostawiła?  
– Tak.  
– Pamiętasz ją z wcześniejszych czasów?  
– Dała mi kamyk.  
Tóti spojrział na nią pytająco.

– Żebym go sobie wkładała pod język – wyjaśniła. – To taki zabobon. – Zmarszczyła brwi. – Sekretarze Blöndala go zabrali.

Choć Tóti był odwrócony, zdawał sobie sprawę z tego, że Kristín wstała i zapaliła kilka świeczek – przez złą pogodę w izbie było dosyć ciemno, a teraz zaczęło zmierzchać. Przed sobą widział tylko blade smugi nagich ramion więźniarki. Jej twarz tonęła w cieniu.

– Myśli wielebny, że dadzą mi robić na drutach? – szepnęła Agnes. – Chciałabym coś robić, kiedy z wielebny rozmawiam. Nie mogę znieść bezczynności.

– Margrét! – zawołał Tóti. – Masz może jakąś pracę dla Agnes?

Gospodyni zastanowiła się, po czym wyciągnęła rękę i zabrała Steinie robótkę.

– Proszę – powiedziała. – Mnóstwo puszczonej oczek. Trzeba spruć. – Zignorowała przy tym zawstydzoną minę Steiny.

– Żal mi jej – powiedziała Agnes, powoli prując kolejne rzędy poplątanej wełny.

– Steiny?

– Mówiła, że chce wystąpić z petycją w mojej sprawie.

Tóti się zawahał. Patrzył, jak Agnes sprawnie zwija wełnę w kłębek, i nic nie mówił.

– Uważa wielebny, że to możliwe? Wnieść apelację do króla?

– Nie wiem.

– Czy zapytałby wielebny Blöndala? On posłuchałby wielebnego, a Steina mogłaby porozmawiać z urzędnikiem okręgowym Jónem.

Tóti myślał o przepojonym moralną wyższością tonie Blöndala.

– Obiecuję zrobić, co będę mógł. A teraz może ze mną porozmawiasz.

– Znowu o moim dzieciństwie?

– Jeśli chcesz.

– Dobrze. – Usadowiła się wyżej, żeby łatwiej jej było robić na drutach. – Co opowiedzieć?

- Opowiedz, co pamiętasz.
  - To wielebnego nie zainteresuje.
  - Czemu tak myślisz?
  - Jest wielebny kapłanem – rzekła stanowczo Agnes.
  - Chciałbym posłuchać o twoim życiu – odparł łagodnie.
- Odwróciła się, sprawdzając, czy kobiety nadal słuchają.
- Mówiłam wielebnemu, że mieszkałam w większości gospodarstw w tej dolinie.
  - Tak – przyznał Tóti.
  - Najpierw jako sierota, a potem jako uboga.
  - To ciężka dola.
- Agnes zacisnęła wargi.
- Nie ja jedna jej doświadczyłam.
  - Kim byli twoi przybrani rodzice?
  - Ta rodzina mieszkała tu, gdzie teraz siedzimy. Moi przybrani rodzice nazywali się Inga i Björn, wtedy dzierżawili Kornę. Aż do śmierci Ingi.
  - I wówczas znalazłaś się na garnuszku parafii?
  - Tak. – Agnes pokiwała głową. – Tak to już jest. Większość dobrych ludzi wkrótce trafia do piachu.
  - Przykro mi to słyszeć.
  - Nie ma powodu, by było wielebnemu przykro, oczywiście chyba że ją wielebny zabił. – Zerknęła na niego i Tóti zauważył, jak po twarzy przemknął jej uśmiech. – Kiedy Inga umarła, miałam osiem lat. Jej ciało nigdy nie nawykło do rodzenia dzieci. Pięcioro zmarło przed urodzeniem, zanim urodził się mój przybrany brat. Siódme dziecko zabrało ją do nieba.
- Agnes pociągnęła nosem i zaczęła robić kolejny rząd. Tóti wsłuchiwał się w cichy stukot kościanych drutów i zerknął ukradkiem na jej dłonie. Palce, długie i smukłe, poruszały się zdumiewająco szybko. Stłumił irracjonalną pokusę, by ich dotknąć.
- Osem lat – powtórzył. – I pamiętasz jej śmierć bardzo dobrze?

Agnes opuściła robótkę i spojrzała znowu na kobiety, które umilkły. Wyraźnie jej słuchały.

– Czy pamiętam? – powtórzyła trochę głośniej. – Chciałabym zapomnieć. – Odwinęła wełnę z palca wskazującego i uniosła go do czoła. – Tutaj – powiedziała – mogę wrócić do tamtego dnia, jakby to była kartka w książce. Zapisał się w mojej pamięci jak pieczęć, prawie czuję smak tuszu.

Spojrzała prosto na Tótego, wciąż przyciskając palec do czoła. Błysk w jej oczach i zakrwawiona warga wzbudziły w nim lęk i zastanawiał się, czy wiadomość o apelacji w sprawie Siggii rzeczywiście nie doprowadziła jej do obłądu.

– Co się stało? – zapytał.

## Rozdział 6

*My, sekretarze zatrudnieni w Stapar w Vatnsnes, 29 marca 1828 roku sporządziliśmy – podług ustnej relacji komisarza okręgowego Blöndala – spis przedmiotów należących do więźniarek Agnes Magnúsdóttir i Sigrídur Gudmundsdóttir, służących z Illugastadir. Następujące rzeczy należące, jak ustalono, do wyżej wymienionych mają następującą wartość:*

*AGNES MAGNÚSDÓTTIR*

- 1. Chusta kobieca z niebieskiej tkaniny wełnianej – 48 szylingów*
- 2. Stara niebieska sukienka z niebieskim stanikiem z tkaniny wełnianej, z kołnierzem czerwonym i ośmioma guzikami srebrnymi – 1 talar bankowy 64 szylingi*
- 3. Niebieska koszula z tkaniny wełnianej, z kołnierzem zielonym z sześcioma cynowymi ozdobami na brzegach – 20 szylingów*
- 4. Stary niebieski kapelusz i resztki kapelusza czarnego, spalone – 10 szylingów*
- 5. Dwie długie czarne spódnice – 20 szylingów*
- 6. Stara halka z wyblakłej niebieskiej tkaniny – 80 szylingów*
- 7. Fartuch w paski z tkaniny islandzkiej – 10 szylingów*
- 8. Jedna miara białej tkaniny wełnianej – 16 szylingów*
- 9. Książeczka ewangelizacyjna, brak str. 33–38 – 16 szylingów*
- 10. Cztery miary zielonej tkaniny z brzegiem „sarte”, uszkodzonej – 10 szylingów*
- 11. Jedna mała szklanka i jedna filizanka – 16 szylingów*



12. *Barwnik indygo i dwie kartki papieru – 20 szylingów*
13. *Dwa druty do robótek i jedna para starych nożyc – 6 szylingów*
14. *Siedem miedzianych guzików i dwa srebrne guziki, około dwudziestu innych guzików, a także haftek miedzianych – 24 szylingi*
15. *Biały worek z bezużytecznymi drobiazgami w środku – 20 szylingów*
16. *Dwie pary skarpet, jedna niebieska, druga biała, z poźółką podeszwą – 21 szylingów*
17. *Pudełeczko z igłami, napairstkiem i jedną parą białych rękawiczek – 8 szylingów*
18. *Jedno nieduże pudełko, jedna drewniana miska i kilka małych pudełek – 20 szylingów*

*SIGRÍÐUR GUDMUNDSDÓTTIR*

1. *Dwie poźółkłe chusty, uszkodzone – 80 szylingów*
2. *Niebieska spódnica z tkaniny wełnianej, marnej jakości – 40 szylingów*
3. *Niebieska sukienka z uszkodzonym stanikiem – 24 szylingi*
4. *Kawałek starego, cienkiego płótna w paski – 24 szylingi*
5. *Stary niebieski kapelusz obszyty u góry zielonym jedwabiem, uszkodzony – 8 szylingów*
6. *Mała koszula nocna z bluzką do kompletu, z zielonego jedwabiu – 10 szylingów*
7. *Jedna owca, obecnie w Illugastadir, i siano – 2 talary bankowe*

Oto co mówię wielebnemu.

Śmierć nadeszła tak, jak zwykle się to dzieje, a jednak zupełnie inaczej niż we wszystkich innych przypadkach.

Zaczęło się od zorzy polarnej. Zima była tak mroźna, że jak budziłam się co rano, na kocu widziałam mgiełkę pyłu lodowego od mojego zamarzającego oddechu. Mieszkałam wtedy w Kornsie od dwóch czy trzech lat. Kjartan, mój

przybrany braciszek, miał trzy latka. Ja byłam tylko o pięć wiosen starsza.

Pewnego wieczoru pracowałyśmy z Ingą w badstofie. W tamtych czasach mówiłam jej „mamma”, bo tak dużo dla mnie znaczyła. Zauważyła, że chętnie chłonę wiedzę, więc uczyła mnie, co umiała sama. Do jej męża, Björna, też próbowałam mówić „pabbi”, ale mu się to nie podobało. Nie podobało mu się również to, że piszę i czytam, i próbował wybić mi to z głowy za pomocą chłosty, kiedy mnie przy tym zobaczył. Nie przystoi dziewczynie, powiadał. Inga była chytra; czekała, aż zasnął, a potem budziła mnie i wspólnie czytałyśmy psalmy. Uczyła mnie sag. Podczas kvöldvaki recytowała je z pamięci, a gdy Björn zasypiał, prosiła, żebym je powtarzała. Björn nigdy się nie dowiedział, że żona łamała jego zakazy, i wątpię, by rozumiał, dlaczego kochała sagi. Znosił jej opowieści tak, jak znosi się niepojęty kaprys dziecka. Nie wiem, czemu wzięli mnie pod opiekę. Może byli krewnymi mojej matki. Albo co bardziej prawdopodobne, potrzebowali dodatkowej pary rąk do pracy.

Tamtego wieczoru Björn wyszedł nakarmić bydło, a kiedy wrócił, był w dobrym humorze.

– Ale tu ciemno! Mrużycie oczy przy lampie, podczas gdy niebo całe płonie. – Śmiał się. – Chodźcie zobaczyć zorzę – powiedział.

Odłożyłam przedzenie, wzięłam Kjartana za rękę i wyprowadziłam go na dwór. Mamma Inga była w ciąży, więc nie poszła z nami, dalej haftowała. Robiła nową narzutę na moje łóżko, ale nigdy jej nie skończyła, a ja po dziś dzień nie wiem, co się z nią stało. Może Björn ją spalił. Spalił mnóstwo jej rzeczy, już później.

Tak więc Kjartan i ja wyszliśmy na mróz. Śnieg skrzypiał nam pod nogami. Całe niebo mieniło się od barw – nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. Wielkie zasłony światła nad nami falowały jak poruszane wiatrem. Rzeczywiście wyglądało to tak, jakby niebo powoli się spalało. Światła przygasały, odpływając niczym fale, a potem nagle rozbłyskiwały nowe smugi zieleni, jakby coś spadało z wielkiej wysokości.

– Spójrz, Agnes. – Mój przybrany ojciec wziął mnie za barki i obrócił w stronę gór. Skalne szczyty ciemniały na tle zorzy. – Sprawdź, czy uda ci się ich dotknąć – powiedział Björn.

Rzuciłam na śnieg swoją chustę i wyciągnęłam ręce wysoko ku niebu.

– Wiesz, co to znaczy? – zapytał. – To znaczy, że będzie burza. Zorza polarna zawsze zwiastuje złą pogodę.

Następnego dnia wiatr zaczął hulać wokół chaty, podrywając śnieg, który napadał przez noc, i ciskając nim o suche skóry, które rozpięliśmy na oknach, żeby ochronić się przed zimnem. Był to złowróźbny dźwięk – wicher łomotał, rzucając lodem w nasz dom.

Inga nie czuła się tego ranka dobrze i została w łóżku, więc sama przygotowywałam posiłek. Byłam w kuchni i ustawiałam kociołek nad paleniskiem, kiedy Björn wszedł ze składziku.

– Gdzie jest Inga? – zapytał mnie.

– W badstofie – odpowiedziałam. Obserwowałam, jak zdejmuje czapkę i strzepuje lód do paleniska. Woda obryzgała gorące kamienie.

– Ogień za bardzo dymi – powiedział, marszcząc brwi, i wyszedł z kuchni.

Kiedy ugotowałam polewkę z mchu, zaniósłam ją do badstofy. W izbie było ciemno. Podałam posiłek Björnowi i pobiegłam do składziku po olej do lamp. Składzik znajdował się w pobliżu drzwi i kiedy się do nich zbliżyłam, usłyszałam wycie wichru, coraz głośniejsze i głośniejsze, więc wiedziałam, że burza szybko nadchodzi.

Nie jestem pewna, czemu odryglowałam drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Przypuszczam, że z ciekawości. Jakiś dziwny przymus pchnął mnie do tego, by wyrzeć na dwór.

Ciemne chmury ciągnęły znad szczytów gór, a pod ich skłębioną czernią jak okiem sięgnąć wirował szary śnieg. Szalał potężny wicher. Nagle silny lodowaty podmuch uderzył w drzwi tak mocno, że mnie przewrócił. Świeca w korytarzu zgasła, a z głębi chaty Björn krzyknął, co mi, do diaska, strzeliło do głowy, że wpuszczam śnieżycę do domu.

Oparłam się o drzwi całym ciężarem, żeby je zamknąć, ale wicher był zbyt silny. Jak demon, który domaga się wstępu. Potem ni stąd, ni zowąd wiatr osłabł i drzwi się zatrzasnęły. Jakby zły duch wreszcie wszedł do środka i zamknął je za sobą.

Wróciłam do badstofy z olejem i napełniłam nim kaganki. Björn był na mnie zły, że wpuściłam do domu zimno. Mogło Indze zaszkodzić.

Śnieżyca szalała wokół naszej chaty przez następne trzy dni. Drugiego dnia Inga zaczęła rodzić.

Przedwcześnie.

Późno w nocy, wśród wycia wichru, wśród bębnienia o okna śniegu i lodu, u Ingi zaczęły się straszne bóle.

Björn posłał Jóna, parobka, do gospodarstwa swego brata po szwagierkę i ich służącą. Nakazał Jónowi, by powiedział kobietom, co się dzieje, tak by przynajmniej udzieliły rady, gdyby nie mogły z nim przyjść.

Jón zaprotestował, że śnieżyca jest zbyt potężna i nie można go nigdzie posyłać, lecz Björn był wymagający. Tak więc parobek ubrał się ciepło i wyszedł, ale wkrótce wrócił okryty lodem i śniegiem, i powiedział mojemu przybranemu ojcu, że nie widzi nawet na dwa kroki przed sobą i nie pójdzie dalej niż do stodoły, bo burza go zabije. Mimo to Björn kazał mu spróbować jeszcze raz. Jón wrócił przemarznięty i oświadczył, że ledwo może ustać na wietrze i nie uszedł więcej niż trzy kroki. Mój przybrany ojciec złapał go za kołnierz i wypchnął za drzwi. Myślę, że gdy otworzył drzwi, zobaczył, jak niebezpiecznie jest na dworze, bo kiedy parobek wrócił po kilku chwilach, trzęsąc się z zimna i złości, nic nie powiedział, tylko pozwolił mu się rozebrać i położyć do łóżka, żeby mógł dojść do siebie.

Jestem pewna, że Björn wtedy też się bał.

Inga jęczała z bólu, blada jak kreda, rozdygotana i zлана potem. Björn zaniósł ją z badstofy do mieszkania na strychu – kiedyś był w tej chacie strych – żeby miała trochę spokoju. Gdy wziął ją na ręce, okazało się, że jej koszula nocna i pościel są mokre od wody. Krzyknęłam z zaskoczenia.

Myślałam, że się posikała.

– Nie ruszaj jej, Björn! – zawołałam, ale zignorował mnie i zaniósł moją przybraną mamę po schodach na górę, prosząc, żebym zagotowała wodę i przyniosła mu trochę vadmalu. Zrobiłam, jak mi polecił, dając mu kawałek tkaniny, który sama utkałam. Zapytałam, czy mogę zobaczyć mamę, ale kazał mi zaopiekować się Kjartanem, więc wróciłam do badstofy.

Kjartan musiał się zorientować, że dzieje się coś złego. Cicho płakał. Kiedy usiadłam na naszym łóżku, przygramolił się do mnie. Wzięłam go na kolana, bo sama się bałam i potrzebowałam pocieszenia. Tak siedzieliśmy we dwoje i słuchając wycia śnieżycy, czekaliśmy, aż Björn powie nam, co mamy robić.

Czekaliśmy bardzo długo. Kjartan zasnął wtulony w moją szyję, więc położyłam go w naszym łóżku, a sama próbowałam gręplować wełnę. Rozczesywałam zgrzeblami poplątane włókna, wyskubując kołtunki, ale palce mi drżały. Przez cały ten czas słyszałam krzyki Ingi ze strychu. Przypominałam sobie jednak, że krzyki są normalne i że wkrótce będę miała nowego braciszka lub siostrzyczkę do kochania.

Po kilku godzinach Björn zszedł ze strychu. Trzymał w rękach nieduże zawiniątko. Dziecko! Twarz miał bladą i podał mi maleństwo. Wzięłam je w ramiona, a on wyszedł z izby i wrócił na poddasze, żeby zająć się żoną.

Dziecko było bardzo małe i lekkie. Prawie się nie ruszało, ale popłakiwało, zaciskało powieki i usta, a buzię miało bardzo czerwoną i brzydką. Odwinęłam je i zobaczyłam, że to dziewczynka.

Kjartan się obudził. W izbie było zimno; wiatr wdzierał się przez szpary w ścianach i nagły przeciąg zdmuchnął większość łożowych świec, które postawiliśmy na stole. Została tylko jedna, w jej migotliwym świetle nasze cienie tańczyły po ścianie i Kjartan znowu się rozplakał, wtulony we mnie.

Owinęłam dziecko razem z kocykiem w moją chustę i obłożyłam się poduszkami, żeby lepiej przytulić niemowlę do piersi. Ale nie mieliśmy poduszek z pierzem, tylko z wodorostami, więc nie były zbyt ciepłe. Mimo to niemowlę przestało płakać i pomyślałam, że może jednak nie jest za zimno

i dziecku nic nie będzie. Palcami wytarłam mu z główki gęsty śluz, a potem Kjartan i ja daliśmy mu całusa.

Siedzieliśmy tak razem na łóżku. Upływały kolejne godziny. Odnosiłam wrażenie, jakby mijały całe dni. Wciąż było ciemno i zimno, a na dworze bez końca szalała burza. Powiedziałam Kjartanowi, żeby ściągnął koce z łóżka rodziców. Okryliśmy się nimi, tuląc do siebie nawzajem, żeby było ciepłej. Z poddasza bezustannie dobiegały jęki Ingi. Tak jęczy ktoś, komu śnią się koszmary – okropny język złożony nie ze słów, tylko z niezrozumiałych dźwięków. Poza tym wicher dał przez cały czas i czasami nie byłam pewna, czy to Inga łka, czy wiatr, od którego przygasła świeca.

Objęłam Kjartana jednym ramieniem, a drugim tuliłam do piersi dzieciątka i obojgu powiedziałam, żeby słuchali bicia mojego serca i zapomnieli o burzy śnieżnej.

Chyba zasnęliśmy. Tak mi się wydaje, bo nie pamiętam, żebym się obudziła, ale pamiętam, że nagle zobaczyłam Björna stojącego w badstofie. Ostatnia świeczka już zgasła i w ciemnej izbie widziałam tylko, że mój przybrany ojciec stoi nieruchomo ze zwieszoną głową.

– Inga nie żyje – usłyszałam słowa ciężkie jak kamienie. – Moja żona umarła.

Wyjęłam dziecko spod koców i podałam mu.

Nie chciał go wziąć.

– Dziecko też nie żyje – powiedział.

Spuściłam wzrok na zawiniątko w rękach i zobaczyłam, że dziecko się nie rusza i nie jest już ciepłe. Tylko koce były ciepłe, bo przyciskałam je do własnego ciała. Rozpłakałam się. Kjartan zobaczył siną buzię dzieciątka, z zaschniętą krwią wciąż przyklejoną do policzka, i zaczął łkać. Zdenerwowałam się, odłożyłam dziecko na łóżko i rzuciłam się na podłogę, chowając twarz w dłoniach. Płakałam i krzyczałam:

– Ja też chcę umrzeć!

– Może umrzesz – burknął mój przybrany ojciec. Nie powiedział nic

więcej, by mnie pocieszyć. – Może też umrzesz.

Długo leżałam na podłodze i wyłam. Pamiętam, że deski podłogowe – te same, które mamy teraz pod stopami – były mokre i śliskie od moich łez i smarków. Byłam zła na Björna, że siedział w ciemności na swoim łóżku, z głową w dłoniach, i nie płakał, nie krzyczał, nie mówił mi, żebym wstała i przestała się mazgać. Był zimny i twardy jak zmarznięta ziemia na dworze. Tak więc krzyczałam i tarzałam się po podłodze, aż oczy mi spuchły, a ręce rozboleły od tłuczenia o deski. Wyłam niczym wichur za oknami. Nagle przypomniałam sobie Inge na strychu. Wstałam i wybiegłam z izby, potykając się o spódnice i padając na kolana. Wspięłam się po schodach na poddasze.

Na strychu było okienko w dachu, nad belkami. Zwykle zatykaliśmy otwór płótnem, żeby ochronić się przed deszczem i śniegiem, ale płótno wypadło i przez okno sączyło się słabe niebieskie światło, mimo że na dworze wciąż szalała śnieżycą. Było bardzo zimno. Mój oddech zmieniał się w obłoczki pary. Do izby nawiało mnóstwo śniegu, który roztopił się, tworząc dużą kałużę na podłodze. Najpierw zobaczyłam właśnie tę kałużę – jak lustro odbijała światło wpadające przez okno. Potem zobaczyłam Inge.

W niebieskim świetle jej krew wyglądała na fioletową. Inga leżała na wąskim sienniku przykrytym wełnianą tkaniną, którą dałam wcześniej Björnowi, tylko że nie była już biała, lecz ciemna od krwi. Oczy Ingi, otwarte i wilgotne, błyszczały tak, że w pierwszej chwili pomyślałam, że ona wciąż żyje. Zawołałam: „Mamma!”. Położyłam rękę na jej ramieniu. Jej ciało już wystygło i zeszywniało.

Wszędzie była krew. Koszula nocna zdawała się od niej czarna, zakrwawione było łóżko i nogi mojej przybranej matki, a także umazane nią były ramiona i zwrócone wnętrzami do góry dłonie, które wyglądały, jakby Inga właśnie robiła kaszanke, przeciskając ledwo zakrzepłą krew przez gazę. Jej twarz była blada, zbyt blada w ciemnej izbie, a włosy wysunęły się spod czepka i posklejane i sztywne przylgnęły do czoła.

Nie zapomnę nigdy tego zapachu. Całą izbę wypełniała woń krwi i świeżego, czystego śniegu na podłogowych deskach. Mdlilo mnie za każdym razem, gdy brałam wdech.

Nocna koszula była podwinięta do pasa, więc opuściłam ją, sztywną od zaschniętej krwi, żeby ciało nie było tak obnażone. Potem pocałowałam wiotkie usta Ingi. Wreszcie zdjęłam jej czepek i wtuliłam twarz w jej włosy. Tylko one pachniały jeszcze moją przybraną matką, a nie krwią. Położyłam się obok i z głową schowaną w jej długich włosach wdychałam jej zapach nie wiem jak długo, aż Jón odsunął zasłonę przy wejściu na strych, wziął mnie na ręce i zaniósł z powrotem do łóżka.

A kiedy się znowu obudziłam, śnieżycy już się skończyła.

To właśnie mówię wielebnemu. Staram się opowiadać najlepiej, jak umiem. Opowiadam, a jednocześnie robię na drutach i od czasu do czasu zerkam wielebnemu w twarz, sprawdzając, czy jest poruszony.

Czuję, że inni też mnie słuchają. Czuję, jak Steina, Margrét, Kristín i Lauga nastawiają uszu, by pochwycić słowa docierające z naszego ciemnego kąta, i chłoną moją historię tak łakomie, jakby zajadały chleb z masłem. Margrét i Lauga myślą sobie może, że dobrze mi tak, a może im mnie żal. Steina myśli, że jestem taka jak ona – nieszczęśliwa, lekceważona. Obwiniana.

Ponieważ wiem, że wszystkie mnie słuchają, nie mogę zapytać wielebnego o to, o co bym chciała. Nie mogę zapytać, czy wielebny myśli, że trafiłam tutaj teraz, bo jako dziecko chciałam umrzeć. Bo kiedy mówiłam, że chcę umrzeć, tak właśnie było. Wymówiłam to życzenie jak modlitwę. Czy wtedy przypieczętowałam swój los?

Chcę zapytać wielebnego, czy jego zdaniem zabiłam to dziecko. Czy tuliłam je zbyt mocno do piersi? Ale nie sposób zadać tego pytania, bo nie chcę, żeby te kobiety jeszcze gorzej o mnie myślały. Pewnych rzeczy nie powinny usłyszeć.

Wydaje się, że wszystkich, których kocham, odebrano mi i pochowano



w ziemi. Zostałam sama.

Dobrze, że nikogo nie mam już do kochania. Nikogo nie mogę pochować.

†

– Co się potem stało? – zapytał Tóti. Zdał sobie sprawę, że podczas całej opowieści Agnes prawie nie oddychał.

– Dziwne – powiedziała, małym palcem nawijając włóczkę na drut. – Kiedy myślę o swoim dzieciństwie, wszystko jest ciemne i niewyraźne, jakbym patrzyła na świat przez osmaloną szybę. Ale śmierć Ingi i wszystko, co działo się potem... pamiętam tak, jakby to było wczoraj.

W izbie zaskrzypiało krzesło. Margrét zaniosła się stłumionym kaszlem.

– Pamiętam, że po śmierci Ingi Jón został wysłany po krewnych Björna – podjęła Agnes. – Pamiętam, jak leżałam w łóżku i patrzyłam na przybranego ojca, gdy siedział na stołku, na którym Inga kiedyś przedła. Był zbyt postawny, nie mieścił się na siedzeniu. Brat leżał ze mną w łóżku i spał, gorący i ciężki na moim ramieniu. Wiatr ustał i nagle zapadła zupełna cisza.

W końcu usłyszeliśmy brzęk uprząży na podwórzu. Björn dzwignął się powoli na nogi i podszedł do mojego łóżka. Zgarnął Kjartana na jedno ramie i podniósł, żebym mogła usiąść, a potem kazał mi wziąć martwe dzieciątko, owinąć mu buzię kocem i zanieść do składziku.

Dziecko zdawało się lżejsze po śmierci niż za życia. Trzymałam je przed sobą i wyniosłam na korytarz, drepcząc po podłodze w samych pończochach.

W składziku było bardzo zimno. Mój oddech tworzył obłoczki pary, a czoło bolało od mrozu. Zakryłam dziecku buzię rąbkiem koca, w który było zawinięte, i położyłam je na worku suszonych łąbów dorszy. Kiedy wyszłam na korytarz, uderzył we mnie podmuch zimnego powietrza. Odwróciłam się i zobaczyłam otwarte drzwi, a z wieczornego mroku wyłoniły się twarze brata i szwagierki Björna oraz ich służącej. Policzki mieli mokre i lśniące od lodu.

Pamiętam, jak stryjek Ragnar i Jón ostrożnie znieśli Ingę z poddasza. Björn był na dworze i zajmował się owcami. Moje zadanie polegało na tym, żeby jej głowa nie obijała się o szczeble drabiny. Wnieśli mamę do badstofy i położyli na łóżku bez pościeli. Stryjenka Rósa gotowała w kuchni wodę, a kiedy zapytałam, co robi do jedzenia, powiedziała, że umyje ciało mojej biednej przybranej mamy. Nie pozwoliła mi na to patrzeć. Dała Kjartanowi bawić się u swoich stóp i poleciła, żebym poszła na górę i pomogła ich służącej, Gudbjörg.

Wspięłam się po drabinie i zobaczyłam, jak Gudbjörg myje podłogę z krwi. Od zapachu zrobiło mi się niedobrze i zaczęłam płakać. Gudbjörg wzięła mnie w ramiona i powiedziała: „Ona poszła już do Pana Boga, Agnes. Jest bezpieczna”.

Siedziałam na podłodze owinięta chustą Gudbjörg i patrzyłam, jak tłuszcz na jej ramionach faluje, gdy na klęczkach szorowała deski i raz po raz wyzymała ze ścierki różową wodę. Kręciła głową i co jakiś czas przerywała pracę, by otrzeć oczy.

Powtórzyłam jej, co Björn powiedział, kiedy krzyczałam, że chcę umrzeć: że może będę następna. Gudbjörg uciszyła mnie i uspokoiła, tłumacząc, że Björn nie jest teraz sobą i nie mówi poważnie.

Powiedziałam, że dał mi pod opiekę dziecko i że tuliłam je mocno do siebie, i zmarło w moich ramionach, a ja nawet tego nie zauważyłam.

Kołysała mnie, jakbym była niemowlęciem. Tłumaczyła, że temu dziecku nie było pisane życie na tej ziemi i to nie moja wina, że umarło. Mówiła, że jestem dzielna i że Bóg będzie mnie miał w swojej opiece.

– Wiesz, gdzie teraz jest Gudbjörg? – przerwał jej Tóti.

Agnes podniosła wzrok znad drutów.

– Nie żyje – odrzekła niezmiészana. Trąciła kłębek, żeby odwinąć więcej włóczki. – Kiedy Ragnar, Kjartan i Björn wrócili ze stodoły, Rósa zawołała Gudbjörg i mnie ze strychu i wszyscy usiedliśmy w badstofie wokół łóżka, gdzie leżała Inga. Była czysta, ale nieruchoma. Niesamowicie nieruchoma,

jak źdźbła trawy wtedy, gdy nagle przestaje wiać wiatr i człowiek czuje, że został sam.

Stryj Ragnar wyciągnął flaszkę gorzałki i bez słowa puścił ją dookoła. Wtedy pierwszy raz spróbowałam alkoholu i nie bardzo mi smakował, ale Jón wziął konia mojego przybranego ojca i pojechał po pastora, i można było tylko czekać i pić. Mijały godziny, a mnie zrobiło się niedobrze od gorzałki. Nogi mi zeszywniały od ciągłego siedzenia.

Jón wrócił z pastorem dopiero późną nocą. Wpuściłam ich do domu. Wielebny zapomniał strząsnąć śnieg z butów.

Gudbjörg, stryjenka Rósa i ja podałyśmy mężczyznom posiłek, a oni jedli z miskami na kolanach. Inga leżała na łóżku przed nimi. Stryjenka Rósa zapaliła świecę i postawiła ją w pobliżu głowy mammy, a ja co jakiś czas sprawdzałam, czy się nie przewróciła. Bałam się, że włosy mogą się zapalić.

Kiedy zjedli, kobiety wzięły mnie i Kjartana do kuchni, a wielebny został porozmawiać z mężczyznami. Próbowałam słuchać, co mówili, ale stryjenka Rósa wzięła mnie za rękę i posadziła sobie Kjartana na kolanach, i zaczęła opowiadać baśń, żeby nas czymś zająć. Urwała tylko wtedy, gdy stryj Ragnar i Jón przeszli obok otwartych drzwi, niosąc ciało Ingi. Zakryli jej twarz kawałkiem sukna. Chciałam się dowiedzieć, dokąd ją zabierają, i wstałam, żeby za nimi pójść, ale stryjenka Rósa ścisnęła mnie mocniej za rękę i przyciągnęła do siebie. Gudbjörg szybko mi wyjaśniła: wielebny powiedział, że nie ma szans na pogrzeb aż do wiosny, bo ziemia na cmentarzu jest zamrznięta na kamień, więc zamierzają przechować moją biedną przybraną matkę w składziku aż do odwilży, kiedy będzie można wykopać grób. Podeszłyśmy do drzwi i patrzyłyśmy, jak układają Ingę.

Wielebny poszedł za moim ojcem korytarzem. Słyszałam, jak powiedział: „Przynajmniej będzie dużo czasu na zrobienie trumien”. Potem zasugerował, żeby położyć ją w oborze.

„Za ciepło”, odparł mój przybrany ojciec.

Stryj Ragnar i Jón położyli Ingę w składziku obok martwego noworodka.

Z początku ułożyli ją na worku soli, ale potem stryj Ragnar zauważył, że sól może być potrzebna, zanim uda się pogrzebać Inge, więc przenieśli ją na worek suszonych ryb. Usłyszałam chrzęst i trzask pękających ości, kiedy kładli ciało.

– Kiedy ją w końcu pochowali? – spytał Tóti. Nagle na łóżku w badstofie, wśród cichego stukotu drutów i szelestu wełny zrobiło mu się ciasno i nieprzyjemnie.

– Och, dużo później – powiedziała Agnes. – Inga i dziecko leżeli w składziku do końca zimy. Za każdym razem, gdy musiałam przynieść stamtąd olej do lamp albo pomóc Jónowi w wytoczeniu ze spiżarni jakiejś beczki, widziałam ich ciała w kącie, upakowane na workach z suszonymi dorszami.

Kjartan nie rozumiał, co się stało. Przypuszczam, że zapomniał o dzieciątku, ale bardzo płakał za mamą. Siedział na podłodze i wył jak pies. Jego tata go ignorował, ale kiedy stryj Ragnar przychodził w gości, Kjartan dostawał od niego w ucho. I płacze szybko się skończyły.

Zdawało się, że stryj Ragnar codziennie był teraz w Kornsie. Rozmawiał z Björnem albo przynosił mu gorzałkę. Od czasu śnieżycy Björn zamknął się w sobie. Kiedy podawałam mu obiad, już mi nie dziękował, tylko brał łyżkę i zabierał się do jedzenia.

Pewnego dnia dowiedział się, że Björn już mnie nie chce. To musiało się zdarzyć jakoś wczesną wiosną, a ja byłam w podłym nastroju i odmówiłam zjedzenia kolacji. Mój przybrany ojciec nic nie powiedział, nie zrugął mnie nawet za to, że jedzenie się marnuje. Cały czas spędzał teraz ze zwierzętami, które zaczęły zdychać z zimna, a ja byłam zła, że kocha je i Kjartana bardziej niż mnie.

Zima już się kończyła i tego dnia było trochę słońca, więc kiedy wstałam od stołu, postanowiłam wyjść na dwór. Przebiegłam korytarzem jak burza, wzięłam łopatę, która stała przy drzwiach, i zaczęłam wykopywać sobie ścieżkę w zaspie, ciesząc się z orzeźwiających płatków śniegu, które

roztapiały się na moich rozpalonych policzkach. Kiedy przetarłam sobie drogę, odrzuciłam łopatę i zaczęłam kopać rękami, zgarniając całe naręcza śniegu i odrzucając z całej siły jak najdalej od siebie. Pracowałam tak, aż wykopałam całkiem sporą dziurę. Kiedy przerwałam, żeby zaczerpnąć tchu, podniosłam wzrok i zauważyłam czarną plamkę w oddali; to stryj Ragnar szedł z wizytą. Przywitał mnie i zapytał, czemu jestem cała w śniegu. Wyjaśniłam, że zaczęłam kopać grób dla mammy. Stryj Ragnar zmarszczył brwi i powiedział, że nie powinnam nazywać jej mamą i czy nie wstyd mi, że pomyślałam o zakopaniu jej tak blisko wejścia do chałupy, gdzie wszyscy by po niej chodzili, a nie w miejscu świętym, na przykościelnym cmentarzu. „Nie byłoby lepiej, gdyby przechować ją w ciepłym składziku aż do chwili, kiedy będzie mogła spocząć w święconej ziemi?”, zapytał mnie.

„W składziku jest zimno jak w dupie starej wiedźmy”, powiedziałam.

A stryj Ragnar na to: „Uważaj, jak mówisz, Agnes. Plugawy język zdradza plugawą duszę”.

Tamtego wieczoru oznajmił mi, że Björn przestanie dzierżawić Kornę i wyjedzie do Reykjavíku, będzie pracował w rybołówstwie. Zima zabrała Ingę i jej dziecko, a także ponad połowę stada owiec, a bez żony i pieniędzy na zatrudnienie drugiego parobka Björna nie było stać na to, by mnie przy sobie zatrzymać. Kjartan zamieszkał ze stryjenką i stryjem, a kiedy się ociepliło, wyrzucono mnie z domu, na łaskę parafii.

– I tak stałaś się włóczęgą – powiedział Tóti.

Agnes pokiwała głową i przerwała robotę na drutach, żeby rozprostować palce. Położyła skarpetę na kolanach i podniosła na niego spojrzenie.

– Tak popadłam w ubóstwo. Stałam się nędzarką zdaną na łaskę innych, czy byli łaskawi, czy też nie.

†

Obudziłam się wcześniej i badstofa wciąż tonie w ciemnościach. Wydawało

mi się, że ktoś pochyła się nisko nad moim uchem i szepcze: Agnes, Agnes. Szept wdarł się w moje sny, ale nikogo tu nie ma, a moje serce chwycił nagle zimny strach.

Mogłabym przysiąc, że ktoś mnie wołał.

Leżę bez ruchu i wsłuchuję się w oddechy innych w ciemności, próbując się zorientować, czy ktoś inny jeszcze nie śpi. Wielebny Tóti leży w łóżku najbliżej mnie; postanowił przenocować w Kornsie z powodu późnej pory. Ale wiem, że to nie on wyrwał mnie ze snu. Duchowny nie obudziłby więźniarki, szepcząc jej do ucha niczym kochanek.

Mijają kolejne minuty. Czemu jest tak ciemno? Nie widzę własnych dłoni, mimo że trzymam je tuż przed oczami. Czerń osacza moją duszę, a serce trzepocze mi niczym ptak w zaciśniętej garści. Nawet kiedy z wysiłkiem zamykam oczy, ciemność wciąż tu jest, a teraz pojawiły się jeszcze okropne drgania pełgającego płomienia. Oczy mam otwarte czy zamknięte? Może obudził mnie jakiś duch – jak wyjaśnić te światła, które pojawiły się w mroku przede mną? Są niczym płomienie odklejające się od ściany i widzę przed sobą twarz Natana, jego usta otwarte w krzyku, zęby zakrwawione i lśniące, a od jego płonącego ciała opadają mi na pościel kawałki zwęglonej skóry. Wszystko cuchnie tranem, nóż Fridrika tkwi głęboko w brzuchu Natana i z piersi wyrywa mi się krzyk, jakby ktoś linką wyszarpnął mi go z trzewi.

Światła znikają. Czy to mi się śniło? Wydaje się, jakby nie upłynęła ani chwila.

– Wielebny Tóti? – szepczę.

Obraca się we śnie.

– Wielebny? Mogę zapalić kaganek?

Wikariusz nie budzi się łatwo – głowa mu się chwieje jak pijakowi. Szturcham go mocniej, niż zamierzałam. Chyba jest zawstydzony, że widzi mnie w bieliźnie.

– Co się stało?

– Miałam kolejny sen.

– Co?

– Mogę zapalić kaganek?

– Światło Jezusa Chrystusa wystarcza każdemu prawdziwemu chrześcijaninowi – bełkocze sennie.

– Proszę, wielebny.

Nie usłyszał mnie. Zaczyna chrapać.

Wracam więc do łóżka niepokieszona. Czuję swąd dymu.

Moja mamma nie żyje. Inga nie żyje.

Leży w łachmanach w składziku, a śnieg i lód wgryzają się swymi kłami w ziemię i nie pozwalają kopać grobów.

Tak zimno, że Inga musi czekać na pogrzeb.

Tak samotnie, że zaprzyjaźniam się z krukami, które polują na jagnięta.

Zamykam oczy i przekradam się ciemnym korytarzem z pełgającym płomieniem kaganka w dłoni i dygoczę ze strachu. Słyszę wycie wiatru w czarnej otchłani na zewnątrz i wydaje mi się, że przybrana matka chrobocze paznokciami o drzwi składziku, gdzie czeka owinięta w szmaty, aż zamkną ją w trumnie, przybiją wieko gwoździami i pochowają z nadejściem wiosny. Zatrzymuję się i nasłuchuję, i wydaje mi się, że oprócz wichru słyszę chrobotanie, a potem swoje imię – Agnes, Agnes. To Inga woła, żebym ją wypuściła. Nie umarłam, wróciłam, ożyłam, trzeba mnie wypuścić ze składziku, nie można trzymać mnie tu jak mięsa zarzniętego bydłęcia, które schnie w stęchłym powietrzu. Nie można trzymać mnie z workami soli i serwatką, i mąką, w której roi się od robactwa.

Stoję nieruchomo, trzęsę się przerażona. Potem krzyczę: mamó, mamó! Robię krok w stronę składziku, pchnięciem ręki otwieram drzwi – nie ma zamka. Świecę dookoła kagankiem i widzę bryłę jej zwłok na podłodze, jej głowę opartą o worek suszonych rybich łbów, i płaczę, bo gorzej jest wiedzieć, że naprawdę umarła. Och, moja przybrana matka nie żyje, a ta rodzona odeszła. I siadam na podłodze, bo nogi uginają się pode mną od czystej, dojrzałej rozpaczki osieroconego dziecka, i wiatr wyje za mnie.

Wyje i wyje, a ja siedzę na twardym od mrozu klepisku, mam w nozdrzach woń rybich łbów. Czuję też delikatny zapach zimy zmieszany z odorem soli i wysuszonych kości.



## Rozdział 7

*Morderca Fridrik Sigurdsson urodził się w Katadalur tutaj, w parafii Tjörn, i został confirmowany przez mego poprzednika w tejże parafii, wielebnego Sæmundura Oddsona, w roku 1823. Wtedy opisano go jako chłopca „w posiadaniu dobrego intelektu” i z dobrym rozeznanem w katechizmie. Jego zachowanie jednakże nie odpowiadało tej wiedzy i wykształceniu. Trwał w bezczelnym nieposłuszeństwie wobec swych rodziców, tak iż poskarżyli mi się na niego jesienią roku 1825. W rozmowie z nimi dowiedziałem się o jego wielce krnąbrnym i upartym charakterze.*

*Jak przebiegało jego wychowanie, nie potrafię zaświadczyć z wystarczającą pewnością – jestem pastorem tej parafii dopiero od czterech lat. Uważam jednak, że nadmiernie mu folgowano.*

zeznanie wielebnego Jóhanna Tómassona

5 września 1829

*do Wielebnego T. Jónssona  
Braidabólstadir, Vesturhóp*

*Wielebny wikariuszu Thorvardurze Jónssonie,  
piszę do Wielebnego, aby zapytać o postępy w pracy z przestępczynią Agnes Magnúsdóttir. Spotkałem się niedawno z wielebnym Jóhannem Tómassonem z parafii Tjörn, a on okazał się tak dobry, iż złożył mi sprawozdanie z poprawy w duchowości i zachowaniu przestępcy Fridrika Sigurdssona, nad którym sprawuje duchową pieczę. Uważam za konieczne, abym spotkał się także z Wielebnym. Kiedy Wielebny również złoży mi sprawozdanie z Waszych dotychczasowych i obecnych kontaktów z przestępczynią, pojmę może, do jakiego stopnia nauki religijne wpływają ogólnie na duchową*

*poprawę skazańców.*

*Proszę stawić się u mnie w Hvammur w przyszłym tygodniu, by złożyć sprawozdanie z kontaktów Wielebnego z przestępczynią i z tego, jakich porad jej Wielebny do tej pory udzielił.*

*Komisarz okręgowy  
Björn Blöndal*

– Dziękuję za przybycie, wielebny wikariuszu Thorvardurze – rzekł Björn Blöndal, wychodząc zza drzwi domu w Hvammur. Ubrał się w swój oficjalny strój, pod jego czerwoną kurtką lśniła czysta kremowa koszula.

Tóti, który spotkał komisarza okręgowego tylko przy kilku innych okazjach, głównie jako mały chłopiec podczas podróży z ojcem, zaniemówił na chwilę z wrażenia, gdy ujrzał piękny mundur i imponującą posturę Blöndala.

– Dzień dobry, panie komisarzu okręgowy.

Zsiadł z konia i podał lejce jednemu ze służących. W Hvammur, zauważył, roilo się od ludzi; wszyscy wykonywali swoją pracę na dużym dziedzińcu przed domem. Jakiś mężczyzna patroszył na kamieniu pstrągi złowione tego ranka w rzece; dwie kobiety rozwieszały pranie, by wyschło w słabych promieniach słońca. Zauważył też młodą kobietę w tradycyjnym czepku z frędzlami, która wyprowadzała właśnie na dwór gromadkę czterech czy pięciorga dzieci.

– Dzień dobry! – zawołały radośnie do gościa.

– Ma pan tu miły dom – powiedział Tóti z uśmiechem, gdy podszedł do Blöndala, żeby się przywitać.

– Rzeczywiście. Witam, wielebny. Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt męcząca. Zapraszam do środka, tylko proszę patrzeć pod nogi.

Starsza służąca poprowadziła Tótiego przez labirynt korytarzy do małego pokoju gościnnego. Blöndal kroczył tuż za nim i przystanął w drzwiach, kiedy usadziła Tótiego na tapicerowanym krześle i sprawnie zdjęła mu

kapelusz, płaszcz i buty.

– Był tu wielebny już kiedyś? – spytał komisarz okręgowy.

Tóti zdał sobie sprawę, że gapi się na to, co go otacza, z rozdziawionymi ustami.

– Tylko jako chłopiec. – Zarumienił się. – Bardzo tu ładnie. Widzę, że ma pan kilka rycin.

Blöndal pociągnął nosem, zdjął z głowy kapelusz i bezrefleksyjnie przyglądał się zdobiące go pióro.

– Owszem – powiedział rzeczowym tonem. – Mamy wielkie szczęście cieszyć się wygodami, które na tej wyspie stanowią rzadkość. Chociaż życzę sobie, by w ciągu tego wieku więcej Islandczyków poznało dobrodziejstwa szklanych szyb, boazerii, żeliwnych pieców i tak dalej. Uważam, że suchszy dom oznacza lepszą cyrkulację powietrza, co sprzyja zdrowiu mieszkańców.

– Jestem pewien, że ma pan rację – rzekł Tóti, spoglądając na służącą zajęętą rozwiązywaniem jego sznurowadeł. Kobieta zerknęła na niego bez uśmiechu.

– Dobrze, Karitas, zostaw już nas samych – polecił Blöndal. – Wielebny Thorvardurze, pozwoli wielebny, że zaprowadzę go do swojego gabinetu.

– Dziękuję, Karitas.

Służąca wstała, trzymając jego buty w dłoni, i popatrzyła na niego tak, jakby chciała coś powiedzieć.

– Karitas. Idź.

Blöndal odczekał, aż kobieta wyszła z pokoju, a potem skinął ręką, by wikariusz podążył za nim.

– Tędy proszę, wielebny. Moje pokoje znajdują się w dalszej części domu. Dzięki temu hałasy służby przeszkadzają mi tylko nieznacznie.

Tóti ruszył za komisarzem okręgowym długim korytarzem. Biegało tu dużo służby i dzieci, które znikwały w innych pokojach. Zdumiewał go ogrom domu, nigdy wcześniej niczego takiego nie widział.

– Tutaj proszę, wielebny.

Blöndal otworzył drzwi do wypełnionego światłem gabinetu. Na błękitnych

ścianach wisały dwie solidne półki zastawione książkami oprawnymi w skórę. Pośrodku pokoju stało duże biurko, jego powierzchnia lśniła w promieniach słońca, które wpadały przez okienko umieszczone w pobliżu szczytu dachu.

– Pięknie – westchnął z zachwytem wikariusz.

– Proszę spocząć, wielebny – rzekł komisarz okręgowy, podsuwając mu tapicerowane krzesło.

Tóti usiadł.

– No dobrze. – Blöndal przesunął swoimi potężnymi dłońmi po gładkiej powierzchni biurka. – To co? Zaczynamy?

– Oczywiście, panie komisarzu okręgowy – powiedział Tóti nerwowo. Przepych i elegancja gabinetu wprawiały go w zakłopotanie. Nie zdawał sobie sprawy, że ludzie na północy tak żyją.

– Moi ludzie poinformowali mnie, że skazana została doprowadzona do Kornsy bez żadnych incydentów.

– Z tego, co wiem, tak właśnie było – zapewnił Tóti. – I z przyjemnością mogę poinformować, że Agnes zaaklimatyzowała się w swoim nowym areszcie w Kornsie.

– Rozumiem. Zwraca się do niej wielebny po imieniu.

– Tak sama woli, panie komisarzu okręgowy.

Blöndal rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Proszę mówić dalej.

– Cóż, skazana do tej pory brała udział we wszystkich zajęciach domowych związanych z sianokosami. I urzędnik okręgowy Jón Jónsson powiadomił mnie, że wykonuje swoją pracę ze skromnością i pokorą stosowną do jej obecnej pozycji.

– Nie trzymają jej w kajdanach?

– Zwykle nie jest to praktykowane.

– Rozumiem. A jej obowiązki domowe?

– Wykonuje je z najwyższą starannością. Zdaje się, że nie ma nic

przeciwno temu, by całe dni złej pogody spędzać na robieniu na drutach.

– Niech wielebny upomni ich o zagrożeniach związanych z daniem jej dostępu do niebezpiecznych narzędzi.

– Są czujni, panie komisarzu okręgowy.

– Dobrze. – Blöndal odsunął się z fotelem do tyłu i otworzył szufladę, po czym ostrożnie wyjął jasnozieloną kartkę i nożyk. Następnie odwrócił się i z półki w kącie zdjął szklany wazonik wypełniony długimi łabędzimi piórami. – Późnym latem wysyłam kobiety, by je zbierały – powiedział z roztargnieniem. – Wtedy ptaki gubią pióra, nie trzeba im wyrywać. – Podał Tótiemu wazon z piórami.

– Och, nie, nie mógłbym. – Tóti pokręcił głową.

– Nalegam – rzekł dudniącym głosem Blöndal. – Prawdziwie dystyngowanego mężczyznę poznaje się po jego przyborach piśmienniczych.

– Dziękuję. – Wikariusz ostrożnie wyjął jedno pióro.

– Łabędź to pożyteczne stworzenie. Skóra z łap doskonale nadaje się na torebki. Jaja też są znośne po ugotowaniu. – Blöndal zaostriżył pióro, starannie zgarnął ścinki pióra z blatu, a potem odkręcił szklany kałamarz. – Jeśli mogę, poprosiłbym teraz o krótkie podsumowanie posługi kapłańskiej, jaką niesie wielebny skazanej.

– Oczywiście. – Tótiemu spocily się ręce. – Podczas żniw odwiedzałem przestępczynię nieregularnie, od czasu do czasu, bo jak pan pewnie rozumie, byłem zajęty pracami w polu w Breidabólstadir.

– Jak przygotowywał się wielebny do rozmów ze skazaną?

– Hm... skłamałbym, gdybym powiedział, że z początku odpowiedzialność wobec jej nieśmiertelnej duszy mocno mi nie zaciążyła.

– Obawiałem się tego – rzekł ponuro Blöndal. Zapisał coś na kartce.

– Pomyślałem, że jedyna droga do jej zbawienia może wieść przez modlitwę i nauki. Poświęciłem kilka dni na rozmyślania o tym, które wersy, psalmy i inna literatura w najlepszy sposób doprowadziłyby skazaną do pojednania z Bogiem.

– I co wielbny wybrał?  
– Fragmenty z Nowego Testamentu.  
– Które księgi?  
– Eee... – Tóti był zaskoczony i przytłoczony szybkością, z jaką komisarz okręgowy zadawał kolejne pytania. – Świętego Jana. Pierwszy List do Koryntian – wyjąkał.

Blöndal spojrzał na niego z ukosa i pisał dalej.

– Próbowałem rozmawiać z nią o wadze modlitwy. Poprosiła, żebym odszedł.

– Nie jestem zaskoczony. Podczas procesu sprawiała wrażenie szczególnie bezbożnej.

– Och, nie. Wydaje się bardzo dobrze zaznajomiona z literaturą chrześcijańską.

– To tak jak diabeł, jak sędzę – odparł Blöndal. – Wielbny Jóhann nakłonił Fridrika Sigurdssona do czytania *Hymnów pasyjnych* Hallgrímura Péturssona. I Apokalipsy. Bardziej zachęcająca lektura.

– Być może. Jednak... – Tóti wyprężył grzbiet. – Stało się dla mnie jasne, że skazana wymaga innych środków niż upomnienia religijne, by pogodzić się ze śmiercią i przygotować do spotkania z Panem.

Komisarz okręgowy zmarszczył brwi.

– Jakimi środkami zapoznaje więc wielbny skazaną z Bogiem?

Tóti odchrząknął i ostrożnie odłożył pióro na biurko przed sobą.

– Obawiam się, że uzna pan je za nieprawomyślne.

– Proszę odpowiedzieć, to zastanowimy się, czy obawy wielbnego są uzasadnione.

Wikariusz milczał przez chwilę.

– Doszedłem do przekonania, że nie surowy ton kapłański, straszenie się ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem, lecz łagodne i życzliwe pytania przyjaciela łatwiej trafią do jej duszy, panie komisarzu okręgowy.

Blöndal popatrzył na niego okrągłymi oczyma.

– Życzliwe pytania przyjaciela?! Mam nadzieję, że błędnie biorę słowa wielebnego poważnie.

Tóti poczerwieniał.

– Obawiam się, że się pan nie myli. Wszystkie próby skłonienia jej ku Panu kazaniami miały skutek odwrotny do spodziewanego. Zamiast tego zachęcam ją więc do opowiadania o własnej przeszłości. Jestem ostatnim słuchaczem opowieści o jej samotnym życiu.

– Modli się z nią wielebny?

– Modłę się za nią.

– A ona modli się za siebie?

– Wydaje mi się niemożliwe, by było inaczej, tylko że na osobności. W końcu czeka ją śmierć, panie komisarzu.

– Owszem, wielebny. – Blöndal powoli odłożył pióro i odchylił się do tyłu. Wydał wargi. – Ona umrze, i to z dobrego powodu.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– O, wejdz, Sæunn – powiedział Blöndal.

Młoda służąca, która wyglądała na stremowaną, niosła tacę z kawą, serem, masłem, wędzonym mięsem i podplomykami. – Postaw, proszę, na biurku – polecił jej komisarz okręgowy. Zaraz nałożył sobie na talerz stos plastrów baraniny. – Proszę jeść, jeśli jest wielebny głodny.

– Dziękuję, nie – odrzekł Tóti.

Komisarz okręgowy wepchnął sobie do ust duży kawałek chleba z serem. Żuł powoli, przełknął, a potem wyciągnął chustkę i wytarł palce.

– Wielebny wikariuszu Thorvardurze, można wybaczyć wielebnemu przekonanie, że przyjaźń utoruje morderczyni drogę do prawdy i pokuty. Jest wielebny młody i niedoświadczony. Sam ponoszę za to winę. – Oparł łokcie o biurko. – Będę mówił bez ogródek. W marcu zeszłego roku Agnes Magnúsdóttir ukryła Fridrika Sigurdssona w stodole w Illugastadir. Natan Ketilsson wrócił z gospodarstwa Geitaskard z pracującym tam Péturem Jónssonem...

– Proszę wybaczyć, panie komisarzu, ale wydaje mi się, że wiem...

– Myślę, że nie wie wielebny dostatecznie dobrze – nie dał mu dokończyć Blöndal. – Natan wrócił do domu po wizycie w Geitaskard, gdzie zajmował się Wormem Beckiem, tamtejszym urzędnikiem okręgowym. Worm był bardzo chory. Natan wrócił do Illugastadir, żeby zajrzeć do swoich książek i zapewne wziąć dodatkowe lekarstwa, a Pétur mu towarzyszył. Było późno, wielebny. Postanowili więc przenocować u Natana w domu i wrócić rano.

Tego wieczoru Fridrik przybył potajemnie z Katadalur, a Agnes ukryła go w stodole. Przez całą zimę planowali zabić Natana i ukraść jego pieniądze. Agnes odczekała, aż mężczyźni zasnęli, a potem wezwała Fridrika. Była to napaść z zimną krwią na dwóch bezbronnych ludzi.

Blöndal zawiesił głos, by ocenić, jakie wrażenie wywarły jego słowa na wikariuszu.

– Fridrik przyznał się do morderstwa, wielebny. Zeznał, że wziął młotek oraz świeżo naostrzony nóż i zakradł się do badstofy. Zabił najpierw Pétura, jednym uderzeniem młotka roztrzaskał mu czaszkę. Albo wierzył, że to Natan, albo pragnął pozbyć się świadka zbrodni – nie wiem. Ale potem z całą pewnością usiłował zabić Natana. Zeznał, że uniósł młotek i zamierzył się na głowę Natana, ale chybił. Usłyszał trzask gruchotanej kości, a badanie szczątków ujawniło, że ramię Natana rzeczywiście zostało złamane, wielebny.

Wtedy Natan się obudził i pomyślał, przypuszczalnie sparaliżowany bólem, że jest w Geitaskard i że stoi przed nim jego przyjaciel Worm.

Fridrik powiedział: „Natan zobaczył Agnes i mnie w izbie i zaczął błagać nas, byśmy przestali, ale nie zrobiliśmy tego, póki nie umarł”. Niech wielebny zwróci uwagę na te słowa. „Agnes i mnie”. Fridrik powiedział, że Natan został zabity nożem.

– Czyli nie Agnes ich zabiła.

– Nie ulega dyskusji, że była wtedy w izbie, wielebny.

– Ale nie trzymała w ręku narzędzia zbrodni.



Blöndal odchylił się do tyłu i złożył dłonie tak, że zetknęły się opuszkami palców. Uśmiechnął się.

– Kiedy Fridrik przyznał się do tych zabójstw, był nieskruszony. Uważał, że wykonał wolę Bożą. Uważał, że wymierzył sprawiedliwość za dawne przewiny Natana, i twierdził, że był sprawcą obu morderstw. Sądzę jednak, że wypadki potoczyły się niezupełnie tak, jak zeznał.

– Sądzi pan, że Agnes zabiła Natana.

– Miała ku temu powody, wielebny. Miała ich więcej niż Fridrik. – Komisarz okręgowy zaczął zbierać palcem okruchy z talerza. – Uważam, że Fridrik zabił Pétura. Zamordowano go jednym ciosem, a młotek jest ciężkim narzędziem.

Natan się obudził. Myślę, że Fridrik wpadł wtedy w panikę, wielebny. Jakże łatwo zapomina się, że miał tamtego dnia zaledwie siedemnaście lat. Był młokosem. I hultajem z pewnością... Poza tym ustalono ponad wszelką wątpliwość, że on i Natan byli wrogami. Ale niech wielebny pomyśli... –

Blöndal pochylił się, przybliżył twarz do wikariusza. – Niech wielebny pomyśli, jakie to musi być uczucie: zabić człowieka dla pieniędzy. Proszę sobie wyobrazić, jak Natan błagał o zmiłowanie. A jeśli obiecał zapłacić wysoki okup i nie powiadamiać władz w zamian za darowanie życia?

Tótiemu zaschło w gardle.

– Nie mogę sobie wyobrazić czegoś podobnego.

– A ja musiałem. I wyobraziłem sobie. Jestem zdania, że kiedy Natan obudził się i zaczął błagać o życie, Fridrik wpadł w panikę i się zawahał. Chciał pieniędzy, a te bez wątpienia Natan mu w tamtej chwili obiecał. –

Komisarz okręgowy zniżył głos. – Jestem zdania, że Agnes wzięła nóż i zabiła Natana.

– Ale Fridrik tego nie powiedział.

– Natan został zadźgany na śmierć. Fridrik był synem rolnika; umiał zabijać zwierzęta nożem. Wystarczy poderznąć gardło. – Blöndal wyciągnął rękę i dotknął palcem szyi Tótiego. – Stąd... – przesunął paznokciem – ...dotąd.

Ale Natan nie miał podejrzanego gardła. Wielokrotnie pchnięto go nożem w brzuch. A to wskazuje na motywy mroczniejsze niż kradzież.

– Czemu nie Sigga? – spytał Tóti ciekawym głosem.

Blöndal pokręcił głową.

– Szesnastoletnia służka, która wybuchła płaczem, gdy tylko ją wezwałem? Sigga nie próbowała nawet kłamać; jest na to zbyt prostoduszna, zbyt młoda. Wszystko mi opowiedziała. O tym, jak Agnes nienawidziła Natana, jak była zazdrosna o to, że okazywał zainteresowanie Sigdze. Sigga nie jest zbyt bystra, ale tyle pojęła.

– Przecież kobiety mogą zazdrościć, a jednak nie mordować, panie komisarzu okręgowy.

– Morderstwo jest, przyznaję, czymś niezwykłym, wielebny. Lecz Agnes jest dużo starsza od Siggi. Przybyła do Illugastadir z tej doliny, a więc z dość daleka, na dodatek z miejsca, gdzie spędziła całe dotychczasowe życie. Dlaczego? Na pewno nie tylko w poszukiwaniu posady; tutaj miała dostatecznie wiele możliwości zatrudnienia. Więc coś innego skłoniło ją do pracy dla Natana Ketilssona.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, panie komisarzu – rzekł Tóti.

Blöndal pociągnął nosem.

– Proszę wybaczyć, wielebny, że mówię bez ogródek. Agnes uważała, że należy jej się od życia więcej. Przypuszczalnie chodziło o małżeństwo. Natan lubił niewieście towarzystwo, w tej dolinie chowa się mnóstwo jego bękartów.

– I złamał swoją obietnicę?

Blöndal wzruszył ramionami.

– Kto mówi, że cokolwiek jej obiecał? O ile się zorientowałem, Agnes była przekonana, że skutecznie go uwiodła. Ale Sigga zeznała, że Natan wołał jej... wdzięki.

– Słowa te padły podczas procesu?

– Sprawa jest wulgarna. Cóż, jak zwykle procesy o morderstwo.

– Uważa pan, że Agnes planowała zamordowanie Natana, ponieważ została porzucona.

– Wielebny, proszę pomyśleć. Mamy siedemnastoletniego pospolitego złodziejzaka uzbrojonego w młotek, szesnastoletnią dziewczkę drżącą o własne życie i starą pannę, której nieodwzajemniona miłość przerodziła się w gorzką nienawiść. Jedna z tych osób pchnęła nożem Natana Ketilssona.

Tóti miał w głowie mętlik. Wpatrywał się w białe pióro, które leżało przed nim na skraju biurka.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział w końcu.

Blöndal westchnął.

– Nie znajdzie wielebny dowodu niewinności w opowieściach Agnes o jej życiu. To kobieta o nieposkromionych namiętnościach i nieobyczajna. Podobnie jak wiele starszych służących umie kłamać i nie wątpię, że zmyśliła taką historię swojego życia, by wzbudzić u wielebnego współczucie. Nie wierzyłbym w ani jedno jej słowo. Kłamała w pokoju, w którym właśnie siedzimy.

– Wydaje się szczerą – rzekł Tóti.

– Mogę wielebnego zapewnić, że taka nie jest. Musi wielebny ćwiczyć ją słowem Bożym, jak chłoscze się biczem krnąbrnego konia. W przeciwnym razie nic wielebny nie wskóra.

Tóti pomyślał o Agnes, o jej chudym bladym ciele w mrocznym kącie izby w Kornsie, o tym, jak opisywała śmierć przybranej matki.

– Nie będę szczędził swych sił, by doprowadzić do jej odkupienia, panie komisarzu.

– Pozwoli wielebny, że wskażę mu inną drogę. Opowiem o dziele, jakiego dokonał wielebny Jóhann Tómasson w stosunku do Fridrika.

– Pastor z Tjörn.

– Właśnie. Po raz pierwszy zetknąłem się z Fridrikiem Sigurdssonem osobiście w dniu, gdy go aresztowałem. Było to w marcu zeszłego roku, wkrótce po tym, jak usłyszałem o pożarze w Illugastadir i na własne oczy

ujrzałem szczątki Natana i Pétura.

Pojechałem do jego domu rodzinnego, do Katadalur, z kilkoma swoimi ludźmi, i zajechaliśmy do chaty od tyłu, żeby go zaskoczyć. Kiedy zapukałem do drzwi, Fridrik sam otworzył, a ja natychmiast kazałem swoim ludziom go obezwładnić. Zakuli go w kajdany. Ten młody człowiek był wściekły, używał plugawego języka. Szarpał się z moimi ludźmi, a kiedy ostrzegłem, by nie próbował uciekać, wykrzyknął na cały głos, że żałuje, że kiedy otwierał drzwi, nie miał przy sobie flinty, bo przydałaby mi się kulka w łeb. Wszyscy mogli to usłyszeć.

Moi ludzie doprowadzili Fridrika tutaj, do Hvammur, i przystąpiłem do przesłuchania, tak jak poprzednio uczyniłem z Agnes i Sigrídur, która powiedziała mi o jego udziale w zbrodni. Był uparty i odmawiał wszelkich wyjaśnień. Dopiero gdy sprowadziłem wielebnego Jóhanna Tómassona, by z nim porozmawiał, Fridrik przyznał się, że przy współudziale obu kobiet zamordował tych mężczyzn. Nie wyraził skruchy ani żalu, jak można by się spodziewać po kimś, kogo oskarżono o zabójstwo w afekcie. Natomiast wielokrotnie powtarzał z przekonaniem, że to, co zrobił Natanowi, było konieczne i sprawiedliwe. Wielebny Jóhann zasugerował mi, że jego zbrodnicze zachowanie jest bezpośrednią konsekwencją tego, że źle go wychowano, i w rzeczy samej, odkąd zobaczyłem, w jaką histerię wpadła matka Fridrika, kiedy przybyliśmy aresztować jej syna, skłonny jestem się z tą opinią zgodzić. Jaki inny czynnik mógłby doprowadzić ledwie siedemnastoletniego chłopca do tego, by zatłuc człowieka na śmierć młotkiem?

Fridrik Sigurdsson wychował się w domu, gdzie nie dbano o rozwój moralny i nauki chrześcijańskie, wielebny. Lenistwo, chciwość i niskie, ordynarne skłonności wyhodowały w nim słabego ducha i pragnienie ziemskich uciech. Po zaprotokołowaniu jego zeznań doszedłem do przekonania, że jest zatwardziały w swoim hultajstwie. Jego wygląd wzbudzał we mnie silne podejrzenia tego rodzaju: jest piegowaty i...

przepraszam, wielebny... rudowłose, co znamionuje wredną naturę. Kiedy umieściłem go w areszcie u Birni Olsena w Thingeyrar, żywiłem nikłe nadzieje na jego nawrócenie. Jednak wielebny Jóhann i Olsen na szczęście bardziej wierzyli w tego chłopaka niż ja i zajęli się pracą nad jego duszą z pobożną gorliwością, która sprawia, że obaj są podporami naszej społeczności. Wielebny Jóhann wyznał mi, że dzięki modlitwom, codziennym naukom religijnym i dobremu przykładowi, jaki dawali Olsen i jego rodzina, Fridrik zaczął żałować swej zbrodni i pojął, jak błędził. Mówi teraz otwarcie o swoich złych uczynkach i przyznaje, że czekająca go egzekucja jest właściwa i stosowna, jeśli wziąć pod uwagę naturę zbrodni, którą własnymi rękami popełnił. Uznaje, że jest to boska sprawiedliwość. I co wielebny na to?

Tóti przełknął ślinę.

– Wyrazy uznania zarówno dla wielebnego Jóhanna, jak i dla Herr Birniego Olsena. To wielkie osiągnięcie.

– Też tak sędzę. Czy Agnes Magnúsdóttir podobnie żałuje swojej zbrodni?

Tóti się zawahał.

– Nie mówi o tym.

– A to dlatego, że jest krnąbrna, skryta i winna.

Wikariusz milczał. Niczego nie pragnął teraz bardziej niż uciec z tego pokoju i skryć się pomiędzy domownikami Hvammur, których rozmowy docierały przez szparę pod drzwiami gabinetu Blöndala.

– Nie jestem człowiekiem okrutnym, wielebny Thorvardurze. Jestem jednak człowiekiem nader bogobożnym i świadomym, że w okręgu, który mi podlega, zaroilo się od przestępców najgorszego sortu. Złodziei, zbirów, a teraz także morderców. W ciągu lat, które minęły, odkąd przyjąłem nominację na komisarza okręgowego, byłem świadkiem, jak granice moralne, dzięki którym tutejsza ludność była wolna od deprawacji i zła, uległy zatarciu. To wstyd moralny i polityczny, a moim obowiązkiem jest dopilnować, by przestępcom, którzy tak długo unikali kary, wymierzono

wreszcie sprawiedliwość na oczach reszty naszej społeczności.

Tóti pokiwał głową i powoli podniósł łabędzie pióro. Biały puch u dołu kleił się do jego wilgotnych palców.

– Pragnie pan ukarać ją z przykłądną surowością.

– Pragnę wymierzyć Bożą sprawiedliwość tu, na ziemi. – Blöndal zmarszczył brwi. – Pragnę okazać szacunek władzy, która mnie wyznaczyła, i wypełnić swój obowiązek jako stróż prawa i porządku.

– Słyszałem, że wyznaczył pan na kata Gudmundura Ketilssona.

Komisarz okręgowy westchnął i odchylił się do tyłu.

– Plotki nigdzie nie roznoszą się szybciej niż w tej dolinie.

– To prawda, że poprosił pan o to brata zamordowanego?

– Nie muszę się wielebnemu tłumaczyć ze swoich decyzji. Nie odpowiadam przed pastorami parafialnymi. Odpowiadam przed Danią. Przed królem.

– Nie mówiłem, że to potępiam.

– Ma to wielebny wypisane na twarzy wielkimi zgłoskami. – Blöndal znów wziął do ręki pióro. – Ale nie spotkaliśmy się tutaj, by rozprawiać o moich działaniach, tylko po to, by pochylić się nad działaniami wielebnego. A muszę przyznać, że jestem wielebnym rozczarowany.

– Co pana zdaniem mam więc czynić?

– Wrócić do słowa Bożego. Nie zawracać sobie głowy słowem Agnes. Ona nie ma do powiedzenia nic, co wielebny musiałby wysłuchać. Chyba że jest to przyznanie się do winy.

Wielebny Tóti wyszedł z gabinetu Blöndala z dudniącą głową. Nie mógł przestać myśleć o bladej twarzy Agnes, o jej cichym głosie w ciemności, o rudowłosym Fridriku, który zamierza się młotkiem na śpiącego człowieka. Czyżby go okłamywała? Z trudem powstrzymał się przed przeżegnaniem się w korytarzu, na oczach zabieganych służących, noszących tam i z powrotem wiadra mleka i nocniki z nieczystościami. Staął pod ścianą i wzuł buty.

Z ulgą znalazł się znowu na dworze. Niebo pociemniało od chmur, ale chłód i ostry zapach ryb suszących się w pobliżu stodoły zdawały się współgrać z jego konfuzją. Pomyślał o tłustym palcu Blöndala na swoim gardle. O trzasku gruchotanej kości. O Natanie Ketilssonie błagającym o życie. Robiło mu się niedobrze.

– Wielebny! – usłyszał wołanie. Odwrócił się i zobaczył Karitas, służącą Blöndala, która biegła w jego stronę. – Zapomniał wielebny płaszcz.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę po zgubę, lecz kobieta nie chciała wypuścić płaszcz z dłoni. Przyciągnęła wikariusza bliżej i szepnęła, spuszczając wzrok na ziemię:

– Muszę z wielebnym porozmawiać.

Tóti nie krył zaskoczenia.

– Słucham?

– Ciii... – szepnęła, zerkając na parobka, który patroszył ryby na kamieniu. – Proszę pójść za mną. Do stajni.

Tóti kiwnął głową i biorąc płaszcz, ruszył do dużego budynku gospodarczego. W środku było ciemno i śmierdziało łajnem, mimo że boksy zostały już wyczyszczone. Były puste; wszystkie zwierzęta pasły się na łące.

Wikariusz zobaczył w bramie sylwetkę Karitas.

– Wolałabym się tak nie kryć, ale... – Podeszła bliżej i zobaczył, że jest zafrasowana. – Nie chciałam wielebnego tak ciągnąć, ale nie wiedziałam, czy będę miała inną okazję.

Wskazała stołek i Tóti usiadł.

– Wielebny pełni posługę kapłańską przy Agnes Magnúsdóttir?

– Tak – odrzekł z zaciekawiony.

– Pracowałam w Illugastadir. U Natana Ketilssona. Opuściłam tę posadę w 1827 roku, tuż zanim przybyła tam Agnes. Miała zająć moje stanowisko jako gospodyni. A w każdym razie tak powiedział mi Natan.

– Rozumiem. I co chciałaś mi powiedzieć?

Karitas milczała przez chwilę, jakby usiłowała dobrać odpowiednie słowa.

– „Zdradliwość przyjaciela jest gorsza niż zdradliwość wroga” – rzekła w końcu.

– Nie rozumiem.

– To z sagi o Gíslim Súrssonie. – Otworzyła bramę i rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt nie idzie. – Natan nie dotrzymał danego jej słowa – wyszeptała.

– Nie dotrzymał słowa?

– Obiecał Agnes moje stanowisko. Tylko że zanim przybyła na miejsce, postanowił, że gospodynią zostanie Sigga.

Tóti miał mętlik w głowie. Z roztargnieniem pogładził pióro, które dostał od Blöndala. Wciąż trzymał je w dłoni.

– Sigga była młoda, miała piętnaście–szesnaście lat – ciągnęła służącą. – Natan wiedział, że Agnes byłaby zawstydzona, że podlega jej władzy.

– Obawiam się, że nie rozumiem, co masz na myśli, Karitas. Czemu Natan miałby obiecać Agnes stanowisko, a potem oddać je niedoświadczonej dziewczynie dwa razy młodszej niż ona?

Karitas wzruszyła ramionami.

– Znał wielebny Natana?

– Nie, nigdy nie miałem okazji go spotkać. Ale wielu ludzi w dolinie go znało. – Uśmiechnął się. – Słyszałem o nim raczej mieszane opinie. Jedni mówią, że był czarnoksiężnikiem, a inni, że dobrym lekarzem.

Karitas nie odwzajemniła uśmiechu. Milczała.

– Ty jesteś zdania, że oszukał Agnes?

Karitas poszurała trzewikiem o słomę na ziemi.

– Chodzi tylko o to, że... Ludzie ją oczerniają, a to leży mi na wątrobie.

– Czemu mi to mówisz, Karitas?

– Opuściłam Illugastadir, bo nie byłam w stanie dłużej Natana znieść. On... bawił się ludźmi. – Wargi jej zadrżały. – Tak jakby go to śmieszyło. Z nim nigdy nie wiedziałam, na czym stoję. Mówił mi jedno, a robił drugie. A jeśli miałam chęć pójść do kościoła, cóż... – Spojrzała na Tótiego z ukosa. –



Jestem dobrą chrześcijanką, wielebny, i przysięgam, że nigdy nie słyszałam, by ktoś tak wyrzekał na wiarę. – Zerknęła znowu w stronę bramy. – Nie powie wielebny Blöndalowi, że z wielebnym rozmawiałam?

– Oczywiście, że nie. Wciąż nie rozumiem, czemu tak bardzo chciałaś mi to powiedzieć o Natanie. Widzę, że zdania na jego temat są podzielone, ale figlarze, nawet jeśli są niedowiarkami, nie zasługują na to, by dźgać ich nożem w środku nocy.

Karitas zdziwiła się niepomernie.

– Figlarz? Czy Agnes mówiła coś o Natanie?

– Nie, nic.

– A coś powiedział o nim Blöndal?

– Właściwie słyszałem bardzo mało od osób, którym można by zaufać. Głównie zabobonne gadanie o tym, że nosi imię po diable.

Karitas uśmiechnęła się blado.

– Rzeczywiście tak gadają. Blöndal nie powiedziałaby o nim złego słowa. Natan uzdrowił jego żonę.

– Nie wiedziałem, że chorowała.

– Śmiertelnie. Słono mu zresztą zapłacił. Ale podziałało. Natan Ketilsson zawrócił jego żonę spod wrót niebios.

Tóti poczuł nagłą złość. Wstał i otrzepał spodnie ze słomy i pyłu.

– Powinienem już iść.

– Wielebny nie powie Blöndalowi, że z wami rozmawiałam?

– Nie. – Spróbował się uśmiechnąć. – Życzę ci wszystkiego dobrego, Karitas. Bóg z tobą.

– Musi wielebny zapytać Agnes o Natana. Myślę, że znali jedno drugie lepiej niż siebie samych.

Zamyślony odwrócił się od wyjścia.

– Odwiedziłabyś ją?

Karitas roześmiała się chrypliwie.

– Blöndal kazałby mnie wypatroszyć i powiesić jak suszoną rybę. Poza tym

opuściłam Illugastadir, zanim ona się tam zjawiała. Miałam dość.

– Rozumiem. – Tóti patrzył na nią przez chwilę, po czym szybkim ruchem podniósł rękę do ronda kapelusza. – Bóg z tobą. – Wyszedł po konia czekającego na dziedzińcu, a kiedy wskoczył na siodło, odwrócił się i pomachał na pożegnanie Karitas, która stała w bramie stajni. Ona mu nie pomachała.

†

Żniwa skończone i wszyscy tęsknią za tym, by wreszcie zjeść coś, napić się i pogadać po tych tygodniach zaciskania zębów. Pomagam Margrét w kuchni, gotujemy baraninę dla gości, którzy zaczęli się schodzić na świętowanie. Nie ma czasu na osobiste rozmyślenia. Córek nie ma – zostały wysłane z Kristín na górskie wrzosowiska, żeby nazbierać jagód i mchu – więc teraz tylko ja i Margrét musimy nalewać i mieszać serwatkę i wodę, ubijać masło, podawać mężczyznom jedzenie i dopilnować, żeby suszące się pranie zabrać z podwórza, zanim sąsiedzi zobaczą naszą bieliznę. Z zaskoczeniem zorientowałam się, że dziewcząt nie ma; chyba przyzwyczaiałam się do przewracającej oczami niczym zdenerwowane ciało Laugi i do Steiny, która snuje się za mną niczym cień. „Znam cię – powiedziała kiedyś. – Jesteśmy podobne”.

Jestem zupełnie inna niż Steina. Owszem, ona też jest nieszczęśliwa, ale inaczej niż ja. Kiedy byłam w jej wieku, pracowałam na swój chleb w Gudrúnarstadir. Pomagałam przy pięciorgu tamtejszych dzieci – wszystkie były chude i słabowite – sprzątałam, gotowałam i podawałam do stołu, aż myślałam, że zemdleję. Zawsze miałam ręce urobione po łokcie, czy to w solance, czy w mleku, dymie, łajnie czy krwi. Kiedy urodził się Indridi, najmłodszy z klanu Gudrúnarstadir, byłam przy jego biednej matce, trzymałam ją za rękę i przecięłam zasupłaną pępownię. Co Steina wie o życiu? Ja w jej wieku sypiałam z jednym okiem otwartym, żeby nie

pozwolić pyskatemu służącemu zadrzeć mi koszuli nocnej, kiedy myślał, że śpię. Chociaż nie zawsze był tak oględny. Pewnego ranka złapał mnie nad strumykiem i pchnął na ziemię tak, że moja twarz znalazła się w wodzie. Bałam się, że się utopię, kiedy zdejmował spodnie. Czy Steina musiała męczyć się pod ciężarem parobka? Nie, ona nie musiała wybierać, czy zadrzeć dla gospodarza spódnice i narazić się na gniew jego żony, która zemści się, przydzielając ci później najgorszą robotę, czy może odmówić mu i znaleźć się bez dachu nad głową w śniegu i mgle, gdy wszystkie drzwi są przed tobą zamknięte.

Ta dziecina, ten chłopczyk o główce jak kwiat ostu, Indridi, którego przyjął na świat, został pochowany kilka lat po tym, jak przecięłam mu pępowinę. Już umiał mówić. Był na tyle duży, by wiedzieć, że jest głodny. Co Steina wie o martwych dzieciach? Nie jest taka jak ja. Zna tylko drzewo życia. Nie widziała jego pogmatwanych korzeni zaplecionych wokół kamieni i trumien.

Opuściłam Gudrúnarstadir po śmierci Indridiego, opuściłam gospodarza i jego żonę i gromadkę pozostałych dzieci, chudych jak patyki. Dali mi całusy na pożegnanie i referencje, a także dwa jajka na podróż do Gilsstadir. Dałam te jajka parze jasnowłosych dziewczynek, które spotkałam po drodze.

Śmiać mi się chce, kiedy pomyślę, że te pyzate dziewczynki rzucające grudki ziemi swojemu psu, żeby za nimi ganiał, pilnują mnie teraz w areszcie.

Lauga strasznie się rzucała, kiedy Jón oznajmił, że muszą zapomnieć o dożynkach i zbierać jagody. Ta dziewczyna często się dąsa i trochę przypomina mi Sigge, tylko że jest bystrzejsza. Jón rozmawiał z nią i Steiną wczoraj wieczorem, kiedy myślał, że już śpię. „Ona czeka na spotkanie ze Stwórcą, na egzekucję – powiedział. – A nasza rodzina musi nadal żyć tak jak dotąd. Musimy dopilnować, żeby wam nie zagrażała”. Jón nie chce, żeby mi współczuły, więc odesłał je na jakiś czas z domu, póki pogoda pozwala. Uwolnił je od mojej obecności.

Margrét mówi, że goście będą biesiadować dzisiaj na dworze, bo jest piękny wrześnieowy poranek i dobrze nam zrobi, jeśli nacieszymy się słońcem, póki możemy, zwłaszcza że zima za pasem. Górskie trawy już ciemnieją, przybierają barwę wędzonego mięsiwa, a wieczory pachną świeżym tranem z zapalonych lampek. W Illugastadir wyrzucone na brzeg wodorosty wkrótce pokryją się igielkami szronu. Foki się wylegują na przybrzeżnych skałach i patrzą, jak z gór nadciąga zima. Słychać krzyki mężczyzn na koniach, zaganiających owce; potem zacznie się rzeź.

– Pozdrowienia dla wszystkich w Kornsie! – dolatuje nas wołanie od drzwi.

Margrét podnosi wzrok przerażona. Wybiega z kuchni. Słychać najpierw głośniejszy, a potem cichszy kobiecy głos. Ciężarna kobieta wchodzi do pomieszczenia otoczona gromadką dzieciaków o jasnych włosach i zasmarkanych nosach. Inna kobieta, chuda i siwowłosa, idzie za nią. Podnoszę wzrok znad paleniska, gdzie mieszam zupę, i widzę, że gruba kobieta gapi się na mnie, zakrywając ręką usta. Dzieciaki też się na mnie patrzą.

– Róslín, Ingibjörg, to jest Agnes Magnúsdóttir – mówi Margrét z ciężkim westchnieniem.

Dygam ze świadomością, jak muszę teraz wyglądać. Włosy wilgotne od oparów z kociołka kleją mi się do czoła, a mój fartuch jest zakrwawiony od mięsa.

– Na dwór, dzieciaki! Już!

Gromadka wybiega z kuchni, jedno z dzieci głośno przy tym kaszle. Wydają się zawiedzione.

Inaczej niż ich matka. Róslín odwraca się do Margrét i chwyta ją za ramię.

– Zapraszasz nas wszystkich, a ona jest tutaj?!

– Gdzie niby miałyby być? – Margrét zerka na drugą kobietę, Ingibjörg, i widzę błysk porozumienia w ich oczach.

– W Hvammur choć na ten jeden dzień! Zamknięta w ciemnicy! – wykrzykuje Róslín. Ma zarumienioną twarz; wybuch oburzenia wyraźnie

sprawia jej przyjemność.

– Nie ekscytuj się tak, bo przyśpieszysz poród.

Spoglądam na jej wydęty brzuch. Wygląda na gotową.

– To dziewczynka – mówię bez zastanowienia.

Trzy kobiety gapią się na mnie.

– Co ona powiedziała? – szepcze Róslín z przerażoną miną.

Margrét odkaszlnęła z cicha.

– Co powiedziałaś, Agnes?

Nagle robi mi się nieswojo.

– To będzie dziewczynka. Widać po tym, jak brzuch jest wydęty.

Ingibjörg wpatruje się we mnie z zaciekawieniem.

– Wiedźma! – krzyczy Róslín. – Powiedzcie jej, żeby przestała na mnie patrzeć. – Wybiega z kuchni jak burza.

– Skąd umiesz to odgadywać? – pyta Ingibjörg. Ma łagodny głos.

– Rósa Gudmundsdóttir mnie nauczyła. Jest akuszerką na zachodzie.

Margrét kiwa powoli głową.

– Rósa Poetka. Nie wiedziałam, że się przyjaźnicie.

Mięso jest ugotowane. Kładę łyżkę na jednej z beczek i oburącz zdejmuję kociołek z haka.

– Nie przyjaźnimy się – mówię.

Ingibjörg bierze talerzyk z masłem.

– Mam nadzieję, że gospodyni pozwoli ci przez jakiś czas pobyc na dworze. Powinnaś poczuć ciepło słońca na policzkach.

Razem z Margrét wychodzi z kuchni. „Zanim umrzesz” – mimowolnie kończę jej zdanie na głos, zwracając się do rozżarzonych węgielków w palenisku.

Goście przybywają konno i pieszo, kobiety niosą jadło, a mężczyźni nieśmiało wyciągają z kieszeni kamizelek i płaszczy flaszki z gorzałką. Widzę ich, kiedy nakrywam do stołu, ale Margrét daje mi głównie zajęcia

w kuchni, żebym nie pokazywała się sąsiadom. Gapią się na mnie i milkną, kiedy stawiam na stole dzbanki mleka i talerzyki ze świeżym masłem.

Nie chcę być tutaj. Zjawiają się ludzie, których znam, może rolnicy, u których pracowałam, służący, z którymi dzieliłam mieszkanie. Czoło boli mnie od ciasno zaplecionych warkoczy i nagle mam ochotę je rozpleść, chodzić z rozpuszczonymi włosami albo i położyć się na wznak, wygrzewać w słońcu.

†

Tóti znalazł Agnes w mleczarni, przy ubijaniu masła.

– Nie bierzesz udziału w świętowaniu? – zapytał cicho.

Nie odwróciła się do niego.

– Tutaj bardziej się przydaję – odrzekła, unosząc i opuszczając bijak maselnicy.

Po chwili zwrócił uwagę na jej oddech, szybki i głośny. W tym niedużym pomieszczeniu wydał mu się dziwnie intymny. Rytmiczne ruchy bijaka i przyśpieszony oddech. Poczuł na policzkach gorący rumieniec. Po jakimś czasie z wnętrza maselnicy zaczął dobiegać łoskot i Agnes zręcznie wyjęła świeże masło z maślanki. Tóti zamrugał, gdy umyła je, a potem uformowała w osełkę i poklepała, sprawnie wyciskając resztki maślanki. Przypomniał sobie, co powiedział Blöndal o śmierci Natana. „Wielokrotnie pchnięto go nożem w brzuch”.

Kiedy masło zostało uformowane i przykryte płótnem, Tóti zaproponował, żeby wyszli na dwór i zaczerpnęli trochę świeżego powietrza. Agnes wyglądała na nerwową, ale po wzięciu robótki z badstofy ruszyła za Tótim na podwórze. Usiedli na stosie darniny przy chacie i spojrzeli na grupę dorosłych i dzieci. Mężczyźni wyglądali na coraz bardziej podпиты, a kobiety plotkowały w ciasnych grupkach. Kilka podawało sobie na przemian dziecko, cmokając, żeby przestało płakać.

– Byłem u Blöndala – rzekł w końcu Tóti.

Agnes zbladła.

– Czego chciał?

– Uważa, że powinienem więcej czasu poświęcić na kazania i modlitwy z tobą, a mniej na słuchanie tego, co masz do powiedzenia.

– Blöndal bardziej od surowych kazań lubi tylko dźwięk własnego głosu.

– To prawda, że Natan wyleczył jego żonę?

– Tak – odrzekła Agnes z ociąganiem. – Natan odwiedzał Hvammur parę lat temu, żeby puszczać jej krew i robić okłady.

Tóti pokiwał głową.

– Blöndal opowiedział mi również trochę o Fridriku. Wygląda na to, że radzi sobie bardzo dobrze pod okiem Birniego Olsena i duchową opieką wielebnego Jóhanna.

Spojrzał na Agnes, by ocenić jej reakcję. Zmrużyła oczy.

– W jego imieniu też wystąpią z apelacją? – spytała.

– Nic takiego nie słyszałem. – Tóti odchrząknął. – Służąca o imieniu Karitas przesyła ci pozdrowienia. Zapytała, czy rozmawiałś ze mną o Natanie.

Agnes przestała robić na drutach i zacisnęła zęby.

– Karitas? – Głos jej się załamał.

– Poprosiła mnie o rozmowę po moim spotkaniu z Blöndalem. Chciała mi opowiedzieć o Natanie.

– I co o nim mówiła?

Tóti wyjął róg tabaki, wysypał szczyptę na grzbiet dłoni i wciągnął nosem.

– Powiedziała, że nie mogła znieść dalszej pracy dla niego. Powiedziała, że bawił się ludźmi.

Agnes milczała.

– Spotkałem innych w tej dolinie, którzy twierdzą, że był czarnoksiężnikiem i że nosił imię po szatanie – dodał Tóti.

– Mnóstwo ludzi w to wierzy.

– A ty wierzysz?

Agnes wygładziła na kolanach niedokończoną pończochę.

– Nie wiem. Natan wierzył w sny. Jego matka miała dar jasnowidzenia i jej sny często się spełniały. Jego rodzina z tego słynie. Natan nakłaniał mnie do opowiadania swoich snów i przywiązywał do nich dużą wagę.

Przestała wygładzać pończochę i spojrzała prosto przed siebie.

– Wielebny – powiedziała cicho. – Czy obieca wielebny, że mi uwierzy?

Tóti poczuł, jak serce zabiło mu mocniej.

– Co chcesz mi powiedzieć, Agnes?

– Pamięta wielebny, jak pierwszy raz przyjechał tutaj, żeby się ze mną zobaczyć, i zapytał, dlaczego wybrałam wielebnego na swojego kapłana, a ja odpowiedziałam, że to z powodu życzliwości, którą okazał mi wielebny, pomagając przedostać się przez rzekę? – Agnes zerknęła z niepokojem na grupę ludzi na skraju pola. – Wcale nie kłamałam. Rzeczywiście się wtedy spotkaliśmy. Ale nie powiedziałam wielebnemu, że spotkaliśmy się także wcześniej.

Tóti uniósł brwi.

– Przepraszam, Agnes. Nie pamiętam.

– Nic dziwnego. Spotkaliśmy się we śnie. – Spojrzała na wikariusza, jakby bała się, że wybuchnie śmiechem.

– We śnie? – Po raz kolejny zwrócił uwagę na kontrast między jej ciemnymi rzęsami i jasnymi oczyma. Jest jedyna w swoim rodzaju, pomyślał.

Zadowolona, że się nie roześmiała, Agnes zaczęła znowu robić na drutach.

– Kiedy miałam szesnaście lat, przyśniło mi się, jak idę boso po polu zastygłej lawy. Było pokryte śniegiem. Czułam się zagubiona i przerażona. Nie wiedziałam, gdzie jestem, a w zasięgu wzroku nie było nikogo. Wszędzie tylko skały i śnieg, wielkie ryfty i szczeliny w ziemi. Stopy mi krwawiły, ale musiałam iść dalej... nie wiem dokąd, ale szłam szybko. Właśnie gdy myślałam, że umrę ze strachu, pojawił się młody mężczyzna. Miał odkrytą głowę, na szyi koloratkę. Podał mi rękę. Szliśmy dalej... Chociaż nadal się



bałam, trzymałam go za rękę i było mi lżej na sercu.

Potem w moim śnie nagle poczułam, jak grunt usuwa mi się spod nóg. Moja ręka została wyrwana z uścisku młodego mężczyzny. Wpadłam do ryftu. Pamiętam, jak spadając w ciemną głębinę, spojrzałam w górę i zobaczyłam, że ziemia zamyka się nade mną, zasłaniając światło i twarz tamtego młodego mężczyzny. Spadłam w głąb ziemi, pogrzebana w ciemności i ciszy. Było to nie do zniesienia, a potem się obudziłam.

Tóti poczuł suchość w ustach.

– Ja byłem tym mężczyzną?

Agnes pokiwała głową. Miała łzy w oczach.

– Dlatego przeraziłam się, kiedy wielebnego spotkałam w Gönguskörd. Rozpoznałam wielebnego ze swojego snu i dotarło do mnie, że nasze losy są jakoś powiązane. Martwiło mnie to. – Agnes otarła nos rękawem. – Kiedy się rozstaliśmy, dowiedziałam się, jak się wielebny nazywa. Słyszałam, że będzie wielebny pastorem tak jak ojciec i że jedzie wielebny do szkoły, i wiedziałam, że mój sen był prawdziwy i że spotkamy się po raz trzeci. Nawet Natan wierzył w szczególne znaczenie trójek.

– Ale nie wpadłaś do ryftu w ciemność.

– Jeszcze nie – odparła cicho Agnes. – Zresztą nie przeraziła mnie ciemność. Tylko cisza.

Tóti się zamyślił.

– Jest na tym i na drugim świecie wiele, czego nie rozumiemy. Ale tylko to, że czegoś nie rozumiemy, nie oznacza, że musimy się bać. Tak niewiele rzeczy możemy być w tym życiu pewni. I to jest przerażające. Kłamałbym, gdybym stwierdził, że nie boję się tego, czego nie wiem. Ale mamy Boga. Co więcej, mamy Jego miłość, dzięki której możemy się nie bać.

– Nie jestem tego pewna.

Tóti nieśmiało wziął ją za rękę.

– Zaufaj mi, Agnes. Jestem tu, tak jak byłem w twoim śnie.

Ścisnął jej smukłe palce. Czuł jej zapach, słodki zapach świeżej maślanki,

a także coś kwaśnego. Woń jej skóry? Mleka? Stłumił w sobie nagłą chęć, by posmakować jej palców.

Nieświadoma jego myśli, uśmiechnęła się i poklepała go po kolanie.

– Będzie wielebny wspaniałym pastorem – powiedziała.

Tóti pogładził wierzch jej dłoni.

– Blöndal o mało nie pozwolił mi zostać twoim kapłanem. – Poczul się tak, jakby byli w zмовie. – Kiedy się z nim dzisiaj widziałem, obawiałem się, że zabroni mi się z tobą widywać.

– I zabronił?

Tóti pokręcił głową.

– Powiedział, że muszę prawić ci kazania.

Agnes łagodnym ruchem wysunęła dłoń z jego uścisku, a on niechętnie ją puścił. Patrzył, jak zaczęła znowu robić na drutach.

– Opowiedz mi o Natanie – poprosił trochę poirytowany.

Agnes zerknęła na grupę gości.

– Myśli wielebny, że trzeba im wynieść więcej jadła?

– Margrét by cię zawołała. – Wytarł spocone ręce o spodnie. – No, Agnes. Blöndala tu nie ma.

– I Bogu niech będą dzięki. – Wzięła głęboki wdech. – Co wielebny chce o Natanie usłyszeć? Wie wielebny, że Natan był moim pracodawcą w Illugastadir. Oczywiście od ludzi z tych okolic nasłuchał się wielebny już dość o tym, jaki miał charakter. Co jeszcze wielebnego interesuje?

– Kiedy się poznaliście?

– Poznałam Natana Ketilssona, kiedy pracowałam w Geitaskard.

– Gdzie to jest?

– W Landal. To było szóste gospodarstwo z kolei, gdzie pracowałam jako służąca. Gospodarz, Worm Beck, był dla mnie dobry. Wcześniej pracowałam w Fannlaugarstadir na wschodzie, a później w Búrfell. Właśnie wtedy się poznaliśmy, wielebny; kiedy szłam do Búrfell, a wielebny przewiózł mnie przez rzekę. Wyruszyłam tam, bo słyszałam, że pracuje tam Magnús

Magnússon, który figuruje w księdze parafialnej jako mój ojciec.

Nie zagrzałam tam jednak miejsca. Magnús był życzliwy i miły, ale kiedy przypomniałam mu, że właśnie po nim nazywam się Magnúsdóttir, rozzłościł się. Powiedział, że moja matka zszargała jego dobre imię, i zaczął narzekać, że kobiety wiecznie przysparzają mu kłopotów. Wolałam się stamtąd wynieść. Magnús dał mi łóżko i pozwolił się tam zatrzymać, ale od czasu do czasu patrzył na mnie z dziwną miną i wiedziałam, że widzi, jak jestem podobna do matki. Zanim odeszłam, dał mi trochę grosza. Po raz pierwszy w życiu trzymałam w garści pieniądze.

Postanowiłam udać się do Geitaskard. Wyruszyłam pieszo wczesnym rankiem i szłam w dół rzeki Blandy, kiedy zobaczyłam grupkę mężczyzn, którzy wyszli właśnie ze wschodniej przełęczy. Dogonili mnie i moich towarzyszy, głównie innych służących, a kiedy przedstawiliśmy się sobie nawzajem, okazało się, że jednym z mężczyzn jest mój młodszy brat, tylko że już dorosły. Nawet się nie rozpoznaliśmy. Jóas bardzo się wzruszył. Uścisnął mi dłoń i nazwał siostrą, a inni naśmiewali się z niego, kiedy zobaczyli, że łązy stanęły mu w oczach. Ja też cieszyłam się, że go odnalazłam, ale zauważyłam, że czuć od niego gorzałkę i jest ubrany niechlujnie. Powiedział mi, że jest służącym, ale nie miał przy sobie żadnych referencji i zachowywał się nerwowo jak włóczęgi w tych stronach. Coś mi mówiło, że źle sobie w życiu radzi, i było mi go żal. Rozmawialiśmy tamtego ranka przez całą drogę do Geitaskard i dowiedziałam się, że dzieciństwo Jóasa nie było ani odrobinę szczęśliwsze od mojego. Mamma poszła sobie gdzieś wkrótce potem, jak zostawiła mnie w Kornsie, i od tamtej pory przierzucano go z jednego gospodarstwa do innego, jakby był gorącym kartoflem. Nie wiedział, gdzie jest Ingveldur, i stwierdził, że jak dla niego mogła pójść do diabła. Tak więc oboje doświadczyliśmy podobnego losu, oboje byliśmy ubodzy, tylko że Jóas miał jeszcze większego pecha. Nie umiał czytać ani pisać, a kiedy zaproponowałam, że go nauczę, zdenerwował się i powiedział, żebym się nie wywyższała.

Jóas i jego kompani, podejrzana zgraja oberwańców, wśród których trudno było dostrzec czystą twarz, powiedzieli mi, że idą do Geitaskard, bo może uda się tam dostać jakąś pracę dorywczą, skoro to takie duże gospodarstwo. Jóas nie załatwił sobie posady wcześniej tak jak ja, ale zaręczyłam za niego Wormowi i też został przyjęty. Miło wspominałam te czasy, w końcu miałam przy sobie kogoś z rodziny, choć prawie się nie znaliśmy, a do tego gospodarstwo było dobre i bogate. W Geitaskard zawsze było dość jadła, inaczej niż w Gudrúnarstadir czy Gafl, czy nawet Gilsstadir. W tamtych gospodarstwach zdarzało się, że musiałam dziatwę karmić świeczkami łożowymi, a sama jadłam kawałek gotowanej skóry. Służący w Geitaskard odnosili się też do siebie lepiej. Przy wielu krowach i koniach, mleku i trawie, i dużych porcjach mięsa, którymi mogliśmy napchać sobie żołądki, nietrudno być dobrym i miłym. Zaprzyjaźniłam się z jedną z tamtejszych służących, Marią Jónsdóttir. Nigdy nie miałam wielu przyjaciół, ale ona też była uboga i myślę, że dobrze się nawzajem rozumialiśmy.

Wydawało się, że Jóasowi podoba się w Geitaskard. To mnie cieszyło, ale nie podobali mi się jego kompani. Wyglądali na obwiesiów i wałkoni, i nosili poplamione spodnie. I wszyscy mieli wszy. Jóas do krwi rozdrapał sobie skórę na głowie. Worm pozbył się części tych ludzi już po tygodniu, kiedy przyłapał ich, jak drzemali za stodołą, a reszta też nie wytrzymała długo. Nie wiem, czy był lepszym człowiekiem, czy może dlatego, że miał mnie przy sobie, ale Jóas dał mi się wymyć i wycesać gnidy z włosów. Ciężko pracował. Wieczorami, kiedy mieliśmy czas dla siebie, rozmawialiśmy. Powiedział mi, że słyszał o mnie od ludzi, że rozpytywał o mnie i dowiedział się, że byłam w Kornsie, a potem w Gudrúnarstadir. Próbował mnie tam odnaleźć, ale odeszłam, zanim przybył na miejsce, a nikt nie pamiętał, dokąd się udałam. Później płakałam na myśl, że brat próbował mnie odszukać. Sam też miał dziecko, córkę, której mamma pracowała jako służąca. Ale powiedział mi, że dziecko urodziło się martwe, a dziewczyna go nie chce. Ja z kolei powiedziałam mu o Heldze, naszej biednej martwej siostrzyczce, a on

się przyznał, że był na jej pogrzebie, i powiedział, że rolnik Jónas, ojciec Helgi, dał mu trochę pieniędzy, bo zlitował się, że Jóas został porzucony przez kurwę. Mój brat upierał się, że nasza mamma jest złą kobietą, może iść do diabła za to, że porzuciła dwójkę dzieci na łaskę, a raczej niełaskę ludzi, i określał ją jeszcze wieloma innymi wyzwiskami. Mówił o mamie tak jak wcześniej Magnús i pokłóciliśmy się o to pewnego wieczoru, a kiedy rano się obudziłam, Jóasa nie było. Ukradł mi pieniądze, które dostałam od Magnúsa. Nigdy później go nie widziałam.

Grupka ludzi na skraju pola wybuchnęła głośnym śmiechem. Tóti zauważył, że dwaj mężczyźni wypuścili krowę, a pozostali na próżno usiłowali ją zagonić z powrotem do zagrody.

– Oszczędzałam te pieniądze – podjęła Agnes – na czasy, kiedy wyjdę za mąż. Żeby zapłacić za dokumenty i pomóc mężowi w zakupie działki ziemi, byśmy mogli być niezależni.

– Miałaś narzeczonego? – spytał Tóti.

Uśmiechnęła się.

– Był taki jeden służący w Geitaskard. Daníel Gudmundsson. Podobałam mu się i mówił wszystkim, że jesteśmy zaręczeni. Zeznał tak podczas procesu, ale nie wiem, jak mógł traktować to poważnie. Żadne z nas nie miało grosza przy duszy. Nie wyprowadzałam go z błędu i dawałam marzyć, póki oznaczało to, że jest dla mnie dobry.

Daníel pracował też w Illugastadir, kiedy tam byłam. Zeznawał w procesie najpierw jako świadek, a potem Blöndal uznał, że Daníel musiał wiedzieć, co się święciło, więc osadzono go w rasphusie w Kopenhadze.

– A wiedział, co się miało wydarzyć? – zapytał Tóti.

Agnes podniosła wzrok znad drutów i popatrzyła na niego chłodno.

– Czy myśli wielebny, że gdyby ktokolwiek wiedział, co się stanie, siedziałabym teraz tutaj i rozmawiała z wielebny? Myśli wielebny, że wszyscy pozostali, Daníel i rodzina Fridrika, zostaliby przywiązani do beczki i zachłostani prawie na śmierć, gdyby wiedzieli, co się miało stać?

Zaległo milczenie.

Agnes wzięła głęboki wdech.

– Po odejściu Jóasa miałam jeszcze w Geitaskard Marię. Kiedy dorastałam, nigdy nie miałam wielu przyjaciół. Tułałam się od gospodarstwa do gospodarstwa. Tam, gdzie przygarnął mnie gospodarz w ramach obowiązków wobec parafii albo potrzebował dziewczynki, która zajęłaby się pastwiskiem, stadem owiec albo garnkami. Zresztą i tak trzymałam się zawsze na uboczu. – Agnes podniosła wzrok. – Lubi wielebny czytać?

– Bardzo.

Uśmiechnęła się szeroko i po raz pierwszy Tóti przypomniał sobie służącą, której pomógł nad rzeką. Jej oczy lśniły, a wargi rozchyliły się, ukazując równe zęby; nagle odmłodziła, zmieniła się. Zdał sobie sprawę, jak wznosi się i opada jego pierś. Ta kobieta jest piękna, pomyślał.

– Ja też – powiedziała Agnes, zniżając głos do szeptu. – Najbardziej lubię sagi. Jak to się mówi, *blíndur er bóklaus maður*. Człowiek bez książki jest ślepcem.

Tóti poczuł, że wzbiera w nim krzyk, a może śmiech. Patrzył na Agnes, na popołudniowe słońce rozświetlające końcówki jej rzęs i zastanawiał się nad słowami Blöndala. Agnes zamordowała Natana, ponieważ została odrzucona.

– Kiedy byłam młodą dziewczyną, zatrudniano mnie do pilnowania pól. Czasami w gospodarstwach były książki. – Skinęła ręką w stronę skalistych gór. – Brałam je i czytałam na górze Kornsa. Potrafiłam tam zasnąć i dzięki temu odpocząć od gospodarstwa i obowiązków. Czasami jednak przyłapywano mnie na tym i karano.

– Wpis confirmacyjny stwierdzał, że jesteś czytana.

Agnes wyprostowała plecy.

– Podobała mi się confirmacja. Komunia Święta i to, że wszyscy patrzyli na nas, gdy szliśmy nawą i klękaliśmy przed pastorem. Rolnicy i ich żony nie mogli mi mówić, żebym nie czytała, kiedy wiedzieli, że przygotowuję się

do konfirmacji. Mogłam chodzić do kościoła i uczyć się z tamtejszym wilebnym, jeżeli akurat miał czas. Podarowano mi białą suknię, a później były naleśniki.

– A co z poezją?

Agnes popatrzyła na niego sceptycznie.

– Mianowicie?

– Lubisz ją? Układasz wiersze?

– Nie przechwalam się swoimi wierszami. W przeciwieństwie do Rósy. O niej wszyscy wiedzą. – Wzruszyła ramionami.

– Bo są piękne.

– Natan to właśnie w Rósie uwielbiał. Uwielbiał to, jak potrafiła budować ze słów coś nowego. Wymyśliła własny język do wypowiedzenia tego, co inni mogli tylko odczuwać.

– Słyszałem, że Natan też był poetą. – Tóti udał nonszalancję. – Czy wy dwoje mówiliście do siebie wierszem, jak Rósa i Natan?

– Nie jak Rósa, nie. Ale rozmawialiśmy ze sobą swego rodzaju poezją. – Agnes spojrzała na pole. – Poznałam Natana w taki dzień jak dzisiaj.

– Na dożynkach?

Pokiwała głową.

– W Geitaskard. Ja i María podawałyśmy do stołu. Przynosiłyśmy jadło i napitek i nie śpieszyłyśmy się z tym zbytnio. María wiedziała o ludziach wszystko. Pamiętam, jak wskazała mi brzemienny brzuch jednej ze służących i zaczęła opowiadać takie historie, które może nie były zbyt uprzejme, ale rozśmieszyła mnie tak, że ledwo mogłam oddychać. Potem chwyciła mnie za łokieć i zaciągnęła do stodoły, gdzie powiedziała mi, że właśnie widziała, jak przyjechał konno Natan Ketilsson.

Słyszałam już o Natanie. Słynął z różnych rzeczy w zależności od tego, kto się o nim wypowiadał. Wszyscy wiedzieli o jego romansie z Rósą. Wszyscy wiedzieli, że jej dzieci są Natana, a nie Ólafa. Natan podróżował po całej północy. Jako młody człowiek puszczał chorym krew, a potem pojechał

do Kopenhagi i wszyscy twierdzili, że wrócił stamtąd jako czarnoksiężnik. Mówiono także, że zaprzyjaźnił się z Blöndalem, który wtedy studiował w tym mieście, i dlatego nigdy nie schwytano go za to, co później robił. Wszyscy uważali Natana za złodzieja i jest prawdą, że wychłostano go kiedyś za kradzież, kiedy był młody. Nikt nie potrafił inaczej wyjaśnić, skąd ma tyle pieniędzy, skoro sami mogli mu zapłacić tak mało. Niektórzy przysięgali, że nakłaniał innych, by kradli dla niego zwierzęta. Miał mnóstwo wrogów. Ale czy ci ludzie doznali rzeczywiście jakiejś krzywdy, czy po prostu mu zazdrościli, trudno orzec. Opowieści tego rodzaju łatwo się wyolbrzymia, a sam Natan lubił uchodzić za tajemniczego i niebezpiecznego.

– Co wtedy o nim sądziłaś?

– Och, wtedy nie miałam w ogóle o czym myśleć. Nigdy wcześniej go nie spotkałam, chociaż jego brat Ketil próbował się do mnie zalecać. W stodole Maria powiedziała mi, że Natan w końcu zostawił Rósę i kupił sobie gospodarstwo. Mnóstwo się o tym mówiło, bo ludzie lubili Rósę i było im przykro, że jest nieszczęśliwa, mimo że miała przecież męża. Maria powiedziała mi, że Worm jest wielkim przyjacielem Natana i pomógł mu w kupnie Illugastadir, farmy nad samym morzem, gdzie jest mnóstwo fok, dzikich kaczek i drewna wyrzuconego na brzeg. Powiedziała, że Natan zaczął się wynosić ponad innych i nazywać siebie Lyngdal, a nie Ketilsson, choć żadna z nas nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Było to dziwne nazwisko, zupełnie nieislandzkie. Maria uważała, że prawdopodobnie w ten sposób starał się uchodzić za Duńczyka, a ja zastanawiałam się, czy wolno mu zmieniać nazwisko. Maria stwierdziła, że mężczyźni robią, co im się podoba, i że wszyscy są Adamami nadającymi nazwy wszystkiemu pod słońcem.

Uczesałyśmy się, a Maria przygryzła wargi, żeby zrobiły się bardziej czerwone. Potem wyszłyśmy ze stodoły, udając, że sprawdzamy, czy trzeba coś donieść do stołu.

Wtedy zobaczyłam Natana po raz pierwszy. Myślałam, że będzie kawałem chłopca, przystojnym, wysokim, o długich włosach jak ci, dla których służące



zwykle tracą głowy. Mężczyzna, którego ujrzałam z Wormem, nie był wysoki i wcale nie wyglądał na silnego. Miał pociągłą twarz, rudawokasztanowe włosy i za duży nos. Powiedziałam Marii, że on wygląda jak lis. Wybuchnęła śmiechem i stwierdziła, że niektórzy ludzie na północy uważają, że Natan umie zmieniać postać.

Zauważył nas. Było oczywiste, że się z niego śmiejemy, ale jemu to nie przeszkadzało. Powiedział coś do Worma i obaj ruszyli w naszą stronę.

Pamiętam, że się uśmiechał, jakby już nas znał. Pewnie podobało mu się to, że wzbudził zainteresowanie. „Dobry wieczór, dziewczęta – powiedział. Miał niski, głęboki głos. – Czy mogę spytać, jak macie na imię?”. A ja odpowiedziałam za nas obie.

Uśmiechnął się i uklonił, i wtedy zwróciłam uwagę na jego dłonie. Były bardzo jasne, jak u kobiety, a palce miał smukłe i długie jak gałązki brzozy. Nic dziwnego, że zwano go długopalcym. Powiedział, że miło mu nas poznać i czyż to nie jest piękny dzień? Zaczął wypytywać, czy dobrze się bawimy na dożynkach, ale przerwałam mu i przypomniałam, że sam jeszcze się nie przedstawił. Maria prychnęła, lecz Natan lubił osoby rozsądne; tak mi później powiedział. Przedstawił się jako Natan Lyngdal. Miał błysk w oczach.

Maria zapytała, czy tak naprawdę nie nazywa się Ketilsson, a Natan odparł, że tak, rzeczywiście nazywa się też Ketilsson, a oprócz tego ludzie nazywają go jeszcze rozmaicie, chociaż nie wszystkie te przezwiska są odpowiednie dla naszych delikatnych uszu. Mówił i zachowywał się swobodnie, wielebny. Zawsze wiedział, co ludziom powiedzieć; jakie słowa sprawią im przyjemność. A jakie zabolą do żywego.

Nie rozmawialiśmy długo. Worm go odwołał. Natan pożegnał się, ale wcześniej szepnął jeszcze, że chętnie spotka się z nami później.

Wielebny Tóti przesunął palcem wzdłuż dziąseł, ścierając kilka okruchów tabaki. Wytarł opuszkę palca o spodnie i siłą rzeczy zwrócił uwagę na swoje drobne, niczym się niewyróżniające różowe dłonie. Poczul w piersi ukłucie zazdrości.

– Kiedy zobaczyłaś się z Natanem następnym razem?

Agnes poświęciła parę chwil na przeliczenie oczek w robótce.

– Och, tego samego dnia – powiedziała. – Maria i ja byłyśmy zajęte całe popołudnie, wykonując rozmaite polecenia żony Worma i pilnując, żeby dzieci nie plątały się gościom pod nogami, ale wieczorem dano nam wolne, żebyśmy też mogły świętować po swojemu. Był piękny, pogodny zmierzch i wszyscy służący siedzieli na dworze, obserwując nadejście nocy. Jeden z parobków opowiadał właśnie o ukrytych ludziach, kiedy za naszymi plecami ktoś odkaszlnął i zobaczyłyśmy stojącego w cieniu Natana. Przeprosił, że tak się do nas zakradł, ale uwielbia słuchać o elfach, i zapytał, czy pozwolimy nieznanemu wziąć udział w naszej zabawie. Jeden ze służących stwierdził, że Natana Ketilssona trudno nazwać nieznanym, zwłaszcza wśród kobiet, i większość obecnych wybuchnęła śmiechem. Ale jeden czy dwóch mężczyzn, a także niektóre kobiety odwrócili wzrok.

Maria zrobiła Natanowi miejsce obok siebie. Ja siedziałam na skraju, w dalszym rzędzie, bo nie byłam tak lubiana jak ona ze względu na to, jak rozmawiałam z ludźmi, ale Natan przeszedł obok Marii i usiadł obok mnie. „Teraz jesteśmy gotowi”, powiedział i poprosił parobka, żeby opowiadał dalej. Siedzieliśmy tak wszyscy do nocy, opowiadając sobie rozmaite historie i patrząc na gwiazdy, a potem poszliśmy spać. I tyle.

– Jak myślisz, czemu Natan postanowił usiąść obok ciebie?

Wzruszyła ramionami.

– Później mi mówił, że obserwował mnie cały dzień i nie mógł mnie odczytać. Z początku źle go rozumiałam i odrzekłam, że to nic dziwnego, bo jestem kobietą, a nie książką. A on się roześmiał i powiedział, że nie, że potrafi też czytać ludzi, chociaż zdaje się, że niektórzy są napisani pismem, którego nie rozumie. – Agnes uśmiechnęła się lekko. – Niech wielebny myśli o tym, co chce. Ale tak właśnie powiedział.

Wielebny na pewno zastanawia się, czym byliśmy dla siebie nawzajem. Patrzę na niego i wiem, że myśli o Natanie i o mnie, wgrzyza się w tę myśl i w niej rozsmakowuje niczym dziecko wysysające szpik z kości. Równie dobrze mógłby ssać kamień.

Natan.

Trudno mi wspominać, jak go poznałam, bo dłoń, którą uścisnęłam, była po prostu ręką nieznanego. Nie potrafię myśleć o Natanie jak o kimś zupełnie obcym. Mogę przypomnieć sobie, jak wyglądał, przypomnieć sobie, jaka była wtedy pogoda, jak szczecina zarostu na jego policzkach lśniła w słońcu, ale samej tej dziewiczej chwili nie sposób uchwycić. Nie potrafię przypomnieć sobie, jak to było nie znać Natana. Nie potrafię pomyśleć o tym, jak to było go nie kochać. Spojrzeć na niego i odkryć, że znalazłam coś, czego łaknęłam, nie zdając sobie z tego nawet sprawy. Łaknęłam tak głęboko, tak bardzo, że mnie to przerażało.

Nie okłamałam wielebnego. Tamta rozgwieżdżona noc, historie opowiadane przez służących i ciepły uścisk jego dłoni – tak było naprawdę. Ale nie powiedziałam Tótiemu, co się wydarzyło, kiedy służący udali się spać. Nie powiedziałam, że Maria poszła razem z nimi, posławszy mi ganiące spojrzenie. Nie powiedziałam, że zostaliśmy sami i że Natan nakłonił mnie, żebym została z nim jeszcze. Żeby porozmawiać, powiedział. Tylko porozmawiać.

– Powiedz mi, kim jesteś, Agnes. Czekaj, daj mi rękę, żebym dowiedział się czegoś o tobie.

Ciepło jego palców przesuwających się szybko po wnętrzu mojej otwartej dłoni.

– To odciski, więc jesteś pracowita. Palce masz silne. Pracujesz nie tylko ciężko, ale i sprawnie. Rozumiem, czemu Worm cię zatrudnił. Widzisz to? Masz wgłębienie w dłoni. Jak ja. Proszę, czujesz, jaka jest wklęsła?

Miękkie zagłębienie, drobne bruzdy w jego skórze, zarys kości.

– Wiesz, co to znaczy, kiedy się ma wklęsłą dłoń? Że jest w tobie jakaś

tajemnica. Ta pusta przestrzeń może się wypełnić złym losem, jeśli nie będziesz uważać. Jeżeli obnażysz to wgłębienie przed światem i całym jego mrokiem, całym jego nieszczęściem.

– Co można poradzić na kształt dłoni? – Roześmiałam się.

– Można zakryć ją czyjąś dłonią, Agnes.

Ciężar jego palców na moich, jak ptaka, który usiadł na gałęzi. Jakby spadła zapałka. Nie wiedziałam, że otacza nas chrust, póki nie buchnął ogniem.

## Rozdział 8

Wiersz Rósy Poetki do Natana Ketilssona, ok. 1827

Ó, hve sæla eg áleit mig,  
engin mun því trúande,  
þá fjekk eg líða fyrir þig  
forsmán vina, en hinna spje.

Sá minn þanki sannur er,  
þó svik þín banni nýting arðs  
Ó, hve hefir orðið þjer  
eitruð rosin Kiðjaskarðs!

*Jaka ja szczęśliwa, myślałam,  
jaka swobodna nawet w chwili,  
kiedy przez ciebie tak cierpiałam  
i kiedy wszyscy ze mnie drwili.*

*Na nieszczęście spójrz, zdrajco, swoje –  
takie są szczere myśli moje –  
Ta róża z Kidjaskard ma kolce  
Ostre jak igły i trujące!*

Jesień ogarnęła dolinę niczym westchnienie. Margrét leżała obudzona w przeciągającym się mroku październikowego poranka, jej płuca były

niczym mech, ciężkie od flegmy, gdy zastanawiała się, jak światło powoli teraz nadchodzi, jak zdaje się potykać i chwiać, docierając przez okno, jakby zmęczone długą podróżą. Żeby wstać z łóżka, już trzeba było stoczyć z sobą walkę. Budziła się zimną nocą, gdy Jón przyciskał palce stóp do jej nóg, żeby je ogrzać. Rankiem parobkowie, nakarmiwszy krowę i konie, wracali z nosami i policzkami zaróżowionymi od igiełek mrozu. Córki powiedziały, że kiedy poszły na jagody, był szron, a podczas spędu owiec spadł śnieg. Margrét została wtedy w domu, bo bała się, że jej płuca nie wytrzymają długiego marszu pod górę, by znaleźć i spędzić stado owiec z letniego pastwiska, wysłała tam jednak wszystkich. Oprócz Agnes. Nie mogła jej pozwolić na przejście za górę. Chociaż Agnes by nie uciekła. Nie była przecież głupia, znała tę dolinę i wiedziała, jak trudno stąd uciec. Ktoś by ją zobaczył. Wszyscy wiedzieli, kim jest.

Parobkowie wyruszyli w drogę pierwsi, jeszcze przed brzaskiem, jadąc konno za górę Vididals z innymi mężczyznami z doliny, a część kobiet podążyła ich śladem pieszo wkrótce potem. Margrét z Agnes miały przygotować strawę na ich powrót. Jak tylko się rozjaśniło, Margrét poczuła się nieswojo. Niebo było szare i złowróźbne. Wiedziała, że coś się stanie. Chmury zawisły nisko nad ziemią, w powietrzu czuć było zapach żelaza. Przez cały ranek wspominała ludzi, którzy zginęli na tej górze. Ledwie rok wcześniej podczas nagłej śnieżycy zaginęła służąca i nie znaleziono jej kości aż do wiosny, kiedy natrafiono na ciało daleko od miejsca, gdzie ją ostatnio widziano. Margrét tak bardzo się frasowała, że zaczęła nawet rozmawiać z Agnes, dając w ten sposób upust swoim obawom. Wspólnie wymieniały znane im osoby, które zginęły w górach. Ponura rozmowa, ale Margrét znajdowała pewne ukojenie w mówieniu o śmierci na głos, jakby nazwanie czegoś mogło temu zapobiec. Może dlatego Agnes mówiła do wielebnego więcej niż on do niej, pomyślała.

Miała oczywiście rację; coś się stało. Wkrótce po południu, gdy nikt jeszcze z góry nie wrócił, rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi chaty

i niczym burza wparowała do niej Ingibjörg.

– Róslín – powiedziała.

W gospodarstwie Gilsstadir panował rozgardiasz. Roilo się od dzieci w zasnutej dymem kuchni pełnej nadpalonych garnków i kociołków, z których wykipiała zawartość. Ta czereda wydawała się znudzona porodem matki. Kiedy trzy kobiety weszły do chaty, Róslín, blada i spocona, poczłapała do badstofy. Coś jest nie tak, powtarzała. Przeraził ją widok Agnes stojącej cicho w drzwiach, lecz Ingibjörg trzeźwo stwierdziła, że Margrét nie mogła zrobić z nią nic innego.

Dziecko było nieprawidłowo ułożone. Powiedziała im to Agnes i nagle podeszła do Róslín, kładąc dłonie na jej brzuchu. Nawet gdy Róslín biła ją po rękach i drapała po ramionach, Agnes cały czas delikatnie przyciskała smukłe palce do wydętej krągłości jej ciała.

Dziecko jest ułożone miednicowo, oznajmiła. Róslín jęknęła wtedy i przestała się szarpać. Agnes dalej nie odstępowała jej na krok, kazała położyć się na podłodze i towarzyszyła jej przez cały poród. Nie zdejmowała z rodzącej rąk. Cały czas głaskała Róslín tymi smukłymi dłońmi, uspokajała ją i mówiła dzieciom, żeby nie przeszkadzały, żeby przyniosły sukna albo zagotowały wody. Jednemu poleciła pobiec do Kornsy po trochę dzięgielu zerwanego przez dziewczęta podczas wycieczki na jagody. „Jest w tacy z piaskiem w spiżarni – powiedziała, a Margrét zdziwiła się, jak dobrze Agnes zna każdy kąt jej domu. – Nie uszkodź korzenia. Weź tylko garstkę”. Potem poprosiła Ingibjörg o przyrządzenie naporu z dzięgielu, tłumacząc, że dzięki temu poród będzie łatwiejszy. Kiedy napar był gorący, Róslín zacisnęła zęby, wzbraniając się przed wypiciem.

– To nie jest trucizna, Róslín – powiedziała Margrét. – Daruj nam kolejną scenę. – Wtedy zaszło coś niesamowitego. Margrét i Agnes wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Uśmiechnęły się przelotnie.

Dziecko urodziło się w pozycji miednicowej. Najpierw nogi z krwawymi stopami, później tułów i wreszcie głowa. Miało pępowninę zawiniętą wokół

ramienia i szyi. Ale żyło.

Agnes odmówiła przyjęcia porodu. Poprosiła Ingibjörg, żeby odebrała dziecko, sama nie chciała go dotknąć, nawet później, kiedy Róslín zasnęła, a w całej dolinie zaczęło rozbrzmiewać beczenie owiec. Margrét pomyślała, że to dziwne – że Agnes nie chciała tknąć noworodka. Co wtedy powiedziała? „Powinno żyć”. Jakby mogło umrzeć, gdyby wzięła je na ręce.

Wieczorem była więc podwójna okazja do świętowania. Sæbjörn był tak uradowany i napojony gorzałką i rumem przez innych gospodarzy, że kiedy wdrapał się do koszar, żeby oddzielić swoje owce od reszty stada, potknął się, poślizgnął w błocie, a baran tryknął go w głowę. Margrét słyszała, jak Páll opowiadał o tym położnicy, ze śmiechem mówiąc, że inni już bez Snæbjörna rozdzielili stada.

Nikt nie jadł aż do późna. Córki Margrét podały głodnym parobkom to, co udało im się ocalić z potraw, które zaczęły gotować ich matka i Agnes.

– Padało trochę śniegu – powiedziała Steina, kiedy usłyszały o porodzie Róslín. Spojrzała na Agnes. – To musiał być dobry znak.

– Właściwie nic nie zrobiłam – powiedziała Agnes. – Poród przyjęła Ingibjörg.

– No nie – poprawiła ją Margrét. – Ten napar z korzenia dzięgielu... gdzie się tego nauczyłaś?

– To wiedza powszechna – mruknęła Agnes.

– Pewnie od Natana – burknęła Lauga.

Margrét dziwiła się, że więźniarka zdawała się członkiem rodziny. Nazajutrz też rozmawiała z Agnes, wypyując ją o farby, jakich używała, i zachowywały się zupełnie jak pani domu i służąca aż do chwili, gdy do izby weszła Lauga, która poskarżyła się, że ma już powyżej uszu tego, jak ta kobieta gapi się na jej ubrania i rzeczy. Lauga zdawała sobie sprawę nie gorzej od Margrét, że gdyby Agnes była złodziejką, już dawno zauważyłyby, że coś zginęło. Tymczasem nawet srebrna brosza wciąż leżała w kurzu pod łóżkiem. Margrét zastanawiała się przez moment, czy Lauga nie jest



o Agnes zazdrosna, ale szybko oddaliła od siebie to przypuszczenie. Na litość boską, czemu córka miałaby odczuwać zazdrość w stosunku do kobiety, która umrze, zanim nadejdzie następna zima? Mimo wszystko w odrazie, jaką Lauga jej okazywała, była intensywność, którą musiało wywoływać coś więcej niż zwykła niechęć.

Ostrożnie wysunąwszy nogi spod ciężaru męża, Margrét wstała z łóżka, podeszła na palcach do okna i wyjrzała przez rozpiętą na nim rybią skórę. Padał deszcz ze śniegiem. Co za pech, pomyślała. Barany i mleczone owce pasły się już na polu przy domu, jagnięta wciąż były w koszarze. Dzisiaj miał się zacząć ubój.

Margrét pomyślała o dniu, kiedy Agnes przybyła do Kornsy. Nawet w duchu cieszyła się skrycie z napięcia między rodziną a przestępczynią, nawet go łaknęła. Dzięki niemu się zjednoczyli, stali się sobie bliżsi. Teraz jednak uświadomiła sobie, że przyzwyczaili się do obecności Agnes w gospodarstwie. Może wiązało się to z pożytkami, jakie przynosiła dodatkowa para rąk do pracy. Margrét nie bolały już plecy, a nawet kaszel przestał jej tak bardzo dokuczać. Wolała nie myśleć o tym, co się stanie, kiedy zostanie wyznaczona data egzekucji. Nie, lepiej nie zaprzętać tym sobie w ogóle głowy. To, że czuje się swobodnie w towarzystwie tej kobiety, wynikało przecież głównie stąd, że z nią łatwiej się pracowało. Bez sensu jest martwić się na zapas, kiedy tyle jest do zrobienia.

†

Ubojowi zwykle towarzyszy pośpiech. Pogoda jest kiepska, pada deszcz ze śniegiem, a wiatr jest niczym wilk szarpiący za łydki i przypomina o nadciągającej zimie. Na niebie zbierają się ciężkie, gęste chmury, z których spadnie śnieg, a ja czuję przygnębienie i smutek.

Nikt nie chce pracować aż do nocy, więc wszyscy siedzimy opatuleni na dworze, w październikowym półmroku, i czekamy, aż parobkowie i Jón

złapią pierwsze owce. Przeznaczili na ubój tyle zwierząt, by wystarczyło nam na całą zimę. Czy policzyli mnie jako jedną z gęb do wyżywienia? Tłumię w sobie odruch, by pójść Jónowi pod nóż. Czemu nie zabijecie mnie tutaj, teraz, w ten zwyczajny dzień? To oczekiwanie na egzekucję mnie obezwładnia i kaleczy. Owce skubią resztki brunatnej trawy. Czy te nieme zwierzęta znają swój los? Zagnane do koszar i porozdzielane, muszą przeczekać w strachu tylko jeden mroźny wieczór. Ja czekam na rzeź od miesiący.

Gudmundur chwytą pierwszą owcę i klęka na niej, żeby unieruchomić łeb. Nie lubię go, ale jest sprawny – rozcina gardło aż po rdzeń kręgowy tak szybko, że do wiadra nie skapnęła prawie żadna kropla krwi. Dopiero po kilku minutach krew się puszcza. Występuję do przodu, żeby przejąć od niego wiadro, lecz on ignoruje mnie i przekazuje je Laudze. Nieważne. Ja też go ignoruję. Czekam na wiadro krwi od Jóna, który przewiesił zarżniętą owcę przez ogrodzenie koszar, żeby spłynęła krew. Krwi zawsze jest więcej, niż się człowiek spodziewa, i zawsze sika w nieprzewidzianym kierunku. Trochę krwi wylewa się na błotnistą ziemię i szarą wełnę zwierzęcia, lecz wkrótce wiadro się zapełnia.

Wracam do kuchni, gdzie Margrét dorzuciła do ognia torfu i suchego łajna. Oczy łzawią mi od dymu, a Margrét kaszle, ale przypomina mi, jak smaczne będzie mięso, które się uwędzi powieszzone na belkach stropu. Stawiam wiadro z krwią na podłodze i wychodzę na dwór.

Czekamy, aż owce zostaną obdarte ze skóry. Jagnię Bjarniego wciąż się wykrwawia – Bjarniemu brakuje techniki dobrego rzeźnika. Gudmundur posługuje się nożem sprawnie. Przypomina mi Fridrika, który przyjechał, żeby pomóc przy uboju w Illugastadir, zanim przestali z Natanem udawać, że się przyjaźnią. Fridrik zawsze wydawał się nadto gorliwy, gdy chodziło o pocięcie zwierzęcia na części – posługiwał się nożem trochę zbyt szybko. Jón pracuje wolniej, ale staranniej. Zaczyna od tylnych nóg i wyłamuje stawy skokowe tak, że nie trzeba przecinać ścięgien. Gudmundur obdziera skórę

na tyle, na ile umie, aż do kłębu, ale ma kłopoty ze ściąganiem jej z mostka, więc Jón prosi Bjarniego, by pomógł. Parobcy wspólnie wieszają tuszę na ścianie i wreszcie obdzierają resztę skóry. Bjarni spartaczył robotę. Żałuję, że nie mogę podejść i pokazać mu, jak to się robi. Już wyobrażam sobie ich miny, gdybym poprosiła o nóż.

Wyjmują serce, płuca i podgardle, a potem kiszki i żołądek, i jagnię jest wypatroszone.

Tamtej jesieni w Illugastadir Natan drasnął woreczek żółciowy jednej z owiec. Gorzka żółć wylała się na mięso, a Fridrik zawył ze śmiechu. „I ty akurat udajesz doktora!”, powiedział do Natana. Dziwne, że takie chwile mi się teraz przypominają.

Z wiadrami pełnymi wnętrzności zostawiamy mężczyzn, by pocięli mięso na części, i wracamy do kuchni. Dymu jest już mniej, za to ogień pali się wysokim płomieniem. Margrét powiesiła nad paleniskiem kocioł z wodą i wszystkie wzięłyśmy się do roboty. Nawet Lauga pomaga i przeciska krew przez płótno. Wzdryga się, gdy krew się rozbryzguje i krople lądują na jej twarzy. Wychodzę po żołądki, a kiedy wracam, powietrze w chacie jest gęste od zwierzęcych zapachów. Cynaderki smażą się dla mężczyzn na śniadanie. Margrét włożyła do innego kociołka trochę tłuszczu i zalała wodą, żeby się podgotował. Kristín, Margrét, Steina i ja rozcinamy żołądki i zszywamy je w sakiewki, zostawiając mały otwór na farsz. Kiedy Lauga przecisnęła przez płótno całą krew, dodaję resztę tłuszczu i żytnią mąkę, a potem sugeruję, żeby dodać jeszcze trochę porostów – tak robiłyśmy to w Geitaskard. Margrét się zgadza i wysyła Laugę po nie do składziku, a ja czuję, jak ciepło szczęścia rozlewa mi się w sercu. Tak wyglądało kiedyś moje życie: urobiona po łokcie przy flakach pracowałam, żeby przeżyć. Dziewczęta gawędzą i śmieją się, gdy nadziewają pozaszywane żołądki krwistą masą. Mogę zapomnieć, kim jestem.

Tłuszcz szybko się rozgotowuje. We trzy zdejmujemy kocioł z ognia i odstawiamy, żeby przestygł. Wtedy będzie można rozkruszyć skorupę

na górze i dostać się do ukrytego pod spodem płynnego łożu.

Mężczyźni przychodzą zjeść cynaderki, cuchną gównem i mokrą wełną. Myślę, że parobkowie z zazdrością patrzą na nas, kobiety, gdy wrzucamy sakwy krwawego salcesonu do garnka z wrzątkiem w tej zadymionej, ciepłej kuchni. Podaję Jónowi jedzenie, a on po raz pierwszy spogląda mi w oczy. „Dziękuję, Agnes” – mówi półgłosem. To z powodu dziecka Róslín, jestem pewna. Patrzy na mnie teraz inaczej.

Mężczyźni zjedli i zaczęli przynosić kawałki mięsa. Odmierzam saletrę i mieszam ją z solą. Przypomina mi się, jak kiedyś pomagałam Natanowi w warsztacie: odmierzałam siarkę, suszone liście, kruszone nasiona. Sporo dzisiaj myślę o Illugastadir. O uboju jedynej jesieni, którą tam spędziłam. Z radością robiłam zapasy na zimę: to mieliśmy zjeść później, a to Natan miał zabierać jako prowiant podczas swoich długich podróży. Stał oparty o framugę drzwi do kuchni, kiedy mieszałam kaszę i krew, i czytał mi sagi albo opowiadał o swoim pobycie w Kopenhadze, gdzie do blodpølse dodaje się egzotycznych przypraw i pewnych suszonych owoców. Potem do kuchni wbiegli z chichotem i śniegiem we włosach Fridrik i Sigga, którzy przynieśli wiadra pełne podrobów, i Natan zostawił mnie przy pracy, a sam poszedł do warsztatu.

Dłonie mnie pieką, gdy dociskam warstwę po warstwie solonego mięsa w beczce. Różowa papka wypełnia przestrzeń między palcami. Plecy bolą od ciągłego schylania się nad beczką. Steina obserwuje mnie, pyta, ile wody potrzeba do skropienia każdej warstwy, i narzeka, jak opuszki palców pierzchną od soli. Oblizuje skórę i marszczy nos z niesmakiem.

– Nie rozumiem, czemu nie możemy przechowywać całego mięsa w serwatce. Sól jest taka droga – mówi.

– Solone mięso bardziej odpowiada zagranicznym gustom – odpowiadam. Ta beczka ma trafić na handel. Tłustsze mięso zakonserwujemy w serwatce, na potrzeby rodziny. Czuję na sobie ostrą zwierzęcą woń.

– Czy sól bierze się z morza?

– Czemu zadajesz mi tyle pytań, Steino?

Dziewczyna milknie na chwilę, jej policzki różowieją.

– Bo mi na nie odpowiadasz – mamrocze.

W następnej kolejności trzeba się zająć kośćmi i łbami. Proszę Laugę, żeby opróżniła garnek po łoju z chrząstek i wody, ale udaje, że mnie nie usłyszała, patrzy prosto przed siebie. Zamiast niej robi to Kristín. Kiedy Steina znowu podchodzi i uśmiecha się nieśmiało, pytając, w czym jeszcze można mi pomóc, proszę, żeby napełniła garnek kośćmi, dodała soli, jęczmienia i wody. Razem ze Steiną ustawiam garnek obok gotującej się kiełbasy, żeby szpik wyciekł do wrzącej wody i żeby sól i gorąco oderwały od kości wszystko, co miękkie. Kiedy wieszamy pełen garnek na haku, Steina klaszcze w dłonie i natychmiast dorzuca opału do ognia.

– Tylko nie przesadzaj, Steino – mówię. – Nie zasypuj węgla.

Biorę owcze łby i przystawiam je do żaru w palenisku, żeby opalić sierść. Wełna nie zajmuje się ogniem, kurczy się i spopiela, a moje nozdrza rozchylają się mimowolnie, gdy dociera do nich swąd palonego włosa.

O Boże! Ten zapach!

Badstofa w Illugastadir. Tran wielorybi rozsmarowany na drewnie i łózkach, a potem płomień z kaganka kopący się na tłustych wełnianych kocach...

Nie mogę tego znieść, potrzebuję świeżego powietrza. O Boże!

Nie daj im po sobie poznać, jak się zdenerwowałam. Oddaję łby Steinie, proszę, żeby dokończyła opalenie sierści. Muszę wyjść na powietrze. Mówię jej, że to przez dym.

Na dworze czuję na twarzy orzeźwiająca mżawkę. Ale gryzący swąd palonej wełny pozostał w moich nozdrzach – wciąż mnie od niego mdli.

Margrét znajduje mnie, gdy siedzę w kucki w mroku, z głową na kolanach. Czekam, aż mnie zbeszta. Co ty tu robisz, Agnes? Wracaj do pracy. Jak śmiałaś zrzucić całą robotę na Steinę! Spaliła mięso na węgiel.

Ale Margrét milczy. Siada obok mnie i słyszę trzaskanie jej kolan.

– Jak szybko robi się teraz ciemno. – Czy to wszystko, co ma mi do powiedzenia?

Granatowy zmierzch podkraśl się do nas z ciemnego jelita rzeki przed nami.

Zapachy zawsze zdają się mocniejsze po zmroku i gdy siedzę tutaj, czuję kuchenne zapachy na ubraniu Margrét. Salcesonu. Kielbasy. Dymu. Solonej wody. Margrét oddycha z wysiłkiem i w wieczornej ciszy słyszę szmer w jej płucach; coś chwyta jej oddech.

– Potrzebowałam powietrza – mówię.

Margrét wzdycha.

– Od świeżego powietrza nikt jeszcze nie umarł.

Siedzimy i słuchamy cichego szumu rzeki. Mżawka ustaje. Zaczyna padać śnieg.

– Zobaczmy, co robią teraz dziewczyny – mówi w końcu Margrét. – Nie będę zaskoczona, jeśli się okaże, że Steina sama zawiesiła się pod stropem zamiast mięsa. Może już się uwędziła.

Z kuźni dobiega stłumiony hałas. Pewnie mężczyźni rozkładają skóry do wysuszenia.

– Chodź, Agnes. Jeszcze się zaziębisz.

Spuszczam wzrok i widzę, że Margrét wyciągnęła do mnie rękę. Chwytam ją, jej skóra jest niczym pergamin. Wracamy do chaty.

†

Ogień w palenisku wypalił się, pozostawiając stos tłących się węgla i popiołu, a gęsta ciemność okryła zalane krwią podwórze. Lauga opuchniętymi palcami przywiązała sznurek do ostatniego pęta kielbasy i powiesiła je do wyschnięcia. Steina, w fartuchu brudnym od krwi, stała oparta plecami o framugę drzwi.

– Śnieg pada – powiedziała.

Lauga wzruszyła ramionami.

– Wszyscy poszli spać. – Steina pociągnęła nosem. – Ładnie tu teraz pachnie, prawda?

– Nie wiem, odkąd to zabijanie ładnie pachnie. – Lauga schyliła się po wiadra, w których nosiły krew i wnętrzności owiec.

– Och, zostaw, niech wyschną. Wyszorujemy je jutro rano. – Steina przysunęła sobie stołek przed palenisko. – Widziałaś, jak Agnes sprawiła się z peklowaniem mięsa? Nigdy nie widziałam, żeby ktoś pracował tak szybko.

Lauga ustawiła wiadra pod ścianą i usiadła obok siostry. Wyciągnęła ręce, grzejąc je sobie nad żarem.

– Pewnie zatrula całą beczkę.

Steina skrzywiła się z niedowierzaniem.

– Nie zrobiłaby tego. Nie nam. – Wzięła do ust rąbek fartucha, zwilżyła go śliną i zaczęła wycierać nim plamy na rękach. – Zastanawiam się, co ją tak rozstroiło.

– Rozstroiło?

– No, siedziałam tutaj z nią jak my teraz i opalałyśmy owcze łby, a nagle rzuciła mi je na kolana i wybiegła, mamrocząc coś do siebie. Mamma poszła za nią. Widziałam, jak siedziały później na dworze i rozmawiały. Potem wróciły do kuchni.

Lauga zmarszczyła brwi i wstała.

– Zabawne – ciągnęła Steina. – Myślę, że mimo wszystko mamma ją teraz lubi.

– Co ty mówisz! – obruszyła się Lauga.

– Nigdy by się do tego nie przyznała, ale...

– Na litość boską, czy musisz ciągle gadać o Agnes?

Steina zaskoczona podniosła wzrok na siostrę.

– A co jest nie tak w gadaniu o Agnes?

Lauga prychnęła.

– Co jest nie tak? Czy tylko ja w tym domu widzę, jaka ona jest naprawdę?

– Zniżyła głos do szeptu. – Mówisz o niej jakby nigdy nic. Jakby była zwyczajną służącą.

– Och, Laugo. Tak bym chciała, żebyś...

– Żebym co? No co?! Zaprzyjaźniła się z nią tak jak reszta z was?!

Steina gapiła się teraz na siostrę z rozdziawionymi ustami. Lauga pobiegła na drugi koniec kuchni i przycisnęła pięści do czoła.

Potem wzięła brudne wiadra.

– Idę je umyć – oznajmiła łamiącym się głosem. – Kładź się spać.

– Co się dzieje? – Steina wstała i zrobiła parę kroków w jej stronę.

– Nic. Po prostu idź spać. Zostaw mnie samą.

– Nie, dopóki nie powiesz, co cię tak zdenerwowało.

Lauga pokręciła głową, krzywiąc się przy tym.

– Myślałam, że będzie inaczej. Myślałam, że nie będziemy musiały się z nią zadawać, bo zostaną urzędnicy do pilnowania. Myślałam, że będziemy ją trzymać w zamknięciu! A ona zawsze jest z nami, rozmawia z wielebny w naszej badstofie. Nawet mamma traktuje ją życzliwie! Nikt zdaje się nie dostrzegać, że ludzie w dolinie dziwnie na nas patrzą.

– Nieprawda. Nikt się nami nie przejmuje.

Lauga zmrużyła oczy.

– Ależ przejmują się, Steino. Nie widzisz tego, lecz wszyscy jesteśmy naznaczeni. I nie patrzą na nas przychylnie, kiedy widzą, że z nią rozmawiamy i dajemy jej dużo jedzenia. Przez to nigdy nie wyjdziemy za mąż.

– Tego nie wiemy. – Steina siadła znowu na stołku przy palenisku. – Zresztą nie będzie tak na zawsze – dodała.

– Nie mogę się doczekać, kiedy nas opuści.

– Jak możesz tak mówić?!

Lauga odetchnęła, cała roztrzęsiona.

– Wszyscy widzą, że wikariusz gania za nią jak zakochany. Nawet pabbi kiwa jej głową i mówi rano „dzień dobry”, odkąd czarami pomogła Róslín



przy porodzie. A ty! Traktujesz ją jak siostrę; traktujesz ją, jakby to ona nią była, a nie ja!

– Nieprawda!

– Prawda, prawda. Łazisz za nią. Pomagasz jej. Chcesz, żeby cię lubiła.

Steina wzięła głęboki wdech.

– Bo... pamiętam ją sprzed lat. I nie mogę oprzeć się myśli, że nie zawsze taka była. Kiedyś była w naszym wieku. Kiedyś miała matkę i ojca. Była taka jak my.

– Nie – syknęła Lauga. – Nie jak my. Ona jest zupełnie inna. Przyjechała tutaj i nikt nawet nie widzi, jak wszystko się zmieniło. – Schyliła się, podniosła brudne od krwi wiadra i wymaszerowała z kuchni.

†

Na północy śnieg padał prawie co dzień. Breidabólstadur zasnuwała zimna gęsta mgła, która nie rozproszyła się nawet wtedy, gdy świat rozjaśniły słabe promienie październikowego słońca. Pomimo złej pogody Tóti niechętnie siedział z ojcem w domu. Czuł, że jakaś niewidzialna zasłona między nim a więźniarką zniknęła. Agnes zaczęła wreszcie mówić o sobie, a na myśl o tym, że może zaufać mu na tyle, by opowiedzieć, co się stało w Illugastadir tamtej strasznej nocy, czuł szybsze bicie serca.

Kiedy przywdziewał na rozdygotane ciało wiele warstw wełnianych ubrań, znowu pomyślał o ich pierwszym spotkaniu. Niewyraźnie przypominał sobie rwące nurty Gönguskörd i huk, z jakim wody z wiosennych roztopów przepływały przez przełęcz. Widział mokry żwir lśniący w słońcu. A z przodu, na brzegu stała schylona ciemnowłosa kobieta, która ściągała pończochy, szykując się do przeprawy.

Tóti włożył rękawiczki. W badstofie w Breidabólstadur spróbował sobie przypomnieć twarz, którą ujrzał tamtego dnia. Podnosząc na niego wzrok, kobieta zmrużyła oczy przed słońcem. Nie uśmiechnęła się. Jej włosy były

wilgotne i kleiły się do czoła i szyi. Na kamieniach leżał biały worek.

Potem przypomniało mu się ciepło jej ciała przy jego piersi, gdy na klaczy przeprawiali się wspólnie przez rzekę. Od jej karku biła woń potu i dzikich traw. Myśl o tym przebiegła go niczym gorący dreszcz.

– Co ci się tak śpieszy?

Tóti podniósł wzrok i zobaczył ojca, który patrzył na niego z drugiego końca izby.

– Jestem umówiony w Kornsie.

Wielebny Jón się zamyślił.

– Spędzasz tam dużo czasu – stwierdził.

– Bo mam tam dużo pracy.

– Słyszałem, że urzędnik okręgowy ma dwie córki.

Tóti poprawił rękawiczki i zmarszczył brwi.

– To prawda. Sigurlaug i Steinvör.

Ojciec zmrużył oczy.

– Ładne z nich dzierlatki, co?

Tóti się zmieszał.

– Na pewno niektórzy tak uważają. – Odwrócił się do wyjścia. – Nie czekaj na mnie w nocy.

– Synu! – Wielebny Jón podszedł do drzwi i wręczył mu Nowy Testament.

– Zapomniałeś.

Tóti zarumienił się, capnął książkę i wepchnął ją do kieszeni płaszcza.

Na dworze zaszczypały go policzki i uszy zaboląły od mrozu. Osiodłał senną klacz, wsiadł na jej grzbiet i ruszył do Kornsy. Gdy mgłę zastąpił padający śnieg i Tóti musiał strząsać go z końskiej grzywy, a ręce i nogi bolały go z zimna, raz po raz wracał myślami do kobiety, którą spotkał na przełęczy Gönguskörd, i to wspomnienie go rozgrzewało.

– Po dożynkach nie widziałam Natana przez dłuższy czas. Pewnego dnia byłam w jednym z budynków gospodarczych i odcinałam kawał mięsa

zawieszony na belce. Stałam na drabinie z nożem w ręku i przerwałam na chwilę pracę, wpatrzona w niebieskie listopadowe światło na dworze. Wtedy nagle się zjawił. Stanął w drzwiach.

Agnes poprawiła się na łóżku, żeby jak najlepiej wykorzystać światło kaganka. Tóti potoczył wzrokiem po rodzinie gospodarzy. Siedzieli na drugim końcu badstofy. Słuchali, lecz Agnes nie zwracała na to uwagi. Sprawiała wrażenie, jakby nie mogła przestać mówić, nawet gdyby chciała.

– Zaskoczył mnie tak, że o mało nie zleciałam z drabiny. Mięso spadłoby na ziemię, gdyby Natan go nie złapał. Powiedział, że przyjechał w odwiedziny do Worma. Wcześniej był w Hvammur, gdzie leczył żonę Blöndalę, i uznał, że nie warto wracać do domu, skoro nie czeka tam na niego nic poza fokami i pracą.

Chyba go zapytałam, jak mu się podoba Illugastadir, a on odpowiedział, że potrzebuje więcej służących do pomocy; ma jedną służącą, ale jest mało rozgarnięta. Poza tym była bardzo młoda, a Karitas, jego gospodyni, miała wkrótce odejść do pracy w dolinie Vatnsdalur.

Wtedy znów trochę porozmawialiśmy. Pamiętam, że zapytałam go o jego wglębienie w dłoni, bo rozmawialiśmy o tym podczas jego poprzedniej wizyty, a on roześmiał się i powiedział, że wkrótce wypełni się pieniędzmi, jeżeli Blöndalowi zależy na tym, by jego żona dożyła końca zimy.

Później ruszyliśmy wspólnie w stronę domu i zobaczyli nas służący pracujący na podwórzu. Maria akurat wносиła popiół, a kiedy ujrzała Natana, przystanęła i zaczęła się gapić. To moja przyjaciółka, powiedziałam, ale Natan ją zignorował. Zaczął mówić o tym, że będzie padał śnieg, że czuje to w kościach, a kto tam idzie? I wskazał palcem Pétura Owcobójcę.

– Tego drugiego mężczyznę, który stracił życie w Illugastadir? – spytał Tóti.

Agnes kiwnęła głową.

– Nazywał się Pétur Jónsson. Zesłano go na zimę do Geitaskard po tym, jak został oskarżony o zabijanie cudzych zwierząt kilka lat temu. Dziwny był

z niego człowiek. Nie przepadałam za nim. Miał zwyczaj śmiać się, kiedy nie było z czego, i opowiadał nam, służącym, koszmary, które mu się przyśniły. Straszyl nas.

– Też miał prorocze sny?

Agnes zawahała się i rozejrzała po obecnych. Ściszyła głos.

– Mnóstwo ludzi pamięta jeden sen, o którym Pétur opowiadał w Geitaskard. Śnił mu się więcej niż raz i zawsze jak o nim słuchałam, cierpła mi skóra. Śniło mu się, że biegnie jakąś doliną, a gonią go trzy owce, które zabił razem z Jónem Arnarsonem. Jedna z owiec, które zabił, była przewodniczką stada, a kiedy go dogoniły, właśnie ta zwymiotowała krwią i go opryskała. Śmiał się z tego snu, ale później byli tacy, którzy coś w nim widzieli.

– Proroctwo? Powiedziałaś Natanowi o tym śnie Pétura?

– Tak. A on opowiedział mi wtedy niektóre ze swoich dziwnych snów. Ale to teraz nieważne.

– Wiem o snach Natana – ozwał się szept z drugiego końca izby. Agnes i Tóti odwrócili się i zobaczyli, jak Lauga wpatruje się w nich z dziwnym wyrazem twarzy.

– Cicho bądź! – skarciła ją Margrét.

– Róslín mi o nich opowiedziała, mamó. Myślę, że by cię zainteresowały.

– Nie chcemy tego słuchać – burknął Jón i dźwignął się powoli na nogi.

– Nie, niech nam opowie o snach Natana Ketilssona – zaprotestowała Steina. – Na pewno wszyscy chętnie posłuchamy. Włącznie z Agnes.

Jón się zamyślił.

– Dajmy wielebnemu Thorvardurowi porozmawiać z podopieczną. Nie przeszkadzaj.

– Ja mam nie przeszkadzać? – Lauga roześmiała się i rzuciła robótkę na łóżko. – A czemu nie ona?! Jest w naszym domu! W kuchni ciągle słyszę za plecami jej oddech! Słyszę, jak opowiada kłamstwa w naszej badstofie! Mamma, pabbi, wybaczcie mi, ale mówiliście mi i Steinie, żebyśmy nie

słuchały tej kobiety. A teraz pozwalacie jej snuć bajdy dwa kroki od nas? „O ja biedna, współczujcie ubogiej!”.

– Przecież nie możemy wyprawić jej i wielebnego Tótego na śnieg – zauważyła trzeźwo Steina.

– W takim razie, pabbi, skoro ona może wieczorem opowiadać bajeczki, to czemu nie my wszystkie?

Margrét miała kamienną twarz.

– Weź swoją robótkę, Laugo.

– Tak, weź swoją robótkę, Laugo – zawtórowała jej Steina.

– Dostyc już tego, jedna i druga! – warknęła Margrét. – Wielebny Tóti, trzeba wam wiedzieć, że chcąc nie chcąc, wszystko słyszymy...

– Co Róslín naopowiadała ci, Laugo, o snach Natana? – wtrąciła się Agnes. Przestała robić na drutach i wpatrywała się w obie siostry ze skupieniem.

Wszyscy umilkli.

Lauga zerknęła niepewnie na Agnes, a potem spojrzała na ojca, który spuścił wzrok.

– Róslín powiedziała, że Natan mówił wielu ludziom o śnie, w którym demon dźgał go w brzuch. Miał też inny sen, w którym był na cmentarzu. W tym śnie zobaczył ciało albo szerniałe zwłoki w otwartej mogile i jadły je trzy jaszczurki. Potem po drugiej stronie grobu zjawił się mężczyzna, a kiedy Natan zapytał go, czyje to zwłoki, mężczyzna odparł: „Nie poznajesz własnego ciała?”.

– Słodki Jezu! – wymamrotała Kristín.

– Co się stało później? – spytał Bjarni ze swojego łóżka.

Lauga wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że się obudził. Ale Róslín mówiła, że wielu ludziom opowiadał ten sen. Słyszała to od Ósk, która słyszała to od swojego brata, a on od samego Natana.

Spojrzenia obecnych powędrowały w stronę Agnes. Zamyśliła się, a potem zwiesiła nogi z łóżka, odwracając się twarzą do wszystkich.

– Mnie powiedział, że przyśniło mu się własne ciało w otwartym grobie, a potem zobaczył stojącą po drugiej stronie mogiły własną duszę. Wtedy ciało zawołało do duszy i zaśpiewało psalm biskupa Steina. – Głos jej się załamał i ucichła.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wreszcie Tóti odchrząknął.

– Agnes, chcesz opowiedzieć resztę swojej historii? Rozmawialiśmy o Péturze.

– Mogę usiąść bliżej światła?

Gospodarz zerknął na żonę. Pokręcił głową.

Margrét skrzywiła się boleśnie.

– Jón – szepnęła. – W czym by to teraz mogło zaszkodzić?

Tóti zauważył, jak gospodarz strzela oczami w stronę córek.

Margrét westchnęła.

– Najlepiej będzie, jak wszyscy pozostaniemy na swoich miejscach – powiedziała do Agnes. – Masz dość światła do opowiadania.

Na twarzy więźniarki mignął wyraz gniewu, lecz zaczęła mówić spokojnie.

– Pétur, jak pewnie wiecie, cieszył się złą sławą zarówno w Langidalur, jak i w Vatnsdalur. Nikt nie ufa człowiekowi, który zabił tyle zwierząt. Byłam zaskoczona, że Natan go nie rozpoznał w Geitaskard, bo przypuszczałam, że zna różnych ludzi. Powiedziałam mu, że Pétur jest tutaj w areszcie, ponieważ zarznięł ponad trzydzieści owiec, a co więcej, zrobił to tylko dla zabawy i może wyślą go do Kopenhagi. Natan przyjrzał mu się uważnie, ale później już o nim nie wspominał.

– Może chciał zwerbować go do kradzieży następnych owiec? – stwierdziła ostrym tonem Lauga.

– Może – odparła Agnes z ciemnego kąta. Zwróciła się znowu do Tótiego.

– Tamtego dnia zaprowadziłam Natana do Worma, a potem dołączyłam do Marii na polu. Kiedy powiedziałam jej, że Natan mnie zaskoczył, wzięła mnie za rękę i poprosiła, żebym była ostrożna.

– Czemu? – zapytała Kristín. Gudmundur zarechotał w mroku.

Agnes zignorowała ich.

– Powiedziała jej, że jestem dorosła i mam własny rozum. Maria przyznała, że właśnie to ją martwi.

– Wielebny – odezwał się nagle Jón. – Może będzie lepiej, jeśli porozmawiacie z dala od naszej rodziny.

– Pabbi, chcę posłuchać, co się stało – powiedziała Steina.

– Idź spać, Steino.

– Przepraszam, Jón – wtrącił się Tóti. – Z całym szacunkiem, jestem tu po to, by wysłuchać tego, co Agnes zechce mi powiedzieć. Przykro mi, ale w tych warunkach nasza rozmowa będzie słyszalna dla twojej rodziny i służby.

– Rozmowa? – Gudmundur zmarszczył brwi. – Wielebny daje jej mówić, jakby opowiadała wielebnemu bajeczki na dobranoc.

Zanim Tóti zdążył zastanowić się nad odpowiedzią, wtrąciła się Margrét.

– Zamknij się, Gudmundur. Niech Agnes rozmawia z wielebnym. Co ci to przeszkadza, Jón? Obie wiedzą, co się stało, a to, czego nie wiedziały, najwyraźniej usłyszały od Róslín.

– Nie macie się czego obawiać – powiedział Tóti.

– Mam nadzieję, że nie – odrzekł Jón. Zacisnął wargi i znowu się zajął filcowaniem skarpety.

Tóti odwrócił się do Agnes.

– Czemu przyjaciółka ci to powiedziała?

– Myślałam, że jest zazdrosna. Wcześniej tak bardzo chciała Natana poznać. Wiedziałyśmy, że on potrzebuje gospodyni.

– Jakie to miało znaczenie?

– Posada u mężczyzny, któremu nigdy nie brakuje pieniędzy? Lepsza posada, gdzie można być kimś więcej niż zwykłą służącą? Gdzie można prowadzić dom i gospodarstwo, jak się chce, bez odpowiedzialności wobec pani domu? – Więźniarka zerknęła na Margrét.

– Mów dalej, Agnes – mruknęła Margrét.

– Wiadomości o takiej okazji nie sposób utrzymać w tajemnicy, wielebny. Wszystkie dziewczęta w Geitaskard wiedziały, że Natan Ketilsson jest kawalerem, potrzebuje gospodyni, może także kogoś więcej, a Maria pragnęła poprawić swój los nie mniej niż ja. Bardzo pragnęłam zastąpić Karitas. Nie przynosiło mi to żadnej ujmę.

Gudmundur prychnął i Agnes strzeliła oczami.

– Prawda jest taka, że ja i Natan zaprzyjaźniliśmy się, bo lubiliśmy ze sobą rozmawiać. Przyjeżdżał do Geitaskard co kilka tygodni i zawsze wtedy rozmawialiśmy. – Posłała Laudze gniewne spojrzenie. – Zaoferował mi przyjaźń, a ja chętnie się zgodziłam, bo nie miałam wokół siebie wielu przyjaciół. Maria wkrótce zaczęła mnie ignorować, a im częściej Natan się ze mną widywał, z tym mniejszą sympatią wszyscy się do mnie odnosili. Ale to byli tylko służący. – Wypluła te słowa w stronę wylegających się w kącie badstofy parobków. – Natan był mądrym człowiekiem, znachorem, umiał rachować i nie był skąpcem. Tamtej jesieni wyleczył niejednego służącego w Geitaskard z kaszlu, ale czy ktoś był mu wdzięczny? Bynajmniej. Wiedzieli, że często przyjeżdżał z wizytą tylko ze względu na mnie, i patrzyli na mnie krzywo. A co ja byłam winna? Kiedy powiedziałam im, że Natan wreszcie zaproponował mi pracę w Illugastadir, myślałam, że będą się cieszyć z mojego sukcesu. Ale oskarżono mnie, że się przechwalam i uważam za kogoś lepszego, niż jestem. Tamta zima przyniosła ze sobą nowy rodzaj samotności, cieszyłam się, gdy przyjeżdżał Natan i mnie z niej wyrывał. Z radością opuściłam Geitaskard. Mój brat odszedł. Maria mnie odepchnęła. Nic mnie tam nie trzymało.

Agnes umilkła i skupiła się na robieniu na drutach. Tóti zauważył, że Lauga i Gudmundur wymieniają ukradkowe spojrzenia. Na kilka chwil zapanowała niezręczna cisza przerywana tylko stukaniem drutów i stłumionym chichotem Kristín. W końcu, gdy wiatr na zewnątrz przybrał na sile, Jón wstał i zasugerował, żeby wszyscy poszli spać. Tóti, który nagle poczuł się bardzo zmęczony, przyjął zaproszenie, by skorzystać z wolnego łóżka. Opowieść



Agnes o Natanie wzbudziła w nim niepokój. Kiedy zgaszono kaganek, zastanawiał się, czy dobrze zrobił, że dał jej o tym mówić.

†

Czasami po rozmowie z wielebnym język mam tak zmęczony, że leży mi w ustach niczym zdechły ptak z zamokniętym pierzem.

Co właściwie powiedziałam? Co z tego zrozumieli? Zresztą nieważne. Nikt nie może pojąć, jak to było poznać Natana. Podczas jego odwiedzin zdawało się, jakbyśmy budowali coś świętego. Łączyliśmy starannie słowa, układaliśmy je ściśle jedno na drugich, bez niedomówień czy przemilczeń. Wznosiliśmy wieże, latarnie morskie, z których widzieliśmy się nawzajem poprzez mgłę, poprzez dławiącą powtarzalność zwyczajnego życia.

W Geitaskard spacerowaliśmy wieczorami po śniegu, który skrzypiał pod naszymi stopami. Raz, kiedy poślizgnęłam się na lodzie, chwyciłam go za ramię i utracił równowagę. Przewróciliśmy się oboje i ze śmiechem padliśmy na ziemię. Natan odepchnął mnie i oboje spojrzeliśmy w gwiazdy. Zaczął pokazywać mi gwiazdozbiory.

– Myślisz, że właśnie tam pójdziemy po śmierci? – zapytałam.

– Nie wierzę w niebo – powiedział.

Byłam wstrząśnięta.

– Jak możesz nie wierzyć?

– Bo to kłamstwo. Człowiek wymyślił Boga ze strachu przed śmiercią.

– Nie można tak mówić!

Obrócił głowę, kryształki lodu przylgnęły mu do włosów.

– Nie udawaj, Agnes, że się ze mną nie zgadzasz. Ten świat jest wszystkim, co istnieje, i sama to wiesz. Mamy tylko to jedno życie. Jest śnieg i niebo, i gwiazdy. I nic więcej. Wszyscy inni są... ślepcami. Nie wiedzą nawet, że żyją.

– Nie są aż tacy głupi.

– Udajesz, że mnie nie rozumiesz, ale jest inaczej. – Natan podparł się na łokciach, jego twarz oblało światło księżyca. – Jesteś taka jak ja. Jesteśmy lepsi niż to. – Skinął głową w stronę chaty. – Za dobrzy na życie w błocie i ciągłej harówie. Nie godzimy się z tym. – Pochylił się bliżej, a potem pocałował mnie delikatnie. – Nie pasujesz do tej doliny, Agnes. Jesteś inna. Ty się niczego nie boisz.

Roześmiałam się.

– Na pewno nie boję się ciebie.

Natan się uśmiechnął.

– Chcę cię o coś spytać.

Serce mi mocniej zabiło.

– Tak? Pytaj.

Położył głowę z powrotem na śniegu.

– Jak się nazywa przestrzeń między gwiazdami?

– Nie ma takiej nazwy.

– To ją wymyśl.

Zastanowiłam się.

– Schronienie dla duszy.

– To tylko inna nazwa dla nieba, Agnes.

– Nieprawda.

Dopiero później zaczęłam się dusić pod ciężarem jego argumentów, a do głosu doszły jego ciemniejsze myśli. Dopiero później nasze słowa przestały do siebie przylegać i coraz częściej tkwiłmy w szczelinach między tym, co powiedzieliśmy, a tym, co chcieliśmy powiedzieć, aż w końcu nie mogliśmy już siebie odnaleźć, nie ufaliśmy słowom w naszych ustach.

Tamtego wieczoru poszliśmy do stodoły. Napełniłam zagłębienia w jego dłoniach swoimi ustami, swoimi piersiami; nasze ciała się spotkały. Jego dłonie chwyciły sukno mojej spódnicy i podkasały ją do góry, a ja poczułam na skórze chłód powietrza. Obawiałam się, że ktoś nas nakryje; obawiałam się, że przezwą mnie dziwką. A potem skóra pierwszy raz dotknęła skóry i to

było jak wystrzał, nie było odwrotu. Opaski moich pończoch zwisały luźno nad kolanami. Jego miękkie włosy pieściły mi szyję.

Łaknęłam ciężaru jego ciała. Łaknęłam jego oddechu; pośpiesznego łapania tchu i ciepłego nacisku ust. Jego zapach, jego posuwiste drgnienia ciała w niczym nie przypominały innych. Wygięłam szyję, nawet twarz miałam mokrą od potu. Czułam go, jego gorącą namiętność. Stęknął przeciągle i dźwięk ten zawisł w powietrzu niczym chmura popiołu nad wulkanem.

Chciało mi się później płakać. To przeżycie było wstrząsające. Odczułam to zbyt mocno, by widzieć wszystko we właściwych proporcjach.

Natan uśmiechał się, wpychając koszulę z powrotem w spodnie. Jego zmierzwione włosy jaśniały na końcach kropelkami wody. Pogładził mnie po policzku, zapytał, czy sprawił mi ból, czy krwawiłam. Zaśmiał się, kiedy odpowiedziałam, że nie. Czy mu ulżyło? Czy raczej go to zirytowało?

- Nie musisz tak szybko odchodzić.
- Wstawaj ze słomy, Agnes. Idź do łóżka.
- Wrócisz jeszcze?

Wrócił. Wracał do mnie raz po raz przez tę długą zimę. Były noce, gdy drżeliśmy w sypkim śniegu, i wieczory w stodole, kiedy wszyscy spali, po ciemku. I chociaż śnieg zasypał dolinę, a mleko zamarzało w mleczarni, moja dusza tajała. Brakło mi jego warg, gdy szalała burza śnieżna, a wiatr wył na dworze. Kiedy wszystko zamarzło, spotykaliśmy się w spiżarni. Nad naszymi głowami wisiały konstelacje suszącego się mięsa. Wytarzani w sianie, byliśmy skąpani w zapachu lata. Pamiętam, że nieraz czułam w sobie nadmiar krwi. Słynny Natan Ketilsson, człowiek, który potrafił wytoczyć ropę choroby z kończyn ludzi z gorączką, który był poprzednio ze słynną Rósą Poetką, który słyszał dzwony Kopenhagi i nauczył się łaciny – niezwykle człowiek, człowiek jak z sag – wybrał właśnie mnie. Po raz pierwszy w życiu poczułam, że ktoś mnie dostrzegł, zobaczył, jaka jestem, i pokochałam go za to, że dawał mi poczucie, że jestem coś warta.

Pomyśleć, że wsuwałam dłoń pomiędzy fałdy spódnicy, by odnaleźć

i przycisnąć sińce, które tam pozostawił, i poczuć, jak rodzi się ból. Siniaki – echo jego dotyku, świadectwo jego rąk na moich rękach, jego bioder na moich biodrach... westchnienia rozkoszy, nasze nogi objijające się w mroku... Przez codzienną harówkę, od której mętniało spojrzenie, i przez samotne noce przesypiane tylko po to, by obudzić się do pracy, znowu do pracy, te ukryte sińce obiecywały coś więcej – koniec dławiącej zwyczajności istnienia.

Żałowałam, gdy bledły. Tylko tyle miałam od niego, tylko tyle musiało mi wystarczyć aż do czasu, gdy znowu się zjawi. Długie tygodnie, długie noce przeżerał mnie głód. W stodole, gdy leżałam z głową na twardej podłodze, Natan dotarł do samej istoty mej duszy, przebił ją niczym żółtko jaja. Ukrywałam prawdziwe uczucia przed służącymi. Ileż siły woli potrzebowałam, by zachować dla siebie coś, co pragnęłam wykrzyczeć na wiatr, wyryć w ziemi, wypalić w trawie.

Uzgodniliśmy, że z nim zamieszkam. Miał mnie wyciągnąć z tej doliny, wyłuskać z łupiny mojego żalosego, pozbawionego miłości życia. Wszystko miało się zacząć od nowa. Miał dać mi wiosnę.

I przez cały ten czas była Sigga.

## Rozdział 9

Handar-vagna-Freyjum fljóð  
Flytur sagnir ljóða.  
Kennd við Magnús, blessað blóð,  
Búrfells-Agnes góða.

*Prym wśród kobiet wiedzie  
Poetka od Magnúsa zwana.  
Krew jego błogosławiona płynie w jej żyłach:  
Dobra Búrfell-Agnes.*

anonim, ok. 1825

– Był kiedyś wielebny w Illugastadir?

Tóti pokręcił głową.

– Nie mam raczej potrzeby ruszać się na północ od Breidabólstadir.

Następny dzień wstał w objęciach kolejnych deszczów i śniegu, i Margrét przekonała Tótego, by odłożył powrót do domu do chwili, gdy niebo się przejaśni. Przyjął tę propozycję z ulgą. Miał niespokojne sny i obudził się z bólem głowy.

Po spędzie owiec, uboju i zebraniu siana rodzina w Kornsie spędzała dni w domu, zajmując się przedzeniem, robieniem na drutach i plecieniem lin.

Agnes siedziała na swoim łóżku, starała się policzyć oczka i naprawić rękawiczkę zrobioną przez Steinę.

– Illugastadir jest prawie na skraju świata – powiedziała. – Nie znałam

drogi, a wszyscy mówili mi tylko, jak będę tam samotna, jak tamte strony różnią się od doliny, gdzie wszędzie wokół człowiek widzi znajome twarze. Ale chciałam pracować dla Natana.

– Kiedy tam wyruszyłaś?

– Jak tylko mogłam. Pod koniec maja.

– Który to był rok? – spytał Tóti.

– Rok 1827. Jul i Nowy Rok spędziłam w Geitaskard, potem poczekałam, aż przylecą siewki złote i swoim śpiewem przegonią śnieg. Spakowałam swoje rzeczy i wyruszyłam w drogę. Mnóstwo służących podróżowało przez dolinę, ale nikt nie wybierał się do Vatnsnes ani do Illugastadir. Gdy zaczęłam iść półwyspem na północ, zstąpiła mgła i bałam się, że zabłądzę. Słyszałam jednak w oddali szum morza, więc wiedziałam, że idę we właściwym kierunku. Kiedy mgła ustąpiła, okazało się, że jestem niedaleko kościoła w Tjörn. Poprosiłam tam o nocleg, a nazajutrz rano pastor wskazał mi drogę do Illugastadir.

Podróż z Tjörn na miejsce nie zajęła mi już dużo czasu. Tamtego ranka po raz pierwszy zobaczyłam morze szerokie i rozległe. Widziałam nawet zachodnie fiordy nad szarymi grzbietami fal. Wyglądały jak własne cienie.

Pastor poradził mi, żebym wypatrywała chaty przy kamienistej zatoczce, i wkrótce tam trafiłam. Na brzegu leżała łódka, a na wieszakach do suszenia ryb rozpięto pościel, która łopotała na wietrze. Wtedy wzięłam to za dobry znak; pomyślałam, że macha mi na powitanie.

Nie uszłam zbyt daleko w dół zbocza, kiedy ktoś wyłonił się z chaty i potruczał w moją stronę. Młoda dziewczyna, nie więcej niż piętnastoletnia. Sprawiała wrażenie bardzo uradowanej. Gdy znalazłam się w zasięgu głosu, zawołała do mnie i jeszcze przyśpieszyła kroku. Im bardziej się zbliżała, wielebny, tym wydawała mi się młodsza. Miała zadarty nos i intensywnie czerwone wargi, a włosy jasne i poplątane na wietrze. Była za ładna jak na dziewczynę z gminu i pamiętam, zastanawiałam się, czy nie jest córką Natana. Ubranie miała zbyt ładne jak na służącą.

Wzięła mój worek i mnie pocałowała. Zapytała, czy jestem Agnes Magnúsdóttir, i przedstawiła się jako Sigrídur, lecz prosiła, bym jak wszyscy mówiła do niej Sigga.

– To była ta młoda służąca, o której Natan wspomniał ci w Geitaskard?

Agnes pokiwała głową.

– Wykrzyknęła, że czeka na mnie od tygodnia i czy jestem głodna, czy przychodzę z daleka i czy nie bałam się rabusiów i banitów, kiedy maszerowałam samotnie górskimi szlakami. Mówiła tak dużo i szybko, że ledwie miałam czas jej odpowiedzieć. Ani się obejrzałam, a wprowadziła mnie do domu i pokazała moje łóżko, które posłała właśnie tego ranka. Badstofa okazała się bardzo mała, były w niej tylko cztery prycze, bo nie mieściło się tam właściwie już nic więcej. Nad jedną znajdowało się maleńkie okienko, ale uznałam, że Sigga sama zajęła to miejsce. Chata Illugastadir okazała się ciaśniejsza i brudniejsza, niż sobie wyobrażałam. Ale pocieszałam się, że lepiej być gospodynią w zwyczajnej chałupie niż służącą w rezydencji gubernatora. Sigga powiedziała, że da mi trochę czasu, żebym się rozpakowała, a sama poszła do kuchni zaparzyć nam kawy. Powiedziałam jej, że nie ma potrzeby robić tyle zachodu, bo woda i serwatka w zupełności wystarczą, ale zapewniła, że Natan uwielbia kawę i pija się ją tutaj bardzo często. Wydawało mi się, że to wielki luksus.

Poczekaliśmy, aż dziewczyna wyszła z izby, i rozejrzałam się dookoła. Posłane były tylko dwa łóżka, jej i moje, więc zastanawiałam się, gdzie sypia Natan i czy może jest tu poddasze, którego nie zauważyłam.

Kiedy Sigga wróciła, zapytałam o Natana. Spodziewałam się, że będzie w domu, by mnie powitać. Zarumieniła się ze wstydem i powiedziała, że go nie ma.

Była niedziela, więc zapytałam, czy jest w kościele, ale pokręciła głową. Natan nie chodził do kościoła. Powiedziała, że jest jedynym znanym jej człowiekiem, który sprzeciwia się odmawianiu wieczorem modlitwy dziękczynnej, i dodała, że jeżeli mam swój psalterz, powinnam schować go

pod poduszką, bo inaczej Natan może użyć go na podpałkę. Nie, Natan wybrał się w góry zapolować na lisy, powiedziała, ale zapewniła, że sama pokaże mi całe gospodarstwo.

Nie pamiętam, wielebny, jakie pierwsze wrażenie wywarła na mnie farma. Byłam zmęczona po podróży i przytłoczona ogromem morza. Ale na pewno mogę wielebnemu powiedzieć, jak Illugastadir wygląda w oczach osoby, która spędziła tam w potrzasku rok życia.

– Z ciekawością posłucham – zachęcił Tóti.

– Właściwie Illugastadir to niewiele więcej niż podnóże góry i kawałek morskiego brzegu. Długi pas kamienistej ziemi z paroma poletkami, gdzie zbiera się trawę na siano, cała reszta to rosnące pomiędzy kamieniami kępy dzikich traw. Plaża jest kamienista, a w zatoczce pływają ogromne dywany wodorostów, które wyglądają jak włosy topielicy. Nocami niczym za sprawą magii pojawia się na brzegu drewno, a na pobliskich skałach, niedaleko kolonii fok, gnieźdzą się kaczki edredonowe. W bezchmurne dni jest tam pięknie, ale kiedy indziej człowiek czuje się tam tak, jakby kopał groby w deszczu. Prawdziwą zmorą są morskie mgły, a najbliższe sąsiednie gospodarstwo, Stapar, znajduje się daleko.

W morze wrzyna się kilka skalistych cypli, na jednym z nich stoi warsztat Natana. Żeby się tam dostać, trzeba przejść po wąskim kamienistym grzbiecie. Pamiętam, jak zdziwiło mnie, że zbudowano warsztat akurat tam, z dala od chaty, lecz Natan tak to właśnie zaplanował. Okno wychodziło na ląd, a nie na morze, ponieważ Natan chciał widzieć, czy ktoś nie idzie od strony góry. Miał sporo wrogów.

Sigga oznajmiła, że nie wie, gdzie przechowuje się klucz od warsztatu, ale Natan ma tam kuźnię, tam wytwarza lekarstwa i pewnie trzyma mnóstwo pieniędzy. Powiedziała mi o tym z niepohamowanym chichotem i pomyślałam, że jest naprawdę tak głupia, jak Natan mi mówił.

Powiedziała mi też, że Natan poluje na foki, więc są buty z foczej skóry, gdybym takich potrzebowała, a w pierzynach jest puch edredonów tak jak



w pościeli wszystkich komisarzy okręgowych Islandii i będę w niej spać jak zabita. Powiedziała, że wychowała się w Stóra-Borg, ale jej matka już nie żyje. Przyznała, że nigdy wcześniej nie pracowała jako służąca, a tym bardziej gospodyni, ale Natan opowiadał jej o mnie z uznaniem, więc miała nadzieję, że ją nauczę.

Zaskoczyło mnie, że nazwała siebie gospodynią. Zapytałam: „O, jesteś tu panią? Objęłaś stanowisko po Karitas?”. A ona pokiwała głową i powiedziała, że tak, wcześniej była zwykłą służką, ale po odejściu Karitas Natan ją poprosił, by została gospodynią. Potem podziękowała mi, że zechciałam być jej służącą, wzięła mnie za ramię i powiedziała, że będziemy musiały dobrze się dogadywać, bo Natana często nie ma w gospodarstwie, a ona czuje się samotna.

Myślałam, że musiała zajść jakaś pomyłka. Może Natan poprosił ją, by była gospodynią tylko do czasu, aż przybędę, a może po prostu mnie okłamała. Nie sądziłam, by Natan mógł mnie okłamać.

Później napiłyśmy się kawy i opowiedziałam Sigdze trochę o tym, gdzie wcześniej pracowałam. Dopilnowałam, żeby wymienić wszystkie gospodarstwa, w których mieszkałam. Zdawało się, że Sigga jest pod dużym wrażeniem, cały czas powtarzała, jak się cieszy, że pomogę jej tutaj, w Illugastadir, i nauczę ją, jak się robi takie wzorzyste chusty jak ta, którą miałam na głowie, więc ostatecznie poczułam się swobodniej.

Wkrótce rozmowa znowu zesłała na Natana i Sigga powiedziała, że spodziewa się go po kolacji. Nie wrócił jednak aż do późnej nocy.

– Zapytałaś go wtedy o to, jaką masz objąć posadę? – spytał Tóti.

Agnes pokręciła głową.

– Kiedy przyszedł, ja już spałam.

†

Może właśnie tego pierwszego ranka w Illugastadir pojęłam istotę rzeczy.

A może nie.

Obudziłam się późno, słysząc żalosne krzyki mew. Wyszłam na dwór i ujrzałam Natana, który szedł w dół strumienia. Na brzegu jego pościel wciąż łopotała na wietrze. Pomyślałam wtedy, że wrócił dopiero co.

Nawet gdy Sigga powiedziała mi później, że wrócił o północy z trzema zabitymi lisami przewieszonymi przez ramię, nie przyszło mi do głowy, by zapytać, w którym łóżku spędził resztę nocy.

†

– Tak się ucieszyłam, widząc Natana tego ranka, że zapomniałam go zapytać, czemu Sigga uważa się w Illugastadir za gospodynię. Dopiero później tego samego dnia, kiedy podążałam za Natanem skalistą ścieżką do warsztatu, podniosłam ten temat.

Nie chciałam uchodzić za niegrzeczną, więc spytałam tylko jakby nigdy nic, jak Sigga radzi sobie w roli gospodyni. Natan jak zawsze przejrzał mnie na wskroś. Zatrzymał się i uniósł brwi.

„Sigga nie jest moją gospodynią”, odrzekł.

Ulżyło mi, ale wyjaśniłam, że Sigga oznajmiła mi, że objęła posadę Karitas.

Natan roześmiał się i pokręcił głową, a potem przypomniał, że ostrzegwał mnie już, jak młoda i nierozgarnięta jest Sigga. Otworzył kluczem drzwi i weszliśmy do warsztatu. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego pomieszczenia. Były tam wprawdzie kowadło, miech i tym podobne sprzęty, lecz oprócz tego wzdłuż ścian wisiały grube wiązki suszonych kwiatów i ziół, a na półkach stały słoje wypełnione różnymi płynami, jedne przezroczystymi, inne mętnymi. Było tam też duże drewniane wiadro z czymś, co wyglądało na tłuszcz, a także igły, skalpele i szklany słoik z jakimś małym zwierzęciem, bladym i pomarszczonym jak ugotowany żołądek.

– Co za okropność – wymamrotała Steina z drugiego końca badstofy.

Agnes podniosła wzrok znad rękawiczki, jakby zapomniała, że obok jest cała rodzina.

Naraz rozległo się niespodziewane pukanie do drzwi chaty.

– Laugo, idź zobaczyć, kto przyszedł – poprosiła Margrét.

Córka posłusznie poszła otworzyć. Po chwili wróciła ze starcem, który otrzepywał śnieg z ramion. Był to wielebny Pétur Bjarnason z Undirfell.

– Pozdrawiam was wszystkich w imię Boże – rzekł, wycierając szkła okularów o koszulę. Był zasapany po marszu na wietrze i mrozie. –

Przyszedłem wciągnąć wszystkich do rejestru parafii Undirfell. O, witam, wielebny wikariuszu Thorvardurze. Wciąż w dolinie, jak widzę. Ach, oczywiście. Blöndal polecił wielebnemu...

– To jest Agnes – wtrącił Tóti.

Agnes wystąpiła do przodu.

– Jestem Agnes Jónsdóttir – powiedziała. – I jestem więźniarką.

Margrét zaskoczona poderwała się na nogi i obejrzała na Jóna, który siedział na ich łóżku i rozdziawił teraz usta z trwogą.

– Co? Ona nie jest naszą... – zaczęła Lauga, lecz Tóti nie dał jej dokończyć.

– Agnes Jónsdóttir jest moją duchową podopieczną. Tak jak wielebnemu mówiłem.

Cała rodzina wpatrywała się w niego zdumiona, że przystał na to nazwisko. Nastąpiła długa, niezręczna cisza.

– Przyjąłem do wiadomości. – Wielebny Pétur siadł na stołku przy pełgającym płomieniu kaganka i wydobył zza pazuchy ciężką księgę. – Jak się miewa rodzina w Kornsie? Ubój zakończony?

Margrét popatrzyła dziwnie na Tótiego, a potem powoli usiadła.

– A, tak. Trzeba jeszcze tylko nawieźć tún kompostem, a później zajmiemy się wyrobem towarów wełnianych na handel.

Stary pastor pokiwał głową.

– Zaradna rodzina. Urzędniku okręgowy Jónie, mogę najpierw was

poprosić?

Kapłan rozmawiał po kolei z każdym członkiem rodziny, sprawdzając ich umiejętność czytania i odpytując z katechizmu. Zadawał również rozmaite pytania dotyczące charakteru innych domowników. Po rozmowie ze wszystkimi służącymi pastor wezwał Agnes. Tóti usiłował słuchać ich rozmowy, lecz nie zdołał, bo Kristín tak bardzo ulżyło, że sprawdzian z czytania dobiegł końca, że zaczęła głośno chichotać z Bjarnim. Stary pastor nie rozmawiał z Agnes długo. Wstał.

– Dziękuję wam wszystkim. Może zobaczymy się wkrótce na nabożeństwie?

– Nie zostanie wielebny na kawę? – zapytała Lauga, ładnie dygając.

– Dziękuję, moja droga, ale muszę jeszcze odwiedzić resztę mieszkańców doliny, a pogoda robi się coraz gorsza. – Wielebny Pétur nasadził kapelusz na głowę i ostrożnie wsunął księgę z powrotem pod gruby płaszcz.

– Odprowadzę wielebnego – powiedział Tóti, zanim Lauga zdążyła to zaproponować.

W korytarzu zapytał pastora, co napisał o Agnes.

– Czemu cię to interesuje? – spytał starzec z zaciekawieniem.

– Jestem jej opiekunem duchowym. Mam obowiązek wiedzieć, jak się zachowuje. Jak dobrze czyta. Troszczę się o jej dobro.

– No dobrze. – Pastor wyciągnął księgę spod płaszcza i otworzył ją na najnowszych stronach. – Może wielebny sam przeczytać.

Tóti przystawił księgę do świeczki w kinkiecie i zmrużył oczy. W słabym świetle dopatrzył się słów: Agnes Jónsdóttir. Potępiona. *Sakapersona*. 34 lata.

– Czyta bardzo dobrze – powiedział pastor, gdy czekał, aż Tóti skończy.

– Co napisał wielebny o jej charakterze? – W korytarzu było zbyt ciemno.

– Och, napisałem *blendin*, mieszany.

– A jak doszedł wielebny do tej oceny?

– Takie jest zdanie urzędnika okręgowego. I jego żony.

– A co sam wielbny sędzi o Agnes?

Starzec wepchnął księgę z powrotem za pazuchę i wzruszył ramionami.

– Umie się dobrze wysławić. Wykształcona, powiedziałbym. Co zaskakuje, jeśli wziąć pod uwagę to, że urodziła się z nieprawego łoża. Dobrze wychowana. Ale kiedy rozmawiałem z urzędnikiem okręgowym, powiedział mi, że zachowuje się w sposób... nieprzewidywalny. Wspomnił o napadzie hysterii.

– Ona czeka na wykonanie wyroku śmierci – rzekł Tóti.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł pastor. – Do widzenia, wielbny Thorvardurze. Wszystkiego dobrego.

– Nawzajem – wymamrotał Tóti, gdy drzwi zatrzęsły mu się przed nosem.

†

Agnes Jónsdóttir. Nigdy nie myślałam, że tak łatwo można nadać sobie nazwisko. Córka Jóna Bjarnasona z Brekkukot, a nie parobka Magnúsa Magnússon. Niech wszyscy się dowiedzą, czym bękartem naprawdę jestem.

Agnes Jónsdóttir. Pięknie brzmi. Taką kobietą powinnam była być. Gospodynią w chacie, z której okien rozciąga się widok na dolinę, z mężem u boku i czeredą dzieci, które pomagałyby sprowadzić śpiewem owce do domu o zmroku. Dzieci, które bym uczyła i straszyla opowieściami o duchach. Kochała. Mogłabym nawet być siostrą Sigurlaug i Steinvör Jónsdóttir. Córką Margrét. Urodzoną w uświęconym związku małżeńskim. Urodzoną w rodzinie, która nie rozpadnie się wskutek ubóstwa.

Agnes Jónsdóttir nie byłaby na tyle głupia, by pokochać mężczyznę, który nie pracował, tylko otwierał żyły, pięknie mówił i pięknie rozsuwał dziewczynom nogi. Mężczyznę, któremu płacono za upuszczanie krwi. Byłaby czyjaś babcia. Na łożu śmierci zobaczyłaby wiele zatroskanych twarzy. Byłaby pewna swego zbawienia i miejsca w niebie. Wierzyłaby

w niebo.

Prawie nie sposób sobie wyobrazić, że byłam w Illugastadir szczęśliwa, ale przecież musiałam być przez pewien czas. Byłam szczęśliwa tego pierwszego dnia, kiedy Natan i ja spędziliśmy w warsztacie całe popołudnie. Pokazał mi dwie lisie skóry. Schły w warsztacie, bo morskie powietrze było zbyt wilgotne tego ranka i nie można było powiesić ich razem z rybami.

Wziął mnie za ręce i pogładził nimi białe lisie futro.

– Czujesz to? W lecie sprzeda się je w Reykjaviku za ładną sumkę.

Opowiedział mi o tym, jak schwytał lisy w górach.

– Sztuka polega na tym, żeby znaleźć i schwytać lisie szczenię. Potem trzeba sprawić, żeby lisek zawył o pomoc, bo inaczej rodzice nie wyjdą z nory. Lisy to przebiegłe stworzenia. Chytre. Czują, jak człowiek nadchodzi.

– A jak sprawić, żeby lisek zawył?

– Łamię mu przednie łapy. Wtedy nie może uciec. Rodzice słyszą, jak skamle, i wybiegają z nory. Wtedy łatwo je złapać. Nigdy nie zostawiają siebie nawzajem bez pomocy.

– Co się robi z liskiem po zabiciu rodziców?

– Niektórzy myśliwi pozostawiają go samemu sobie, żeby zdechł. Skóry szczeniąt są zbyt małe, nie nadają się na handel.

– A ty co robisz?

– Rozbijam łeb kamieniem.

– To jedyne dobre rozwiązanie.

– Właśnie. Pozostawienie szczenięcia na powolną śmierć jest okrucieństwem.

Pokazał mi swoje książki. Myślał, że mi się spodobają.

– Sigga nie dba o słowa – powiedział. – Czyta fatalnie. Równie dobrze można by próbować nauczyć krowę mówić.

Przesunęłam palcami po kartkach, próbując przeczytać nowe słowa, które na nich znajdowałam.

– Choroby skóry. *Cochlearia officinalis*.

Poprawił moją niewprawną wymowę.

– Powtórz.

– *Cetraria islandica. Angelica archangelica. Achilla millefolium. Rumex digynus.*

Tych słów nie rozumiałam, więc zdusiłam jego śmiech pocałunkami i poczułam, jak jego język przyciska się lekko do mojego. Co te słowa znaczyły? Czy były to nazwy rzeczy w jego warsztacie? W słoikach i flaszkach, i glinianych garnkach? Natan pocałował mnie w szyję i myśli ulotniły się w wirze pożądania. Podniósł mnie i posadził na stole, i zaczęliśmy się nawzajem rozbierać, zanim wepchnął się we mnie, zanim zorientowałam się, co robi, zanim byłam gotowa. Stęknęłam. Czułam pod sobą kartki i wyobrażałam sobie, jak słowa unoszą się z papieru i wnikają w moją skórę. Zaplotłam nogi mocno wokół niego i czułam zimne morskie powietrze w gardle.

Później stanęłam naga, z biodrami przyciśniętymi do krawędzi stołu. Książki Natana leżały rozłożone przede mną, pomięte kartki ukazywały przyływy i odpływy naszej miłości.

– Spójrz na te wszystkie choroby, Natanie. Całe książki cierpienia i nieszczęść.

– Agnes.

Wypowiedział moje imię szeptem, przeciągając „s”, jakby smakował je na języku.

– Natanie. Jeżeli na świecie jest tyle chorób... jeżeli człowiek może paść ofiarą tylu rozmaitych dolegliwości, jak to możliwe, że ktokolwiek jest jeszcze przy życiu?

Sigga musiała o nas wiedzieć. W te pierwsze noce w Illugastadir czekaliśmy, aż zaśnie. Słyszałam ostrożne kroki Natana na deskach podłogi w badstofie i czułam, jak delikatnie unosi kołdrę. Bardzo się starałam być cicho. Nasze ciała spletały się tak, jakbyśmy nigdy nie mieli się rozdzielić, lecz pierwszy promień zimnego porannego światła, który wpadał przez okno,

przecinał nasze schadzki niczym ostrze noża.

Natan zawsze wracał do swojego łóżka, zanim Sigga się obudziła.

†

Agnes była pogrążona w myślach. Dopiero gdy Tóti delikatnym ruchem położył dłoń na jej ramieniu, drgnęła i zauważyła, że wrócił do izby.

– Przepraszam, że cię zaskoczyłem – powiedział.

– Och, nie – odrzekła prawie bez tchu. – Liczyłam tylko oczka.

– Wracamy do rozmowy? – zapytał.

– A o czym ostatnio mówiłam?

– Opowiadałaś mi o swoim pierwszym dniu w Illugastadir.

– Ach, tak. Natan ucieszył się na mój widok i dopilnował, żebym oswoiła się z nowym miejscem, i opowiadał mi o ludziach i gospodarstwach w sąsiedztwie. Przez pierwszych kilka tygodni nie wydarzyło się nic szczególnego. Od świtu do zmierzchu pracowałam razem z Siggą, a każdy wieczór spędzaliśmy wspólnie, opowiadając historie albo żartując z tego czy tamtego. W sumie pierwsze miesiące spędzone w Illugastadir były dla mnie okresem szczęśliwym. Sigga powiedziała mi, że to niepodobne do Natana, żeby tak dużo czasu spędzać w domu, a ja myślałam, że to moje towarzystwo trzyma go w Illugastadir. Większość dni pracował w swoim warsztacie, bo wolał naprawiać narzędzia i dłubać przy nich, niż troszczyć się o gospodarstwo. Do opieki nad końmi i dbania o pastwiska wolał kogoś zatrudnić. Co nie znaczy, że był leniwy. Pokazał mi, jak się puszcza krew, i opowiadał o różnych chorobach. Myślę, że cieszył się z towarzystwa kogoś, kto interesuje się jego pracą; Sigga była ładna, dobrze prała, umiała zręcznie wypatroszyć i oczyścić ryby, które łowiliśmy, ale nie obchodziły jej, jak się Natan wyrażał, sprawy intelektu. Pozwalano mi do woli czytać i odkrywać na własny użytek świat nauki. Wie wielebny, że osoba, która ma plamy na nogach i krwawiące dziąsła, musi jeść kapustę?



Tóti się uśmiechnął.

– Nie, nie wiedziałem.

– Z początku uznałam, że stroi sobie żarty, ale potem na własne oczy widziałam, jak coś tak zwykłego jak wywar z liści, maść ze smalcu i siarki albo sok wyciśnięty z korzeni czy nawet kapusta mogą człowieka wyleczyć.

Myślałam, że chwyciłam Pana Boga za nogi, gdy przeprowadziłam się do Illugastadir. Natan zrobił mi buty z foczej skóry i dał nową chustę, a było tyle kaczych jaj, że najadaliśmy się do syta. Kiedy opuszczał gospodarstwo, zawsze wracał z prezentami dla Siggi i dla mnie. Właśnie dlatego kiedy pierwszy raz ją zobaczyłam, pomyślałam, że Sigga jest jego córką. To on tak dobrze ją ubierał, a kiedy zamieszkałam w Illugastadir, też otrzymywałam od niego prezenty. Koronki i jedwab, i małą chustkę do nosa, która podobno pochodziła aż z Francji. Życie wydawało się zbyt dobre pomimo odosobnienia i ciasnego domu. Goście odwiedzali nas rzadko. Ale miałam Natana, a Sigga była znośna. – Agnes zniżyła głos. – Widział ją wielebny? Została ułaskawiona?

Tóti wolno pokręcił głową.

– Jeszcze nie wiem.

– Prawdopodobnie się zmieniła. Jest pewnie teraz tak pobożna, że większej cnotki nie uświadczysz. Ale w Illugastadir zdarzało jej się zachowywać frywolnie. Lubiała też obgadywać ludzi, a Natan podpytywał ją, kto jej zdaniem powinien z kim wziąć ślub, jak wyglądałyby ich dzieci i o tym podobne rzeczy. Dla niego była to nieszkodliwa rozrywka, jej prostactwo go bawiło. Nie przeszkadzało mi nawet, kiedy Sigga cały czas nazywała się gospodynią albo nakazywała, żebym wykonywała prace, którymi powinna była zająć się sama: opróżnianie nocnika, czyszczenie obory z łajna czy suszenie złowionych przez Natana ryb. Była, jak Natan powiedział, tylko dzieckiem i myślała jak dziecko.

Wkrótce po moim przybyciu do Illugastadir odwiedził nas Fridrik Sigurdsson. Nigdy wcześniej go nie widziałam, ale Sigga zdążyła mi

powiedzieć, że to znajomy Natana. Zawsze była różowa jak obdarte ze skóry jagnię, kiedy o nim mówiła. We mnie Fridrik budził niepokój. Było w nim coś niezrównoważonego. W Natanie zresztą też. Obaj miewali huśtawki nastroju: w jednej chwili w izbie panowała ogólna radość, a zaraz później robiło się ponuro i nieprzyjemnie. Przy nich każdą najdrobniejszą niesprawiedliwość, jaka człowieka spotkała, odczuwało się niczym cieżką w boku. Fridrik był typem śmiałego chłopca, któremu bardzo zależy na tym, by dowieść swojej męskości. Łatwo się obrażał. Pewnie uważał, że cały świat jest przeciwko niemu. Nie podobało mi się to, nie podobało mi się, że wiecznie szukał powodu do zwady. Lubił się kłócić i bić. Lubił mieć wciąż posiniaczone kłykcie.

Natan był inny. Nie musiał nic nikomu udowadniać. Ale dręczyły go zabobony. A to, co w nim podziwiałam, to, jak widział świat, i jego głód wiedzy, a także swoboda, z jaką traktował tych, których lubił, miało też swoją ciemniejszą stronę. Radość i przyjemność obcowania z nim, kiedy był w dobrym humorze, wiązały się z koniecznością znoszenia gromów gniewu, kiedy miał zły nastrój.

Agnes umilkła, gdy Tóti skrzywił się, gładząc dłonią szyję.

– Coś wielebnemu nie odpowiada? – spytała.

Wielebny odchrząknął.

– Powietrze jest dosyć stęchłe, to wszystko – odrzekł. – Mów dalej. Za jakiś czas pójdę po trochę wody.

– Pobladł wielebny.

– To tylko lekka gorączka od ciągłych podróży tu i z powrotem w zawierusze.

– Może nie powinien wielebny wracać do Breidabólstadir dziś wieczorem?

Tóti z uśmiechem pokręcił głową.

– Zdarzało mi się już czuć gorzej. Nie chciałem ci przerywać. Mów dalej, proszę.

Agnes popatrzyła na niego z uwagą, a potem kiwnęła głową.

– No dobrze. Kiedy pierwszy raz spotkałam Fridrika Sigurdssona, niosłam wodę ze strumienia. Usłyszałam wołanie i zobaczyłam na górskim szlaku rudowłosego młodego mężczyznę, który prowadził konia. Była tam też kobieta. Natan wyjrzał przez okno warsztatu i czym prędzej wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz. Illugastadir rzadko odwiedzali jacyś goście i jemu zdawało się to odpowiadać.

Przedstawił chłopaka jako Fridrika, a ten powiedział mi, że jest synem Sigurdura, gospodarza Katadalur, farmy znajdującej się tuż za wzgórzem, ale przez całą zimę nie było go w okolicy. Potem przedstawił swoją towarzyszkę, Thórunn, służącą z bardzo złym uzębieniem, która uśmiechnęła się do wszystkich. Zauważyłam, że Sigga się zaniepokoiła, gdy zobaczyła Thórunn. Szczerze mówiąc, przy pierwszym spotkaniu ani on, ani ona nie przypadli mi do gustu. Pomyślałam, że Fridrik to pyszałek. Gadał nieustannie o tym i tamtym, zapewniając, że dzięki niemu ojciec będzie bogaty, i opowiadając, jak to walczył z trzema mężczyznami w Vesturhóp i jak uciekali z podbitymi oczyma i krwawiącymi nosami. Typowe nudne kłamstwa, jakich można się spodziewać po chłopaku w jego wieku. Nie wiem, czemu Natan w ogóle słuchał tych przechwałek Fridrika, bo zwykle nie lubił takich opowieści, chociaż sam chętnie opowiadał o własnych sukcesach. Przypuszczałam, że jest dla Fridrika mentorem, tak jak próbował nim być, według swoich zapewnień, dla Siggi.

Tego dnia Natan zaprosił Fridrika i Thórunn do środka. Sąsiedzi niespecjalnie mnie interesowali, ale domyślałam się, że rodzina Fridrika jest bardzo uboga. Pożarł swoją rybę tak łapczywie, jakby morzył go głód. Dziwiłam się, że takiego przyjaciela ma Natan.

Kiedy Fridrik i idąca za nim niczym szczenię Thórunn nas opuścili, Natan zniknął. Potem zapytałam, gdzie był, a on uśmiechnął się i powiedział, że poszedł sprawdzić swoje rzeczy. Spytałam dlaczego. Stwierdził, że Fridrik ma lepkie palce i podczas każdych odwiedzin stara się wywiedzieć, gdzie są przechowywane pieniądze.

Spytałam Natana, czemu, na litość boską, zaprasza Fridrika do swojego domu. Roześmiał się i powiedział, że i tak nigdy nie trzyma pieniędzy w chacie, a poza tym go to bawi. Ich przyjaźń nie była prawdziwa, lecz opierała się na dziwnej wzajemnej rywalizacji zrodzonej z nudy. Fridrik uważał Natana za bogatego i chciał uszczknąć trochę z jego majątku, natomiast Natan zachęcał go do tego dla zabawy, bo zdawał sobie sprawę, że Fridrik nigdy nie zdoła znaleźć ukrytych pieniędzy. Wtedy powiedziałam, że to niebezpieczne prowokować takiego człowieka, lecz stwierdził, że Fridrik jest tylko nieokrzesany młokosem. Ale niepokoiło go to. Zauważyłam, że Fridrik jest dwa razy większy od niego i łatwo by go pokonał, gdyby przyszło co do czego. Natanowi się to nie spodobało. Wtedy pierwszy raz się pokłóciliśmy.

– Co mówił w kłótni?

– Och, chwycił mnie za ramię i wyprowadził na zewnątrz, a potem zakazał, bym kiedykolwiek mówiła o nim w ten sposób przy Sigdze. Odrzekłam, że powiedziałam tylko prawdę i nie zamierzałam go zawstydząć, a Sigga i tak ma o nim jak najlepsze zdanie, tak jak ja. To trochę go udobruchało, ale przestraszyłam się tego, jak szybko jego nastrój uległ zmianie. Później przekonałam się, że był zmienny niczym ocean, a gdy jego twarz robiła się pochmurna, myślałam tylko: Niech Bóg ma mnie w swojej opiece. Jednego dnia nazywał mnie przyjaciółką, a następnego groził, że wyrzuci mnie w nocy z domu, bo wylałam na ziemię wiadro wody.

– Może gdybyś to wiedziała, w ogóle nie zgodziłabyś się zostać jego służącą? – zasugerował Tóti.

Agnes zamyśliła się, a potem pokręciła głową.

– Chciałam opuścić Vatnsdalur.

– Powiedz mi, jaka jest Sigga – zachęcił ją łagodnie Tóti.

– Cóż, tamtego wieczoru, po odwiedzinach Fridrika, zaczęła mówić o małżeństwie. Zapytałam ją, czy uważa Fridrika Sigurdssona za nadzwyczaj atrakcyjnego mężczyznę ze wspaniałymi widokami na przyszłość.

Oczywiście żartowałam. Fridrik jest rudy, piegowaty i usiany pieprzykami, więc wygląda jak dropiate jajo, a w jego rodzinnym domu bynajmniej się nie przelewa. Ale kiedy zadałam Sigdze to pytanie, dziewczyna tak się zarumieniła, że jej policzki zrobiły się jaskrawoczerwone, i zapytała, czy moim zdaniem Fridrik zaręczył się z tą Thórunn. Wtedy przekonałam się, że Sigga żywi wobec niego pewne nadzieje.

Dalej się z nią droczyłam. „Czy wiesz, jak trzeba się napracować, żeby wyjść za mąż?”, zapytałam. A Sigga na to: „Nie może to być praca cięższa niż ta”. Roześmiałam się i odparłam, że nie chodzi mi o pracę na gospodarstwie, ale o pracę, jaką dziewczyna musi wykonać za sam przywilej oddania swojej ręki. Przypomniałam jej, że pastor musi wydać zgodę, że zgodzić się musi urzędnik okręgowy, że komisarz okręgowy musi być po jej stronie, no i wreszcie trzeba zadbać o to, żeby Natan był zadowolony, ponieważ w sprawie ostatecznej decyzji wszyscy zdają się na zdanie gospodarza.

„Musisz nakłonić do zgody więcej niż jednego mężczyznę”, powiedziałam jej. Kiedy napomknęłam, że Natan musi wyrazić zgodę na zaręczyny, zbladła i nie chciała więcej rozmawiać na ten temat, nawet kiedy próbowałam poprawić jej humor i opowiedziałam, co Natan mówił mi o Fridriku, o tym, jak się bawi jego kosztem.

„Naprawdę myślisz, że Fridrik jest złodziejem?”, zapytała, a ja zaprzeczyłam, mówiąc, że na pewno jest uczciwym człowiekiem.

Natan uśmieł się serdecznie, kiedy opisałam mu reakcję Siggii na wiadomość o tym, że będzie potrzebowała jego zgody, gdyby chciała wyjść za mąż. Stwierdził, że dobrze będzie, jeśli to sobie zapamięta. Powiedziałam mu, że moim zdaniem Sigga ma słabość do Fridrika, i wspomniałam o jej zaniepokojeniu, kiedy usłyszała, że jego zdaniem Fridrik jest złodziejem. Natan zauważył, że tak to jest, kiedy umieści się dwa stworzenia w jednej zagrodzie, i na tym wtedy zakończyliśmy temat.

Wszystko to działo się mniej więcej w okresie kocenia się owiec. Pogoda

była ładna i słoneczna, więc Natan skorzystał z okazji, by zarobić trochę grosza, i podróżował. Odwiedził kolejne gospodarstwa, sprzedając swoje leki. Tak się złożyło, że Natana nie było w Illugastadir, kiedy nasze owce zaczęły się kocić. Razem z Siggą poszłam nakarmić krowę i zobaczyłyśmy, że jedna maciorka rodzi. Żadna z nas nie miała tyle siły, żeby odpowiednio obrócić jagnię do góry nogami, gdyby miało kłopoty z oddychaniem, a bałyśmy się, że gdy Natan wróci za parę tygodni, będzie zły, że stado nie powiększyło się tak, jak się spodziewał. Powiedziałam więc Sigdze, żeby pobiegła do któregoś sąsiada i poprosiła o użyczenie parobka, mimo że Natan zabronił wpuszczać kogokolwiek do gospodarstwa. Sigga wróciła z Fridrikiem.

Z początku bałam się go przyjąć z powodu tego, co mówił o nim Natan, ale potrzebowałyśmy pomocy, a kiedy przybył, więcej maciorek zaczęło rodzić. Okazał się prawdziwym synem rolnika, pomógł nam wyciągać jagnięta i obracał je do góry nogami, żeby zaczęły oddychać. Kiedy okazało się, że jedna z maciorek ma zbyt grube wymiona, by karmić młode, na poczekaniu zrobił sztuczne wymiona, dzięki czemu mogłyśmy same nakarmić jagnięta. Wtedy trochę się do niego przekonałam, ale i tak nie dałam mu spać w chacie, przyszykowałam posłanie w stodole.

Mieszkał u nas przez tydzień. Cały czas pilnowałam, by nie dotykał się niczego w domu, tym bardziej że wszystko przeliczał na pieniądze. Mówił, ile warte są jagnięta, ich matki, krowa, którą hodowaliśmy, ziemia, a nawet jedwabna wstążka, którą Sigga nosiła we włosach. Przypisywałam to temu, że wychował się w biedzie, ale i tak starałam się nie spuszczać go z oczu, zwłaszcza kiedy nakryłam go na kopaniu dołków przy drzwiach chałupy. Spytałam, co robi; roześmiał się i odrzekł, że nic takiego, że poprosił kiedyś Natana o przechowanie pieniędzy, a on zapomniał, gdzie je zakopał, więc Fridrik nigdy więcej ich nie zobaczył. Wiedziałam, że kłamie. Fridrik Sigurdsson nie miał grosza przy duszy i wiedziałam, że szuka pieniędzy Natana.

Sigga nie zauważała jego złych skłonności. Tamtej wiosny widziałam, jak troszczy się o Fridrika, przynosząc mu to czy tamto, gdy pracował na dworze, i chichocze, gdy opowiadał jej o swoich bójkach i śmiałych wyczynach. Wieczorami często zachodziła do stodoły, żeby zanieść mu trochę mleka i życzyć dobrej nocy, i poświęcała na to dużo czasu. Jak powiedziałam, to ładna dziewczyna i przypuszczam, że Fridrik szybko zapomniał o brązowozębnej Thórunn. Jest dobrym jeźdźcem i gotów był zagonić konia na śmierć, byle Sigdze zaimponować. Raz koń się znarowił i zrzucił Fridrika, który poranił jego bok do krwi, a wtedy Sigga podała chłopakowi wieczerzę i siedziała przy nim, przykładając mu kompres do spuchniętej skroni, i kiedy wydawało jej się, że nie widzę, pochylała się, by pocałować guza, żeby się szybciej zagoił.

Natan po powrocie pochwalił nas za to, że tak dobrze się spisałyśmy przy wykotach. Wtedy Sigga powiedziała, że nie poradziłybyśmy sobie, gdyby nie Fridrik, a Natan zapytał, czemu, u licha, pozwoliłyśmy temu złodziejowi przebywać na farmie, kiedy jego nie było w domu. Sigga źle znosiła kłótnie, wybuchnęła płaczem, a Natan dalej na nią krzyczał. Wtrąciłam się i oświadczyłam, że to był mój pomysł.

Powiedziałam Natanowi, że rozumiem, że oprócz Illugastadir ma jeszcze inne obowiązki, ale nie może oczekiwać, że bez pomocy Sigga i ja wykonamy wszystkie prace. Powiedziałam, że ani Sigga, ani ja nie jesteśmy silne jak mężczyzna. Powiedziałam, że bez względu na uprzedzenia, jakie żywi do Fridrika, chłopak uratował życie wielu jagniętom z jego stada, a my dopilnowałyśmy, by nie nocował w domu gospodarza. Nie wyjawiałam mu, że Fridrik przekopywał ziemię na podwórzu przed chatą w poszukiwaniu pieniędzy.

W końcu Natan się uspokoił. Obiecał, że pojedzie do Geitaskard i najmie do żniw Danięla Gudmundssona. Wyjaśnił, że chce, żeby pod jego nieobecność pomagał nam jakiś mężczyzna, ale nie chce, żeby to był Fridrik.

## Rozdział 10

13 kwietnia 1828

*Rósa Gudmundsdóttir z Vatnsendi została wezwana do stawienia się przed sądem. Odmówiła udzielenia informacji w sprawie, ale powiedziała, że Agnes przyszła do niej tamtej zimy i wypowiadała się dobrze o swoim gospodarzu Natanie. Dziecko, którym opiekowano się w Illugastadir, jest teraz w domu z Rószą jako jej córka. Świadek zeznała, że dziecko ma teraz trzy lata. Według niej nie doznało żadnego urazu na skutek morderstwa, zawsze mówi, że Natan „jest w górach”. To powiedziano dziecku po morderstwie. Rósa zeznała, że nie może powiedzieć ani o Agnes, ani o Sigrídur nic szczególnego, ponieważ nie zna ich dobrze. Zeznała, że Natan opuścił Vatnsendi latem 1825, spędziwszy z nią i jej mężem dwa lata. Świadek powiedziała, że miał w owym czasie dużo pieniędzy. Przyjął od niego pięćdziesiąt spesiurów za gościnę, ale zostawił u nich znacznie większą sumę niż ta.*

*Na wiosnę po odejściu Natana zjawił się w Vatnsendi Fridrik z Katadalur, który wywołał ją na prywatną rozmowę w stodole. Rósa zeznała, że zaczął wtedy tłumaczyć, jak bardzo jej pragnie, i poprosił, by pozwoliła mu przenocować i wpuściła go do łóża. Zeznała, że odrzuciła zaloty Fridrika, odeszła i poprosiła męża, by nie pozwolił mu zatrzymać się w domu, mimo że znów się tego domagał. Później, jak zaznała, jej mąż, Ólaf, przyszedł do niej i oznajmił, że Fridrik poprosił o wstęp do składziku, żeby mógł poszukać pieniędzy, które, jak mniemał, Rósa przechowywała dla Natana. Twierdził, iż Natan pozwolił mu wziąć pieniądze, gdyby kiedykolwiek udało mu się przenocować w domu Rósy. Fridrik zaoferował jej mężowi dwa albo cztery spesiury i powiedział Ólafowi, że jego matce przyśniło się, gdzie ukryte są*



pieniądze, a mianowicie pod jedną z beczek w składziku. Rósa zeznała następnie, że powiedziała mężowi, że pieniądze Natana na pewno nie są schowane w składziku i Fridrik może tam sobie szukać do woli. Później, kiedy jej męża nie było w domu, a ona i jej służąca spały, Fridrik wszedł do składziku i wyciągnął wszystko z beczki, lecz niczego nie znalazł. Zeznała, że stwierdził: „Matka powinna śnić lepiej”. Powiedział, że znalazł ciężki przedmiot, którego nie jest w stanie ruszyć, i wróci po niego, gdy otrzyma od matki lepsze wskazówki. Nigdy jednak nie wrócił.

Po tym zdarzeniu uważało się, że Fridrik znienawidził Natana, ponieważ nie udało mu się znaleźć pieniędzy. Rósa zeznała, że oddała Natanowi pieniądze, które dla niego przechowywała, na wiosnę po wizycie Fridrika, lecz dodała, że od dawna nie miała od niego żadnych wieści. Zauważyła również, że w czasie gdy z nią mieszkał, Natan często zakopywał swoje pieniądze czy to na terenie gospodarstwa, czy też poza nim. Żadnych dalszych zeznań nie udało się uzyskać od tej niewiasty, która na dodatek odmówiła potwierdzenia tego, co zaprotokołowano.

anonimowy urzędnik, 1828

W Breidabólstadir Tóti się zbudził, próbując złapać oddech. Podźwignął się, by usiąść, i poczuł gorączkowy przypływ krwi do serca. Ramiona mu zdrząły. Spróbował odkaszlnąć; język miał przyklejony do podniebienia.

Po drugiej stronie izby spał jego ojciec, chrapał nierówno, to wstrzymując oddech na kilka niepokojących chwil, to znów chrapiąc. Dlaczego wciąż śpi? – pomyślał Tóti. Chyba już ranek. Muszę napić się wody.

Mimo zawrotów głowy spuścił nogi z łóżka, stawiając bose stopy na deskach podłogi. Pewnie miałem jakiś zły sen, pomyślał, czując, jak serce trzepocze mu w piersi. Pójdę po wodę.

Powietrze w spiżarni cudownie chłodziło jego zlaną zimnym potem skórę. Może powinienem spać tutaj, pomyślał Tóti, osuwając się na podłogę. W badstofie jest tak gorąco, ktoś zapalił pod nami ogień.

Obudził się znowu, gdy ojciec szorstkimi dłońmi wziął go pod pachy.

– Chcesz się nabawić przeziębienia? Lunatykujesz czy oszalałeś?

– Matko?

Chwila ciszy.

– Nie, synu. To ja.

Wielebny Jón zdołał podnieść Tótiego na nogi i podeprzeć go ramieniem.

– A teraz idź ze mną – polecił, schylając się po świeczkę. – Wciąż śpisz?

– Nie, nie. Nie śpię. Poczuję się słabo i chciałem napić się wody. Wydaje mi się, że tutaj zasnąłem.

Wspólnie doczłapali do badstofy.

– Usiądź na swoim łóżku – powiedział ojciec. Zrobił kilka kroków do tyłu, obserwując syna. Tóti słał się na nogach. Jego oczy lśniły bardziej niż zwykle, włosy były mokre od potu. – Jesteś wyczerpany, synu. To przez te podróże do Kornsy w złą pogodę.

Tóti podniósł na niego wzrok.

– Ojczy?

Zanim upadł na podłogę, wielebny Jón złapał go w ramiona.

†

Dni robią się teraz coraz krótsze. Na wszystko jest dość czasu, za dużo czasu, więc rodzina z Kornsy wybrała się do kościoła, by zabić te pełne udręki godziny w niedzielny ranek. Góry okryły się śniegiem, a ostatniej nocy woda w stodole skuła się lodem. Jón wysłał Bjarniego, by pokruszył lód młotkiem, i teraz jesteśmy tylko we troje, Bjarni, Jón i ja. Czekamy na powrót reszty rodziny.

Zastanawiam się, gdzie jest wikariusz. Nie widziałam go od wielu dni. Myślałam, że może przyjedzie w moje urodziny, skoro z księgi parafialnej wie, kiedy wypadają, lecz dzień urodzin nadszedł i minął, a ja nie ośmieliłam się powiedzieć o tym rodzinie. Teraz listopadowe dni snują się jeden

za drugim, a on wciąż nie przybywa, nie dostałam też żadnego listu ani wiadomości, która dodałaby mi otuchy. Steina spytała, czy moim zdaniem zła pogoda odwodzi go od podróży; tydzień temu była burza śnieżna, która o mało nas nie zasypała. Może jest zbyt zajęty obowiązkami duszpasterskimi i podróżuje po własnej parafii, spisując wiernych w rejestrze po to, by historia o nich nie zapomniała. A może ma już powyżej dziurek w nosie moich opowieści; może powiedziałam coś nie tak, co utwierdziło go o mojej winie, i jest przekonany, że w związku z tym trzeba mnie porzucić i ukarać. Jestem zbyt bezbożna. Rozpraszam jego uwagę i odciągam od chrześcijańskiego sposobu myślenia. Budzę zwątpienie w wiarę w kochającego Pana. Może Blöndal znowu wezwał go do siebie i zabronił mu słuchać dalej moich opowieści. Tak czy inaczej wydaje się okrucieństwem, że pozostawił mnie samą bez ostrzeżenia, bez żadnego zapewnienia, że wróci. Dni dłużą się niemiłosiernie, światło ucieka z tej krainy niczym zbity pies. Mam coraz mniej do zrobienia i czekam na niego z niecierpliwością. Za każdym razem, gdy słyszę tupanie butów, z których ktoś strzepuje śnieg, albo kasznięcie w korytarzu, myślę, że znowu przyjechał. Ale to nigdy nie on. Tylko służący, którzy wracają wieczorem do chaty po nakarmieniu bydła. To tylko Margrét kaszłająca i charcząca w chustkę.

Czekanie doprowadza mnie do szaleństwa. Czemu nie tutaj? Czemu nie wziąć siekiery i nie załatwić sprawy tu, na miejscu? Bjarni mógłby to zrobić. Albo Gudmundur. Którykolwiek z mężczyzn. Zapewne chętnie wepchnęliby mi twarz w śnieg i odrąbali głowę bez ceregieli, bez kapłana i sędziego. Jeżeli i tak mnie zabiją, czemu nie zrobią tego teraz?

To pewnie sprawka Blöndala. Zamierza obezwładnić mnie tym czekaniem, zanim każe położyć głowę pod topór. Chce mnie złamać; odbiera mi ostatnią pociechę, jaka mi została na tym świecie, ponieważ jest barbarzyńcą. Odebrał mi Tótiego i teraz mogę tylko śledzić, jak upływa czas. Okrutny to dar: tak dużo czasu, żeby się ze wszystkim pożegnać. Czemu nie powiedzą mi po

prostu, kiedy muszę umrzeć? Może nawet jutro – a wielebnego nie ma tu, żeby mnie pokrzepić. Czemu nie przyjeżdża?

Mam dość życia z ostatecznym wyrokiem. To jak cios prosto w serce, świadomość, że wszystko jest już przesądzone, a obok toczą się zwyczajne dni w gospodarstwie. Może byłoby lepiej, gdyby pozostawiono mnie w Stóra-Borg. Może zagłodzono by mnie tam. Byłabym utyłana i śliska od błota, zziębnięta i pozbawiona nadziei, a moje ciało może zorientowałoby się, że jest już zgubione, i umarłoby samo z siebie. To byłoby lepsze od czczego zwijania wełny w kłębki w śnieżny dzień i czekania, aż ktoś mnie zabije.

Może w następną niedzielę poproszę, by pozwolono mi udać się do kościoła razem z Margrét. Po cóż innego byłby nam Bóg, jeśli nie do tego, byśmy mogli oderwać myśli od grzęzawiska, w którym wszyscy tkwimy. Wszyscy jesteśmy rozbitkami. Wszyscy ugrzęźliśmy w bagnisku biedy. Kiedy ostatnim razem byłam w kościele? Na pewno nie w czasach, gdy mieszkałam w Illugastadir. Więc to musiało być w Geitaskard, z resztą służby. Jechaliśmy tam i przebieraliśmy się w odświętne odzienie za kościołem; wiatr szczypał nasze gołe nogi porannym chłodem, gdy wkładałyśmy swoje najlepsze sukienki, niepobrudzone końską sierścią. Tęsknię za dusznym ciepłem zbyt wielu ciał zgromadzonych w jednym miejscu, tęsknię za pokasywaniem, kwileniem niemowląt, pociąganiem nosem. Pragnę, by obmył mnie dźwięczny głos kapłana. Jak wtedy, gdy byłam mała i zatrudniano mnie w ubogich gospodarstwach do wycierania pup niemowląt z gówna i do prania ubrań z pomocą popiołu i tłuszczu; wymykałam się wówczas do kościoła, by poczuć, że jest coś większego. Coś czystego.

Może sprawy miałyby się inaczej, gdyby Natan pozwolił mi chodzić do kościoła w Tjörn. Może bym się tam z kimś zaprzyjaźniła. Może poznałabym rodzinę, do której mogłabym się zwrócić o pomoc, kiedy wszystko się popsuło i wypaczyło. Może poznałabym innych rolników,

u których mogłabym się zatrudnić. Ale nie puścił mnie i z nikim się nie zaprzyjaźniłam, nie miałam więc żadnego światełka, do którego mogłabym skierować kroki tamtej zimy.

Może Rósa i ja zaprzyjaźniłybyśmy się, gdybyśmy się poznały w innych okolicznościach. Natan zawsze mówił, że jesteśmy do siebie tak podobne jak łabędź do kruka, ale nie miał racji. Obie go kochałyśmy, na przykład. I bez względu na to, co mówię wielebnemu, poezja Rósy rozniecała płomień w mojej duszy i rozświetlała mnie od wewnątrz. Natan nigdy nie przestał jej kochać. Jak by mógł? Jej poezja czyniła z ludzi jaśniejące kaganki.

Nie osiągnęliśmy porozumienia. Wina leżała i po mojej, i po jej stronie. Gdy tylko Rósa mnie ujrzała, dała mi niedwuznacznie do zrozumienia, że toczymy wojnę. Zjawiała się w badstofie w Illugastadir pewnego letniego wieczoru niczym duch. Nikt nie usłyszał, jak nadchodziła ani jak otwierała drzwi. Po prostu stanęła w izbie, trzymając w ramionach córkę. Była ubrana na czarno, przez co jej blada cera zdawała się jaśnieć. Sigga zawsze mówiła, że Rósa wygląda jak anioł. Ale tego wieczoru wyglądała na wyczerpaną, zmęczoną światem.

Wiedziałam o Rósie więcej niż ona o mnie.

– To cudowna kobieta – powiedział raz Natan i poczułam ukłucie zazdrości, które zdawało się szarpać tkanek moich płuc niczym haczyk z zadziorem. – Jest bardzo dobrą akuszerką i wspaniałą poetką. – Był ojcem jej dziecka! Ta jej córeczka miała jego bystre, przenikliwe spojrzenie; nic nie uchodziło jej uwagi. Ale mnie uspokoił, mówiąc: – Duszę się przy niej. Chciała, żebym ciągle żył z nią i jej mężem pod jednym dachem. A mnie pchała potrzeba, by samodzielnie pokierować własnym życiem, wykuć je dla siebie. No i mam własne gospodarstwo. Jestem niezależny.

Przekonał mnie, że wysłał jej listy, w których napisał, że już jej nie pragnie. Że miłość do mnie przyćmiła to, co czuł do niej. Podobało mu się, że jestem z nieprawego łoża, że jestem ubogą służącą.

– Ty musiałaś o wszystko walczyć – powiedział. – Chwytasz życie

za gardło, Agnes. Jesteś inna niż Rósa.

A potem tamtego letniego wieczoru zjawiła się w drzwiach z córką i twarz Natana pojaśniała.

Rósa nie odezwała się słowem. Patrzyła na mnie, zmrużyła oczy. Jakby celowała z pistoletu.

– Ty musisz być Agnes Magnúsdóttir. Róza z Kidjaskard. Róza z Kraju Dolin.

Jej dłoń, wyciągnięta z rękawiczki, była lodowata, gdy ją uścisnęłam.

– Rósa Poetka. Miło mi, że cię w końcu poznałam.

Ona zaraz utkwiała wzrok w Sigdze, po czym uniosła brwi, spoglądając na Natana.

– Miło mi widzieć, że urządziłeś sobie taki przytulny dom.

Nie umknął mi oskarżycielski ton w jej głosie. Wiedziałam, co robię, kiedy stanęłam obok Natana. On jest teraz mój.

– A to musi być Thóranna – powiedziałam. Dziewczynka uśmiechnęła się, słysząc swoje imię.

Rósa wzięła ją znowu na ręce.

– Tak. Dziecko moje i Natana.

– No już, dziewczyny. – Natan wyglądał na rozbawionego. – Bądźmy dla siebie mili. Siggo, przynieś nam wszystkim kawy. A ty zdejmij wierzchnie odzienie.

– Nie, dziękuję. – Rósa posadziła Thóranne w kącie, z dala ode mnie. – Przywiozłam ją tylko.

– Co?! – Natan nie uprzedzał mnie, że córka Rósy ma u nas zamieszkać. Szeptem go spytałam, dlaczego nie powiedział mi o tym wcześniej. Dlaczego nie ostrzegł, że Rósa złoży nam wizytę. Nie wiedziałam, że w ogóle ze sobą rozmawiają.

– Przynajmniej tyle mogę dla Rósy zrobić – powiedział. – Thóranna mieszkała tu z nami również ostatniej zimy. Jest moją córką, więc to sprawiedliwe, że mieszka ze mną przez część roku.

Słowa Rósy były ostre niczym nóż.

– Nie wiedziałam, Natanie, że we wszystkim się z nią konsultujesz. Nie wiedziałam, że zrobiła z ciebie pantoflarza. Jest jasne, że nie chce naszego dziecka w swoim domu.

Natan się roześmiał.

– Swoim domu? Róso, Agnes jest moją służącą.

– Tylko służącą i nikim więcej, tak? – Uniosła brwi. – Nie chcę, żeby ta kobieta opiekowała się naszą córką.

– Z przyjemnością zajmę się Thóraną – skłamałam.

– Twoja przyjemność mnie nie obchodzi.

Natanowi nie podobało się, że jego była i obecna kochanka się kłóca.

– Daj spokój, Róso. Napijmy się wszyscy kawy.

Jej śmiech był wysoki i dźwięczny.

– O tak, to by ci odpowiadało! Wszystkie twoje kurwy wieczerzające pod twoim dachem! Nie, dziękuję. – Wyszarpnęła ramię z jego uścisku i odwróciła się, ale zanim zniknęła w drzwiach, jeszcze coś mi powiedziała. –

Proszę, bądź dobra dla Thórannej. – Pokiwałam głową, a Rósa nagle pochyliła się nade mną. Poczułam lekki dotyk jej dłoni na ramieniu. – *Brennt barn forðast eldinn* – wyszeptała ukradkiem. – Oparzone dziecko boi się ognia.

I wyszła, nie oglądając się za siebie.

Dziewczynka rozplakała się, że została bez matki, a Sigga zaczęła ją pocieszać. Natan wpatrywał się w drzwi, jakby Rósa miała za chwilę wrócić.

– Co jej o nas powiedziałaś? – szepnęłam do niego.

– Niczego Rósie nie mówiłem.

– A o co chodziło z tą Różą z Kidjaskard? O co chodziło z tymi wszystkimi twoimi kurwami?

Wzruszył ramionami.

– Rósa ma zwyczaj nazywać ludzi po swojemu. Pewnie uważa, że jesteś piękna.

- To nie brzmiało jak komplement.
- Natan puścił moją uwagę mimo uszu.
- Idę do warsztatu.
- Sigga miała właśnie zrobić nam kawy.
- Cholera, Agnes! Choć raz daj spokój!
- Idziesz za Rósą?
- Wyszedł bez słowa.

†

- Jednej nocy, w gorączce, Tóti ujrzał Agnes w drzwiach badstofy.
- Pozwolili jej tu przyjechać – powiedział do ojca, który schylał się nad łóżkiem, w milczeniu opatulając syna w koce. – Wejdz. – Tóti wy dostał ramiona spod kołdry i wyciągnął je w stronę drzwi. – Chodź. Widzisz, jak nasze losy są splecione? Bóg tak chciał.
  - Uklęka przy jego łóżku i łkała. Poczuł, jak jej długie ciemne włosy muskają jego ucho, i przebiegł go dreszcz pożądania.
  - Tak tu gorąco – powiedział, a ona pochyliła się, żeby scałować pot z jego skóry, lecz jej język okazał się szorstki, a dłonie zacisnęły się na jego gardle.
  - Agnes. Agnes! – Zdołał odepchnąć ją od siebie, sapiąc i rżąc z wysiłku.
  - Mocne dłonie chwyciły go za nadgarstki i wcisnęły ramiona z powrotem pod kołdrę.
  - Nie opieraj się – powiedziała. – Przestań.
  - Jęknął. Płomienie lizały jego skórę, dym wdzierał się do gardła. Zakaszłał, jego klatka piersiowa uniosła się i opadła gwałtownie pod ciężarem Agnes, która wdrapała się na niego i uniosła młotek.

†

- Nie wierzę – oświadczyła Steina, zamiatając badstofę tak, że kurz wzbijał



się w powietrze.

– Steino! Robisz tylko jeszcze większy bałagan.

Steina wciąż zamiatała z taką samą furją.

– To okrutna plotka i wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby Róslín sama ją wymyśliła.

– Ale nie ona jedna ją słyszała. – Lauga kichnęła. – Widzisz, tylko jeszcze bardziej kurzysz.

– To sama pozamiataj. – Steina wcisnęła siostrze miotłę w rękę.

– O co się znowu kłócicie? – Margrét weszła do izby i spojrzała z konsternacją na podłogę. – Kto to zrobił?

– Steina – powiedziała z urazą Lauga.

– To nie moja wina, że dach nam się sypie! I wilgoć się wdziera. W kącie wręcz kapie.

– Masz humory – stwierdziła lekceważąco Margrét. Zwróciła się do Laugi.

– Co ją tak zdenerwowało?

Lauga przewróciła oczami.

– Historia o Agnes, którą ostatnio słyszałam. Steina w nią nie wierzy.

– Tak? – Margrét zakaszlała i zamachała ręką przed nosem, odganiając kurz. – Co to za historia?

– Ludzie pamiętają, jak pewien podróżny przepowiedział, że topór odrąbie jej głowę.

Margrét zmarszczyła nos.

– Słyszałaś to od Róslín?

Lauga zrobiła urażoną minę.

– Nie tylko od Róslín. Powiadają, że kiedy Agnes była małą dziewczynką, do jej obowiązków należało pilnowanie pola i pewnego dnia zastała tam podróżnego, który rozbił obozowisko. Jego koń niszczył trawę, a kiedy nakazała mu opuścić pole, nieznajomy przeklął ją i wykrzyknął, że pewnego dnia odrąbią jej głowę.

Margrét prychnęła i dostała napadu kaszlu. Lauga odłożyła miotłę i z troską

zaprowadziła matkę do łóżka. Steina obrażona nie ruszyła się z miejsca.

– Połóż się, mamma. – Lauga roztała matce plecy i nagle krzyknęła, gdy z ust Margrét wyleciał skrzep jaskrawoczerwonej krwi.

– Mamma! Ty krwawisz! – Steina rzuciła się do przodu i potknęła się o miotłę.

Lauga odepchnęła siostrę od matki.

– Daj jej odetchnąć!

Patrzyły z niepokojem, jak Margrét dalej kaszle.

– Próbowaliście już galaretki z porostów? – W drzwiach stała Agnes. Patrzyła pytająco na Laugę.

– Czuję się całkiem dobrze – zaskrzeczała Margrét, przykładając rękę do piersi.

– Pomaga na płuca.

Lauga zmarszczyła gniewnie brwi.

– Zostaw nas same, dobrze?

Więźniarka puściła jej słowa mimo uszu.

– Próbowaliście takiej galaretki?

– Nie potrzeba nam twoich magicznych leków – odwarknęła Lauga.

Agnes pokręciła głową.

– Myślę, że jednak potrzeba.

Margrét przestała kaszleć i spojrzała na nią ostro.

– Co przez to rozumiesz? – szepnęła Lauga.

– Ugotujcie trochę posiekanych porostów z wodą. Trzeba gotować je bardzo długo. Kiedy wywar ostygnie, zrobi się z niego szara galareta. Nie jest smaczna, ale może powstrzymać krwawienie w płucach.

Zaległa chwila ciszy.

Steina usiadła na łóżku.

– Natan Ketilsson cię tego nauczył? – spytała cicho.

– Powiadają, że pomaga. Mogę ugotować.

Margrét powoli wytarła usta rąbkiem fartucha i pokiwała głową.

– Dobrze, ugotuj – powiedziała.

Agnes ruszyła szybkim krokiem przez korytarz.

Lauga spojrzała na matkę.

– Mamma, nie jestem pewna, czy powinnaś jeść to, co...

– Dosyć już, Laugo – ucięła Margrét. – Dosyć.

†

Nastała zima. Jesień przegonił wiatr, który miota tumany śniegu. Powietrze jest rozrzedzone i mroźne. Każdy oddech zawisa przede mną niczym widmo. Mgły schodzą z gór i osiadają na zmarzniętej ziemi. Nadchodzi ciemność – jest już niczym siniec na skórze ziemi.

Wielebny wciąż się nie zjawił.

Dlaczego nie przyjeżdża?

Czy gdyby przybył dziś wieczorem, powiedziałabym mu, że Natan i ja byliśmy jak mąż i żona? Wtedy mogłabym mu opowiedzieć, co się zaczęło między nami zmieniać. Może zresztą sam już to odgadł.

Nadeszła gorycz, ciemność i wiatr, a czarny piasek zaczął palić od soli. Zaczęła się droga w dół. Zimna ścieżka ku jeszcze zimniejszej wodzie. Gorycz i sól.

Co powiedziałabym Tótiemu?

Wielebny, Natan zaczął opuszczać Illugastadir pod koniec lata, a za każdym razem, gdy wracał, stawał się dla mnie kimś coraz bardziej obcym. Zdarzało się, że zdybał mnie samą w mleczarni, wyrywał mi szczotkę z dłoni i przyciągał mnie do siebie tylko po to, by zapytać, czy grzałam Danielowi łóżko, gdy on z dala od domu starał się zarobić na życie, próbując przepędzić śmierć z trzewi swoich krajan. Oskarżał mnie nawet o to, że zakochałam się we Fridriku! W tym niezdarnym chłopcu wymachującym pięściami i cuchnącym niepraną wełną. Oskarżenia Natana wydawały mi się komiczne. Czyż nie widział, jak bardzo za nim tęsknię? Jak bardzo różni się

od innych mężczyzn, których znałam?

Wyobrażam sobie, jak Tóti się rumieni. Wyobrażam sobie, jak wyciera spocone dłonie o materiał spodni. Jak kiwa powoli głową. Światło ze świecy w badstofie migocze na jego twarzy, gdy wpatruje się we mnie okrągłymi oczyma.

Wielebny, powiedziałabym mu, zapewniałam Natana, że Daniel nic dla mnie nie znaczy. Że Fridrik podkochuje się w Sigdze. Powtarzałam mu, że jestem jego tak długo, jak będzie mnie chciał, że wyjdę za niego, jeśli sobie tego zażyczy.

To te jego mroczne nastroje mi go odebrały. Kiedy zachodziłam do warsztatu i zastawałam Natana przy warzeniu ziół albo klarowaniu wywarów z korzeni, proponowałam, że mu pomogę, tak jak pomagałam wcześniej. Ale on zaczął mnie przepędzać. Nie chciał mnie, mówił. Czy miał na myśli moją pomoc, czy moją obecność? Pokazywał mi drzwi.

– Idź. Nie chcę cię tutaj. Jestem zajęty.

Czasami szłam do latryny i krowim gnatem rozbijałam łby suszonych dorszy. Tylko po to, żeby na czymś się wyżyć, dać upust złości. Odkochuje się, mówiłam sobie. I zaczynałam się zastanawiać, czy kiedykolwiek mnie kochał.

Wciąż jednak zdarzało się, że przychodził do mnie, kiedy zbierałam puch edredonów na brzegu morza. Brał mnie wtedy pomiędzy gniazdami kaczek, z dłońmi w moich włosach, z wyrazem takiej desperacji na twarzy, jakby tonął. Potrzebował mnie jak powietrza. Czułam to w jego spojrzeniu, w tym, jak chwycił się mojego ciała, jakbym była boją na wodzie.

Wielebny Tóti, proszę przysunąć bliżej swój stołek. Opowiem wielebnemu, jak naprawdę było.

Nie cierpiałam tego, że jestem jego służącą. Jednej nocy byłam jego kochanką, czułam jego rytmiczny oddech na swojej twarzy. A następnego dnia byłam służącą. Nawet nie gospodynią! Jego chłodne polecenia zaczęły brzmieć w moich uszach jak reprimendy.

– Spędź owce z pastwiska do domu. Wydój krowę. Wydój owce. Przynieś wodę. Zbierz popiół i rozsyp go na polu. Ten garnek wciąż jest brudny. Poproś Siggę, żeby pokazała ci, jak myć retorty.

Rozumie wielebny, co mam na myśli? Czy miłość jest dla wielebnego czymś niezmiennym? Kochał wielebny kiedyś kobietę? Kogoś, kogo kocha się tak bardzo, że nienawidzi się jednocześnie władzy, jaką ma nad kochającym ukochana osoba?

Nienawidziłam tego, że moje myśli całymi dniami krążyły wokół Natana, aż mnie mdliło. Nienawidziłam tego, jak ścisnęło mnie w dołku, ilekroć odnosiłam wrażenie, że Natan już o mnie nie dba. Nienawidziłam tego, jak potykałam się o kamienie na skalistej ścieżce do jego warsztatu, raz po raz przynosząc mu rzeczy, których już nie potrzebował.

Dopiero Daniël powiedział mi, jak jest naprawdę.

Czekał na mnie pewnego dnia, gdy Natana nie było w domu. Wyszłam z warsztatu, zamknęłam drzwi na klucz i zobaczyłam Daniëla, który stał na brzegu z kosą w jednym ręku i kapeluszem w drugim.

– Co tam robiłaś? – zapytał.

– Nie twoja sprawa.

– Nie wolno nam tam wchodzić – powiedział. – Gdzie znalazłaś klucz?

– Natan mi dał. Ufa mi.

– No tak, zapomniałem, że wy służące jesteście traktowane szczególnie.

– Co to ma niby znaczyć?

Daniël się roześmiał.

– A gdzie są moje buty z foczej skóry? Gdzie moje nowe ubrania?

Natan był hojny, kiedy miał taki kaprys.

– Nie mieszkaś tutaj dostatecznie długo – odparłam. – Jestem pewna, że dostaniesz jakiś prezent, kiedy Natan wróci.

– Nie chcę niczego od Natana.

– Nie? A właśnie narzekałaś, że jesteśmy lepiej traktowane.

– Chcę czegoś od ciebie. – Ton jego głosu się zmienił. Stał się łagodniejszy.

– Agnes, musisz zdawać sobie sprawę z tego, że mi się podobasz.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Podobam ci się? Mówiłeś wszystkim w Geitaskard, że jesteśmy zaręczeni!

– Miałem nadzieję, Agnes. Nadal mam. Nie będziesz Natana na zawsze.

Jego słowa mnie zmroziły. Nagle zakręciło mi się w głowie.

– Co powiedziałaś?!

– Nie wyobrażaj sobie, że nie wiemy. Sigga, ja, Fridrik. Wszyscy wiemy. Wszyscy w Geitaskard. Wszyscy wiedzieli, że wymykałaś się nocą do stodoły.

– Gdybyś mniej czasu poświęcał na rozsiewanie plotek, a więcej na koszenie trawy, wszyscy byśmy na tym skorzystali. Wracaj do swojej pracy.

Daniel skrzywił się z gniewem.

– Myślisz, że jesteś lepsza od nas, bo znalazłaś sobie następnego gospodarza, który bierze cię do łóżka?

– Nie bądź wulgarny.

– Nie bądź głupia. To, że bawisz się w żonę, nie znaczy, że nią jesteś, Agnes.

– Jestem tylko jego służącą, więc mu służę.

Parsknął śmiechem.

– Służysz w łóżku.

Wtedy straciłam cierpliwość. Wyrwałam mu z garści kosę i pchnęłam mu ją z powrotem w dłoń.

– A ty, Danielu? Jesteś parobkiem, który obmawia swojego pracodawcę. Obrażasz kobietę, którą chciałbyś zdobyć! Brzydzę się tobą.

Czy powiedziałałabym o tym wielebniemu, gdyby tu był? Może wyciągnął już własne wnioski. Może dlatego nie przyjeżdża.

Mogłabym mu opowiedzieć o innym dniu, o dniu fał śmierci. Sigga wysłała mnie na dwór po kamienie potrzebne do naprawy ścian paleniska i kiedy je

zbierałam, usłyszałam plusk wiosła o wodę. Dzień był bezwietrzny i cichy, jeden z tych dni, kiedy świat wstrzymuje oddech. Morze zwinęło się niczym wąż.

Daniel i Natan wybrali się na ryby, ale był ranek – dużo za wcześnie na ich powrót. Daniel wiosłował do brzegu. Natan w łodzi siedział sztywno i nieruchomo. Twarz miał zastygłą w pochmurnym grymasie, dłońmi ścisnął drewnianą burzę, jakby go mdliło.

Gdy tylko dotarli na brzeg, wyskoczył z łodzi i zdecydowanym krokiem ruszył przez płyciznę. Kiedy szedł po plaży, rozbryzgiwał butami kamyczki.

Mieszkałam z Natanem już dość długo, by wiedzieć, że nic nie jest w stanie go pocieszyć, ilekroć wpadł w jeden ze swoich mrocznych nastrojów, więc kiedy zobaczyłam, jak w ociekającym wodą ubraniu gniewnie kroczy, nie odezwałam się słowem. Nawet na mnie nie spojrzął, tylko pognął w stronę gospodarstwa.

Daniel wyciągnął łódkę na brzeg. Zapytałam go, co się stało. Czy się pokłócili? Zgubili sieć?

Zdawał się rozbawiony gniewem pracodawcy. Zaczął wynosić sieci z łódki i dał mi część z nich, żebym zaniósła je do Illugastadir.

– Natan uważa, że uderzyły w nas fale śmierci – oznajmił. W jego brodzie lśniły kryształki soli. Powiedział, że zaskoczyło go, że Natan jest takim zabobonnym sukinsynem.

Zarzucili właśnie sieci i je ciągnęli, kiedy ni stąd, ni zowąd uderzyły w nich trzy duże fale. Mieli szczęście, że łódka nie obróciła się do góry dnem. Daniel rzucił się, żeby ocalić linę, i udało mu się ją złapać, zanim wpadła cała do wody, a gdy podniósł wzrok, ujrzał Natana bladego niczym duch. Zapytał go, co się stało. Natan spojrzął na niego jak na głupca. „To były fale śmierci, Daniele”.

Daniel powiedział mu, że fale śmierci to wymysł starych bab i nie przyszłoby mu na myśl, że człowiek tak uczony może w to wierzyć. Natan złapał go za rękaw i oświadczył, że nie śmiałyby się, gdyby skończył martwy

na dnie oceanu.

Daniel opowiadał, że wyrwał się Natanowi i chciał wybrać z łódki wodę, która została po przejściu fal, lecz Natan odrzekł tylko: „Niech cię diabli! Myślisz, że zamierzam tu siedzieć i czekać, aż następna fala mnie zabije? Wracamy”.

Wtedy Daniel uznał, że Natan go utopi w ataku szału, tylko po to, by dowieść prawdziwości swojego zabobonu, więc powiosłował do brzegu.

Postanowiłam porozmawiać z Natanem, mimo że Daniel radził, żebym zostawiła go w spokoju, aż odzyska rozsądek. Mimo to podążyłam za Natanem do chaty, gdzie krzyczał gniewnie na Siggę. Dziewczyna próbowała zdjąć z niego przemoczone ubranie i mokra koszula utknęła mu na głowie, zasłaniając twarz.

Sigga źle znosiła jego połajanki. Powiedziałam, żeby odeszła, i zaczęłam sama go rozbierać, lecz Natan odepchnął mnie i przywołał Siggę z powrotem.

– Zapominasz, gdzie jest twoje miejsce, Agnes.

Później tego samego dnia podążyłam za Natanem do warsztatu, niosąc niezapalony kaganek, którego moim zdaniem mógł potrzebować. Dni zrobiły się krótsze, a drżące promienie słońca wyraźnie przygasały. Ocean wyglądał na niespokojny.

Kiedy Natan nacisnął klamkę, okazało się, że drzwi są już otwarte. Wtedy zaczął się domagać wyjaśnień i oskarżać mnie o to, że byłam w środku bez jego zgody, a ja odparłam, że przecież wie, że rozpalałam ogień, gdy on był na rybach. Prawdopodobnie zapomniałam po prostu zamknąć drzwi na klucz, lecz Natan zaczął krzyczeć, że grzebię w jego rzeczach albo próbuję znaleźć pieniądze, niecnie go wykorzystać.

Ja niecnie wykorzystać jego! Wtedy nie zdążyłam ugryźć się w język i stwierdziłam, że to raczej on zwabił mnie kłamstwem na swoją odludną farmę. Obiecał, że będę gospodynią, mimo że cały czas była nią Sigga. Zapytałam, czy płaci jej więcej niż mnie i czemu w ogóle łągał, skoro wiedział, że przyszedłabym do niego tak czy inaczej!



Przeglądał swoje rzeczy, sprawdzając, czy niczego nie brakuje. Ubodło mnie, że pomyślał, że mogłabym wziąć coś, co do niego należy. Po co mi były jego monety, leki czy co tam jeszcze schował.

Zostałam w warsztacie. Nie mógł zmusić mnie do wyjścia. Kiedy już się przekonał, że nic nie zginęło, wyciągnął focze skóry, które wymagały garbowania, i nie odezwał się już do mnie ani słowem. Ale nastąpiło już późne popołudnie, niebo na dworze było jednostajnie szare – kiepskie światło do pracy. Przykucnęłam przy palenisku i obserwowałam go, czekając, aż weźmie mnie w ramiona, przeprosi.

Może zapomniał, że tam jestem, a może nic go to nie obchodziło. Po pewnym czasie odłożył nóż na ziemię, wytarł dłonie w szmatę i wyszedł z warsztatu. Stał na najdalszym krańcu cypla, wpatrując się w morze. Poszłam za nim.

Objęłam go ramionami, żeby go pocieszyć, i przeprosiłam.

Wyrwał mi się, ale poczułam, jak jego ciało stężało pod moim dotykiem. Wtuliłam twarz w fałdy jego koszuli i pocałowałam go w plecy.

– Nie – mruknął. Wciąż stał odwrócony twarzą do morza. Zaciśnęłam mocniej ręce na jego brzuchu i przywarłam do niego.

– Przestań, Agnes. – Chwycił mnie za ręce i odepchnął od siebie. Mięśnie twarzy zagrały mu pod skórą, kiedy zacisnął szczęki.

Zerwał się wiatr. Zdmuchnął Natanowi kapelusz z głowy i porwał do morza.

Spytałam, co się stało. Spytałam, czy ktoś mu groził, a on się roześmiał. Jego oczy były zimne jak kamienie. Włosy, uwolnione spod kapelusza, łopotały wokół głowy w ciemnych splotach.

Powiedział, że wszędzie wokół widzi znaki śmierci.

Wzięłam głęboki oddech.

– Natanie, nie umrzesz.

– W takim razie wyjaśnij mi fale śmierci. – Jego głos był niski, pełen napięcia. – Wyjaśnij złe przecucia. Sny, które mnie nachodzą.

– Przecież sam śmiejesz się z tych snów. – Staralam się go uspokoić. –  
Wszystkim o nich opowiadasz.

– A widzisz, żebym się teraz śmiał, Agnes?

Chwycił mnie za barki, pochylając głowę nade mną tak, że zetknęliśmy się  
czołami.

– Co noc śnię o śmierci – syknął. – Widzę ją wszędzie. Widzę krew.  
Wszędzie.

– Obdzierałeś zwierzęta ze skóry...

– Widzę ją na ziemi, w ciemnych, lepkich kałużach. – Oblizął wargi. –  
Czuję jej smak. Budzę się ze smakiem krwi w ustach.

– Przygryzasz sobie język, kiedy śpisz...

Uśmiechnął się nieprzyjaźnie.

– Widziałem, jak przy łódce rozmawiałaś o mnie z Danielem.

– Puść mnie!

Jakby nie słyszał.

– Puszczaj! – Wyrwałam się z jego uścisku. – Mówisz jak stara baba  
paplająca o snach i przeczuciach.

Było zimno. Wielka ciemna chmura przesunęła się znad morza. W mroku  
widziałam, jak lśnią Natanowi oczy. Jego spojrzenie budziło we mnie  
niepokój.

– Agnes – powiedział. – Śnię o tobie.

Nagle zapragnęłam wrócić do chaty i zapalić kaganki. Miałam świadomość,  
że ocean jest tuż obok, niecałe dwa kroki od naszych stóp.

– Śni mi się, że leżę w łóżku i widzę, jak krew spływa po ścianach. Kapie  
mi na głowę, a krople wypalają mi skórę.

Zrobił krok w moją stronę.

– Jestem przywiązany do łóżka, a krwi przybywa, aż całego mnie zalewa.  
A potem nagle znika. Mogę się ruszyć, siadam na łóżku i rozglądam się  
dookoła. Izba jest pusta.

Ścisnął mi dłoń i poczułam ostrą krawędź jego paznokcia, która wbiła mi się w skórę.

– Ale potem zauważam ciebie. Idę w twoją stronę. A kiedy się zbliżam, widzę, że jesteś przybita do ściany gwoździami za włosy.

Właśnie wtedy silny podmuch wiatru zerwał mi z głowy czepiec, a niezaplecione włosy natychmiast załopotały, smagając mnie po twarzy. Natan chwycił ich całą garść i przyciągnął mnie za nie bliżej.

– Natanie! To boli!

Ale coś odwróciło jego uwagę.

– Co to jest? – wyszeptał.

Wiatr przyniósł ciężki smród zgnilizny.

– To wodorosty. Albo zdechła foka. Puszczaj moje włosy.

– Cicho!

Miałam dość jego humorów.

– Nikt nie próbuje cię zabić, Natanie. Nie jesteś aż tak ważny.

Rozwarłam mu palce, by uwolnić włosy, i ruszyłam z powrotem do chaty, lecz złapał mnie za rękaw bluzki, okręcił i uderzył w twarz.

Pisnęłam i nakryłam dłonią policzek. Natan chwycił mnie za palce i ścisnął tak mocno, że musiałam przykucnąć tuż przed nim. Nawet na mroźnym wietrze czułam palącą krew, która napłynęła do miejsca, gdzie mnie uderzył.

– Nigdy nie mów do mnie w ten sposób. – Przycisnął usta do mojego ucha. Głos miał niski i szorstki. – Nie powinienem był cię tu w ogóle zapraszać.

Jeszcze przez chwilę wykręcał mi palce tak mocno, że krzyczałam z bólu, a potem puścił mnie i odepchnął.

W ciemności, potykając się o spódnicę, pobiegłam przez cypel na brzeg, a potem pod górę do chaty. Od zimnego wiatru bolały mnie uszy, płakałam, lecz mimo wycia wichru i własnego łkania usłyszałam:

– Nie zapominaj, gdzie twoje miejsce, Agnes!

Tamtego wieczoru długo czekałam. Trzymałam zapalony kaganek w nadziei, że kiedy Natan przyjdzie, wreszcie się pogodzimy. Ale upływały kolejne godziny, nadeszła i minęła północ, a on wciąż nie wracał. Sigga i Daniel dawno już położyli się i zasnęli, a ja czuwałam, wpatrzona w tańczący na knocie płomień. Bolała mnie głowa. Rozumiałam, że czekam na coś złego.

Kilka razy zdawało mi się, że słyszę kroki przed chatą, otwierałam drzwi, lecz za nimi była tylko ciemność, szum fal rozbijających się o brzeg i gęsta mgła, więc nie widziałam nawet, czy w warsztacie Natana pali się światło. Wracałam do łóżka, do chłodnej pościeli i czekałam dalej.

W końcu zasnęłam. Obudziłam się w mroku; kaganek się wypalił i zgasł. Rozpoznałam kroki Natana w korytarzu – musiałam się obudzić od łoskotu zasuw przy drzwiach. Wstrzymałam oddech z nadzieją, że wkrótce on odchyli moją kołdrę, położy się obok i wyszepcze mi do ucha przeprosiny.

Lecz Natan nie położył się do mojego łóżka. Przez zmrużone powieki patrzyłam, jak usiadł na stołku i zdjął buty. Ściągnął spodnie i powoli zdjął przez głowę koszulę. Ubrania zostawił w nieładzie na podłodze. Przez chwilę zdawało mi się, że ruszył w moją stronę. Ale potem zrobił dwa ciche kroki w stronę okna i uniósł kołdrę Siggi.

Wtedy pojęłam, co Rósa miała na myśli, gdy nazwała nas jego kurwami. Cała zeszywniałam z wysiłku, żeby powstrzymać się od krzyku, żeby nie dać po sobie niczego poznać, kiedy usłyszałam, jak Natan szepcze coś, a Sigga odpowiada. Zagryzłam dłoń. Kokon mdłości owinął mi żołądek. Serce mnie dławilo, przestało bić.

Słyszałam, jak Natan postępuje, poruszając się w niej. Zamknęłam oczy i wstrzymałam oddech, ponieważ wiedziałam, że gdybym wypuściła powietrze z płuc, z gardła wyrwałby mi się skowyt. Wbiłam paznokcie w skórę ramienia, poczułam wilgoć własnej krwi.

Czekałam, aż Natan wygramolił się z łóżka Siggi i położył się w swoim posłaniu. Czekałam, aż oddech Siggi uspokoił się i wyrównał, a Natan zaczął

chrapać. Odczekałam, aż byłam pewna, że śpią, a potem usiadłam w pościeli. Ściśnięte gardło dławił mi ból... ból i coś jeszcze, coś twardego, hardego i czarnego jak smoła. Nie pozwoliłam sobie na płacz. Zalała mnie złość tak gwałtowna, że zesztyniały mi plecy i ręce. Mogłam po cichu zebrać swoje rzeczy i odejść, nim zaświta, ale dokąd bym poszła? Znałam tylko dolinę Vatnsdalur; wiedziałam, gdzie znaczą ją strupy skał, znałam tamte ośnieżone góry i jezioro z kolonią łabędzi, i pomarszczoną trawę nad brzegami rzeki. I kruki, nieustannie krążące na niebie kruki. Ale Illugastadir było inne. Nie miałam tu znajomych. Nie znałam tej krainy. Tylko skaliste cyple wrzynające się w wodę i psujące idealny pocałunek morza z niebem.

    Nie miałam dokąd pójść.

## Rozdział 11

*Dnia 19 kwietnia przed sądem stanął znowu Bjarni Sigurdsson, brat Fridrika z Katadalur, dziesięcioletni chłopiec, który wygląda na bystrego i rozgarniętego. Po długim przesłuchaniu świadek wciąż nie ujawnił żadnych informacji, aż wreszcie powiedział, że zeszłej jesieni Fridrik poderznął gardła dwóm mlecznym owcom i jednemu jagnięciu, gdy jego ojca nie było w domu. Bjarni Sigurdsson zapamiętał, że owce te były własnością Natana. Jego matka, zeznał, długo napominała go, że gdyby o to pytano, ma twierdzić, że niczego nie wie, i zabroniła mu mówić na ten temat, jeśli dojdzie do procesu. Atoli bez względu na to, czy próbowaliśmy oddziaływać na niego stanowczością, czy łagodnością, ze świadka nie udało się wydobyć żadnych dalszych wiadomości.*

anonimowy urzędnik, 1828

Margrét obudziło łkanie. Wyteńczyła w ciemności wzrok, spoglądając w stronę, gdzie leżały córki. Obie spały.

Agnes.

Margrét położyła głowę na poduszce obok męża i zaczęła słuchać. Tak, morderczyni płakała; był to cichy, ściśnięty jęk, od którego krajało się serce. Czy powinna do niej podejść? Może to podstęp. Szkoda, że w mroku nic nie widać.

Płacz ucichł, a potem znów rozbrzmiał. Agnes płakała jak dziecko.

Margrét ostrożnie wstała z łóżka i po omacku ruszyła do drzwi, a potem skręciła w korytarz i poszła w stronę żarzących się węgielków w kuchennym palenisku. Wzięła z kinkietu świeczkę i zapaliła ją, przystawiając knot

do żaru. Przed wyjściem z ciepłej kuchni zatrzymała się na chwilę. Wciąż słyszała żalosne łkanie. Zdała sobie sprawę, że boi się, chociaż nie wie dlaczego.

Światło ze świeczki migotało, rzucając blask na ściany i belki sufitu badstofy. Wszyscy spali z głowami zakrytymi pościelą, by chronić się przed grudniowym mrozem, od którego szron osiadał na ścianach. Margrét osłoniła płomień świeczki, żeby blask nie padał na córki, i powoli podeszła do Agnes. Więźniarka spała, lecz jej oczy poruszały się gwałtownie pod powiekami, a koce zostały zepchnięte aż w nogi łóżka. Drżała z łokciami przyciśniętymi do boków, dłońmi zaciśniętymi, jakby szykowała się do walki na pięści.

– Agnes?

Więźniarka jęknęła. Margrét wolną ręką sięgnęła po koc i ostrożnie zaczęła nakrywać nim obnażone ciało, lecz gdy dotarła do poziomu piersi, Agnes chwyciła ją za nadgarstek.

– Co robisz? – Głos morderczyni był tak nieprzyjazny jak uścisk jej zimnych palców. Płomień świeczki zapęłgał.

– Nic. Drżałaś.

– Obserwowałaś mnie.

Margrét zakaszła i poczuła smak krwi. Przełknęła ją, wahając się, czy odstawić świeczkę.

– Obudziłaś mnie. Płakałaś.

Agnes wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym opuściła rękę. Otarła łzy z policzków.

– Płakałam?

Margrét pokiwała głową.

– Obudziłaś mnie.

– To przez sen.

Agnes wpatrywała się w belki dachu.

Margrét znów zakaszła, lecz tym razem nie zdążyła zakryć dłonią ust. Obie kobiety spuściły wzrok na koc i zobaczyły kropelkę krwi.

– Chcesz usiąść? – Agnes podciągnęła nogi, by Margrét mogła przysiąść na brzegu łóżka. – Dwie umierające kobiety – mruknęła.

Margrét w innych okolicznościach by się obraziła, lecz przecież Agnes miała rację.

– Jón martwi się o mnie – przyznała. – Nic nie mówi, ale kiedy jest się małżeństwem tyle lat, nie ma potrzeby wiele mówić.

– Powiedziałaś mu o galaretkie z porostów?

– Wie, że znasz się na ziołach. Słyszał o Róslín i jej dziecku.

Agnes się zamyśliła.

– Nie ma nic przeciwko?

Margrét pokręciła głową.

– Mój Jón nie jest złym człowiekiem. – Spuściła wzrok na podłogę. – Bardzo stara się wieść ciche, chrześcijańskie życie. Jak my wszyscy. Nie życzyłby nic złego żywej duszy, gdyby nie... – Chciała powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymała. – Ma mnóstwo pracy i kłopotów, to wszystko. Będziemy żyć tak długo, jak nam jest pisane.

– Ale zdaje sobie sprawę, że z twoim zdrowiem jest coraz gorzej?

Margrét wzruszyła ramionami, ciężar na płucach rzeczywiście jej dokuczał.

– Co ci się śniło? – zapytała po chwili.

Agnes przykryła się kocem po szyję.

– Katadalur.

– Gospodarstwo Fridrika? I to był koszmar?

Więźniarka zapatrzyła się w plamkę krwi na kocu między nimi.

– Mieszkałam tam w ostatnich dniach przed śmiercią Natana.

– Myślałam, że mieszkałaś w Illugastadir. – Margrét zadrżała, a Agnes podała jej chustę, która wisiała na zagłówku łóżka.

– Mieszkałam w Illugastadir, dopóki Natan mnie nie wyrzucił. Nie miałam gdzie się podziać, więc poszłam do rodziny Fridrika w Katadalur.

– Mówiłaś, że nie byliście przyjaciółmi.

– Bo nie byliśmy. – Agnes podniosła na nią wzrok. – Dlaczego nie



zapytałaś mnie o morderstwa?

Margrét była zaskoczona pytaniem.

– Myślałam, że to sprawa między tobą a wielebny.

Agnes pokręciła głową.

Margrét zaschło w ustach. Spojrzała na śpiącego męża. Chrapał.

– Chciałabyś pójść ze mną do kuchni? – spytała. – Muszę ogrzać sobie kości, bo inaczej nie dożyję świtu.

Gospodyni rozbijała żarzące się węgielki i rozniecała ogień, dorzucając kawałki suszonego łąjna. Zakasłała od dymu.

– Chce ci się pić?

Więźniarka pokiwała głową, a Margrét zawiesiła na haku garnuszek mleka. Usiadła na stołku obok Agnes i obie patrzyły, jak płomień zaczynają trawić podpałkę.

– Moja matka nigdy nie dawała palenisku w domu wygasnąć – powiedziała Margrét. – Uważała, że dopóki w domu pali się światło, diabeł nie może wejść do środka. Nawet w godzinę duchów.

Agnes milczała.

– Też w to wierzysz? – spytała w końcu.

Margrét wyciągnęła rękę nad palenisko.

– Myślę, że przydaje się, żeby człowiekowi było ciepło.

Agnes pokiwała głową. Ogień trzaskał i płonął coraz większym płomieniem.

– Kiedy pracowałam w Gafl, ogień zgasł w zimie. Z mojej winy. Byliśmy przysypani śniegiem, dzieci głodowały, a ja byłam tak zajęta próbami nakarmienia najmłodszego serwatką z nasączonej szmatki, że zapomniałam zajrzeć do kuchni. Przez trzy dni byliśmy bez światła i ognia, zanim pogoda poprawiła się na tyle, że mogliśmy zwrócić się o pomoc do sąsiadów. Myślałam, że znajdą nas martwych i sinych.

– Zdarza się – przyznała Margrét. – Umrzeć można na różne sposoby.

Obie umilkły. Mleko zaczęło szumieć i gospodyni wstała, żeby je nalać do kubków. Jeden dała Agnes, a potem znów usiadła.

– Na szczęście wasza rodzina zrobiła dużo zapasów – zauważyła Agnes.  
– Mieliśmy w tym roku trochę dodatkowych pieniędzy – odrzekła Margrét.  
– Komisarz okręgowy Blöndal przyznał nam wynagrodzenie. – Pożałowała swoich słów, gdy tylko je wypowiedziała, ale Agnes nawet nie drgnęła.

– Nie pomyślałam o tym – powiedziała wreszcie.  
– Nie jest tego dużo – dodała Margrét.  
– No tak, bo nie jestem dużo warta – stwierdziła Agnes z goryczą.  
Margrét napiła się i poczuła, jak gorące mleko wypełnia jej żołądek, a ciepło się rozchodzi na całe ciało.

– Wielebny ostatnio nie przyjeżdża – odezwała się, zmieniając temat.  
– To prawda.

Agnes miała twarz napuchniętą od snu i gospodyni nagle poczuła odruch, by objąć ją ramieniem. To dlatego, że wygląda jak dziecko, pomyślała. Zaciśnęła dłoń mocniej na kubku.

– Nie chciałam cię budzić – powiedziała Agnes.  
Margrét wzruszyła ramionami.  
– Często się w nocy budzę. Kiedy córki były małe, często budziłam się, żeby sprawdzić, czy wciąż oddychają.

– I dlatego teraz nie śpisz?  
Margrét spojrzała na nią ostro.  
– Nie. Wcale nie dlatego.  
– Przykro mi, że się o nie bałaś – wymamrotała Agnes. – To znaczy, przeze mnie.

– Matka zawsze boi się o swoje dzieci.  
– Nigdy nie byłam matką.  
– Nie, ale miałaś matkę.  
Agnes pokręciła głową.  
– Zostawiła mnie, kiedy byłam mała.

- Gdziekolwiek jest, myśli o tobie.
- Nie wydaje mi się.
- Matka zawsze myśli o swoich dzieciach – powtórzyła Margrét. – Twoja matka, matka Fridrika, matka Siggí. Wszystkie matki.
- Matka Siggí nie żyje. A matka Fridrika ma zostać zesłana do Kopenhagi.
- Dlaczego?
- Agnes spojrzała na nią z wahaniem.
- Thórbjörg domyślała się, co Fridrik planował. Wiedziała też o ukradzionych przez niego owcach. Skłamała przed sądem.
- Rozumiem. – Margrét upiła łyk mleka.
- Thórbjörg uratowała mi życie – dodała po chwili Agnes. – Znalazła mnie przed swoimi drzwiami, kiedy Natan wyrzucił mnie z domu. Umarłabym, gdyby nie pozwoliła mi u siebie zostać.
- Margrét pokiwała głową.
- Nikt nie jest zły do szpiku kości.
- Kiedy Thórbjörg była młoda i pracowała jako służąca, podpaliła łóżko pani domu i zarąbała psa swojego pana siekierą. Podniesiono to podczas procesu.
- Dobry Boże...
- Nie pomogło to mojej sprawie – dodała prędko Agnes. – Powiedziała, że się przyjaźnimy. Powiedziała, że ja i Natan się kłóciliśmy, a ja pytałam ją o radę.
- A było inaczej?
- Nigdy nie namawiała mnie, żebym spaliła Illugastadir, jak twierdzono. Nie poszłam do Katadalur, żeby prosić Thórbjörg o pomoc w przestępstwie ani zmówić się z Fridrikiem. Przedstawili to tak, jakbym trafiła do Katadalur w tym celu. Żeby zaplanować morderstwo. – Agnes napiła się mleka, krztusząc się, gdy przełykała. – Poszłam do Katadalur, bo Natan nie pozwolił mi dłużej zostać w Illugastadir i nie miałam dokąd pójść.
- Margrét wpatrywała się w ogień i wyobrażała sobie, jak Agnes przekrada

się w Kornsie nocą do kuchni, zapala pochodnię i puszcza dom z dymem, podczas gdy wszyscy pozostali śpią. Czy wyczułaby dym i obudziła się w porę?

– To Fridrik spalił Illugastadir, prawda, Agnes? – Margrét starała się zapanować nad głosem, żeby nie ujawnić swoich obaw.

– Podczas procesu zeznałam, że ogień rozniósł się z kuchni – powiedziała stanowczo Agnes. – Natan nastawił wywar z ziół. Od tego zaczął się pożar.

Margrét przez chwilę nic nie mówiła.

– Słyszałam, że to był Fridrik.

– Nie – odrzekła Agnes.

Margrét znów zakaszłała i splunęła do paleniska. Wilgoć zasyczała i zakapiała na rozżarzonych węglach.

– Jeżeli chronisz swojego przyjaciela...

– Fridrik nie jest moim przyjacielem! – przerwała jej Agnes i odstawiła mleko na podłogę.

– Myślałam, że wy dwoje spędziliście razem mnóstwo czasu.

– Nie. Ale w Illugastadir... – Agnes westchnęła. – Natana często nie było w domu. Samotność... – Przez chwilę szukała odpowiednich słów. –

Samotność kąsała tam na każdym kroku. Szukałam jakiegokolwiek towarzystwa.

– Więc Fridrik odwiedzał Illugastadir.

Więźniarka przytaknęła.

– To niedaleko od Katadalur. Fridrik miał romansik z Siggą.

– Słyszałam o Sigdze. – Margrét wstała i dołożyła opału do ognia.

– Ludzie ją lubią. Jest ładna.

– I nierozgarnięta, jak słyszałam.

Agnes popatrzyła na nią z uwagą.

– Fridrik był innego zdania. Pod nieobecność Natana przyjeżdżał z Katadalur w jakiejś drobnej sprawie, z rzekomą wiadomością od jego rodziców albo pastora, a później udawał głodnego lub spragnionego. Sigga

przynosiła mu wtedy trochę mleka albo coś do zjedzenia i gawędzili, a już jesienią często zdarzało mi się zastawać ich, gdy siedzieli na łóżku Siggi i gruchali do siebie jak gołąbki.

– Zimą trudno znieść samotność – przyznała Margrét.

Agnes pokiwała głową.

– W Illugastadir było gorzej. To nie to co tutaj, w dolinie. Czas dłużył się niemiłosiernie, a nie miałam żadnych znajomych ani sąsiadów. Byli tylko Sigga i Daniel, parobek z Geitaskard, którego Natan zatrudnił... no i czasem Fridrik.

– Mrok może sprawić, że człowiekowi szczególnie doskwiera samotność – powiedziała Margrét w zamyśleniu. – Niedobrze na ludzi wpływa długie przebywanie w odosobnieniu. – Zaproponowała więźniarce dolewkę mleka.

– Natan nigdy nie lubił zimy. Przez całe życie nie przyzwyczał się do ciemności.

– W takim razie dziwię się, że kupił Illugastadir, a nie jakieś inne gospodarstwo, gdzie bliżej ludzi.

– Często wyjeżdżał – przyznała Agnes. – Głównie do Geitaskard. Mówił, że do pracy, ale myślę, że raczej po to, by znaleźć się wśród przyjaciół. Albo żeby znaleźć się z dala ode mnie – dodała. – Byłoby lepiej, gdyby zostawał w domu. Potrzebowałyśmy go tam. Ale jego podróże trwały coraz dłużej, a kiedy wreszcie wracał, nie był zadowolony, że nas widzi. Nie cieszył się bodaj nawet z tego, że widzi Thóranę, własną córkę. Zostawiał ją z nami.

– W takim razie nie powinien mieć żalu, że przyjmujecie gości, gdy zostawałyście tylko we trzy.

Agnes uśmiechnęła się cierpko.

– Przeszkadzali mu nie tyle goście, ile to, że gościem był Fridrik.

– Rozumiem.

– Znajomość Fridrika i Natana nawet w najlepszych czasach nie układała się zbyt dobrze. A potem jeszcze się pokłócili. To było, kiedy w Hindisvík morze wyrzuciło na brzeg wieloryba, tamtej jesieni.

– Pamiętam. Kupiliśmy tranu od ludzi z północy. Zjechali się tam, żeby skorzystać z takiej okazji.

– To był dla nas uśmiech losu. W żniwa bardzo padało i baliśmy się, że siano zgnije albo się zapali, a przez zimę wszystkie zwierzęta nam wyzdychają i do wiosny przetrwamy chudzi jak szczapy. Natan był akurat w domu, kiedy usłyszał o wielorybie, i pojechał kupić mięsa od właścicieli tamtego fragmentu wybrzeża.

Nie było go cały dzień, wrócił dopiero wieczorem. Kiedy witałam go w drzwiach, był cały w błocie. Miał je wszędzie: we włosach, na twarzy, na całym ubraniu. Powiedział, że odcinał z wieloryba swój kawałek mięsa, już kupiony i zapłacony, kiedy zjawił się Fridrik i zaczął wybierać sobie kawałki spośród odciętych. Natan powiedział mu, żeby wziął nóż i zapłacił za mięso z własnej kieszeni, a Fridrik pchnął go na ziemię i zaatakował. Później rodzina ze Stapar, gospodarstwa sąsiadującego z Illugastadir, opowiedziała mi inną historię. Podobno Natan nakrzyczał na Fridrika i pchnął go w plecy, a Fridrik się odwinął, przewrócił go, pobił i przeciągnął przez błoto. Ale wtedy wiedziałam tylko, że Natan wrócił do domu utyłany błotem i w podłym nastroju.

– Musiało to być dla ciebie przykre – zauważyła półgłosem Margrét.

– Sigga przeżyła to gorzej. Kiedy peklowałam wielorybie mięso, słyszałam, jak Natan myje się przy ogniu, a Sigga próbuje go uspokoić. Natan krzyczał, że Fridrik jest wariatem, że zabije kogoś, zanim skończy dwadzieścia lat. Sigga była zakochana we Fridriku, ale nie ośmieliła się Natanowi zaprzeczyć. Później, gdy położyliśmy się spać, słyszałam, jak płakała.

Więźniarka umilkła. Długo trwała cisza. Margrét nie chciała, by tak zakończyła się ta rozmowa. Nie chciała, by wszystko znów było tak jak dotąd. Ostrożnie dobrała słowa.

– Musiało ci być ciężko w Illugastadir.

– Po wielorybie zrobiło się gorzej. Natan spędzał w domu coraz mniej czasu. A kiedy wreszcie wracał, całymi godzinami powtarzał mi i Sigdze, że

nie płaci nam za nieróbstwo. Wytykał błędy we wszystkim. Masło było za mokre, badstofa brudna, ktoś w jego warsztacie poprzestawiał fiołki. Nieważne, że pod jego nieobecność żadna z nas nie ośmielała się wchodzić do warsztatu. Albo podwórze zostało rozryte, bo przyniosliśmy drewno z plaży, a on zaraz robił nam wyrzuty, że kopałyśmy dołki i szukałyśmy jego pieniędzy. Nikt z nas nie przypuszczał nawet, że gdzieś je zakopał, póki nie zaczął mieć tych pretensji.

Potem sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Natan wracał z południa i po drodze spotkał Fridrika, który szedł właśnie z Illugastadir. Z początku zachowywali się dość spokojnie, ale wkrótce Sigga, Daniel i ja usłyszeliśmy, jak na siebie krzyczą. Natan groził Fridrikowi pobiciem i interwencją komisarza okręgowego, jeżeli jeszcze raz postawi stopę na jego ziemi. Trwało to dłuższą chwilę, a potem Fridrik odszedł do domu.

Natan wściekał się cały wieczór. Wywlókł Siggę na dwór i słyszałam, jak ją oskarżał, że zdradziła jego zaufanie, że go okłamuje. Zagroził, że przepędzi ją na cztery wiatry, i słyszałam, jak Sigga błagała go o zmiłowanie. Nie miała dokąd pójść. Nikt nie zatrudniłby służącej o tej porze roku. Padał śnieg, więc zamarzłaby na śmierć. Ostatecznie Natan przestał krzyczeć i już nie słyszałam, co mówi. Oboje nie wracali do domu przez ponad godzinę, a kiedy wreszcie się zjawili, Sigga miała zaczerwienione oczy i poszła prosto do łóżka. Natan kazał mi wstać i iść za nim.

Było ciemno choć oko wykol. Poprowadził mnie nad brzeg morza i oznajmił, że Fridrik poprosił go o zgodę na ślub z Siggą. Wiedział, że Sigga spotyka się z Fridrikiem za jego plecami, ale nie sądził, że dojdzie aż do tego. Myślał, że tylko flirtują.

Powiedziałam mu, że moim zdaniem to nieszkodliwe zauroczenie dwojga niewinnych młodych ludzi. Wyśmiał mnie i stwierdził, że ani jej, ani jego nie nazwałby niewinnymi. Potem wyjął z kieszeni i pokazał mi trzy srebrne monety. Powiedział, że chłopak zaoferował mu je w zamian za rękę Siggę. Zapytałam, czemu przyjął pieniądze, skoro wydaje się tak stanowczo

przeciwny temu małżeństwu. Natan roześmiał się i powiedział, że tylko głupiec nie przyjmuje pieniędzy, gdy ktoś daje je z własnej i nieprzymuszonej woli. Zapytał mnie, czemu pozwoliłam Sigdze i Fridrikowi się spotykać, mimo że wiedziałam, że jest przeciwny wizytom chłopaka w gospodarstwie pod jego nieobecność. Powiedziałam, że nie lubię Fridrika, ale jestem przyzwyczajona do gospodarstw, gdzie roi się od ludzi, a dni spędzone w prawie pustym Illugastadir niemiłosiernie się dłużą.

Więźniarka wypila ostatni łyk mleka i strząsnęła resztki z kubka w ogień. Węgłe syknęły głośno.

– Teraz już nie zasnę.

Margrét pokiwała głową.

– Ja też. – Zawahała się. – Nie wiedziałam, że Fridrik i Sigga są małżeństwem.

Agnes parsknęła śmiechem.

– Do ślubu nie doszło. Chociaż Fridrik rzeczywiście jej się oświadczył. Wrócił do Illugastadir nazajutrz. Natan pojechał wtedy do Geitaskard. Sigga była przygnębiona i snuła się po gospodarstwie niczym duch, a kiedy zdybałam ją w kuchni i spytałam, co powiedział jej Natan poprzedniego wieczoru, tylko się rozpłakała. Zapytałam, czy wyznała Natanowi, że kocha Fridrika, a ona pokręciła głową. Wtedy powiedziałam, że Fridrik zapłacił Natanowi za jej rękę. To zaskoczyło ją tak bardzo, że przestała płakać. Rozdziawiła usta i wybełkotała, że nie może uwierzyć, że Natan się zgodził. Zabronił jej wychodzić za takiego człowieka. Mówił, że jest za młoda, a poza tym jest jego służącą i pozostanie nią, póki on nie uzna za stosowne jej zwolnić.

Tego samego dnia Fridrik przyjechał do Illugastadir. Daniel powiedział mu, żeby lepiej zawrócił, jeśli chce dożyć lata, ale Fridrik nie posłuchał i zapytał mnie, gdzie jest Sigga. Nie miałam odwagi wejść z nim do domu i zobaczyć, co się stanie, więc poszłam na brzeg i czekałam. No i rzeczywiście, Fridrik wyszedł, trzymając Siggę za rękę, a następnie oznajmił mi i Danielowi, że się



zaręczyli.

– Co wtedy zrobiłaś? – spytała Margrét.

Agnes westchnęła.

– A co można było zrobić? Nalałam wszystkim po kieliszeczku gorzałki. Fridrik uśmiechał się od ucha do ucha, ale Sigga była zdenerwowana. Po kilku kolejkach Daniel zaczął śpiewać narzeczonym piosenki, a ja wymknęłam się na dwór, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, i zeszłam nad brzeg oceanu.

Ogień trząsał w palenisku. Kawałek płonącego łąjna rozpekł się i w górę, ku belkom stropu poleciały iskry.

W końcu Agnes znowu się odezwała.

– Jeździecie nad morze?

Margrét otuliła się mocniej chustą.

– Za młodu jakiś czas pracowałam nad morzem. W pobliżu Langidalur.

– W okolicach Vatnsnes morze jest inne. Czasami w fiordzie jest jak lustro. Czasami chciało się wręcz je polizać. „Szkliste jak oko trupa”, mówił Natan. – Więźniarka przysunęła się bliżej ognia. – Pewnego razu zobaczyłam dwie góry lodowe. Wiatr je szczepił, ocierały się o siebie z chrzęstem. Na obu zebrało się dryfujące drewno. Po pewnym czasie usłyszałam straszliwy huk i drewno buchnęło ogniem.

– To brzmi jak epizod z jakiejś sagi – zauważyła Margrét.

– Było niesamowite. Nie mogłam oderwać od tych gór wzroku. Nawet kiedy się ściemniło, widziałam błyski ognia daleko na morzu.

Obie wpatrywały się w palenisko. Płomienie przygasały teraz, a żar oświetlał twarze kobiet czerwonym blaskiem. Niski jęk na zewnątrz zwiastował początek zimowych wichrów.

†

Tego dnia, gdy Fridrik oświadczył się Sigdze, zaczęło tak padać, że śnieg

zasypałby nawet człowieka na koniu. Fridrik nie mógł wrócić do domu, więc położyłam go spać z Danielem. Po gorzałce spali jak zabici.

Ja nie mogłam spać. Myśli o Natanie i Sigdze drążyły mi mózg niczym robactwo. Wiedziałam, dlaczego Natan nienawidzi Fridrika. Nie dlatego, że chłopak łąsi się na jego bogactwo i pieniądze, chociaż po części na pewno też. Nie, powodem była Sigga. Uznałam, że pragnął Siggi i dlatego przestał pragnąć mnie.

Jednak zasnęłam, a kiedy się obudziłam, badstofa była pusta. Śnieg przestał padać. Świat na zewnątrz był biały, tylko ocean szarzał oleście. Z pola dobiegał jakiś hałas. Wyszłam sprawdzić i ujrzałam Fridrika kopiącego nieżywą owcę. Jego brutalność sprawiła, że skreśliło mnie w żołądku.

– Co ty robisz?! – Mój głos wybrzmiał w nieruchomym powietrzu czysto i mocno. Mimo to Fridrik mnie nie usłyszał. Sapiąc i stękając, wciąż kopał martwe zwierzę. Jego buty rozbryzgiwały krwawy śnieg.

– Fridrik! – zawołałam. – Uspokój się!

Znieruchomiał, otarł rękawem twarz i podnosząc wysoko nogi, ruszył przez zasy w moją stronę. Kiedy się zbliżył, zobaczyłam, że jest wściekły.

– Czemu kopiesz tę owcę?

Przy każdym ciężkim oddechu z jego ust wzbijał się obłok pary.

– Już nie żyła.

– Ale czemu ją kopiesz?

– Co ci do tego? – Fridrik zmrużył oczy i spojrzał na chmury. – Znowu będzie padać. Lepiej, żeby śnieżycą nie zaskoczyła nas na dworze. –

Pociągnął nosem, a potem wytarł go rękawicą. Na wełnie pojawiła się lśniąca smuga.

– Natan cię zabije. – Skinęłam na plamę krwi i brudnego od ziemi śniegu wokół owcy. – Zepsułeś mięso. I skórę.

Fridrik się roześmiał. Chciałam dać mu po twarzy, ale nie mogłam mu nic zrobić, a on zdawał sobie z tego sprawę.

– Ona już nie żyła. Zdechła dziś rano. – Wytarł topniejący płatek krwawego

śniegu z policzka i wymijając mnie, ruszył znowu przez zaspę. – Nie przejmuj się, nada się do jedzenia.

– Zbiłeś mięso na miazgę, zniszczyłeś podroby.

Przewrócił oczami.

– Uważaj, bo się przeziębisz! – zawołał, plecami do mnie.

Chmury zstępowały coraz niżej. Mróz szczypał mi żebra.

Coś się we mnie zmieniło. Wciąż miałam w oczach Fridrika maltretującego ciało owcy. Gwałtowne ruchy kończyn ciemnych na tle śniegu, zderzających się z miękkim, szarym ciałem, aż uniosła się nad nim czerwona mgiełka krwi.

Znów zaczęło padać. Odwróciłam się i śladem Fridrika ruszyłam z powrotem do zagrody. Zobaczyłam, jak na martwej owcy usiadł kruk. Zakrakał żałośnie, a potem wbił dziób w jej wnętrzności. Na czarne pióra sypały się płatki śniegu.

Kiedy weszłam, Fridrik i Sigga siedzieli na jej łóżku i szeptali do siebie. Sigga wyglądała, jakby niedawno płakała.

– Brakuje dwóch owiec – powiedziałam.

– No, jedna nie żyje. Sama widziałaś. – Fridrik ziewnął.

– Nie chodzi o tę, którą kopaleś. Brakuje jeszcze dwóch.

Fridrik uraczył mnie paskudnym uśmiechem i od razu się domyśliłam.

– Zabiłeś je.

Sigga załkała, a Fridrik wstał. Podeszedł i pochylił się nade mną. Cuchnął potem.

– Może zainteresuje cię, że Sigga i ja rozmawialiśmy dziś rano. – Głos załamał mu się ze zdenerwowania. – Natan ją wykorzystywał.

– Wiedziałam o tym – odpowiedziałam spokojnie.

Sigga wybuchnęła płaczem.

– Tak mi przykro, Agnes! Chciałam ci powiedzieć!

Fridrik zaniemówił.

– Wiedziałaś?

– Myślałam, że ona się na to godzi – odrzekłam szorstko.

– Ależ on ją gwałcił! – Zaczął chodzić po izbie. Zauważyłam, że Sigga trzyma w dłoni koszulę nocną z zielonego jedwabiu, prezent od Natana. – Zabiję go!

Przewróciłam oczami.

– Proszę bardzo. To dopiero wszystko zmieni. – Zwróciłam się do Siggi. – Zmuszał cię?

– Oczywiście, że ją zmuszał! – Fridrik znów usiadł obok niej i uderzył pięścią w materac, aż Sigga drgnęła.

– Nie wiem – wyszeptwała.

Przypomniałam sobie noc, gdy słyszałam, jak się w niej poruszał. Noc po falach śmierci. Przyspieszony oddech. Ciche jęczenie. Nie było mowy o żadnej przemocy.

– To wbrew nakazom Boga – orzekł Fridrik.

Mimowolnie parsknęłam śmiechem.

– Nie wydaje mi się, żeby to miało cokolwiek wspólnego z Bogiem. Sigga wyglądała na spanikowaną.

– Agnes, zawiodłam cię?

– Czemu miałabym czuć się zawiedziona? – Mój głos był spokojny jak czasami woda w fiordzie.

Fridrik łypnął gniewnie na koszulę nocną.

– A to skurwiel. Zabiję go.

– Nie chcę jego śmierci – powiedziała Sigga płaczliwie.

Miałam ochotę dać jej w twarz. Roześmiałam się.

– Fridrik nikogo nie zabije.

– Owszem, zabiję. – Znów wstał, zwarł dłonie w mięsiste pięści.

– Nie, nie zabijesz. Zresztą jakie to teraz ma znaczenie? Przecież i tak się z nią żenisz.

Fridrik uśmiechnął się krzywo.

– Nic dziwnego, że kobieta taka jak ty tego nie rozumie.

Nagle zaschło mi w ustach.

– Sigga powiedziała, że Natan zabawiał się także z tobą – mówił dalej. – Tylko że tobie się to bardziej podobało niż jej!

Podeszłam do Siggi. Dziewczyna się skuliła.

– Nie uderzę cię – zapewniłam. Ale mogłam. Chciałam.

Do izby wszedł Daniël. Fridrik umilkł. Trzęsłam się z gniewu. Nienawidziłam Fridrika. Nienawidziłam jego pryszczatej gęby zaczerwienionej od mrozu. Nienawidziłam jego błękitnych oczu i lepkich jasnych rzęs. Nienawidziłam jego wysokiego głosu, smrodu końskiego łajna, który od niego bił, i jego ciągłych odwiedzin.

Daniël pierwszy się odezwał.

– Jedź do domu, Fridrik.

– Zbliża się burza śnieżna.

– To w niej zgiń.

Byłam wdzięczna Danielowi, że jest tu teraz.

– Nigdzie się stąd nie ruszam – oświadczył Fridrik i usiadł znowu obok Siggi, obejmując ją opiekuńczo ramieniem.

– To prawda? – spytał Daniël szeptem. – Natan wchodzi do łóżka wam obu? – Pokręcił głową. – Co za grzesznik.

– Fridrik zabił dwie owce – odszepnęłam.

– Co? Tutaj?

– Myślę, że ostatniej nocy albo wczesnym rankiem zabrał je do Katadalu i tam zabił.

– Natan go zamorduje!

– Nie, jeśli Fridrik zamorduje Natana pierwszy – stwierdziłam. – Chłopak ma wybuchowy temperament.

Daniël przeczesał rękami włosy i spojrzał na parę narzeczonych na łóżku.

– To głupiec i hultaj – westchnął. – Porozmawiam z nim, kiedy ochłonie.

Natan wrócił do Illugastadir trzy dni później. Fridrika wtedy nie było. Nie

wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby był. Tak czy inaczej Natan bynajmniej nie skakał z radości, kiedy dowiedział się, że Sigga i Fridrik się zaręczyli. Sama mu to powiedziałam. Sigga wymknęła się do komórki, gdy usłyszała go na podwórzu.

– Jak tylko zostawiam was same, przytrafia się jakaś katastrofa.

– Trudno mówić o katastrofie. Przyjąłeś od Fridrika pieniądze za jej rękę. Powinieneś być się domyślić, co się stanie.

– Pewnie się z tego cieszysz – mruknął.

– Ja? A co to ma niby wspólnego ze mną?

– Przez całą jesień odgrywałaś rolę ich swatki.

Kiedy rozsiadła konia, wyciągnęłam ręce po uzdę.

– Niczego takiego nie robiłam.

– Przypuszczam, że wszyscy świętowaliście.

– Nie. Sigga nawet nie wydaje się zadowolona.

Uniósł brew.

– Tak?

Pokiwałam głową.

– Fridrik jest szczęśliwy, ale Sigga nie.

Natan pokręcił głową.

– Para głupich smarkaczy. – Ostrożnie wziął z moich rąk uzdę i czaprak i położył je na śniegu. Był poważny. – Agnes, moja Agnes, jestem ci winien przeprosiny. Nie powinienem był cię bić.

Nic nie odpowiedziałam, ale nie oparłam się, gdy wziął mnie za rękę.

– Rozmawiałem z Wormem, który uważa, że byłem ostatnio roztargniony i podrażniony. Od zbyt długich podróży w tej wilgoci. Te koszmary senne...

– Nie dokończył. – Wszyscy zachowywaliśmy się źle w stosunku do siebie. Nie byłem sobą.

Puścił moją dłoń, po czym podniósł uzdę i czaprak, podał mi.

– Proszę. Odłóż to, a później zobaczymy się w domu. – Odwróciłam się, by odejść, ale mnie nie puścił. – Agnes – powiedział łagodnie. – Cieszę się, że

cię widzę.

Tamtej nocy drżeliśmy oboje od tego samego pożądania, które ogarniało nas dawniej. Kiedy zaś ocknęłam się w zimowym mroku, moje ciało oblał rumieniec szczęścia, bo Natan spał przy moim boku. Nie wiem, czy Sigga albo Daniël obudzili się i zobaczyli nas razem; żadne nic nie powiedziało. Zdjęłam pościel z jego łóżka i położyłam ją w nogach swojego.

†

Margrét wróciła z mleczarni z następnym garnuszkiem mleka. Za ścianami chaty wył jednostajnie wiatr.

Agnes pogrzebaczem trąciła rozżarzone węgle.

– Dołożyć torfu albo łajna? – spytała.

Margrét wskazała palcem łajno.

– Dodaj. Niech ogień się pali, póki tu siedzimy.

– Na czym skończyłam?

– Mówiłaś, że Fridrik oświadczył się Sigdze. – Margrét ostrożnie dolała mleka do kociołka. Zasyczało w zetknięciu z rozgrzanym metalem.

– Tak, Sigga przeraziła się, kiedy Natan wrócił. Znalazł ją ukrytą w stodole. Później powiedziała mi, że przyznał się do tego, że zachowywał się nierozsądnie i dał się zaślepić urazami, które żywił do Fridrika. W końcu jednak udzielił jej błogosławieństwa i stwierdził, że jeśli chce wyjść za chłopca bez dobrego imienia i grosza przy duszy, to droga wolna. Sam powiedział mi, że nie zamierza rozdzielać dwóch bawiących się szczeniąt.

Może zdał sobie sprawę z tego, że gdy Sigga wyjdzie za Fridrika, nie będzie musiał już oglądać chłopaka na oczy. Nie będzie musiał martwić się o swoje ukryte pieniądze.

Dni Julu minęły jak z bicza trząśł, a my właściwie w żaden sposób ich nie obchodziliśmy. Natan odesłał Daniëla do Geitaskard i myślałam, że będzie jak dawniej. Chciałam posprzątać chatę i przygotować tradycyjną płaszczkę

na świętego Torlaka, ale od zaręczyn z Fridrikiem Sigga straciła chęć do rozmów ze mną. Stała się humorzasta, zaniedbywała pracę i ciągle wyglądała przez okno. Drżała z zaskoczenia, kiedy ktoś się do niej odzywał. Unikała patrzenia prosto w oczy. Natan powiedział jej, że może zaprosić Fridrika do Illugastadir na gorzałkę z okazji Julu, ale chłopak nie przyjechał. Może Sigga nie wierzyła w dobrą wolę Natana wobec Fridrika. Wydaje mi się, że wołała, aby ci dwaj się nie spotykali.

†

Pewnej nocy postanowiłam mu powiedzieć.

– Natanie, wiem, że sypiałeś z Sigga.

Drzemał już, ale na te słowa otworzył oczy.

– Wiem o tym – powiedziałam – i wybaczam ci.

Roześmiał się.

– Wybaczasz mi?

W ciemności wyciągnęłam do niego rękę.

– Nie mówię o tym po to, żeby się kłócić. Ale chcę, byś wiedział, że wiem.

Jego palce leżały w mojej dłoni niczym balast. Zastanawiał się.

– Wiedziałem, że nas widziałaś.

Te słowa uderzyły mnie niczym pięść prosto w brzuch. Otworzyłam usta i zamknęłam je bezgłośnie. Wstałam po kaganek. Nie mogłam rozmawiać z Natanem i nie widzieć twarzy. Nie ufałam jego słowom w ciemności.

Jego naga skóra błysnęła w świetle kaganka. Zerknął w stronę Sigg, by sprawdzić, czy śpi.

– Natanie... – Mój głos brzmiał staro. Spuściłam wzrok i ujrzałam siebie nagą, i po raz pierwszy odgadłam, jak on mnie widział. – Bawiłeś się mną.

Oślonił dłonią oczy.

– Zgaś światło, Agnes.

Chwyciłam się słupka łóżka, żeby nie upaść.



– Jesteś okrutny.  
– Nie chcę o tym rozmawiać.  
– Ani przez chwilę nie zamierzałeś dawać mi posady gospodyni, prawda?  
– Zgaś światło i śpij. Twoje oczy wyglądają jak dziurki od szczyń w śniegu.  
Odczekałam, aż byłam pewna, że się nie rozplaczę, kiedy spróbuję coś powiedzieć.

– Skąd wiedziałeś, że wiem?

Uśmiechnął się tylko i milczał.

– Kochasz mnie?

– Nie wygłupiaj się.

– Odpowiedz.

Sięgnął po kaganek.

– Zgaś to!

– Natanie. – Błagałam go. Jęk w moim głosie mnie przeraził.

– Czy zaprosiłbym cię tutaj, gdybym nie chciał, żebyś tu była?

– Owszem, jako służąca.

– Jesteś kimś więcej niż służącą, Agnes.

– Doprawdy?

– Zgaś światło.

– Nie! – Wyrwałam mu kaganek z ręki. – Nie możesz traktować mnie w ten sposób!

Oczy mu błysnęły.

– Jesteś upierdliwa, Agnes.

Wybuchnęłam.

– Upierdliwa?! Idź do diabła! Zawsze pozwalałam ci robić, co chcesz! Czy powstrzymuję cię, kiedy ciągle dokąś wyjeżdżasz? Czy powstrzymuję cię, kiedy myślisz, że zasnąłam, i gramolisz się na Siggę w sąsiednim łóżku? Ona ma piętnaście lat! Ty pierdolony sukinsynu!

Wsparł się na łokciach.

– Skąd przypuszczenie, że czekam, aż zaśniesz?

Na jego twarzy malowała się pogarda i rozbawienie. Spadł na mnie ciężar rozpacz, przygiął mnie i zmienił na zawsze.

– Nienawidzę cię! – Słowa wydały się głupie, dziecinne.

– A myślisz, że ja cię Kocham? – Natan pokręcił głową. – Ciebie?! – Zmrużył oczy i wstał, jego oddech był gorący na mojej twarzy. – Jesteś tanią dziwką, Agnes. Pomyliłem się co do ciebie.

– Jestem tanią dziwką, bo taką mnie uczyniłeś!

– Tak, proszę, nie krępuj się. Ty jesteś święta i czysta, zawinili inni.

– Nie, ty jesteś winny!

– Wybacz, myślałem, że tego chcesz. – Chwycił mnie i brutalnie przyciągnął do siebie. – Myślałem, że chciałaś się wydostać z doliny. Ale ty pragniesz tylko tego, czego mieć nie możesz.

– Pragnęłam ciebie! Chciałam się wydostać z doliny, żeby być z tobą. – Mdlilo mnie ze złości. – Nie mogę tutaj wytrzymać.

– To idź sobie precz! – Zrobił krok w tył. – Wynocha! Mam przez ciebie same kłopoty! – Zaczął mnie wypychać z badstofy. Sigga usiadła na łóżku i patrzyła na nas okrągłymi oczami. Thóranna się rozplakała.

– Puszczaj mnie!

– Nienawidzisz mnie? Nie możesz tu wytrzymać? Dobrze! Tam jest wyjście.

Mimo że drobnej budowy ciała, był silny. Powlókł mnie korytarzem i wypchnął za drzwi. Potknęłam się o próg i runęłam jak długa w śnieg, zupełnie naga. Zanim zdążyłam dźwignąć się na kolana, zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Było ciemno i sypał śnieg. Od gniewu i rozpacz kręciło mi się w głowie. Miałam ochotę walić pięściami w drzwi, podbiec do okna i zawołać Sigge, żeby wpuściła mnie z powrotem do domu, lecz chciałam również ukarać Natana. Skuliłam się, objęłam nagimi ramionami i zaczęłam się zastanawiać, dokąd pójść. Mróz kłuł moją skórę. Pomyślałam o tym, żeby się zabić: zejść na brzeg i zanurzyć się w lodowatej wodzie. Zimno by mnie zabiło, nie

musiałabym się topić. Wyobraziłam sobie Natana, który znajduje mnie martwą, wyrzuconą przez fale na brzeg razem z wodorostami.

Poszłam do obory.

Było za zimno, żeby zasnąć. Przycupnęłam obok krowy i przytuliłam się naga do jej ciepłego ciała, a potem okryłam się czaprakiem. Wcisnęłam zmarznięte palce stóp w placek łąjna, żeby je ogrzać.

W pewnym momencie, w środku nocy, ktoś wszedł do obory.

– Natan? – zapytałam słabym, żalonym głosem.

To była Sigga. Przyniosła mi ubrania i buty. Oczy miała spuchnięte od płaczu.

– Nie chce cię wpuścić z powrotem – powiedziała.

Ubrałam się powoli, zgrabiłymi od zimna palcami.

– A jeśli tutaj umrę?

Odwróciła się, żeby wyjść, ale chwyciłam ją za ramię.

– Spróbuj przemówić mu do rozsądku, Siggo. Tym razem naprawdę zwariował.

Oczy zaszczyły jej łzami.

– Mam dość życia tutaj – wyszeptała.

Obudziłam się nazajutrz rano i przez kilka chwil nie wiedziałam, gdzie jestem. Potem przypomniałam sobie, co się stało w nocy, i dzika złość ścisnęła mi żołądek. Przytuliłam się do krowy, rozgrzewając sobie nos i palce, i zaczęłam się zastanawiać, co robić. Chciałam odejść, zanim Natan zjawi się, żeby nakarmić bydło.

†

Tóti obudził się w ciemnej badstofie i zobaczył ojca, który siedział w nogach łóżka, oparty plecami o ścianę. Jego posiwiała głowa spoczywała na piersi i kiwała się na boki. Ojciec spał.

– Pabbi? – powiedział Tóti głosem słabym jak szept. Mimo to gardło paliło go z wysiłku.

Spróbował trącić ojca stopą, ale ręce i nogi miał jak z ołowiu.

– Pabbi?

Wielebny Jón poruszył się i nagle otworzył oczy.

– Synu! – Przygładził brodę. – Jesteś przytomny. Bogu dzięki.

Tóti spróbował unieść ramię i zdał sobie sprawę, że ruchy krępują mu koce, którymi jest owinięty.

– Miałeś gorączkę – wyjaśnił ojciec. – Trzeba było ją wypocić. – Przyłożył szorstką dłoń do czoła syna.

– Muszę jechać do Kornsy – wymamrotał Tóti. Miał sucho w ustach. – Do Agnes.

Ojciec pokręcił głową.

– To troska o nią doprowadziła cię do tego stanu.

Tóti wpadł w popłoch.

– Zapomniałem, jaki mamy miesiąc.

– Grudzień. – Wielebny Jón łagodnie pchnął syna z powrotem na poduszkę.

– Nie poświęcisz jej ani chwili, póki Bóg nie wróci ci zdrowia.

– Ale ona nikogo nie ma. – Tóti znów spróbował się podnieść. Mięśnie miał tak słabe, że ledwo reagowały.

– I nie bez powodu. – Ojciec przytrzymał go, nie dając wstać. – Ona nie jest warta czasu, który jej poświęcasz.

†

Margrét milczała przez chwilę. Mleko ostygło jej w kubku.

– Rzucił cię w śnieg?

Więźniarka potaknęła, patrząc na nią uważnie.

Margrét pokręciła głową.

– Mogłaś zamarznąć na śmierć.

– Był bardzo wzburzony, postradał rozum. – Agnes poprawiła chustę na ramionach. – Chciał mieć Siggę dla siebie. I wreszcie dotarło do niego, że wolała Fridrika.

Margrét pociągnęła nosem i pogrzebaczem trąciła rozżarzony węgielek, przesuując go do ściany paleniska.

– Może i tak. – Zerknęła na Agnes, która wpatrywała się w ogień. – Mów dalej – zachęciła ściszym głosem.

Agnes westchnęła i opuściła rękę.

– Poszłam do rodzinnego domu Fridrika w Katadalur. Nie byłam tam wcześniej, ale wiedziałam, gdzie się znajduje, a pogoda na tyle się poprawiła, że mogłam pokonać drogę na piechotę i przeżyć. Zajęło mi to jednak wiele godzin, a kiedy zeszłam w dolinę, gdzie stoi Katadalur, byłam półprzytomna ze zmęczenia. Matka Fridrika znalazła mnie na kolanach przed progiem domu.

Katadalur to okropne miejsce. Wszystko krzywe i zrujnowane, dach grozi zawaleniem, wnętrze chaty wygląda nie mniej żałośnie. Ściany w kuchni są czarne od dymu, a badstofa jest naprawdę ponura i uboga. Kiedy weszłam, były tam dzieci, wszystko rodzeństwo Fridrika, które gnieździły się na jednym łóżku, żeby było im cieplej. Fridrik siedział obok ojca i stryja na innym łóżku. Ostrzyli noże.

Fridrik powitał mnie słowami: „Co zrobił tym razem?”. A potem zapytał, czy Natan postanowił ożenić się z Siggą.

Pokręciłam głową i wyjaśniłam, że wyrzucił mnie z domu i spędziłam noc w oborze. Fridrik się tym nie przejął. Zapytał, czym sobie na to zasłużyłam, więc powiedziałam, że pokłóciłam się z Natanem, bo nie mogłam się zgodzić na to, jak traktował Siggę.

Matka Fridrika w milczeniu słuchała naszej rozmowy, a wtedy chwyciła Fridrika za ramię i powiedziała: „On chce pozbawić cię żony”.

Zauważyłam, że Fridrik zerknął na nóż, który leżał na łóżku, i się przestraszyłam.

Poradziłam mu, by porozmawiał z pastorem w Tjörn. Albo żeby udali się do urzędnika okręgowego. Ale Thórbjörg, matka Fridrika, znów się wtrąciła. Wstała i chwyciła Fridrika za barki, zajrzała mu w oczy i powiedziała: „Nie będziesz miał Siggí, póki Natan żyje”. Później wszyscy usiedli, a kiedy spałam, musieli ustalić, że zabiją Natana.

Margrét siedziała bez ruchu. Ogień w palenisku wygasł, tylko węgle żarzyły się jeszcze w popiele. Wiatr na dworze nie przestawał wyć. Margrét powoli odetchnęła. Była zmęczona.

– Może powinniśmy wrócić do łóżek.

Agnes odwróciła się do niej.

– Nie chcesz posłuchać reszty?

## Rozdział 12

*Tymczasem w Laugar, w Sælingsdale, Gudrún wstała o pierwszym brzasku. Poszła do izby, gdzie spali jej bracia, i potrząsnęła Ospakiem. Ospak i jego bracia od razu się obudzili; gdy zaś zobaczył, że to jego siostra, zapytał ją, czego chce, że wstała tak wcześnie rano. Gudrún odparła, że chce się dowiedzieć, co zamierzają tego dnia czynić. Ospak rzekł, że dzień spędzą w spokoju na odpoczynku, „bo nie ma akurat teraz niczego do zrobienia”.*

*Gudrún powiedziała przeto:*

*– Temperament macie w sam raz, jakbyście byli córkami chłopskimi. Nie robicie niczego w żadnej sprawie, czy byłoby to coś dobrego, czy złego. Mimo despektu i dyshonoru, jaki okazał wam Kjartan, śpicie sobie w najlepsze, nawet gdy on przejeżdża pod waszymi drzwiami w towarzystwie zaledwie dwóch ludzi. Najwyraźniej płonna to nadzieja, że kiedykolwiek ośmielicie się najechać dom Kjartana, skoro nie macie odwagi zmierzyć się z nim teraz, gdy podróżuje samotrzeć. Siedzicie w domu i udajecie mężczyzn, zawsze kręci się was tutaj zbyt wielu.*

*Rzekł na to Ospak, że za dużo robi wokół całej sprawy szumu, przyznał jednak, że trudno z nią dyskutować. Wyskoczył prędko z łóżka i się ubrał, podobnie uczynili też inni bracia co do jednego, później zaś jęli przygotowywać zasadzkę na Kjartana.*

*Laxdæla saga*

Kiedy Fridrik i ja przybyliśmy do Illugastadir, Natana nie było w domu. Nie jestem pewna, co by się stało, gdyby był. Musieliśmy pukać dobrych kilka minut, zanim Sigga otworzyła drzwi. Na biodrze trzymała córkę

Natana.

– Kazał mi odmówić, gdybyś wróciła i chciała zostać – oznajmiła, ale wpuściła nas do środka i poczęstowała kawą.

– Gdzie jest Natan? – zapytałam.

– Przyjechał posłaniec z Geitaskard. Worm źle się czuje. Natan wyjechał dziś wczesnym rankiem.

– W jakim jest nastroju?

Sigga spojrzała na mnie znacząco.

– Nadal zły.

– Znowu cię zmuszał? – Fridrik szperał w rzeczach Natana na półce przy łóżku. Sigga przyglądała mu się z niepokojem, gdy podnosił kolejne pudełka i nimi potrząsał.

– Czego szukasz?

– Zapłaty – mruknął Fridrik. Wyrżał przez okno na padający śnieg. – Założę się, że zakopał wszystko na podwórzu.

Utkwiłam wzrok w Sigdze.

– Mówił coś o mnie?

Pokręciła głową.

Uśmiechnęłam się ponuro.

– Niczego, co chciałabyś mi powtórzyć twarzą w twarz.

Fridrik otrzepał ramiona ze śniegu i usiadł, sadzając sobie Sigge na kolanach.

– Mój kwiatuszku – powiedział. – Żonko moja.

Oparła się jego pieścotom.

– Nie nazywaj mnie tak.

Fridrik zrobił się czerwony.

– Czemu? Jesteś moja.

– Natan powiedział mi, że zmienił zdanie. Nie zgodzi się na nasze małżeństwo. – Załkała. – Nigdy.

– Cholerny Natan!



Mimo posępnej atmosfery trudno było nie uśmiechnąć się, słysząc dramatyczny okrzyk Fridrika.

– Na pewno jeszcze się z tym pogodzi.

Sigga wytarła oczy i pokręciła głową.

– Mówi, że jeżeli ktoś się ze mną ożeni, to tylko on.

Ścisnęło mnie w żołądku i zauważyłam, że Fridrik pobladł.

– Co?!

– Tak powiedział – pożałowała się Sigga, pociągając nosem.

– I co mu odpowiedziałas? – Mój głos był słaby i drżący.

Znowu wybuchnęła płaczem.

– Nie zgodziłaś się chyba? – Fridrik wstał i objął ją ramieniem, a Sigga wtuliła twarz w jego szyję. Zawyla.

Następne dwa dni spędziliśmy we troje w Illugastadir, starając się zaplanować odejście. Sigga uważała, że udałoby się jej wrócić do Stóra-Borg, a ja zaoferowałam, że zabiorę ją ze sobą do doliny, gdy tylko pogoda pozwoli. Fridrik proponował, bym poszła do Àsbjarnarstadir i zapytała, czy przyjmą mnie do pracy do końca zimy. Może się zgodzą, bo tamtejszy gospodarz nie lubi Natana.

Rozmawialiśmy o tych sprawach pewnego popołudnia, kiedy zauważyliśmy dwóch jeźdźców schodzących szlakiem z gór. Plany ucieczki pochłonęły nas tak bardzo, że nie spostrzeżliśmy ich wcześniej. Korzystając z ładnej pogody, siedzieliśmy na podwórzu i nie mieliśmy czasu się schować. Podróźni prawdopodobnie już nas zauważyli.

– To Natan! – szepnęła Sigga. – Wygarbuje mi skórę, jak was tu zobaczy.

Serce biło mi niczym werbel, ale nie śmiałam tego okazać.

– Nie jest sam. Nie robi nic, póki ma towarzystwo.

Kiedy jeźdźcy się zbliżyli, ze zdziwieniem rozpoznałam Pétura Owcobójcę.

– Spójrz, Pétur – powiedział Natan. – Zakradły się tutaj trzy małe liski. – Uśmiechnął się, ale oczy miał ponure. Pomyślałam, że zaraz zaatakuje

Fridrika, lecz zsiadł z konia i popatrzył na mnie. – Co ona tu robi? – Jego uśmiech znikł.

Zrobiłam się pąsowa i zerknęłam na Pétura. Zdawał się zaskoczony.

– Proszę, przyjmij ją z powrotem, tylko do końca zimy – poprosiła Sigga.

– Mam cię powyżej dziurek w nosie, Agnes.

– Co takiego niby ci zrobiłam? – zapytałam z udawanym spokojem.

– Powiedziałaś, że chcesz odejść, więc odejź! – Zrobił krok w moją stronę. – Odejź!

Sigga wyglądała na zatroskaną i zaniepokojoną.

– Ona nie ma gdzie się zatrzymać, Natanie. Wkrótce znowu zacnie padać.

Natan się roześmiał.

– Nigdy nie mówisz tego, co myślisz, Agnes. Mówisz jedno, a spod spodu wyziera inne znaczenie. Chcesz odejść? Odejź!

Miałam ochotę powiedzieć Natanowi, że chcę jego; że chciałam, żeby on też mnie pokochał. Ale milczałam. Niczego już powiedzieć nie mogłam.

Ciszę przerwał Fridrik.

– Nie ożenisz się z nią – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Natan parsknął śmiechem.

– Tylko nie to. Znowu to samo. – Zwrócił się do Pétura. – Widzisz, jak to jest, kiedy mieszka się z dziećmi? Siłą rzeczy wciągają człowieka w swoje zabawy.

Pétur uśmiechnął się cierpko.

– W porządku. – Natan poprowadził konia w stronę pola. – Agnes może zostać, ale nie w badstofie. Pétur i ja przenocujemy tu dzisiaj, a jutro rano wyjeżdżamy znowu do Geitaskard. Jeśli wciąż będziesz tutaj, kiedy wrócimy, oddam cię w ręce komisarza okręgowego i oskarżę o najście. Fridriku, opuść moje gospodarstwo, zanim polecę Péturowi, aby poderżnął ci gardło.

Roześmiał się, ale Pétur wbił wzrok w ziemię.

Tamtej nocy znów spałam w oborze. Nie było aż tak zimno jak wtedy, gdy

Natan wyrzucił mnie nagą z domu, a Sigga, zanim wróciła do chaty, pomogła mi teraz zrobić sobie posłanie. Śmierdziało łajnem, a na ziemi roiło się od robactwa, ale w końcu zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, było ciemno. Wstałam i podeszłam do drzwi. Zobaczyłam, że w oknie chaty wciąż pali się światło. Czułam się wypoczęta, umysł miałam jasny i postanowiłam, że pójdę tam i spróbuję pogodzić się z Natanem. Wtedy jednak usłyszałam kroki na śniegu za stodołą.

– Sigga?

Kroki ucichły, ale po chwili znów usłyszałam ciche skrzypienie. Ktoś się zbliżał. Wycofałam się w głąb ciemnej obory i przywarłam plecami do ściany.

Dobiegł mnie cichy szept.

– Agnes?

To był Fridrik.

Wśliznął się do obory i cicho zamknął drzwi.

– Co ty tu, do cholery, robisz?

Sapał ciężko. Nie widziałam go w ciemności, ale poczułam zapach jego potu. Coś brzęknęło.

– Natan cię zabije, jeśli zobaczy, że tu jesteś.

Odkaszlnął i splunął.

– Poczekam, aż zaśnie.

– Jeżeli się obudzi i przyłapie ciebie i Siggę w łóżku obok, to jeszcze przed świtem powiesi cię i poćwiartuje.

Pociągnął nosem.

– Nie po to przyszedłem.

W jego głosie było coś, co mnie tknęło.

– Więc po co?

– Załatwię tę sprawę raz na zawsze. Przyszedłem po to, co moje.

Krowa za nami zamuczała. Usłyszałam szuranie kopyt o ziemię.

– Przyznaj się, Agnes. Też tego chcesz.

Księżyc wychynął zza chmury i zobaczyłam, co Fridrik trzyma w ręku: młotek i nóż.

†

Co pamiętam? Nie wierzyłam mu. Wróciłam na swoje posłanie, bo nagle poczułam się zmęczona. Nie chciałam mieć z nimi nic wspólnego.

Co się stało?

Obudziłam się z niespokojnego snu i wyszłam z obory. Światło w oknie chaty już się nie paliło. Nie widziałam też nigdzie Fridrika.

Poszłam go poszukać. Nagle ogarnął mnie lęk. Nocne niebo było bezchmurne, a gospodarstwo zalane poświatą księżyca. Światłem gwiazd. Śnieg skrzypiał mi pod stopami. Sięgnęłam do drzwi. Rozchyliły się ze zgrzytem same.

Pod ścianą w korytarzu siedziała w kucki Sigga, tuląc córkę Rósy. Obie łkały.

– Siggo?

Zareagowała dopiero po chwili.

– W badstofie – wyszeptała. Ledwo ją usłyszałam.

Przeszłam długim korytarzem. Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że powinnam wziąć kaganek z kuchni. Miałam serce w przetyku.

Co się stało?

Trzęsłam się, ręce mi drżały i upuściłam kaganek w ciemności. Poczułam swąd zgaszonego knota i usłyszałam w kącie skrzypienie deski podłogowej, sapanie, wysilone i szybkie, a potem inne odgłosy, głucho, jakby dziecko waliło pięścią w poduszkę. Jęk, odgłos czegoś mokrego, a potem szept:

– Agnes?

Serce mi zamarło na chwilę. Myślałam, że to Natan.

Ale to był Fridrik.

– Agnes – mówił – Agnes, gdzie jesteś? – pytał piskliwie.

– Tutaj – powiedziałam. Schyliłam się i wymacałam w ciemności kaganek.  
– Upuściłam lampkę.

Usłyszałam, jak Fridrik robi krok w kierunku, z którego dobiegł mój głos.

– Agnes, nie wiem, czy umarł. – Głos załamał mu się przy ostatnim słowie.  
– Nie wiem, czy umarł.

Serce mi stanęło. Nie mogłam ruszyć palcami. Pchałam je po szorstkich deskach, usiłując znaleźć kaganek, lecz nie chciały się zginać. Nie zabił go. Jest tylko głupim chłopakiem. Nie zabił go.

Jakimś cudem znalazłam kaganek. Podniosłam go, raniąc sobie dłoń drzazgami.

– Agnes?

– Jestem tu! – odwarknęłam. Byłam zaskoczona, że wcale nie sprawiam wrażenia załęcznionej. – Muszę zapalić kaganek.

– No to się pośpiesz.

Po omacku wyszłam na korytarz, gdzie w kinkiecie paliła się jedna świeczka. Zapaliłam od niej kaganek i zawróciłam do badstofy. Ręce mi drżały i płomień lampki rzucał migotliwe światło na szorstkie ściany, gdy zbliżałam się do mrocznej izby. Kiedy dotarłam do drzwi, poczułam, jak strach ściska mi gardło. Nie chciałam tam wchodzić. Ale musiałam zobaczyć, co Fridrik zrobił.

Z początku pomyślałam, że mnie oszukał. Kiedy poświeciłam w stronę łóżka Natana, ujrzałam jego pościel i śpiącą twarz. Wszystko zdawało się normalne. Wtedy Fridrik powiedział:

– Tutaj, Agnes. Poświeć lampką tutaj.

A kiedy światło prześlizgnęło się po łóżku, zobaczyłam, że Pétur ma zmiażdżoną głowę. Poduszka była cała zakrwawiona. Na ścianie zalśniło kilka kropel krwi spływających powoli po deskach.

– O Boże! – jęknęłam. – O Boże, Boże!

Spojrzałam na młotek, który ściskał w dłoniach. Coś się do niego przykleiło – włosy. Zwymiotowałam na podłogę.

Fridrik pomógł mi wstać. Wciąż trzymał młotek w pogotowiu, by móc znowu uderzyć.

– Zrobiłeś coś Natanowi? – spytałam.

Poprosił, żebym przystawiła lampkę bliżej łóżka. Natan też krwawił. Bok jego twarzy wyglądał dziwnie, jak gdyby kość policzkowa została spłaszczona, a w zagłębieniu szyi zbierała się krew, którą wzięłam zrazu za krew Pétura.

Z piersi wyrwał mi się okrzyk i opuściły mnie siły. Znowu upuściłam lampkę i upadłam. Okryła nas ciemność.

Fridrik wziął świeczkę z korytarza. Ujrzałam jego rozświetloną twarz, kiedy wszedł do izby. Wtedy oboje usłyszeliśmy jakiś dźwięk.

– Co to było? – Fridrik szybko podszedł i podźwignął mnie na nogi. Drżeliśmy.

Znów dobiegł nas ten dźwięk. Ktoś jęknął.

Wyrwałam Fridrikowi świeczkę, podbiegłam do łóżka i poświeciłam Natanowi w twarz. Jego powieki drgnęły, spróbował się poruszyć.

– Co mu zrobiłeś?!

Fridrik był blady jak trup, źrenice miał tak rozszerzone, że oczy zdawały się czarne.

– Młotkiem... – wybełkotał.

Natan znów jęknął i tym razem Fridrik pochylił się nad nim, nasłuchując.

– Powiedział: „Worm”.

– Worm Beck?

– Może śni.

Staliśmy bez ruchu, przyglądając się Natanowi w poszukiwaniu innych oznak życia. Cisza była martwa. Potem Natan powoli otworzył oko i spojrzał prosto na mnie.

– Agnes? – mruknął.

– Jestem tu – powiedziałam. Ogarnęła mnie ulga. – Natanie, jestem tutaj.

Oko poruszyło się i spojrzało na Fridrika. Potem Natan obrócił głowę

i zobaczył zmiądzoną czaszkę Pétura.

– Nie! – wyskrzeczwał. – Nie, nie, nie, nie...

Fridrik cofnął się od łóżka. Nie zamierzałam pozwolić, żeby uciekł.

– Spójrz, co narobiłeś! – wyszeptałam. – Spójrz na swoje dzieło.

– Ja nie chciałem! Natanie, przysięgam. – Fridrik dostał nagłej zadyszki, wpatrując się w zakrwawiony młotek u swych stóp.

Natan znowu jęknął. Chciał się podnieść, ale wrzasnął, gdy przeniósł ciężar ciała na ramię. Fridrik je pogruchotał.

– Chciałeś go zabić! – wykrzyknęłam, odwracając się do Fridrika. – I co zamierzasz zrobić teraz?

Rozległ się łoskot i oboje spojrzeliśmy w dół. Natan leżał na podłodze. Zdołał wygramolić się z łóżka, lecz nie był w stanie dalej się ruszyć.

– Pomóż mi go podnieść.

Odstawiłam świeczkę na podłogę, ale chłopak nie chciał Natana tknąć. Spróbowałam postawić Natana na nogi, lecz okazał się za ciężki, a gdy zobaczyłam, jak spuchła mu głowa, i zobaczyłam krew, która spływała mu po plecach, straciłam resztki sił. Moje ręce i nogi zmieniły się w watę. Ułożyłam jego głowę na swoich kolanach. Wiedziałam, że nie przeżyje nocy.

– Fridrik – powtarzał raz za razem. – Fridrik, zapłacę ci, zapłacę.

– Chce z tobą porozmawiać – powiedziałam do Fridrika, lecz chłopak uciekał wzrokiem. – Odwróć się! – krzyknęłam. – Możesz przynajmniej porozmawiać z człowiekiem, którego zabiłeś!

Natan przestał mamrotać. Poczułam, jak jego ciało sztywnieje. Głową przetaczał z boku na bok.

– Agnes...

– Tak, to ja. Jestem tu.

Otworzył usta. Myślałam, że chce coś powiedzieć, lecz tym razem tylko zacharczał. Podniosłam wzrok na Fridrika. Oczy miał okrągłe i przerażone, twarz białą jak prześcieradło, policzek czerwony od krwi, która go ochlapała.

– Dlaczego on tak robi? – spytał.

Natan się krztusił, krew spływała mu po podbródku na moją spódnicę.

– Dlaczego on to robi?! – wrzasnął Fridrik. – Niech przestanie!

Wyciągnęłam rękę i wzięłam z podłogi nóż.

– No to zrób to, dokończ, co zacząłeś!

Fridrik potrząsnął głową. Wzdrygnął się, gdy z rany na głowie Natana trysnął nowy strumień krwi.

– Nie. Nie mogę. Nie mogę.

Natan podniósł na mnie wzrok. Jego zęby były czerwone od krwi. Wargami poruszył bezgłośnie, ale pojęłam, co stara się powiedzieć.

Nóż wszedł łatwo. Przebił koszulę z odgłosem prujących się nici, który brzmiał jak źle wyćwiczony pocałunek... Nie mogłabym się powstrzymać, nawet gdybym chciała. Pchnęłam zaciśniętą pięść, aż poczułam na nadgarstku gorącą krew. Puściłam rękojeść. Nóż wystawał Natanowi z brzucha, a pociemniała i mokra od krwi koszula marszczyła się wokół ostrza. Światło świecy wydobywało z mroku krawędź czoła Natana, rzęsy... i nagle ogarnęła mnie wdzięczność – popatrzył na mnie przytomnie. W jego oczach ujrzałam wybaczenie.

– Agnes. – Fridrik stał za mną, trzymając się rękami za głowę. Młotek leżał obok, na podłodze. – Agnes, zabiłaś go.

Chciało mi się płakać. Chciałam uklęknąć nad jego ciałem i wyć.

Nienawidziłam Fridrika. Padł na podłogę, skulił się i zaczął ryczeć, szlochać spazmatycznie w panice. Wreszcie wstał i z drżącym oddechem wyciągnął nóż z brzucha Natana.

– Co robisz? – spytałam. Nie miałam już sił, żeby krzyczeć.

– To mój nóż – stwierdził. Wytarł ostrze o nogawkę spodni i chciał wyjść z chaty.

– Czeka! – zawołałam.

Odwrócił się i wzruszył ramionami.

– Powieszają cię za to – wystękałam.

Zacisnął palce na lepkiej rękojeści.



– Jeżeli mnie powiesz – powiedział, chrząkając i przełykając flegmę – to ciebie spalą żywcem.

Spuściłam wzrok. Miałam krew na rękach. Krew plamiła mi suknię i szyję. Płomień świecy pełgał od przeciągu i zaczęłam się zastanawiać, jak ta izba będzie wyglądać w szarym świetle dnia.

Wtedy przypomniał mi się tran z wieloryba, którego mięso Natan kupił w Hindisvík.

# Rozdział 13

22 grudnia 1829

*Na ręce Björna Blöndala, komisarza okręgu Húnavatn*

*Niniejszym przesyłam Szanownemu Panu następujące dokumenty:*

1. *Uzasadnienie orzeczenia Sądu Najwyższego z 25 lipca bieżącego roku przeciwko skazanym Fridrikowi Sigurdssonowi, Agnes Magnúsdóttir i Sigrídur Gudmundsdóttir z okręgu Húnavatn w sprawie między innymi o morderstwo, podpalenie i kradzież. Uzasadnienie wyroku Sądu Najwyższego dotarło dnia 20 bieżącego miesiąca wraz ze specjalną dostawą poczty z Reykjavíku.*

2. *Poświadczony odpis listu Jego Królewskiej Mości do gubernatora okręgowego z 26 sierpnia w sprawie Sigrídur Gudmundsdóttir, wobec której to z łaski i miłosierdzia Jego Królewskiej Mości odstępuje się od kary śmierci zasądzonej przez wyżej wymieniony Sąd Najwyższy w Kopenhadze. W zamian skazana, na mocy dekretu Jego Królewskiej Mości, ma zostać przewieziona do Kopenhagi do pracy pod ścisłym nadzorem w zakładzie karnym na okres dożywocia. Postanawia się również, że podtrzymany ma zostać wyrok Sądu Najwyższego co do wymiaru kary dla skazanych Fridrika Sigurdssona i Agnes Magnúsdóttir.*

3. *Poświadczony odpis pisma z Kancelarii Królewskiej w Danii do gubernatora okręgu z 29 sierpnia odnośnie do przedmiotowej sprawy, gdzie sekretarz królewski wyraża zdanie, iż najlepiej będzie, by karę*

wykonano w miejscu popełnienia zbrodni albo, jeśli to niemożliwe, w jego pobliżu, pod warunkiem wszelako, że nie wywoła to zamieszek tudzież innych nieprzewidywalnych wydarzeń. Gubernator okręgu musi wyrazić bezwzględny zgodę w niniejszej sprawie.

4. Upoważnienie, wydane dnia dzisiejszego, dla Gudmundura Ketilssona, gospodarza w Illugastadir, do wykonania egzekucji na skazanych Fridriku Sigurdssonie i Agnes Magnúsdóttir zgodnie z wyrokiem Sądu Najwyższego, o której prawidłową organizację muszę się niniejszym zwrócić do Szanownego Pana. Do obowiązku Szanownego Pana należeć będzie dopilnowanie, by karę śmierci, przy uwzględnieniu warunków opisanych w wyżej wymienionym liście Jego Królewskiej Mości, wykonano zgodnie z prawem i bez zwłoki. Od Szanownego Pana oczekuje się wysłania potwierdzenia, kiedy kara śmierci zostanie wykonana. Drogi Panie, jako miejscowemu komisarzowi okręgowemu powierza się Panu przygotowanie i egzekucję skazanych w trybie przewidzianym w takich przypadkach i zgodnie z okolicznościami. Nalegam wszelako, aby zastosował się Pan do następujących szczegółowych wytycznych:

a) O ile nie zostało to załatwione do tej pory, Szanowny Pan musi natychmiast umożliwić kapłanom codzienne odwiedziny u skazanych, Fridrika Sigurdssona i Agnes Magnúsdóttir. Duchownych trzeba poddać nadzorowi i muszą oni udzielić skazanym nauk religijnych, zapewnić im pociechę duchową i przygotować moralnie do spotkania z przeznaczeniem. Kapłani powinni towarzyszyć skazanym w drodze na miejsce egzekucji.

b) Uzgodniono, że Szanowny Pan może podjąć decyzję co do tego, czy egzekucji dokona się w Illugastadir, w tak zwanym Thingi czy też na wybranym wzgórzu (byle nie zbyt wysokim), gdzie można ją będzie dogodnie oglądać ze wszystkich stron.

c) *Może Szanowny Pan wydać polecenie, by zamiast drewnianego szafotu wzniesiono porządny taras z darniny, z poręczą. Szanowny Pan musi zadbać o dostarczenie na miejsce pnia z wgłębieniem na podbródek, a także dopilnować, aby okryto go płótnem z czerwonej bawełny lub wełny.*

d) *Wybrany kat ma, w Pańskim domu, w tajemnicy i przy odpowiedniej zachęcie przejść szkolenie, które umożliwi mu prawidłowe wykonanie zadania. Szkolenie ma w szczególności, o ile to możliwe, zagwarantować, iż kat w tej szczególnej chwili nie straci wiary ani panowania nad sobą. Ścięcie głowy ma nastąpić wskutek jednego ciosu, bez bólu dla skazanego. Gudmundurowi Ketilssonowi wolno spożywać tylko bardzo małe ilości alkoholu.*

e) *Uprasza się Szanownego Pana o wezwanie z okolicznych gospodarstw tyłu mężczyzn, ilu potrzeba do zbudowania dwóch albo trzech pierścieni ogrodzenia wokół szafotu. Ludzie ci są wszyscy bezwzględnie obowiązani przybyć na wezwanie i wykonać swoją pracę nieodpłatnie.*

f) *Zabrania się wszelkim osobom nieupoważnionym przebywać w obrębie pierścieni ogrodzenia.*

g) *Osobie, która ma zostać stracona później, nie wolno być świadkiem egzekucji pierwszej i osobę tę należy przetrzymywać w miejscu, skąd nie ma widoku na szafot.*

h) *Zwłoki po egzekucji trzeba pogrzebać na miejscu bez ceremoniału, w trumnach z białego surowego drewna. Jest bezwzględnie konieczne, aby Szanowny Pan był obecny przy egzekucji i by odczytał Pan werdykt Sądu Najwyższego oraz Jego Królewskiej Mości, zorganizował i nadzorował procedurę, a także odnotował egzekucję w księdze urzędu. Notatka może być*

*po duńsku lub po islandzku, lecz trzeba to zrobić należycie, włącznie ze szczegółowym opisem zdarzeń i ich zakończenia. Musi Pan ponadto odnotować, iż funkcję kata obiecano Gudmundurowi Ketilssonowi, a także wyszczególnić, na co tenże zamierza przeznaczyć zapłatę z tytułu swych usług. Wreszcie pragnę podziękować Szanownemu Panu za Pański list z 20 sierpnia. Odnośnie do tego listu odpowiadam, iż po egzekucji topór należy wysłać z powrotem do Kopenhagi, a zapłatę za niego uiścić z funduszy przeznaczonych na opłacenie wszystkich kosztów tej sprawy.*

*Sekretarz Jego Królewskiej Mości*

*G. Johnson*

*Kopenhaga, Dania*

*Do urzędników okręgowych dla Svínavatn, Thorkelshóll i Thverá*

*Otrzymawszy uzasadnienie orzeczenia Sądu Najwyższego z 25 czerwca, a także list Jego Najłaskawszej Królewskiej Mości z 26 sierpnia, potwierdzam niniejszym, że zbrodniarze Fridrik Sigurdsson i Agnes Magnúsdóttir zostaną straceni we wtorek 12 stycznia na niedużym wzgórzu w pobliżu wsi Ránhóla, między gospodarstwami Hólabak i Sveinsstadir.*

*Po otrzymaniu wskazówek z 22 grudnia przekazanych gubernatorowi okręgu zwracam się do Was z poleceniem, byście wszystkim rolnikom okręgu Svínavatn, których wybieriecie wedle własnego uznania, rozkazali stawić się razem z Wami na egzekucji w oznaczonym dniu nie później niż w południe. Zgodnie z rozdziałem 7 Jónsbok pt. Mannhelgisbalk oraz rozdziałem 2 pt. Thjófnadarbalk ci, którzy nie zastosują się do Waszych rozkazów, zostaną ukarani. Zaleca się, abyście udzielili ostrzeżenia w tym względzie osobom, które mogą mieć największe trudności z opuszczeniem swoich gospodarstw lub też mogą podróżować. Zwracam jednocześnie uwagę i przypominam, że obecność Was samych na egzekucji jest obowiązkowa.*

*Gdyby dokonanie egzekucji okazało się niemożliwe w oznaczonym dniu ze względu na warunki pogodowe, wybrany zostanie następny dogodny*

termin, a wszystkie osoby, którym rozkazano się stawić, muszą to uczynić pod rygorami opisanymi powyżej. Osoby te muszą nieodzownie zaopatrzyć się w prowiant, jako że jest prawdopodobne, iż ich podróż tam i z powrotem wiązać się będzie z opóźnieniami ze względu na warunki pogodowe charakterystyczne dla tej pory roku.

Komisarz okręgowy  
B. Blöndal

Czwartek 7 stycznia 1830

Najszanowniejszy i ukochany Bracie nasz i Przyjacielu [B. Blöndalu],  
Za to, co dla mnie zrobiłeś, za nasze liczne spotkania oraz za Twoje wskazówki i przesyłkę z dzisiejszego rana dziękuję Ci z miłością z całego serca i potwierdzam niniejszym, że dziś rano spotkam się z ludźmi Víðidalur i pouczę o obowiązku stawienia się na miejscu w przyszły wtorek przed południem. Powiadomiłem Sigrídur o warunkach jej ułaskawienia, a ona modli się do Boga i dziękuje Najjaśniejszemu Królowi za łaskę. Przepraszam za ten pośpiech, niech Bóg będzie z Tobą i Twoją rodziną, życzę Wam wszystkim wszystkiego najlepszego w nowym roku, tak zresztą jak zawsze, zarówno w tym życiu, jak i w następnym.

Twój szczerze oddany, kochający przyjaciel  
B.P. Pétursson z Midhóp

Ku Zbawicielowi myśli wznoszę,  
Ufny w Jego moc i duszy mej opiekę,  
Jego wszechmocne ramię mnie obejmie,  
We śnie i na jawie.  
Chrystus mą opoką, Chrystus mą odwagą;  
W Chrystusie żyje dusza moja;  
I Chrystus (serce moje wie)  
Przeprowadzi mnie przez niedolę.

*Jak w imię Chrystusa żyję,  
Tak w imię Chrystusa umrę,  
Bez lęku przeto krocę przez życie,  
Choć goni mnie Śmierci zimny cień,  
O Mogiło, gdzież twój triumf?  
O Śmierci, gdzie jest żądło twe?  
„Przyjdź, kiedy chcesz, a cię powitam!”  
Ufny w Chrystusie śpiewam.*

islandzki hymn pogrzebowy

Szóstego stycznia Tótego zbudziło natarczywe pukanie do drzwi chaty. Otworzył jedno oko i zobaczył w izbie słabe światło. Zaspał. Pukanie wciąż nie ustawało. Z ociąganiem opuścił nogi na podłogę i wstał z łóżka, owijając się kocami. Na drżących nogach, przytrzymując się ściany, podszedł do drzwi.

– Wielebny wikariusz Thorvardur Jónsson?

Gościem okazał się posłaniec z Hvammur, który tupał i rozcierał ręce na porannym mrozie. Wręczył Tótiemu złożony w mały kwadrat list z czerwoną pieczęcią Blöndala, która wyglądała niczym kropla krwi na jasnym papierze.

Nos gońca był czerwony od zimna.

– Przepraszam za opóźnienie. Pogoda była tak zła, że nie zdołałem przyjechać wcześniej.

Tóti zmęczonym głosem zaprosił go na filiżankę kawy, lecz posłaniec spojrział z niepokojem na północną przełęcz.

– Jeżeli wielebny pozwoli, wołałbym od razu ruszyć w drogę. Zbliża się następna śnieżycyca, nie chciałbym, żeby mnie zaskoczyła.

Tóti zatrzasnął drzwi i poczłapał chwiejnym krokiem do kuchni, żeby rozniecić ogień w palenisku. Gdzie ojciec? Powiesił czajnik z wodą nad ogniem i powoli przysunął stół do paleniska. Kiedy minęły mu zawroty

głowy, złamał pieczęć.

Przeczytał list trzy razy, po czym położył go na kolanach i utkwiał wzrok w ogniu. To nie mogła być prawda. Nie mogło się to skończyć w ten sposób. Przecież tyle jeszcze było do powiedzenia i zrobienia, a on nie był nawet przy jej boku. Wreszcie wstał, koce zsunęły mu się z ramion. Poszedł chwiejnie do badstofy. Otworzył swój kufer. Jął ubierać się i pakować część ubrań do worka, kiedy do chaty wszedł ojciec.

– Co się stało? Czemu się ubierasz? Jeszcze nie wyzdrowiałeś.

Tóti zatrzasnęła wieko kufra i potrząsnęła głową.

– Agnes zabiją za sześć dni. Dopiero przed chwilą otrzymałem list. – Siadł na łóżku i zaczął wciskać but na nogę.

– Nie możesz jechać. Jesteś chory.

– To wszystko dzieje się tak nagle, ojczy. Zawiodłem ją.

Starzec usiadł obok syna.

– Nie wolno ci wychodzić na mróz.

Tótiemu dudniło w głowie.

– Muszę się dostać do Kornsy. Jeżeli wyjadę teraz, może uniknę śnieżycy.

Wielebny Jón położył rękę na ramieniu syna.

– Ledwo jesteś w stanie się ubrać. Nie narażaj się na śmierć dla dobra tej morderczyni.

Tóti spojrzał na ojca, oczy błysnęły mu gniewnie.

– A Syn Boży? Czy umarł na krzyżu tylko za dobrych i sprawiedliwych?

– Nie jesteś Synem Bożym. Jeżeli pojedziesz, sam umrzesz.

– Jadę.

– Zabraniam ci.

– Taka jest wola Boża.

Stary pastor pokręcił głową.

– To samobójstwo. To wbrew woli Boga.

Tóti dźwignął się z łóżka.

– Bóg mi wybaczy.



W kościele było zimno. Tóti podbiegł do ołtarza i osunął się na kolana. Zdawał sobie sprawę, że trzęsą mu się ręce, a skóra goreje pod warstwami ubrań. Sufit zdawał się falować nad jego głową.

– Panie Boże... – Głos mu się załamał. – Miej nad nią litość. Miej litość nad nami wszystkimi.

†

Margrét wiązała na głowie chustę, przygotowując się do wyjścia po trochę suszonego łąjna ze składziku, kiedy usłyszała, jak ktoś zeskrobuje śnieg z drzwi wejściowych. Poczekała. Drzwi rozchyliły się ze zgrzytem.

– Wielkie nieba, czy to ty, Gudmundur? – zapytała. W korytarzu ujrzała Tótiego, bladego jak prześcieradło, z kroplami potu na czole. – Dobry Boże, wielbny! Wygląda wielbny jak sama śmierć! Ale wielbny wychudł!

– Dzień dobry, Margrét. Czy zastałem twojego męża? – zapytał niecierpliwym tonem.

Potaknęła i zaprosiła gościa do badstofy.

– Proszę usiąść w salonie – powiedziała, odsuwając zasłonę. – Nie powinien wielbny podróżować przy takiej pogodzie. Dobry Boże, wielbny cały się trzęsie! Nie, w takim razie zapraszam do kuchni. Niech wielbny ogrzeje się trochę. Co też się stało?

– Chorowałem – wychrypiał. – Opuchło gardło i szyja, myślałem, że się uduszę. – Osunął się ciężko na siedzisko. – I miałem wysoką gorączkę. Dlatego nie przyjeżdżałem do tej pory. – Przerwał na chwilę, żeby odsapnąć. W jego oddechu słychać było lekkie poświstywanie. – Nic na to nie mogłem poradzić.

– Pójdę po męża.

Margrét szeptem poprosiła Laugę, żeby przyszła i pomogła wielbnemu rozebrać się z okrytego lodem płaszcza. Po kilku chwilach wróciła z Jónem do kuchni.

– Miło wielebnego widzieć. – Jón podał Tótiemu rękę. – Żona mówi, że wielebny podupadł na zdrowiu.

– Gdzie jest Agnes? – spytał Tóti.

Margrét i Jón popatrzyli na siebie.

– Z Kristín i Steiną. Mam po nią pójść? – zapytała Margrét.

– Nie, jeszcze nie. – Tóti z wysiłkiem zdjął rękawice i zaczął szukać czegoś po kieszeniach koszuli. – O, proszę. – Podał Jónowi list od komisarza okręgowego.

– Co to jest?

– Od Blöndala. Powiadomienie o dacie egzekucji Agnes.

Lauga westchnęła głośno.

– Kiedy to ma być? – spytał półgłosem Jón.

– Dwunastego stycznia. A dzisiaj mamy szósty. Więc o tym nie słyszeliście?

– Nie. Pogoda jest tak zła, że trudno ruszyć się z domu.

Tóti pokiwał ponuro głową.

– No cóż, teraz już wiecie.

Lauga przeniosła spojrzenie z duchownego na ojca.

– Powiesz jej o tym?

Margrét ujęła dłoń Tótiego. Podniosła na niego wzrok.

– Ręka wielebnego jest taka rozpalona. Pójdę po Agnes. Myślę, że będzie wolą usłyszeć to od wielebnego.

†

Wielebny do mnie mówi, ale nie słyszę jego słów, tak jakbyśmy wszyscy byli pod wodą, światło migocze i kołysze się u góry i widzę, jak wielebny macha przede mną rękoma, bierze mnie za nadgarstki, a potem puszcza, wygląda jak tonący, który usiłuje się czegoś złapać. Wygląda jak szkielet. Skąd wzięła się ta woda? Nie mogę oddychać.

Agnes, mówi wielebny. Agnes, będę tu przy tobie.

Agnes, mówi.

Jest tak dobry i miły, obejmuje mnie i tuli do siebie, ale nie chcę go przy sobie. Jego usta otwierają się i zamykają jak u ryby, kości jego twarzy są niczym ostrza noży pod skórą, lecz nie mogę mu pomóc, nie wiem, czego chce. Ci, których nie wlecze się na śmierć, nie umieją pojąć, że serce robi się wtedy twarde i ostre, aż staje się kamiennym gniazdem, w którym spoczywa tylko puste jajko. Jestem jałowa; nic już ze mnie nie wyrośnie. Jestem martwą rybą suszącą się w zimnym powiewie. Jestem martwym ptakiem na brzegu. Jestem wyschnięta i wątpię, żebym w ogóle krwawiła, kiedy zaprowadzą mnie pod topór. Nie, wciąż czuję w ciele ciepło, krew wciąż szumi mi w żyłach niczym wiatr, potrząsa pustym gniazdem i pyta, gdzie podziały się ptaki, dokąd odleciały?

†

– Agnes, Agnes? Jestem tu. Jestem przy tobie. – Tóti przyglądał się jej z niepokojem. Wpatrywała się w podłogę, dyszała ciężko i kiwała się w przód i w tył, aż stołek skrzypiał. Czuł, jak zbiera mu się na płacz i łyż dławia gardło, ale zdawał sobie sprawę z obecności Margrét, Jóna, Steiny i Laugi za swoimi plecami i służących, którzy stali w drzwiach kuchni.

– Chyba potrzebuje wody – powiedziała Steina.

– Nie. – Jón odwrócił się do parobków. – Bjarni! Skocz po gorzałkę, dobrze?

Przyniesiono flaszkę i Margrét przytknęła ją Agnes do warg.

– Proszę. Poczujesz się lepiej.

Agnes pociągnęła łyk, krztusząc się i wylewając większość na chustę.

– Ile mam dni? – zapytała ochryple. Tóti zauważył, że wbija sobie paznokcie w ramię.

– Sześć – odpowiedział łagodnie. Ujął jej dłonie. – Ale jestem tu i cię nie

opuszczę.

– Wielebny Tóti?

– Tak, Agnes?

– Może bym mogła ich ubłagać, może gdyby wielebny poszedł do Blöndala, komisarz by się rozmyślił i moglibyśmy wystąpić z apelacją. Może wielebny porozmawiać z nim w moim imieniu? Myślę, że jeżeli wielebny by tam pojechał i wyjaśnił mu wszystko, komisarz okręgowy by wielebnego wysłuchał. Oni nie mogą...

Tóti położył drżącą dłoń na jej ramieniu.

– Jestem przy tobie, Agnes. I będę.

– Nie! – Odepchnęła go. – Nie! Musimy z nimi porozmawiać! Trzeba sprawić, żeby posłuchali!

Tóti usłyszał, jak Margrét zacmokała językiem.

– To nie w porządku – wymamrotała. – To nie była jej wina.

– Co? – Tóti odwrócił się w jej stronę. – Rozmawiałyście o tym?

Ktoś płakał za jego plecami. Jedna z córek.

Margrét pokiwała głową, łzy napłynęły jej do oczu.

– Tak, pewnej nocy. Nie mogliśmy spać. To nie w porządku – powtórzyła.

– O Boże. Nie da się czegoś zrobić? Wielebny Tóti, co możemy dla niej zrobić?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Margrét stęknęła i wybiegła z izby, zakrywając dłońmi oczy. Jón poszedł za nią.

Agnes drżała, wpatrując się we własne dłonie.

– Nie mogę nimi ruszyć – wyszeptała. Szeroko otwartymi oczami spojrzała na Tótiego. – Nie mogę nimi ruszyć.

Znów wziął jej sztywne dłonie w ręce. Nie wiedział, kto drży bardziej.

– Jestem przy tobie, Agnes. – Tylko to był w stanie powiedzieć.

Nie załamuję się, myślę o drobnych rzeczach. Skupiam uwagę na tym, jaka jest w dotyku pościel, w której leżę.

Oddycham.

Teraz nadchodzi ciemniejące niebo i zimny wiatr, który przewiewa przez ciebie, jakby cię tu nie było, przewiewa przez ciebie, jakby nie obchodziło go, żyjesz czy nie, bo ty odejdiesz, a wiatr wciąż tu będzie, wciąż będzie lizał trawy, przyginając je do ziemi, obojętny na to, czy ziemia jest zamarznięta, czy odtajała, bo znów zamarznie i znów odtaje, i wkrótce twoje kości, teraz gorące od krwi i soczyste od szpiku, będą suche i łamliwe, będą zamarzać i tajać wraz z ziemią, która je okryje, a ostatnie krople wilgoci z twojego ciała zostaną wysane na powierzchnię przez trawę, i nadejdzie wiatr, przygnie je znowu do ziemi i ciebie przyciśnie z powrotem do skał albo zedrze cię pazurami i porwie na morze wraz z wyjącą śnieżną nawałnicą.

†

Wielebny Tóti został z Agnes do późnej nocy, aż wreszcie zasnęła. W kącie badstofy Margrét obserwowała go z niepokojem. On też zasnął – siedział oparty plecami o słupek łóżka i dygotał pod kocem, którym go starannie okryła. Zastanawiała się, czy go nie obudzić i nie zaprowadzić do wolnego posłania, lecz postanowiła tego nie robić. Wątpiła, by łatwo dało się go ruszyć.

Wreszcie sama odłożyła robótkę i druty. Przypominało jej się, jak umarła Hjördis. Nie myślała o tym prawie wcale od przybycia Agnes. Ale to ponure oczekiwanie na śmierć, światło palące się do późna w nocy, płacz aż do utraty sił... To jej przypominało. Teraz potoczyła spojrzeniem po reszcie śpiących domowników. Laugi, zauważyła, nie było w łóżku.

Dźwignęła się z krzesła, żeby poszukać córki, i dostała napadu kaszlu, który powalił ją na kolana. Długo kaszlała nad deskami podłogi. Wypluła

z płuc gęsty skrzep krwi. Poczowała się słabo i poczekała na czworakach, dysząc ciężko, aż zebrała siły, by się podnieść.

Szukała Laugi przez kilka minut. Nie znalazła jej w ciepłe przy kuchennym palenisku ani w mleczarni. Z uniesioną wysoko świeczką weszła do ciemnej spiżarni.

– Lauga?

Coś poruszyło się w kącie, gdzie stały beczki.

– Laugo, czy to ty?

Na ścianach kładły się cienie i dopiero po chwili światło świeczki wydobyło z mroku postać przycupniętą za workiem ze zbożem.

– Mamma?

– Co ty tu robisz? – Margrét podeszła ze świeczką bliżej.

Lauga zmrużyła powieki przed blaskiem i pośpiesznie wstała. Miała zaczerwienione oczy.

– Nic, zupełnie nic.

– Zdenerwowałaś się?

Lauga zamrugała i szybko przetarła oczy.

– Nie, mamma.

Margrét wpatrywała się w córkę przez chwilę.

– Szukałam cię – powiedziała.

– Chciałam tylko pobyc chwilę sama.

Przyglądały się sobie przez moment w migotliwym świetle pełgającego płomienia.

– W takim razie wracaj do łóżka – zaproponowała wreszcie Margrét. Podała Laudze świeczkę i w milczeniu wyszła za nią ze spiżarni.

†

Nie było żadnej sakiewki. Fridrik nie znalazł pieniędzy. Agnes, Agnes, gdzie on je zakopał, może są w kufrze? Ale już za późno, moje palce były

tłuste od tranu, który wtarłam w drewno i mieszałam z krwią na podłodze. Kaganek już leżał na podłogowych deskach, a Sigga już krzyknęła, słysząc brzęk rozbijanego szkła.

Próbują nakłonić mnie do jedzenia. Tóti, ja nie mogę jeść. Nie karm mnie, bo cię ugryzę, ukąszę dłoń, która mnie karmi, która odmawia mi miłości, która mnie porzuca. Gdzie jest mój kamyk? Nie rozumiesz! Nie mam wam nic do powiedzenia. Gdzie są kruki? Jóas je przepędził i nigdy ze mną nie rozmawiają. To niesprawiedliwe. Zobacz, co dla nich robię. Jem kamienie, łamię sobie zęby, a one wciąż nie chcą ze mną gadać. Tylko ten wiatr, tylko wiatr do mnie mówi, lecz nie mówi do rzeczy, wyje niczym wdowa i nie czeka na żadną odpowiedź.

Idziesz na zatracenie. Nie ma żadnego ostatecznego spoczynku, żadnego pogrzebu. Ciągła poniewierka, nieskończona podróż bezdrożami, które wiodą wszędzie, tylko nie do domu, bo nie ma domu, jest ta zimna wyspa i twoja mroczna jaźń rozpostarta i rozciągnięta nad ziemią, aż do chwili gdy zaczniesz wycić razem z wiatrem, czuć jego samotność, bo nie wrócisz do domu, bo pochłonie cię cisza, bo cisza wessie twoje życie w swe ciemne wody i zaleje gwiazdy, które mogłyby cię pamiętać, a nawet jeśli pamiętają, to nie powiedzą, nic nie powiedzą, a jeśli nikt nie wymawia twojego imienia, jesteś zapomniana – jestem zapomniana.

†

W wieczór przed egzekucją rodzina w Kornsie siedziała wspólnie w badstofie. Steina, z zaciekami od łez na policzkach, zgromadziła wszystkie kaganki, które udało jej się znaleźć, pozapałała je i porozstawiała dookoła, żeby odegnać cienie, które czały się po kątach. Służący siedzieli na swoich łóżkach, z plecami opartymi o ściany, i w milczeniu patrzyli, jak Tóti i Agnes

siedzą skuleni jedno przy drugim na jej łóżku. Trzymali się za ręce, wielebny szeptał coś, ona zaś dygotała i wpatrywała się w podłogę.

Nakarmiwszy bydło, Jón wszedł do izby i siadł na łóżku obok żony, schylając się powoli, żeby zdjąć sobie buty. Margrét odłożyła robótkę i wstała. Pomogła mu zdjąć płaszcz.

– Mamma? – Steina podniosła się, zostawiając Laugę, która siedziała wpatrzona w knot palącej się lampki. – Mamma, pozwól, że to wezmę.

Margrét bez słowa podała mokry płaszcz córce. Potem powoli osunęła się na kolana i stłumiwszy kasznięcie, sięgnęła pod łóżko.

Steina pomogła matce wyciągnąć malowany kufer.

– Połóż go tu na łóżku, obok Jóna – poprosiła Margrét.

Z pewnym trudem Steina wtaszczyła drewniany kufer na posłanie. W powietrze wzbił się obłok kurzu. Margrét odpięła żelazny zatrzask.

Zerknęła na Agnes trzęsącą się i wtuloną w wielebneho. Sięgnęła do kufra, wyjęła piękną wełnianą chustę. Podeszła do łóżka i okryła Agnes ramiona.

Tóti podniósł wzrok na panią domu i uśmiechnął się smutno; był blady i zmęczony.

Reszta rodziny patrzyła, jak Margrét z zaciśniętymi wargami szpera dalej w kufrze. Wyjęła ciemną spódnice z haftowanym wzorem nad obrębieniem i wyłożyła ją na pościel obok siebie. Później uczyniła to samo z białą wełnianą bluzką, haftowanym stanikiem i wreszcie z fartuchem w paski. Wygładziła dłońmi zmarszczki materiału.

– Co robisz, mamma? – spytała Steina.

– Przynajmniej tyle możemy – odrzekła Margrét. Rozejrzała się po izbie, jakby czekała na czyjś sprzeciw. Zatrzęsnęła wieko i skinęła na Steinę, by odłożyła kufer pod łóżko.

Przez chwilę stała bez ruchu, spoglądając na drugi koniec izby, gdzie siedziała na łóżku Lauga. Kilkoma szybkimi krokami przemierzyła badstofę i wyciągnęła rękę.

– Twoja brosza.



Lauga podniosła wzrok. Po chwili wahania wstała i pochyliła się, biorąc broszę z podłogi. Powoli wręczyła ją matce i usiadła z powrotem na posłaniu. Zamrugła gwałtownie, gdy łzy napłynęły jej do oczu. Margrét przypięła srebrną broszę do stanika wyłożonego na łóżku, a potem zajęła się znów robótką na drutach.

†

Śnieg przestał padać, świat przestał się poruszać; chmury wiszą nieruchomo w powietrzu niczym trupy. Poruszają się tylko kruki i rodzina w Kornsie, ale trudno mi rozróżnić jedne od drugich: wszyscy są w czerni, skaczą wkoło mnie, czekają na ucztę. Gdzie się podział czas? Minał wraz z latem. Stoję poza czasem. Gdzie jest wielebny? Czeka nad rzeką w Gönguskörd. Szuka szkieletu we mchu, w lawie, w popiele.

Margrét wyciąga do mnie rękę i ściska mi dłoń tak mocno, że aż boli, ach, boli.

– Nie jesteś potworem – mówi. Ma wypieki na twarzy i przygryza wargę. Jej palce, splecione z moimi, są gorące i tłuste.

– Zabiją mnie. – Kto to powiedział? Czy to ja?

– Będziemy cię pamiętać, Agnes.

Ściska mi palce jeszcze mocniej. O mało nie krzyczę z bólu... a potem zaczynam płakać. Nie chcę być pamiętana, chcę być tutaj!

– Margrét!

– Jestem tu, Agnes. Dasz radę, moja droga. Dasz radę.

Płaczę i mam otwarte usta, a w nich coś, co mnie zatyka i dusi. Wypluwam to. Na ziemi leży kamyk. Spoglądam znów na Margrét. Nic nie zauważyła.

– Miałam kamyk w ustach – mówię, a ona marszczy czoło, bo nie rozumie. Nie ma czasu na wyjaśnienia, przekazała moje ręce Steinie, jakbym była talizmanem albo kawałkiem chleba i jakby wszyscy przyjmowali mną komunię. Steina ma zimne palce, puszcza moje ręce i rzuca mi się na szyję,

łka głośno do ucha, ale tulę ją mocno, bo jej ciało jest ciepłe i nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś trzymał mnie tak w objęciach, kiedy ostatnio komuś zależało na mnie na tyle, by przytulić policzek do mojego policzka.

– Tak mi przykro – słyszę własny głos. – Tak mi przykro. – Ale nie wiem, za co mi przykro. Wszyscy mówią w bańkach powietrza i potrzebuję wszystkich swoich sił, żeby się nie rozplakać, kręgosłup boli mnie od nieplakania, ale płaczę, czuję łzy na twarzy, nie wiem, może to Steiny. Wszystko jest mokre. Cały ocean.

– Utopią mnie? – pytam.

Ktoś kręci głową. Lauga.

– Agnes – mówi, a ja odpowiadam:

– Pierwszy raz zwróciłaś się do mnie po imieniu.

I to wszystko, Lauga osuwa się na ziemię, jakbym pchnęła ją nożem w brzuch.

– Powinniśmy się zbierać – mówi Tóti. Chcę się do niego odwrócić, ale nie mogę, bo wszyscy jesteśmy pod wodą, a ja nie umiem pływać.

– Proszę. – Ktoś bierze mnie za ramię i unoszę się w powietrze. Niebo się zbliża i przez chwilę mam wrażenie, że zderzę się z chmurami, ale potem orientuję się, że posadzili mnie na konia i jak trupa zawiozą do grobu, zakopią mnie w ziemi, zakopią jak kamień. Na niebie są kruki, ale jaki ptak fruwa pod wodą? Jaki ptak potrafi śpiewać, jeśli kamienie pod spodem nie słuchają?

Natan by wiedział. Muszę zapamiętać, żeby go zapytać.

†

Śnieg okrył dolinę niczym pościel, niczym całun w oczekiwaniu na martwe ciało nieba.

Już po wszystkim, pomyślał Tóti. Spiął konia i podjechał do Agnes. Trzymając lejce jedną dłonią, ściągnął rękawiczkę i położył rękę Agnes

na nodze. W nozdrza uderzył go gorący smród moczu. Agnes popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Dzwoniła zębami.

– Przepraszam – powiedziała bezgłośnie.

Tóti ścisnął jej nogę. Próbował popatrzeć jej w oczy, ale strzelała wzrokiem na boki, rozglądając się po całej dolinie.

– Agnes – mruknął. – Agnes, spójrz na mnie.

Zerknęła na niego i pomyślał, że jasny błękit jej oczu wyblakł prawie do bieli.

– Jestem przy tobie – powiedział.

Obok niego jechał urzędnik okręgowy Jón z zaciśniętymi w determinacji ustami. Tótego zaskoczyło, że dołączyło do nich jeszcze kilku ludzi, wszyscy ubrani na czarno, z szalikami owiniętymi wysoko wokół ust, żeby osłonić je przed mrozem. Jechali w luźnej grupie, ich wierzchowce gryzły uzdy i parskwały, wydychając gęste obłoki pary.

– Wielebny! – rozległo się wołanie z tyłu.

Do Tótego podjechał zwalisty mężczyzna o długich blond włosach. Kiedy się zbliżył, wyciągnął zza pazuchy niedużą flaszkę. Podał ją wikariuszowi bez słowa. Tóti kiwnął głową. Pochylił się, wziął Agnes za rękę i wcisnął w jej dłoń butelkę.

– Pij, Agnes.

Spojrzała na flaszkę, a potem na Tótego. Wyciągnęła korek i oburącz podniosła butelkę do drżących warg. Napiła się i zaczęła kasłać.

– Jeszcze, Agnes – szepnął. – To ci pomoże.

Następny łyk przełknęła łatwiej i Tóti zauważył, że nie szczęka zębami już tak gwałtownie.

– Wypij wszystko, Agnes – zachęcił długowłosey mężczyzna. – Wziąłem specjalnie dla ciebie.

Agnes obróciła się w siodle, żeby zobaczyć, kto do niej mówi. Odgarnęła z twarzy swoje długie ciemne włosy.

– Dziękuję – szepnęła.

Po pewnym czasie jeźdźcy dotarli do skraju doliny i ujrzeli pierwsze wzgórza Vatnsdalshólar. W błękitnym świetle dziwne pagórki wyglądały niesamowicie i Tóti wzdrygnął się na ich widok.

Agnes wsunęła podbródek w szalik pod szyją i włosy opadły jej na twarz. Tóti zastanawiał się, czy nie zasnęła po gorzałce. Ale właśnie wtedy konie się zatrzymały. Gwałtownie poderwała głowę, spojrzała w dół, ku zejściu do doliny, i zaczęła drzeć na całym ciełe.

– Dotarliśmy na miejsce? – wyszeptała do Tótiego. Wielebny szybko zsiadł z konia i podał lejce innemu jeźdźcowi. Potrząsnął głową, by pozbyć się mdłości, po czym ruszył przez śnieg. Skrzypienie pod jego stopami niosło się w mroźnym powietrzu. Zbliżył się do Agnes.

Jón i inny mężczyzna pomogli jej zejść z siodła. Kiedy postawili ją na ziemi, zachwiała się i upadła.

– Weź mnie za rękę – rzekł Tóti.

Podniosła wzrok. Miała łzy w oczach.

– Nie mogę ruszyć nogami – jęknęła. – Nie mogę ruszyć nogami.

Schylił się i objął ją ramieniem. Próbował ją dźwignąć, ale kolana się pod nim ugięły i oboje wpadli znów w śnieżną zaspę.

– Wielebny! – Jón skoczył do przodu, żeby im pomóc.

– Nie! – Słowo zabrzmiało nieoczekiwanie jak okrzyk. Tóti spojrzał na ciemny krąg ludzi stojących naokoło. Agnes złapała go za ramię. – Nie – powtórzył. – Pozwólcie mi ją podnieść, proszę. Muszę ją podnieść.

Mężczyźni cofnęli się, kiedy dźwignął się na kolana, a potem powoli wstał. Zachwiał się, wyprostował grzbiet i zamknął oczy. Wziął głęboki wdech i odczekał, aż przestało mu się kręcić w głowie. Nie pora na słabość, skarcił siebie. Schylił się i podał Agnes dłoń.

– Proszę – powiedział – weź mnie za rękę.

Agnes otworzyła oczy i chwyciła go, wbijając mu paznokcie w skórę.

– Nie puszczaj mnie! – jęknęła. – Nie puszczaj!

Zacisnąwszy zęby, wyciągnął ją ze śniegu i objął ramieniem, żeby podnieść

ją wyżej.

– O, proszę – powiedział łagodnym tonem, trzymając ją mocno. Zignorował smród gówna. – Mam cię.

Zebrani dookoła rolnicy z sąsiedztwa zaczęli iść w stronę trzech pagórków, które stały jeden obok drugiego. Na środkowym z nich czekało już ponad czterdziestu mężczyzn, wszyscy ubrani na czarno. Wyglądają niczym ptaki drapieżne, które okrążyły swoją ofiarę, pomyślał Tóti.

– Musimy z nimi iść? – spytała Agnes łamiącym się głosem.

– Nie, Agnes. – Wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z oczu. – Nie, musimy przejść trochę dalej, a potem poczekać. Fridrik będzie pierwszy.

Pokiwała głową i nie puszczała Tótiego, gdy powoli poprowadził ją przez zasy do wzniesienia, gdzie latem trawa rosła gęściej niż gdzie indziej. Dysząc ciężko, delikatnie posadził ją na zaśnieżonej ziemi i usiadł obok. Jón przykucnął w pobliżu i podniósł flaszkę, która wyslizgnęła mu się z dłoni. Pociągnął łyk gorzałki i skrzywił się mimowolnie.

Powoli mijaly kolejne minuty. Tóti starał się nie zwracać uwagi na igły mrozu, które boleśnie wbijały mu się w kości. Trzymał dłonie Agnes w swoich rękach, ona położyła mu głowę na ramieniu.

– Może się pomodlimy, Agnes?

Otworzyła oczy i zapatrzyła się w dal.

– Słyszę śpiew.

Tóti obrócił głowę w stronę, skąd dobiegała melodia. Rozpoznał hymn żałobny *Jak kwiat*. Agnes słuchała go z uwagą, dygocąc na całym ciele.

– Posłuchajmy więc razem – wyszeptał. Objął ją ramieniem, podczas gdy kolejne wersy wznosiły się nad zaśnieżone pola i opadały niczym mgła.

Jón klęczał ze złożonymi rękami. Jego wargi poruszały się, wymawiając słowa *Modlitwy Pańskiej*. „I odpuść nam nasze winy...”. Agnes jęknęła z cicha.

– Tóti – powiedziała z paniką w głosie. – Tóti, myślę, że nie jestem gotowa. Oni nie mogą tego zrobić. Możesz poprosić, żeby poczekali? Muszą jeszcze

poczekać.

Przytulił ją mocniej.

– Nie puszcę cię. Bóg jest wszędzie wokół, Agnes. Nie puszcę cię ani na chwilę.

Podniosła wzrok w puste niebo. Nad doliną poniósł się echem brzęk opadającego po raz pierwszy topora.

# Epilog

*Przestępców Fridrika Sigurdssona i Agnes Magnúsdóttir zabrano dziś z aresztu i przewieziono na miejsce egzekucji, a w drodze na miejsce stracenia towarzyszyli im kapłani: wielebny Magnús Árnason, wielebny Jóhann Tómasson, wielebny Gísli Gíslason i wielebny wikariusz Thorvardur Jónsson. Przestępcy wyrazili życzenie, by dwaj ostatni pomogli im się przygotować do spotkania ze śmiercią. Po tym, jak pastor Jóhann Tómasson wygłosił kazanie dla skazanego Fridrika Sigurdssona, głowa Fridrika została ścięta jednym uderzeniem topora. Rolnik Gudmundur Ketilsson, któremu rozkazano pełnić obowiązki kata, przyłożył się do pracy, wykonał ją zręcznie i nieustraszenie. Po tym, jak skazana Agnes Magnúsdóttir, która na czas pierwszej egzekucji była przetrzymywana w miejscu, skąd nie widziała szafotu, została odpowiednio przygotowana na śmierć przez wielebnego wikariusza Thorvardura Jónssona, tenże sam kat odrąbał jej głowę z tą samą biegłością co wprzód. Odcięte głowy skazanych zatknięto następnie na pale ustawione na miejscu egzekucji, ich ciała zaś w trumnach z surowych desek zakopano, zanim zebranych ludziom wydano polecenie rozejścia się do domów. Podczas samego wydarzenia i później, aż do krótkiej przemowy wygłoszonej do zebranych przez wielebnego Magnúsa Árnasona, wszystko przebiegało w stosownym spokoju i porządku.*

*Actum ut supra.*

*B. Blöndal, R. Olsen, A. Árnason  
z księgi urzędowej okręgu Húnavatn, 1830*

# Od autorki

Mimo że ta powieść jest fikcją literacką, fabułę oparłam na rzeczywistych wydarzeniach. Agnes Magnúsdóttir była ostatnią osobą, na której wykonano karę śmierci w Islandii, a skazano ją za współudział w morderstwie na Natanie Ketilssonie i Péturze Jónssonie, do której to zbrodni doszło w nocy z 13 na 14 marca 1828 roku w Illugastadir (Illugastaðir) na półwyspie Vatnsnes, w północnej Islandii. W roku 1934 szczątki Agnes i Fridrika (Friðrika) Sigurdssona przeniesiono z Thrístapar (Þrístapar) na cmentarz przy kościele w Tjörn, gdzie spoczęły we wspólnym grobie. Grób Natana Ketilssona na tym samym cmentarzu nie jest już oznaczony. Sigríður Gudmundsdóttir (Sigríður Guðmundsdóttir) została wysłana do zamkniętego zakładu włókienniczego w Kopenhadze, gdzie – jak się uważa – zmarła kilka lat później. Przez pewien czas krążyła popularna legenda, że została porwana z więzienia przez bogatego mężczyznę i żyła później długo i szczęśliwie. Choć mit ten mija się z prawdą, wskazuje na sympatię, jaką darzyła ją ludność w tamtych latach.

Moja interpretacja morderstw w Illugastaðir i egzekucji wsparta jest wieloma latami studiów, podczas których dotarłam do archiwów parafialnych, spisów ludności, miejscowych publikacji, a także rozmawiałam z wieloma Islandczykami. Mimo że niektóre postaci historyczne są wytworem wyobraźni, a inne zostały pominięte lub ich imiona i nazwiska z konieczności zmieniono, większość nich, włącznie z Björnem Blöndalem, wikariuszem Thorvardurem (Þorvarðurem) Jónssonem, większością członków rodziny w Kornsie, rodzicami i rodzeństwem Agnes, żyła naprawdę, o czym wiadomo z dokumentów historycznych.



Nie miałam zamiaru w żadnym razie urazić żyjących krewnych żadnej z postaci, których nazwiska zaczerpnęłam po to, by opowiedzieć historię Agnes.

Wiele listów, pism i wypisów przytoczonych na początku rozdziałów zostało przetłumaczonych i zaadaptowanych z materiałów źródłowych. Ruiny warsztatu Natana stoją w Illugastaðir po dziś dzień, a miejsce egzekucji w Þrístapar oznaczono kamienną płytą. Wszystkie nazwy miejscowe w tej powieści są autentyczne, a wiele gospodarstw, o których wspominają Agnes i inni bohaterowie, istnieje do dzisiaj.

W powieści przedstawiono wiele znanych i ustalonych faktów dotyczących życia Agnes i samych morderstw. Rodzina w Kornsie rzeczywiście przetrzymywała Agnes w areszcie po tym, jak skazaną przeniesiono ze Stóra-Borg, a Agnes faktycznie wybrała wielebnego wikariusza Þórvarðura Jónssona na swojego kapłana w ostatnich miesiącach życia. Natura ich znajomości, włącznie z ich pierwszym tajemniczym spotkaniem i snem Agnes, została opisana na podstawie miejscowych podań i przekazów.

Nie należy się dziwić, że większość postaci umie czytać. Poziom analfabetyzmu wśród Islandczyków był niemal zerowy od końca XVII wieku.

Wiele zawdzięczam studiom i pracom takich uczonych jak Gísli Águst Gunnalaugsson, Ólöf Gardðarsdóttir, Loftur Guttormson, Gunnar Thorvaldsen, Sören Edvisson, Richard Tomasson i Sigurður Magnússon, autorów opracowań dotyczących takich tematów jak wychowywanie porzuconych dzieci i biedoty, śmiertelność niemowląt, bękarctwo i stosunki między krewnymi w XIX-wiecznej Islandii. Skorzystałam również z licznych XIX-wiecznych dzienników autorstwa zagranicznych podróżników, między innymi Ebenezera Hendersona, Johna Barrowa, Alexandra Brysona, Arthura Dillona, Williama Hookera, Nielsa Horebowa, sir George'a Mackenziego i Uno Von Troila. Bezcennymi publikacjami okazały się również

*Húnavetningur, Sagnaþættir, úr Húnaþing* oraz *Hunavatnsþring Brandsstaðaannáll*.

Kilka godnych uwagi książek i artykułów napisano o morderstwach w Illugastaðir oraz o życiu (i śmierci) Natana Ketilssona. Należą do nich *Enginn Má Undan Líta* Guðlaugura Guðmundssona, *Yfirvaldið* Þorgeira Þorgeirssona, *Dauði Natans Ketilssonar* Gunnara S. Þorleifssona, *Dauði Natans Ketilssonar* Guðbrandura Jónssona, *Dauði Natans Ketilssonar* Eline Hoffman (tłum. na islandzki Halldóra Friðjónssona), *Friðþæging* Tómasa Guðmundssona i *Agnes of Friðrik fyrir og eftir dauðann* Sigrún Huld Þorgrímsdóttir. Wszystkie te opracowania okazały się bardzo przydatne, chociaż niektóre przeczą innym, a powszechna jest w nich opinia o Agnes jako „niehumanitarnej wiedźmie podburzającej do mordów”. Niniejsza powieść została napisana po to, by przedstawić mniej jednoznaczny portret tej kobiety.

# Podziękowania

Jestem wdzięczna wielu osobom, które udzieliły mi pomocy w zbieraniu materiałów i pisaniu tej powieści. Pragnę serdecznie podziękować Knúturowi Óskarssonowi i jego matce za szczodrość i kawę, pomoc w tłumaczeniach i długie nocne rozmowy w Ósar. Poznanie Was obojga jest dla mnie wciąż cudownym zbiegiem okoliczności i wielkim szczęściem. Dziękuję Jónowi Torfasonowi i innym archiwistom z Þjóðskjalasafn Íslands za pomoc i entuzjazm, a także za znalezienie dla mnie oryginalnych dokumentów z procesu. Dziękuję Guðmundurowi Jóhannssonowi za ogromnie użyteczny list. Bibliotekarzom i pracownikom Þjóðminjasafn, Instytutu Studiów Islandzkich im. Àrniego Magnússona, biblioteki Kringlan, Árbæjarsafn i Glumbær dziękuję za cierpliwość i pomoc.

Dla mojej „islandzkiej rodziny” – *þakka þér kærlega fyrir*. Bez Was ta książka nigdy by nie powstała. Wyrazy wdzięczności i serdeczności dla drogiego Pétura Björnssona, Regíny Gunnarsdóttir, Hery Brigisdóttir, Halldóra Sigurðssona, Sylvíi Dögg Gunnarsdóttir i Maríi Reynisdóttir za dobroć, wolne łóżka i szczodrość. Jestem również wdzięczna wielu innym Islandczykom, których poznałam i którzy mieli na różne, dziwne sposoby swój udział w napisaniu tej książki. Mam nadzieję, że zgodnie z moim zamierzeniem odczytacie ją jako mroczny list miłosny do Islandii.

Dziękuję tym we Flinders University, zwłaszcza Ruth Starke, którzy wspierali mnie od samego początku. Dziękuję swoim pierwszym czytelniczkom, Kylie Cardell i Kalindzie Ashton, a także Kate Douglas, Davidowi Soringowi i Bec Starford za przyjaźń i szanse, które mi daliście.

Bardzo dziękuję Geraldine Brooks za mądre uwagi i wskazówki. Dziękuję

również Writing Australia Unpublished Manuscript Award, SA Writers' Centre oraz Peterowi Bishopowi, Valerie Parv, Patrickowi Allingtonowi i Markowi Macleodowi za uwagi, których mi nie szczędzili.

Jestem również bardzo wdzięczna wspaniałej Pippie Masson i drogiej Annabel Blay w Curtis Brown Australia. Dziękuję też Gordonowi Wise'owi, Kate Cooper i ich współpracownikom w Curtis Brown UK, oraz Danowi Lazarowi z Writers House. Dziękuję Emmie Rafferty, Sophie Jonathan, Amandzie Brower i Jo Jarrah za spostrzegawczość i rozmaite sugestie. Swoim wspaniałym redaktorom wydawniczym, Alexowi Craigowi i Paulowi Baggaleyowi w Picadorze oraz Judy Clain w Little, Brown, dziękuję, że uwierzyli w tę książkę.

I wreszcie serdeczne podziękowania dla Pam, Alanai Briony za Waszą miłość i wytrwałość, i za to, że przejęliście się losami Agnes Magnúsdóttir nie mniej niż ja. I na sam koniec dziękuję też Tobie, Angharadzie, za to, że nigdy nie wątpisz i zawsze mnie pokrzepiasz – każdego dnia, w każdą godzinę.